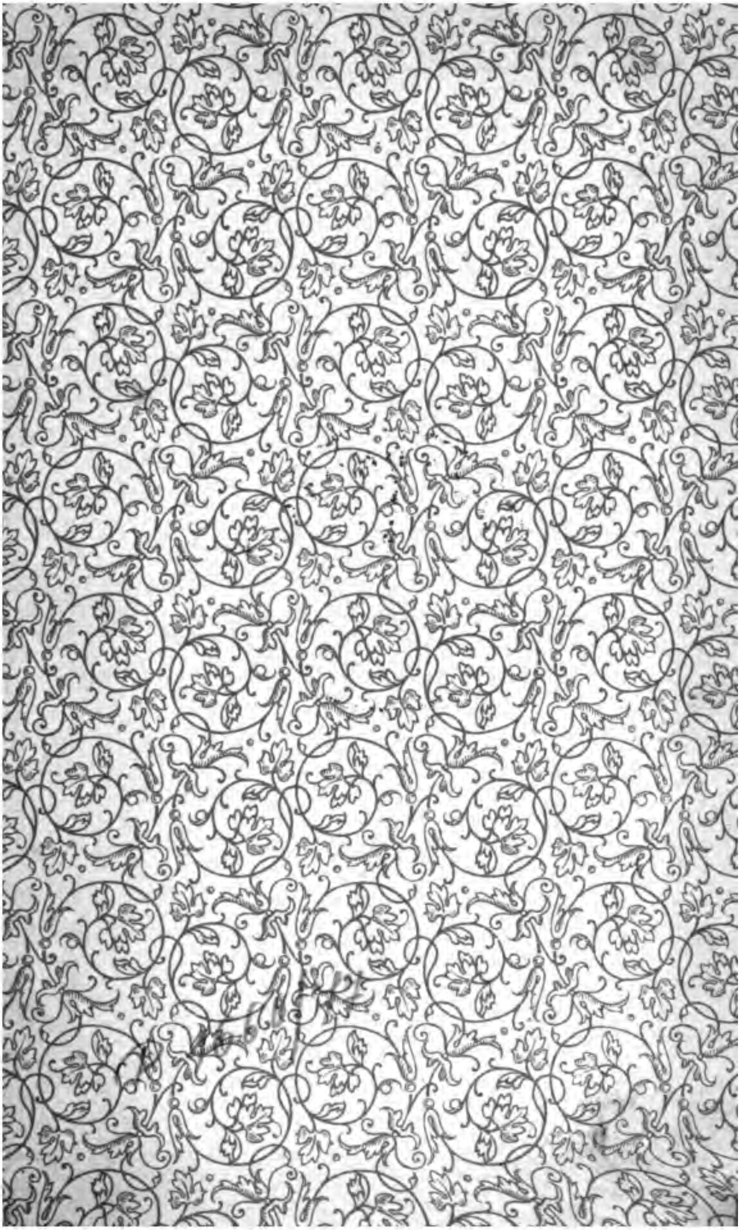


BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM LXXVII.

78

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM LXXVII.

ZBIÓR
PISM POMNIEJSZYCH

UTWORU

STEFANA WITWICKIEGO.

TOM DRUGI.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1878.

Spis rzeczy.

MOSKALE W POLSCE.

(1832.)

Po morderczych bojach jakie przez dwa dni przy rozgłosie kilkuset dział wrzały na polach otaczających Warszawę, których otwarta przestrzeń była broniona niemal jednym tylko punktem, cokolwiek wzmocnionym, na Woli; gdzie dwadzieścia kilka tysięcy Polaków dawało odpór pięć razy liczniejszej sile wroga: stolica oddaną została nieprzyjacielowi w nocy z 7go na 8my Września. Nazajutrz wkroczył do niej brat cara, Michał, na czele swych gwardji, wprzód nawet nim ogół mieszkańców mógł się dowiedzieć że już zaszło nad miastem wolności słońce.

Tak tedy d. 8go Września 1831 roku przez powrót wojsk jedynowładcy moskiewskiego, króla Kazanu i Astrachanu, samowładcy pustyń Syberji i dzikich hord kubańskich do stolicy starożytnej Polski: znowu Azja wtargnęła do Europy.

Przerażenia, nieszczęścia, żałoby Warszawy nie trzeba, nie podobna opisywać. Dozwolony wyjazd na prowincje po tej stronie Wisły, w celu pozbycia się osób mogących jeszcze rodzić jakowe obawy, (a z czego prawie wszyscy Warszawianie korzystać chcieli, gdy żaden z nich widoku wroga znieść nie mógł); przecięcie komunikacji od wojska polskiego, które przeszło na prawy brzeg rzeki; rozwiązanie gwardji narodowej; nakaz powszechnego i jednoczesnego złożenia wszelkiej broni, bez żadnego względu na własność prywatną*); rozstrzelanie czcigodnego obywatela Józefa Uttermana; toż ciągłe ogłaszanie bezczelnych odezw opiewających miłość i ojcowską

---

*) Broń ta była po większej części natychmiast ze składów roskradziona. Kozacy i Kabardyńcy sprzedawali ją pokryjomu za bezcen Żydom. Kilku obywateli trafiło później tą drogą do odzyskania swej własności.

dobroć cara dla Polaków; przeniewierczy ukaz do petersburgskiego senatu (ogłoszony d. 10 Września*), który zapewniał przebaczenie wszystkim coby dobrowolnie pod władzę najezdnika wrócili, i zaraz jawne zgwałcenie tego publicznego zaręczenia na osobie Ksawerego Sabatyna, jednego z posłów Podola; wreszcie, roskaz (d. 19 Września) uwięzienia każdego, ktoby śmiał mówić o rzeczach politycznych; złupienie zamku niegdy królów polskich, z którego najkosztowniejsze przedmioty wywieziono; zajęcie sal, gdzie Izby Sejmowe obradowały na koszary żołnierstwa; porwanie z akt senatu oryginału konstytucji nadanej tak zwanemu królestwu w skutek kongresu wiedeńskiego: — naznaczyły pierwsze chwile przybycia Rosjan do Warszawy.

Od godziny 6tej wieczorem nie wolno było nikomo pokazać się na ulicy inaczej, jak z zapaloną latarnią; a od 9tej już każdego przechodzącego lub przejeżdżającego chwytano do aresztu. Po wszystkich placach zatoczono nabite działa. Co kilkanaście kroków rozstawione warty dopuszczały się gwałtów na tych, którzy mieli konieczną potrzebę przejścia przez ulicę; a przeraźliwemi i ciągłemi wrzaski odpędzały sen od miasta.

Łudziła się stolica przez czas jakiś nadzieją, iż rosproszone po kraju reszty narodowego wojska, od których wiadomości wcale jej nie dochodziły, zdołają jeszcze przynieść dla publicznej rzeczy jakowe wsparcie. To mniemanie utwierdzały widoczne obawy księcia Michała, które temu godnemu bratu cara, przyzwyczajonemu do kąsania żołnierzy po twarzach i do innych równie dzikich okrucieństw, nakazywały nawet przybierać pozór pewnej grzeczności i dobroci. Świętość sprawy, dla której Polacy broń podnieśli, spółczucie narodów, obowiąski i interes gabinetów, nakoniec uroczyste zapewnienie naczelnika wielkiego ludu, że narodowość Polski zostanie zachowaną, nie dozwalały z razu przewidywać wszystkich okropności jakie jej gotował najezdnik. Sądzono iż jeżeli

---

*) Wszystkie daty ogłaszań, jakię będą w tem pismie przytaczane, są wyjęte z gazety urzędowej «dziennik powszechny» w Warszawie wydawanej. Kilka tylko jest wziętych z kancelarji Rady Administracyjnej Paszkiewicza.

narodowi najświętszych swych praw dobijającemu się, nikt pośród śmiertelnej i przedłużonej walki na pomoc nie pośpieszył; jeśli w ciężkiej potrzebie i niedoli jego nikt się z nim do braterstwa przyznać nie chciał wtenczas, gdy straszliwy wróg, z którym się mierzył, używał przeciw niemu oczywistego przymierza i otwartej pomocy Prus: sądzono, mówię, iż ten szlachetny i mężny naród przynajmniej upadkiem swoim obudzi w Europie to uczucie, które nie dozwala srożyć się nad rozbrojonym, które wściekłości podłego nieprzyjaciela nie dopuszcza pastwić się beskarnie nad umarłym.

Lecz prędko złudzenia te odbiegły. Los wojny, do której dalszego prowadzenia potrzebne zasoby i środki już całkiem w królestwie były wyczerpnięte, przechylił się ostatecznie na stronę cara. Napróżno bohaterowie Grochowa i Ostrołęki nowym się jeszcze laurem uwieńczali w rozmaitych pojedyńczych potyczkach. Naciśnieni przemocą i zdradą, (podstępne bowiem negocjacje, w jakie Moskale wciągnąć wojsko polskie usiłowali, nie mało działania jego paraliżować musiały), ustępując z kraju, ślad swojej drogi krwią znaczyli. W tym stanowczym momencie rycerze polscy odnieśli nowe i ważne zwycięstwo, targając ostatecznie przez niezachwianą swą stałość zgubne sidła układów, któremi chytrość moskiewska shańbić ich pragnęła. Szlachetna wytrwałość uchowała w niepokalanej godności cześć narodową. Na zdradzieckie przyrzeczenia łask Mikołaja żądającego, sromotnego poddania się, odpowiedziało wojsko protestacją przed Bogiem i ludami: iż do odstąpienia w najmniejszej części świętych praw, jakich los wojny nie dozwolił mu tym razem obronić, żadna siła, żadne położenie nigdy Polaków nakłonić nie zdoła.

Pospieszali Moskale z rozgłaszaniem po kraju wiadomości o następnem opuszczaniu granic kongresowego królestwa przez żołnierzy, skazujących się dobrowolnie na bolesne sieroctwo i tułaczkę. Odetchnął z okropnej trwogi tyran; i wszystkim hordom swoim dał znak do bezbożnych modłów. Dnia 16 Października odbyła się pod murami Warszawy wielka i całą azjatycką pompą otoczona parada. Odśpiewano uroczyście «Te Deum» za uratowanie tronu i ołtarza! Szalał Petersburg przez ukaz przywołaną radością; po wszystkich

miastach w dwóch częściach kuli ziemskiej knut cara czczących szerzyły się przez długi czas illuminacje, festy i modlitwy; pułkom za największą nagrodę (bezczelna dystrybucja krzyża polskiego jest późniejszem dziełem) rozdano chorągwie z kłamliwym napisem: za wzięcie szturmem Warszawy; Paszkiewicz ogłoszony księciem. Dowodził tym sposobem Mikołaj, iż lepiej niż ktokolwiek czuł ważność wojny polskiej; że przewidywał dalsze skutki jakie dla Europy miały przez nią wyniknąć.

Wszakże widział car okrutny, że wkroczenie wojsk polskich do Austrji i Prus, lubo zostawiało przy nim materjalne i chwilowe zwycięstwo — w rzeczy samej zupełną przewagę dawało moralnie Polakom. Napróżno Mikołaj rzucił przeciw rycerzom polskim dekreta, zamykające im na zawsze granice tak zwanego królestwa i prowincji dawniej przez Rosję zagrabionych. Ten grom, równie nikogo w skutkach swych niedosięgający, jak w formie niepolityczny a nawet śmieszny, (dla tych albowiem zabraniał powrotu do kraju, którzy go porzucali z własnej chęci), wynikał zapewne nie z przebiegłej dyplomacji Carskiego Sioła, lecz wprost z osobistej zaciekłości despoty. Wszelako położenie rzeczy w niczem się przez to nie zmieniało. Wielki akt detronizacji, ów tryumf, dusza rewolucji, za którego zniszczenie, wyjęcie z karty polskiego powstania Mikołaj chętnieby oddał najdroższy klejnot carskiej korony, ten, mówię, akt pozostał w całej swojej świętości i sile, w całej swej narodowej, historycznej powadze. Nie odwołał go, nie naruszył bynajmniej, niczem go nie osłabił sejm; nie wykroczyło przeciw niemu wojsko. Owszem cała polska emigracja na nowo jeszcze rzeczony akt, ten urzędowy, uroczysty i nieodwołalny wyrok narodu utwierdziła, urzeczywistniła, utrzymując go i po skończeniu wojny, a raczej i podczas zawieszenia broni, w praktyce, w egzekucji, w zupełnej mocy. Późniejszy do kraju powrót podstępem uwiedzionych, lub gwałtem i strzałami pruskiemi napędzonych żołnierzy, oraz pewnej liczby członków sejmu i oficerów pojedyńczo działających, nie osłabia wcale naturalnych skutków ogólnej emigracji. Przed sądem praw narodów, przed sądem dziejów i prawdy publicznej, Mikołaj

i cały ród Romanowów nie jest dziś, nie może w Polsce być czem innem jak tylko najezdnikiem, przywłaścicielem, łupieżcą. Przed tym sądem, tron polski, pomimo wszystkich «Te Deum» przez Mikołaja śpiewanych i wszelkich jego rządów de facto, zostaje wakującym; przed tymże samym sądem — naturalnym i wyłącznym Polski reprezentantem, jej prawodawcą, oraz jedynem źródłem skąd prawa władza dla jej mieszkańcow wyniknąć może, jest sejm i tylko sejm, gdziekolwiek ten zgromadziłby się w prawnym komplecie i wolnie działał, a więc byle tylko nie pod przemocą i wpływem przywłaściciela, nie w granicach ziemi władzy jego uległej.

Uczuł to wszystko i dobrze zrozumiał sułtan petersburski. Rozsrożony tą nową przeciwnością, przeciw której Prusy i Austrja napróżno chciały go zasłonić, szukał pociechy w bezbożnem rospasaniu się na wszelkie zbytki zemsty.

Ażeby jednocześnie na wszystkich punktach kraju rozszerzyć prześladowania, i dla prędszego zaludnienia plemieniem polskiem Sybiru, Feldmarszałek Sacken dowodzący pierwszą armją, otrzymał roskaz wydawania sądów na powstańców w prowincjach dawniej od Rzeczypospolitej oderwanych. Został on upoważniony do odbierania najzacniejszym obywatelom szlachectwa, do konfiskowania ich majątków, i do zasyłania ich samych na resztę życia do robot kopalnych. Wyroki Sackena (nieprzytomnego starca i zwykle dla nałogu pijaństwa zmysłów pozbawionego) bywały przedstawiane carowi: lecz ani jeden z nich nie został złagodzony, a niektóre, rzecz niesłychana! Neron moskiewski śmiał agrawować*). W liczbie czcigodnych patrjotów tą drogą potępionych, i których jedyną zbrodnią była miłość ojczyzny, znajdują się starcy bezsilni, młodzieńcy małoletni, oraz kapłani wyznania katolickiego. W potwierdzeniu jakie wspomnione wyroki otrzymywały od Mikołaja, nieraz, jakby na szyderstwo najświętszych uczuć ludzkości, czytać było można w urzędowej gazecie: Zważywszy że obwiniony nie ma pełnoletności, albo: jest już w wieku bardzo podeszłym, osądza się tenże na utratę szlachectwa i majątku, oraz na zasłanie dożywotne

*) Między innymi, wyrok przeciw młodemu Księciu Sanguszce.

do osad. Wtenczas wspaniałość cara uwalniała ich od robót w kopalniach!.. Sądy dowodzącego pierwszą armją jeszcze się odbywają. Z imion obywateli skazanych przez nie w pierwszych czasach na wysłanie do Sybiru, na utratę szlachectwa i majątków przywiodę te przynajmniej, które mogłem wyjąć z urzędowych dzienników rosyjskich:

Wincenty Petryński — z Wołynia.
Chłopicki — imiennik dyktatora —
Książe Roman Sanguszko — z Wołynia.
Ignacy Strumiłło — z Wołynia.
Zakrzewski — z Wołynia.
Lipski — z Wołynia.
Żyromski — z Wołynia.
Jankowski — z Litwy.
Bogusławski — z Litwy.
Antoni Pawsza — z Wołynia.
Józef Siewruk — z Wołynia.
Franciszek Czarniecki — z Wołynia.
Książe Cyprjan Woroniecki — z Podola.
Porfiry Ważyński — z Litwy.
Jan Wilamowski — z Litwy.
Aleksander Truskowski — z Litwy.
Michał Moraczewski — z Litwy.
Stanisław Kiersnowski — z Litwy.
Paweł Ciepliński — z Litwy.
Gaspar Szaniawski — z Litwy.
Tadeusz Kiersnowski — z Litwy.
Onufry Pietraszkiewicz — z Litwy.
Kajetan Zajączkowski — z Wołynia.
Orlicki — z Litwy.
Leon Szukszta — z Litwy.
Zacharjasz Buniewicz — z Litwy.
Cyprjan Horodecki — z Wołynia.
Michał Grocholski — z Litwy.
Gwidon Chodorowicz — z Litwy.
Hipolit Klimaszewski — z Litwy.
Maciej Lisiecki — z Litwy.

Józef Narucki — z Litwy.
Dominik Rymgało — z Litwy.
Sokalski — z Litwy.
Ksiądz Jan Sierociński, Prowincjał Bazyljanów,
Ksiądz Modest Didkowski. Obadwa z Wołynia, z miasta Owrucza, starcy, zasłani do Sybiru na prostych żołnierzy.
Franciszek Biłgorajski — z Litwy.
Stefan Porczyński — z Wołynia.
Trypolski — z Wołynia.
Edward Sperski — z Wołynia.
Franciszek Sielecki — z Wołynia.
Walery Urbanowicz — z Wołynia.
Włodzimierz Kossakowski — z Litwy.
Tomasz Kobyliński — z Litwy.
Grzegorz Gołub — z Wołynia.
Władysław Niewiarowicz — z Litwy (student).
Leoncjusz Grocholski — z Podola.
Formencjusz Ziółkowski — z Podola.
Władysław Drużelewski — z Podola.
Aleksander Rudziewicz — z Podola.
Antoni Pruszyński — z Wołynia*).

---

*) Powyższa lista może najprzód dać miarę nieporównanej srogości cara. W rzędzie patrjotów, których imiona obejmuje, nie znajdujemy ani jednego, któryby należał do naczelników lub głośniejszych dowódców powstania; jeden z nich tylko Sanguszko był powszechniej znany jako adjutant naczelnego wodza: a jednak wszyscy zostali skazani na utratę szlachectwa i majątków, i na zasłanie na całe życie do Sybiru. Jakąż więc karę przeznacza Mikołaj dla głównych działaczów? Jakie męczarnie każe wywierać nad tymi z naczelników, którzy się dostali w jego tygrysie szpony?.. Serce wzdryga się na te myśli. — Powtóre, możemy się z tej listy domyślać jak niezmierną być musi liczba ofiar. Nie znajdujemy tu bowiem żadnego obywatela z Ukrainy, która w patrjotyzmie nie dała się wyprzedzić innym prowincjom; a ilość potępionych z wszystkich części Litwy okazałaby się zapewne sześć razy większą przez porównanie ich ludności z ludnością Wołynia. Podobnież z Podola przywiedliśmy ledwo pięć nazwisk, lubo wiadomo, iż powstanie w tej prowincji było szerzej jak na Wołyniu rozgałęzione. — Wreszcie nie zapominajmy, że ta lista zawiera tylko bardzo małą cząstkę wyłącznych ofiar Sackena, którą przywiodłem szczególniej jako jeden z materjałów do ułożenia z czasem ogólnego obrazu męczeństwa narodu; że mówimy tu o jednym, najmniejszym, i prawie prywatnym warsztacie rozległych katowni Mikołaja; że nic nie wspominamy o owej massie szlachty i domowników polskich, których

Kilku niegodnych imienia polskiego, jak Rożniecki i jemu podobni, którzy stali się przedmiotem nienawiści i pogardy całego narodu i przez ciąg rewolucji znaleźli schronienie w Petersburgu, okrył Mikołaj najwyższemi zaszczyty. Udarował ich orderami, przesłał im najpochlebniejsze reskrypta, wyniósł na stopnie członków senatu rosyjskiego i Rady państwa*). Niektórzy z niech objęli w Warszawie pierwsze urzęda. W tymże czasie Książe Adam Czartoryski, były Prezes Rządu Narodowego, który niegdyś ujęty przyrzeczeniami Aleksandra, szukał przy jego boku osłodzenia losu swych ziomków pod berło Rosji zagarnionych — został odsądzony od prawa zasiadania w Radzie państwa i w senacie rosyjskim, później od orderów cesarskich. Tu przecie nie trafił bynajmniej Mikołaj do swego celu. Zamiast zasmucenia Polaków, uczynił im prawdziwą przyjemność zdejmując z ich zasłużonego spółrodaka tytuły, które ani z cnotą ani z powołaniem tego wzorowego obywatela już żadną miarą zgadzać się nie mogły.

Załoga twierdzy Zamość, poddając się przez kapitulację po wejściu ostatniego oddziału polskiego do Prus, zapewniła sobie wolny powrót do domów. Ta kapitulacja w najprawniejszej formie przez jenerała Kajzarowa zawarta, a przez Rydigiera potwierdzona, została w sposób najbezczelniejszy zgwałconą. Żołnierzy załogi, po większej części obywateli z prowincji ruskich, pognano do Rosji jako niewolników, a niektórych w kajdanach.

Wołyń, Podole, Ukraina, i Litwa cała, których mieszkańcy z największem poświęceniem się, przystępując do powstania narodowego, dowiedli na nowo światu że nie przestaną nigdy być Polakami, że nic ich od ojczyzny oderwać nie zdoła, zwróciły na siebie najsroższą zajadłość tyrana. W tej części kraju, którą kongres wiedeński przezwał królestwem, czuł może Mikołaj jakąkolwiek tamę dla swych okrucieństw;

---

gromady zapełniały przez kilka miesięcy trakty sybirskie, i dotąd z nich jeszcze nie zeszły.

*) Przydajmy jednak iż opinja publiczna umie czynić między nimi różnicę, i nie wszystkich w jednej klasie zamieszcza.

w tamtych prowincjach nic ani na chwilę zemsty jego nie ukracało. Stały się one uprzywilejowaną ziemią dla dzikich ukazów barbarzyńcy, wybraną jego ofiarą.

Tak zwana drobna szlachta rzeczonych prowincji, która z takim zapałem na głos ojczyzny rzuciła się do broni, ujrzała wydarte sobie dekretem cara (d. 7 Listopada 1831) tytuł i wszelkie prawa szlachty. Napróżno się odwoływała do ostatecznych wywodów szlachectwa (z r. 1812); żądano od niej nowych legitymacji, a te połączono z trudnościami takiej natury, że ubóstwo prześladowanych próżnoby je pokonać usiłowało.

W tychże prowincjach dochowywało się aż dotąd wiele form administracyjnych z czasów Polski, jakie przyczyniały się nie mało do utrzymania ducha narodowego, a których Aleksander (dzięki szczególniej działaniom Czartoryskiego) nie naruszał, dowodząc najbardziej przez to że narodowości Polaków nie chce zagubiać. Formy te, jakkolwiek pod rządem carów nigdy się dobrze rozwinąć nie mogły, nadawały atoli gubernjom polskim cechę wyraźnie je odróżniającą. Nowy ukaz cara (z d. 9 Listopada 1831) wszystko to z gruntu wywrócił, stanowiąc, iżby ich administracja w niczem się odtąd nie różniła od tej, jakiej ulegają gubernje czysto moskiewskie. Później (z d. 1 Lipca 1832) uznał Mikołaj stosownem gwałt ten lepiej jeszcze uzupełnić, roskazując, iżby w sądownictwie wspomnionych części Polski język ojczysty ustąpił miejsca rosyjskiemu.

Niedługo prześladowania, jakie tyran przeciwko tym nieszczęśliwym i szlachetnym ziemiom wymierzył, przeszły wszelkie granice. Nie tylko z miast guberskich, lecz z każdego prawie powiatowego miasteczka tłumy mieszkańców okolicznych (zwłaszcza ubogiej szlachty) pędzono z ogolonemi głowami i w kajdanach, jak najcięższych zbrodniarzy, do pustyń Sybiru, lub przynajmiej w głębię Rosji, przeznaczając ich tam na resztę życia do służby wojskowej. Wszystkie niemal (bo w nierównie większej połowie) majątki obywatelskie zostały zasekwestrowane. Rejestr dóbr na rzecz rządu zabieranych wypełniał przez wiele miesięcy kolumny gazet urzędowych. Nie było ani jednej familji, którejby nie okryła

najgrubsza żałoba. Synowie najzacniejszych domów, którzy mieli nieszczęście zaufać ludzkości cara, w głuchych dziś puszczach kryć się musieli. Nieraz się zdarzało, iż widok cierpień niewypowiedzianych, jakich prowincje, o których mówimy, były ciągłym teatrem, przerażał samych oprawców. Ale uczucie ludzkości w każdym słudze Mikołaja było występkiem, a wyśledzone w wyższym urzędniku, ściągło nań niezwłocznie karę odwołania*). Nie jedną wtedy znalazłbyś rodzinę, której ojciec porwany był na Sybir, synowie wzięci do wojska cara, a matka i córki, oskarżone że uszyły kilka chorągiewek dla żołnierzy polskich, lub że zgłodniałym braciom swym, powstańcom, pokarmu trochę kryjomo wysłały — powoływane do tłómaczeń się i protokułów sądowych, znosiły areszt publiczny. Dom ich stał się własnością szpiega.

Właśnie wtenczas despota bezbożny, ukończywszy Te Deum w Petersburgu, jechał w towarzystwie swej małżonki i następcy tronu, i z tymże samym hymnem psalmisty na ustach, do drugiej carstwa swego stolicy na nowe uroczystości z okazji szczęśliwego pokonania buntowników. Tam to moskiewskie gazety, opisując azjackim stylem festy przez zwycięscę i najłaskawszego ojca Polaków obchodzone, mianowały cara słońcem, carową księżycem, carowicza zorzą poranną. Tam to może w świątyni Pańskiej, przytomnością jego shańbionej, ten, jak nam wierzyć każą, namiestnik, pomazaniec Boga, natchnął się piekielną myślą przesiedlenia w masach szlachty polskiej na Kaukaz — o czem będzie mowa niżej**).

Województwa składające kongresowe królestwo, które były prawie wyłącznym placem morderczej wojny, wystawione z położenia swego na największe ofiary i wysilenia, znalazły

---

*) Temu losowi uległ między innymi w Litwie hr. Strogonoff, imiennik i podobno krewny członka Rady Paszkiewicza w Warszawie, noszącej nazwanie Rady Administracyjnej Królestwa Polskiego.

**) Pobyt cara w Moskwie przypomina okoliczność godną przywiedzenia, która także dobrą jego wiarę oczywiście dowodzi. Wydawane tam dekreta tyczące się Polski kazał Mikołaj opatrywać kontrasygnacją Grabowskiego, ministra polskiego sekretarza stanu, który nawet nie znajdował się podówczas w tem mieście. Szczegół ten jest mi wiadomy z najpewniejszego źródła.

się z końcem kampanji w ostatecznem wycieńczeniu. Jedyną nadzieją dla ich materjalnego bytu pozostały liczne fabryki, mianowicie sukienne, które przez napływ w poprzednich latach znacznej liczby zagranicznych rzemieślników i przedsiębiorców, podniosły się były do wysokiego stopnia zamożności, i ten po ustaniu wypadków wojennych łatwo mogły odzyskać, stanowiąc wyrobami swojemi wyłączny artykuł handlu polskiego. Nie mógł na to obojętnym pozostać Mikołaj. Ojcowskim ukazem (z d. 23 Grudnia 1832 r.) odjął dawniejsze przywileje handlowi Królestwa z Rosją; a przez nadzwyczajne podwyższenie cła od wyrobów polskich zadał wspomnionym fabrykom cios stanowczy. Najznakomitsi przedsiębiorcy popadli w bankructwo; warsztaty stanęły, a tłumy rzemieślników, nie znajdując chleba w kraju, wyciągnęły w głąb Rosji, za namową i wpływem władz moskiewskich.

Handel płodów rolniczych nie był szczęśliwszy. Zaraz za wejściem wojsk cara do Królestwa, zaczęto po różnych jego miejscach zakładać ogromne magazyny, zmuszając obywateli przez egzekucje do dostarczania nakazanej ilości rozmaitego ziarna, a to za opłatą jak najlichszą i wydawaną w bonach. Te magazyny, które, co łatwo można było przewidzieć, okazały się zupełnie od potrzeb armji rosyjskiej zbywające, były następnie odstępowane przez rząd Prusakom z niezmierną szkodą rolników polskich. W ich formowaniu widać było cel oczywisty jeśli nie całkowitego ogłodzenia kraju, przynajmniej umyślnego i stanowczego na razie zubożenia jego mieszkańców.

Ażeby okazać Polakom, że już ich narodowość ma być ostatecznie zatraconą nawet w powierzchownych cechach, odjął im car (d. 24 Listopada 1831) narodową kokardę, nakazując natomiast używanie rosyjskiej. Zawziętość jego nie przepuszczała najmniejszym szczegółom. Dyrekcja dróg i mostów otrzymała roskaz przemalowania w całym kraju barjer i słupów drożnych kolorami cesarstwa. Wykonanie tego ukazu, w skutku swym dosyć obojętnego (co jednakże nadtoby raziło oczy cudzoziemców), jako nie zgadzające się z systematem moskiewskiej skrytości niszczącym raczej treść, grunt rzeczy a zachowującym pozory, zostało później wstrzymane.

Atoli (że tu muszę wspomnieć o drobnostce nic nie znaczącej, lubo także usposobienie tak zwanego króla polskiego jawnie malującej), polecił Mikołaj, i wykonania dopilnował, iżby wszelkie przełożenia i akta rządowe przesyłane z Warszawy do sekretorjatu polskiego w Petersburgu, na które niekiedy raczy car rzucić swe oko, były odtąd zszywane niemi nie kolorów polskich ale koniecznie moskiewskich. Niedorzeczna i śmieszna złośliwość! godniejsza zapewne kłótliwej przekupki jak księcia przełożonego kilkudziesięciu miljonom ludzi.

Ale mówmy o rzeczach ważniejszych. W szeregu okrucieństw Mikołaja pełną ręką na Polskę zlewanych, może pierwsze miejsce w historji tej fatalnej epoki zajmie przeniewierczy akt tak zwanej amnestji, ogłoszony w Warszawie d. 23 Listopada 1831 r. Do wyjętych z pod łaski: autorów 29 Listopada i Członków Rządu Narodowego, oraz (dziwne i pełne złości połączenie) morderców nocy 15 Sierpnia, przydając członków sejmu, których sprawą był wyrok detronizacji, zaraz chytry car odkrył w części zdradzieckie swe zamiary. Rzeczony albowiem wyrok jest dziełem jednomyślnem sejmu, który stanowiąc go, stał się jeszcze prawdziwszym jak w każdej innej chwili reprezentantem uczuć całego narodu. Wspomniony wyjątek amnestji otwierał natychmiast wrota dowolnym prześladowaniom. Wszakże główną jej myślą i celem było nie tak złudzenie gabinetów, którym Mikołaj ciągłem swem postępowaniem zdaje się oczywiście urągać, jak raczej ściągnienie do kraju tych, którzy przed katowską ręką zdołali byli schronić się za granicę. Po lepszem rozważeniu uczuł morderca, że nie dosyć było dla jego zemsty potwierdzić ukazem wygnanie i tułactwo na jakie się rycerze polscy poświęcili. Myśl ta, iż niedosyć jeszcze zostali ukarani, dręczyła go jak wyrzut sumienia. Aby go zaspokoić, przeznaczył im przyszłość jaką, niestety! nie wszyscy przewidzieli. Ci nawet, którzy znali z gruntu wiarołomność Carskiego Sioła i serce moskiewskiego sułtana, ci nawet zrazu nie śmieli wierzyć swoim obawom i domysłom. Duch i dążność amnestji Mikołaja lepiej odgali niektórzy z Rosjan. Włożeni do jarzma niewolnicy umieją odrazu zrozumieć tyrana. Gdy później niepojęty i wściekły gwałt cara wydzierał wojowników polskich

z łona rodzin i wtłaczał ich beskarnie w azjackie pułki: jeden z jenerałów moskiewskich dał się słyszeć, iż od momentu ogłoszenia amnestji był pewny że to nastąpi. Atoli nim nadeszła chwila tego ostatecznego wyłuszczenia petersburskiej amnestji, nawet nazajutrz zaraz po jej zwiastowaniu, ustanowiony został w komisji rządowej oświecenia (której zniesienie jest z poźniejszej daty) komitet do ułożenia proskrypcyjnej listy osób, które w ciągu rewolucji odznaczyły swe pióra patrjotycznemi pismami, tudzież nauczycieli, którzy lub czynny udział mieli w wojnie, albo przynajmniej znani byli z uczciwych i narodowych uczuć.

Wywiezienie wszystkich będących w kraju jenerałów polskich, oraz wielu oficerów niższego stopnia, w głąb Rosji, do niewoli, w której dotychczas jęczą, może także dać dokładne wyobrażenie amnestji Mikołaja. A przecież szlachetni ci więźniowie nie byli bynajmniej od niej wyjęci; owszem wszyscy, mniej wytrwali i ufni w zapewnienia cara, dobrowolnie do kraju wrócili*).

Cóż powiedzieć o wszystkich bez wyjątku oficerach i żołnierzach polskich, którzy w ciągu wojny zostali jeńcami Moskwy? Jakiż cudzoziemiec uwierzy, iż ani jeden z tych oficerów aż do chwili w której to piszę, nie odzyskał wolności; że wielu z nich, jak podłych zbrodniarzy, wtrącono do podziemnych więzień fortecznych; że już wielu, zgnębionych okropnością swej doli, znalazło w tych zimnych i wilgotnych grobach koniec dni, równie nieszczęsnych jak cnotliwych? Kto uwierzy, że wszyscy jeńcy, żołnierze i podoficerowie zostali porwani do wojska cara, zmieniając tym sposobem tylko rodzaj niewoli?*) Oficerów zmuszają również do służby moskiewskiej. Ciągle wzbraniających się, dręczą ciągłem więzie-

---

*) Z ich liczby jeden tylko Jenerał Tomasz Łubieński zaszczycony został pozwoleniem cara powrotu z Rosji do Polski. Wszyscy jego koledzy znoszą dotąd ciągłą niewolę.

*) Prawda, od której w całem tem pismie na krok nie chcę odstąpić, wyznać każe, iż jeden mały oddział żołnierzy spotkany przypadkiem od Mikołaja w mieście Moskwie, otrzymał pozwolenie wrócenia do Polski. Jednak później wszyscy ci nieszczęśliwi (było ich we wspomnionym oddziale przeszło stu) zostali na nowo wzięci do Rosji w czasie powszechnego poboru rekrutów rospoczętego w miesiącu maju 1832 r.

niem, nie dozwalając im tej nawet pociechy jaką znaleśćby mogli w utrzymywaniu listownych związków z opłakującemi ich rodzinami. Jakaż piekielna dyplomacja zdoła to pogodzić z ową rozgłoszoną amnestją!

Kto nie zostawał choćby tylko przez czas krótki pod rządem moskiewskim, i nie uważał zbliska szczegółowych ruchów tej potwornej machiny, ten nigdy dobrze nie pojmie owych niegodziwości, podstępów, fałszów i zdrad rządu ,jakich tylko w krajach pod knutem cara jęczących doznać można. Od chwili wejścia Rosjan do Warszawy puszczano ciągle w obieg łudzące wieści o nadzwyczajnych łaskach, jakiemi Mikołaj miał zadziwić Europę i zawstydzić Polaków. Wieści te, opierające się na licznych odezwach przeniewierczego cara, ogłaszającego przeciw najoczywistszej prawdzie i w brew przekonaniu całego świata, narodowe powstanie polskie za dzieło małej tylko garstki ludzi niespokojnych, były starannie rozszerzane i zwiększane przez wszystkie jego nowe władze i urzęda, których działaniem nieszczęśliwy naród na nowo został skrępowany. Przyszła amnestja. Więzienia warszawskie nie mogły objąć niezmiernej liczby ofiar. Obszerne klasztory Karmelitów i Dominikanów, dwie polskie bastylje, na nowo z pośpiechem urządzone, znowu śmiertelne swe kraty zamknęły nad głowami patrjotów. W pierwszem z tych więzień, którego mury, z początkiem rewolucji ręką oburzonego ludu w znacznej części rozwalone, odkrywały głębokie lochy i kryjówki, których straszliwe w ciągu lat kilkunastu przeznaczenie jawnie się tłómaczyło przez znajdowane tamże szkielety i liczne męk narzędzia, osadzono teraz senatora Narcyza Olizara i członka Rządu Narodowego Wincentego Niemojowskiego, obudwóch pojmanych przy granicy pruskiej. Ostatni, niegdyś poseł z Kaliskiego, już ciągle przez lat kilka przed 29tym Listopada był więziony za to, iż rozumiał obowiązki reprezentanta narodu i że chciał je sumiennie wypełniać. Piotr Wysocki, sławny autor rewolucji, ktory na okopach Woli pod Warszawą ranny popadł w ręce moskiewskie, został wkrótce ukryty w niedocieczonem więzieniu. Napróżno Warszawianie chcieli wyśledzić miejsce niewoli tego znakomitego patrjoty. Widziano go tylko jak raz był prowadzony

w najcięższych kajdanach ku Brześciowi Litewskiemu, drugi raz na powrót do Warszawy. W tymże czasie mnóstwo obywateli różnego stanu i wieku, już to senatorów i członków Iz. Pos., już naczelników fabryk, już prostych i ubogich rzemieślników, albo młodzieży niegdyś akademickiej, wywożono moskiewskim obyczajem, w nocy i ukradkiem, niewiadomo za co, dokąd, i w jakim celu. Niektórzy z nich po kilkomiesięcznej niewoli, odbytej w Bobrujsku lub innej twierdzy, wracali później do domów półumarli z nędzy i zgryzot, i sami nie umieli wskazać stroskanym swym rodzinom i przyjaciołom pozornej nawet przyczyny wywartej na nich męczarni*) Innych za powrotem do Warszawy czekał jeszcze drugi areszt w placu miejskim, nim się ostatecznie przekonano że uwięziony nie był tym kogo szukali, że tylko miał nazwisko podobne, albo twarz przypominającą rysy tamtego. Gdy jednych ze stolicy wywożono, wtenczas drugich odwrotnie oddziały Kozaków dostawiały z prowincji do Warszawy, dla jakichś tajemnych śledztw i badań, które, nie było można nawet dowiedzieć się, gdzie i przez kogo się odbywały. Na wszystkich traktach mijały się wozy z uwięzionymi, przebiegające kraj w różnych kierunkach. Czasem niezręczny wykonawca tak się zapomniał, lub tyle miał bezczelności, że śród dnia i głównemi ulicami stolicy przewoził do swego starszeństwa powierzoną sobie ofiarę, której sam ubiór wskazywał, iż była porwaną w godzinie snu, że nie dano jej nawet czasu odziać się przyzwoicie. Wtedy lud gromadząc się około wozu, jękiem go swoim lub straszniejszą rezygnacją otaczał; dawał się słyszeć głośny płacz niewiast i dzieci: póki oddział policji albo kozactwa, z podniesionym kijem lub kańczugiem nie wypadł na ich rospędzenie. Trzeba było widzieć to wszystko na miejscu, słyszeć codziennie szczegółowe opisy scen najprzeraźliwszych, iżby można temu uwierzyć**).

*) Wspomnę tu biskupa Woźniakowskiego (z Lublina), który najniewinniej odbywał przez cały rok niewolę w Rosji, przewożony z jednego więzienia do drugiego. — Wszakże nieszczęśliwszego losu doznał biskup Kłągiewicz (z Wilna). — Cóż mówić o tylu innych kapłanach męczennikach? Kilku, mianowicie w Litwie, kazał car rozstrzelać.

*) Wielu obywateli z województw ruskich w Warszawie uwięzionych, z którymi nie wiedziano wreszcie co zrobić, odwożono po kilku miesią-

Jakże okropna podówczas była postać Warszawy! To miasto, szczero narodowe, jest zawsze wiernym obrazem kraju. Wy, szlachetni cudzoziemcy, którzy niedawno na brzegi nadwiślańskie krwią polską rumieniące biegliście walczyć za sprawę narodów; wy, prawi chrześcjanie, dla których serc wspaniałych jęk ludu męczenika, na śmierci polu czekającego braterstwa Europy, nie pozostał głosem wołającego na puszczy — wy w świetnej chwili widzieliście ten gród okazały, w którego niegdyś murach Żółkiewski stawiał u stóp tronu Zygmunta ukorzonych Carów niewolników; do którego bram Sobieski, chrześcjaństwa i cywilizacji obrońca, wracał na czele hufców polskich, pośród oklasków świata, po ocaleniu struchlałego Wiednia. Widzieliście to piękne miasto ożywione dawnem życiem, dawną wielkością; pyszniące się różnobarwem rycerstwem wszystkich ziem Pols. i poważnem zgromadzeniem ojców, reprezentantów narodu; dumne synów męstwem; cudowne odwagą i poświęceniem się niewiast. Byliście w niem, gdy niewyczerpanemi ofiary coraz nowe zastępy tworzyło, gdy starożytne mury swoje ochoczo rozbijało, by w ostatniej potrzebie garść prochu z nich wydostać dla narodowego wojska*); gdy niezlękłem i dumnem wejrzeniem ożywiało trzydniowe bitwy Grochowskie, wrzące po drugiej stronie jego wzgórzów; gdy po zwycięstwie biegło do świątyń Pańskich; gdy radością i swobodą błyszczące, brzmiało odgłosami wolności i chwały. Dziś w Warszawie szukalibyście Warszawy. Ludność o połowę zmniejszona, domy głuche, ulice i ogrody puste i ponure. Nie ujrzysz wesołego ludu, nie spotkasz uśmiechu, nie usłyszysz głośnej i swobodnej rozmowy. Tu oddziały Kozaków, Czerkiesów, lub innej dziczy

---

cach do miejsca ich urodzenia; skąd znowu, gdy i tam wahano się jaki im los przeznaczyć, wleczono ich napowrót do Warszawy, nieraz o półtorasta mil i więcej. Często w ciągu tych okropnych podróży śmierć nieszczęśliwego, naturalna, lub rospaczą dobrowolnie przywołana, rozstrzygała nakoniec wszelkie względem niego wątpliwości. Wszakże gdy wiadomość o niej starano się długo ukrywać, nieraz korespondencje o umarłego jeszcze się dalej odbywały, i pieniądze jakie na jego wykupno rodzina jego składała bywały jeszcze przyjmowane.

*) Dla wydobycia saletry potrzebnej do fabrykacji prochu obijano ściany gmachów i domów Warszawy.

cara zalegają place; tam działa nabite mierzą swe paszcze ku przechodzącym Polakom; ówdzie przekupnik moskiewski, licznie do kraju sprowadzony, okrzykuje przeraźliwym i niezrozumiałym językiem jakiś nowy towar azjatycki, lub rozstawia na miejscach publicznych czaje swoje dla rosyjskiego i żydowskiego motłochu. Przesuwa się nagle gromada szpiegów i policjantów, oczyszcza ulicę, nakazuje odkrycie głów, porywa do aresztu tych lub owych, którzy nie zrozumieli roskazu, albo nie dosyć pośpiechu w jego wykonaniu okazali. Któż to przeleciał w tym powozie otoczonym trzodą Kabardyńcow? . Książe! Gubernator Królestwa Polskiego! Godny namiestnik, godny zastępca, wyobraziciel Mikołaja! — I znowu cisza... którą chyba gdzie przerwie głuche przekleństwo, stłumione jękiem złorzeczenie*). W dzień święta carskiego, jakby na uroczystość przyjścia Mesjasza, biją we dzwony, strzelają przez kilka godzin z dział; w świątecznych szatach kapłani Boga, Zbawcy rodu ludzkiego wznoszą Te Deum ku czci i chwale niszczyciela ludów, mordercy najszlachetniejszego narodu... O! wierniejsze, zasłużeńsze uczucia przesyłają mu z głębi więzień podziemnych te tłumy nieszczęśliwych, do których uszu dochodzą także te odgłosy bluźnierczej modlitwy, zapłaconego wesela... Ujrzysz wtedy kilka pojazdów należących do uprzywilejowanych niewolników petersburskiego sułtana; ciągnie się za niemi do carskiego stołu renegat nikczemny, obrzydły oprawca, kat własnych braci, potwór, którego przed palącą wzgardą rodaków i samych nawet Rosjan nie zakryły szerokie wstęgi Mikołaja, godne spoczywać na takich piersiach. Nie jest to już stolica wielkiego ludu, ale grób obszerny. Nie pozbawiło się to miasto burzycieli, jak głoszą odezwy cara, ale straciło duszę; martwe, ostygłe. Jest to matka, która po stracie całego swego potomstwa, wszystkiego co jej było najdroższe, w rospaczy swojej i boleści nie ma już ani łez, ani wyrzekań.

*) Między innymi, sam Paszkiewicz kazał aresztować niejakiego P. Stańskiego, urzędnika z Komisji Oświecenia, który za przypadkowe nieuchylenie kapelusza zostawał przez trzy dni w więzieniu publicznem. Tym to sposobem ten wielki człowiek Mikołaja, zastępuje godnie W. X. Konstantego.

Jest to wdowa, okryta grubym kirem, nie znajdująca słów na wyrażenie swej niezmiernej straty. Żadnej twarzy pogodnej nie ujrzysz; najlepsi przyjaciele spotykając się, nie śmieją się powitać, otoczeni szpiegów podsłuchem; na częstych pogrzebach ledwo kilka osób widząc za trumną, rzekłbyś że Polacy nie chcą, wstydzą się cześć ostatnią oddawać zmarłym w niewoli. Kościoły nawet opuszczone, jak gdyby naród zawsze wierny, zawsze nieszczęśliwy, nie miał już odwagi zbliżyć się do ołtarza Władcy ludów; a latarnie nocne oświecając głuche i jakby zarazą morową opustoszałe ulice, błyszczą tylko dla snujących się czat i rondów, dla szpiegów skradających się, lub oprawców nową ofiarę wlekących.

Uniwersytet i wszystkie szkoły wyższe zamknięte; profesorowie pensji pozbawieni; w szkołach początkowych (gdzie zabroniono nauki języka francuskiego) ciągłe prześladowania nauczycieli, aresztowania rektorów na doniesienie szpiega, że któryś z dziesięcioletnich uczniów wyrysował na swojej książce twarz W. Księcia lub Paszkiewicza, albo że zanucił przed szkołą piosnkę narodową*); prasy drukarskie zatrzymane; księgarnie kozactwem otaczane, przetrząsane, i dla publiczności zamknięte**); narodowe bibljoteki i gabinety opieczętowane i przez wojsko strzeżone; zakazanie wszystkich dzienników zagranicznych; najstraszliwsza cenzura przywrócona; ustanie kilkudziesięciu pism naukowych perjodycznie w Warszawie dawniej wychodzących***); wszystkie listy przez rząd otwierane; napadanie na domy dla szukania broni i papierów; teatra ciągle zamknięte: — to, by już skończyć ten rejestr, miałeś w Warszawie w chwili o której piszę.

Los prowincji i najukrytszych wiosek nie był odmienny.

---

*) Z takich powodów w Warszawie aresztowany był rektor szkoły na Lesznie, Dziekoński.

**) Naprzykład, księgarnia Hugues przy ulicy miodowej.

***) Z najwięcej znanych literatów i autorów polskich prawie wszyscy emigrowali, i znajdują się teraz za granicą; z wyjątkiem tych tylko, którzy otoczeni familją nie znaleźli sposobów oddalenia się z kraju. Tą osobistą protestacją przeciw najezdnikowi ojczyzny dowiedli nasi pisarze, jak w Polsce literatura jest nieodłączną od narodowości i patrjotyzmu. Będzie to piękne w jej rocznikach wspomnienie.

Żołdactwo cara rozlało się po kraju jak szarańcza. Kmiotek polski został sługą najpodlejszego niewolnika, żołdaka wyrosłego pod knutem: który wyrywając mu ostatni kawałek chleba, płacił zań razami kolby lub pałasza. Co który zdołał ocalić przed gwałtem, to nikło przed złodziejstwem Moskali, dziwnie, cudownie prawie u tych zwierząt wydoskonalonem. Z obawy nowego powstania odebrano chłopkom narzędzia gospodarskie, tak, że na trzy chat zostawiono jedną tylko siekierę *). Dziedzice wiejskich majątków najeżdżani ciągłemi kwaterunkami, musieli szukać jakiejkolwiek obrony swej własności w sprowadzanych załogach żandarmów drogo opłacanych; a gdy umęczeni, zgnębieni widokiem nieznośnych gości, porzucali swe domy, wtenczas słudzy biedni stawali

---

*) Nieukrywana ludu polskiego nienawiść dla wrogów, głoszona przez niego w najlepszej wierze nadzieja, że jeszcze Francuzi przyjdą dopomódz mu do wybicia się z jarzma, i wieść iż Zamorczycy (tak wieśniacy polscy nazywają Anglików) już zdobyli Petersburg i Rygę, zaciętszą złością rozjątrzała przeciw niemu Moskali. Z tego powodu przychodziło często w wielu miejscach do krwawych bójek między włościanami polskimi a żołnierzami cara. U tych ostatnich największem przekleństwem było: tyś chrapus — tak oni zowią krakusów, ułanów polskich, prosto z zagrody wiejskiej prowadzonych do bitwy, którzy w rozmaitych potyczkach rozbijali najdzielniejsze pułki rosyjskie, zabierali im artyllerję, i t. d. Mówiąc o chłopkach polskich, przytoczę jedną anegdotę, która głośną była w Warszawie. Gdy włościanina oskarżonego, że mówił iż wkrótce Moskale będą z Polski wygnani, stawiono przed urząd rosyjski: na zapytanie, czy istotnie to powiedział, rzekł z prostotą i zupełnem przekonaniem, iż w rzeczy samej tak mówił, gdyż to jest istotna prawda, o której i on i wszyscy w jego gminie są jak najmocniej przeświadczeni. Prowadzony do więzienia, był bardziej zdziwiony niż przelękły, zaklinając się, iż nic więcej nie mówił jak tylko tę czystą prawdę, i że przez nią nie chciał nikogo obrazić. Taki duch ożywia wszystkich kmiotków polskich. Tłómaczy on zarazem ów w czasie rewolucji szlachetny zapał ku polepszeniu i zmianie doli włościan, do czego nawet w niektórych ziemiach prowincji ruskich i Litwy zobowiązali się zacni obywatele przez dobrowolną przysięgę wykonaną w kościołach. Gdyby nie jarzmo cudzoziemskie, uciskające Polskę od lat kilkudziesięciu, jużby los jej rolników zapewne dziś mało zostawiał do życzenia. W tej mierze dosyć jest wspomnieć konstytucję 3° Maja: wielkie, szlachetne, nie dosyć jeszcze ocenione dzieło prawdziwej rewolucji socjalnej, do której uskutecznienia, w jednej tylko Polsce, nie potrzeba było krwi rozlewu. Umiejmy czcić i w godności zachować cnotę ojców, rozsądek i charakter narodowy; i z ludzi mogących służyć innym za wzór i przykład, nie chciejmy zostawać bezrozumnemi małpami tych lub owych cudzoziemców. W świecie politycznym więcej bywa zbrodniarzy z nierozwagi niż z podłości.

się pastwą najezdników którzy się nad nimi dopuszczali oburzających gwałtów. Żaden dwór nie był bespieczny; ani pałac zamożnego właściciela, ani ubogie mieszkanie plebana. Zdarzało się, iż nawet bez dostatecznego roskazu grabiono pojazdy, meble, sprzęty domowe nieszczęśliwych wdów i sierot, których mężowie lub ojcowie byli w wojsku i emigrowali. Nigdzie nie mogłeś znaleść opieki, końca prześladowaniom, nigdzie sprawiedliwości. Wiele urzędów obsadzono najpodlejszemi szpiegami i kryminalistami; nieład administracji równał się jej nadużyciom. Tworzył urzędników Paszkiewicz; tworzyli ich osobno jenerałowie rosyjscy, których porobiono gubernatorami województw. W jednymze czasie kilka osób przywłaszczało sobie jedne i teżsame posady publiczne, gdy każda z nich była mianowaną od kogo innego *).

Komunikacja między tak zwanem Królestwem Polskiem a Prowincjami ruskiemi i Litwą została całkiem przerwaną. Z największą tylko trudnością mogły niektóre osoby pozyskać paszport z Królestwa do Litwy, i odwrotnie. Rozrywając długowieczny związek bratnich rodzin, jednem uczuciem żyjących, jedną dziś boleścią ogarnionych, chciał dziki car doznać nowej radości. Wiadomości z tych krajów przypadkiem dochodzące, a które póżniej zupełnie się potwierdziły, przypadały do miary z tem co się działo w Królestwie. Tam już nie tylko wyższe zakłady naukowe **), ale wszystkie szkoły bez wyjątku zostały zamknięte; a celniejsze także z bibljotek i gabinetów złupione. Tak tedy na kilkanaście miljonów ludności polskiej nie ma dziś w tamtych krajach ani jednego instytutu naukowego. Ten stan trwa ciągle od lat dwóch, to jest od początku powstania polskiego. Przydajmy iż zakaz sprowadzania książek z Królestwa, pozbawił mieszkańców prowincji, o których mówimy, prawie zupełnie związku z oświeconą Europą: księgarnie bowiem jakie w nich znaleść

---

*) W Rawie, np. mieście obwodowem wojew. mazow., w którego okolicy czas jakiś przebywałem, było razem trzech komisarzy obwodowych, i każdy z nich używał władzy do tego ważnego urzędu przywiązanej.

**) W uniwersytecie Wileńskim zachowano jeden wydział lekarski. Dostarcza on armji rosyjskiej najlepszych lekarzy i chirurgów.

można (taka opieka carów dla oświaty) są niezmiernie rzadkie i ubogie, a pras drukarskich zaledwo więcej jak w Turcji. I monarcha krajom tym panujący liczy się do rzędu książąt ucywilizowanego świata? Widzi na swym dworze ambasadorów Francji i Anglji, i sam wysyła posłów do wszystkich stolic Europy? Powtórzmy: na kilkanaście miljonów ludności ani jednej szkoły!.. Jakże to godne cara, barbarzyńcy, którego wojsko wyrzynało niemowlęta, starce, niewiasty — i przybytki Pańskie (jak w Oszmianie) zatapiało we krwi kapłanów, tudzież bezbronnych mieszkańców, szukających w domu Przedwiecznego ostatniej ochrony; którego dzicz azjacka obnosiła na targach Litwy kólczyki wraz z uszami jakie śród morderstw odrzynano kobietom polskim, i sprzedawało żydostwu krwią zbroczone monstrancje, sprzęty i ubiory kościelne*).

Nie stawiaż się dziś Europa w podobnem względem Rosji położeniu w jakiem się niegdyś widziała względem trzyumfującego islamizmu?.. Nie masz Polski, którаby na ratunek ludzkości wysłała nowego Sobieskiego! Czyliż sułtani petersburscy mniejszą są pożerani żądzą podbojów i zdobyczy, która u nich oparta jest na systemacie głębokiej i najwytrwalszej polityki? Czy cała potęga, cała działalność Moskwy nie jest widomie i oddawna wywartą jedynie na zewnątrz jej granic, które przez to samo coraz ogromniejszym promieniem i na obwodzie coraz rozleglejszego koła muszą się szerzyć i rospierać? Czyliż pieczęcią lat i tryumfów stwierdzony, a dzikością swoją i wigorem statecznie tężejący i krzepiący się żelazny carów despotyzm, mniej zagraża swobodom ludów, prawom ludzkości, a tem samem i w prostem rzeczy następstwie, cywilizacji, obyczajom, szczęściu świata? Czyliż nakoniec owe tłuszcze Azjatów (lubo po większej części w Europie zrodzonych), nieszczęsnych niewolników bez cnót, bez myśli, bez woli, bez obyczajów — które tylko swym ubiorem i używaniem broni palnej zdają się wychodzić ze stanu zwierzęcej dzikości; których całe życie moralne zamyka

*) Piszący miał sobie opowiadane te i podobnie okropne szczegóły od wielu mieszkańców nieszczęśliwej i szlachetnej Litwy, za których wiarogodność zaręczał ich charakter i wychowanie.

się trzema wyrazami: car, knut, krew; które, jak straszny koszmar politycznego świata, przeciągnęły niedawno środkiem, sercem Europy, i krwią mnogich bitew zbryzgane, kurzawą swych rodzinnych, nieznanych pustyń i stepów okryte, spoczywały w barłogach śród stolic najoświeceńszych ludów, nie rozumiejąc ich mowy, nie pojmując ich pomników, świąt ich nie obchodząc, nie dzieląc ani czując ich zabaw — czyliż mówię, te zgrajne tłuszcze, na krańcach ukształconego świata szeroko rozgnieżdżone, nie zwiastują mu straszliwych apostołów niewoli, ciemnoty, barbarzyństwa? A ich car, ich papież i jedynowładca, dumą zaślepiony, potęgą straszny, nie wyciągaż już, nowy Samson, swej przemożnej i dławiącej narody dłoni, by zbójczym jej naciskiem wstrząsnąć z podstaw wspaniałą budowę prac, ofiar, i nadziei tylu wieków?..

Od chwili wejścia Rosjan do Warszawy rząd kongresowej Polski spoczywał w ręku Paszkiewicza, główno-dowodzącego czynną armją cara, któremu Mikołaj nadał oraz tytuł gubernatora Królestwa Polskiego. Prócz tego, każde z ośmiu województw oddano pod szczegółowy zarząd ośmiu rosyjskich jenerałów, których mianowano gubernatorami wojewódzkimi. Dnia 24 Października 1831 zaprowadzony został Rząd tymczasowy, w którego składzie oprócz trzech Rosjan (z nich jeden prezesem), umieścił Mikołaj trzech Polaków, ludzi najgorszej sławy i powszechnie pogardzonych*). Wszakże w tym

*) Z tych, dwaj w ciągu rewolucji znaleźli schronienie w Petersburgu, trzeci, dawniej jenerał wojsk polskich i urzędnik w ministerjum wojny, Józef Rautenstrauch, człowiek znamienitych zdolności i bezecnej duszy, stał się wybranem narzędziem ucisku i nieszczęść swych rodaków. Nikczemnik ten jest używany od Moskali do najobrzydliwszych poleceń. On to pieczętował narodowe bibljoteki i gabinety uniwersytetu, które później wywieziono do Petersburga; on został dyrektorem cenzury, on autorem pism czerniących imię Polaków; on prześladowcą wdów i sierot, oraz wszystkich wojskowych polskich, i ludzi oddanych naukom; on prawą ręką i pierwszym służalcem Paszkiewicza; on prezesem komisji porywającej żołnierzy polskich do wojska wroga; on jeden z jenerałów polskich przywdział mundur rosyjski; i t. d., . t. d. Imię Rautenstraucha zachowa historja. W dziejach męczarni narodowych zajmie on godne miejsce obok Rożnieckiego. Rautenstrauch w początkach powstania miał czynny udział w działaniach rządu rewolucyjnego, mianowicie w formowaniu nowych baterji artylerji; i dopiero wtenczas odmówił mu swych usług, (udając przez kilka miesięcy chorobą złożonego) kiedy go ominął urząd

względzie łatwo jest cara usprawiedliwić. Skoro chciał użyć Polaków, nie mógł wybrać jak tylko z tej małej liczby niegodnych, na których ciężyło przekleństwo narodu. Któż bowiem inny zrodzony na polskiej ziemi, kto obdarzony choć najsłabszem uczuciem obowiąsku i prawości, mógłby zostać wykonawcą woli mordercy swojej ojczyzny? Kto inny miałby serce i odwagę zatrudniać się urządzaniem okrutnych środków tyranji przez niego nakazywanych?.. Na niższych urzędach, na posadach tylko biurowych, mogli pozostać, jakoż istotnie w znacznej liczbie pozostali ludzie uczciwi i wierni ojczystej sprawie; zmuszała ich do tego smutna konieczność ich położenia. I cieszyć się owszem należy, iż przecie nie wszystkie miejsca administracji krajowej oddane są cudzoziemcom, albo co gorsza, łotrom i szpiegom*). Lecz stanąć na czele rządu najezdnika kąpiącego się w krwi i łzach rodaków, lecz z urzędu zostać głównym narodu swego prześladowcą, urządzicielem domowych jego męczarni, wybranym, podręcznym oprawcą przebrzydłego despoty, któryby z żył ostatniego Polaka z radością wytoczył ostatnią kroplę krwi polskiej; lecz zaraz u podnóża carskiego tronu, z wzrokiem każde spojrzenie tyrana śledzącem, z uchem chwytającem każde słowo jego

---

ministra wojny. Zapyta kto może, jak śmie rząd rosyjski ufać dziś tego rodzaju ludziom, którzy dla tego tylko zostali mu mniej więcej wierni, że ich otwarcie odrzuciła od siebie rewolucja? Lecz widząc jawną pogardę i prawie nawet obelgi, jakie Rautenstrauch i jemu podobni renegaci odbierają od samychże Rosjan, łatwo poznać, iż słudzy Mikołaja umieją tych wyrodków oceniać podług ich rzeczywistej wartości; i używają ich jedynie jako najemników, gotowych zawsze na usługi tej strony, od której są płatni i utrzymywani.

*) Na dowód jak Polacy wzbraniają się wchodzić w jakiekolwiek stosunki z władzą przywłaściciela, dosyć jest namienić, iż wiele jeszcze urzędów tak administracyjnych jak sądowych do dziś dnia zostaje niezajętych. Można się o tem przekonać z samych gazet warszawskich gdzie są umieszczane ciągle uwiadomienia o wakansie tej lub owej publicznej posady, do której nieraz przywiązaną jest znaczna pensja, i z wezwaniem aby chcący ją otrzymać, zgłosili się do rządu. Z tych co byli użyci w służbie publicznej przed rewolucją, niektórzy przez przymus władzy wróciwszy na dawne urzęda, przy pierwszej potem sposobności nie tylko swoje posady (do których przywiązana pensja była ich jedynym funduszem) lecz nawet ziemię ojczystą nie wahali się opuścić; wystawiając się raczej dobrowolnie na wszelkie przeciwności losu, na ubóstwo, a może i nędzę. Takich uczuć nigdy Polacy dowodzić nie przestaną.

szalonej wściekłości, trzymać podniesioną rękę, gotową w każdą ofiarę, w każde serce uderzyć!.. Któż, pytam się, na to się odważy, poświęci? kto nad miłość spółbraci, nad szacunek bliźnich, nad sumienia spokojność, przeniesie złoto cara, ordery cara, tytuły cara, wzgardę cara! Bo i tej ostatniej pewnie on im w przekonaniu swojem nie odmawia? Wybór Mikołaja, jeszcze powtórzmy, był tu niezmiernie ograniczony. Oprócz tych, którzy przed szubienicą roshukanego ludu, przed sądem rządu rewolucyjnego, a przynajmniej przed jawną pogardą rodaków znaleźli schronienie w Petersburgu, mógł on chyba oko swoje zwrócić na owych dygnitarzy, już zaszczyconych zupełnem jego zaufaniem, lub na tych, dopiero śladem pierwszych biegnących do stołu laski pańskiej kandydatów, wstęg, bogactw, i wszelkich blasków liberji dworskiej łaknących i dobijających się o nie bądź co bądź — co przedawszy siebie sromotnej dyplomacji otwartego praw ludzkości nieprzyjaciela, głusi na głos najświętszej powinności, nieczuli na wołanie ojczyzny w śmiertelnych bolach rozdartej i chwilowo pod zemstą rozbójnika konającej, wyzuci z wdzięczności ku czcigodnym rodakom, którym całą swą przeszłość, cały los swój są winni, i na cnotę ojców niepomni, mają czoło służyć ze wszystkich swych sił i zdolności ohydnym widokom wroga i ciemiężcy ludów, noszą na sobie i dziś jeszcze kolory moskiewskie we dworach Europy, i rozwlekaliby po obcych stolicach hańbę imienia polskiego, gdyby opininja publiczna nie umiała ich jawnie uznać za niegodnych szlachetnego narodu, którego się nikczemnie w godzinie jego nieszczęścia wyparli*).

Rząd tymczasowy został zupełnie poddany rosporządzeniom Paszkiewicza; w ukazie nawet, który go ustanawiał, i aby nie było żadnej w tej mierze niepewności, wyraził Mikołaj, że wszystkie przedmioty ważniejsze rząd przedstawiać będzie gubernatorowi Królestwa. Tym sposobem cały kraj ulegał w rzeczy samej, jak przedtem, woli i zarządowi jednego, który z swych kroków przed nikim oprócz cara nie zdawał rachunku.

---

*) Pośpieszmy przydać iż jest ich ledwo kilku. Na ich czele Matuszewicz, dyplomatyczny agent cara, dziś w Londynie. Syn najzacniejszego ojca!

Utworzenie tak zwanego rządu tymczasowego było tylko czczą formą rzuconą przed oczy Europy, i może środkiem ostatecznej próby wybrańców, którzy później mieli być przeznaczeni na członków Rady Administracyjnej w składzie rządu już nie tymczasowego, co wyniknął z nadania, na obelgę wszystkich gabinetów, mających niegdyś udział w kongresie wiedeńskim, pamiętnego statutu organicznego.

Nadchodził czas, w którym Warszawa rospoczynała zwykle zabawy karnawału. Mikołaj, już to w myśli okazania zagranicznym, iż Polacy wróceni pod zarząd jego knuta, nie mają wcale powodów pogrążania się w smutku, i owszem cieszyć się pragną z przywrócenia rzeczy do stanu przedrewolucyjnego; już pewnie w zamiarze nowego naigrawania się z mieszkańców stolicy, która była kolebką i ogniskiem narodowego powstania: nakazał swym warszawskim siepaczom urządzanie balów i zabaw, i rozgłaszanie onych przez pisma publiczne. Od 1go Stycznia 1832 r. pozwolono chodzić po mieście wieczorem; kazano rospocząć widowiska w teatrach, które przedtem ciągle przez cztery miesiące były zamknięte, a to mianowicie z obawy iżby zgromadzania się w jednychże salach Polaków i Rosjan nie dały powodów zajściom i scenom, jakie istotnie były do przewidzenia, zwłaszcza w pierwszych czasach przybycia carskich gości. Być także może, iż tym sposobem unikano dla pewnej liczby Rosjan sposobności jakiegokolwiek zbliżenia się do Polaków, tembardziej iż właśnie w tym czasie między oficerami wojska rosyjskiego dość jawnie okazywał się duch nieukontentowania. W sam dzień Nowego Roku były odprowadzone z niektórych placów armaty; wszakże po kilku dniach namysłu znowu je na dawne miejsca z nabojami kartaczowemi zatoczono. Rospoczęto nakazane bale. Paszkiewicz gubernator królestwa, i Witt gubernator Warszawy, kolejno dawali wieczory, na których, mimo roskazów wydawanych urzędnikom, którzy byli wzywani z familjami, mimo zaprosin rozsyłanych wszystkim celniejszym właścicielom domów, nie mogli nigdy zebrać więcej jak około dwudziestu kobiet. Były to wyłącznie Rosjanki, albo pensjonowane wdowy po jenerałach zabitych pierwszej nocy rewolucji, metresy Moskali, i tym podobne. Ta kom-

panja przenosiła się z balu jednego na drugi, i stała się wkrótce przedmiotem satyrycznych wierszów i pisemek, które z rąk do rąk natychmiast się w Warszawie i po prowincjach rozbiegły. Za przykładem naczelników ujrzano zaraz innych jenerałów rosyjskich balujących po miastach wojewódzkich, gdzie podobnież urągając narodowej żałobie, starano się przez wszelkie sposoby wciągać do tych obydnych zabaw przynajmniej niektórych Polaków. Przypominało to czasy dawniejsze podziałów i zaborów kraju, kiedy bezczelność moskiewska na bale w Wilnie i innych główniejszych miastach sprowadzała siłą wojskową szlachetne Polki, które otoczone gwałtem żołnierstwa, nie mogły wówczas nawet chorobą wymówić się od carskich tańców. I teraz postępowanie wroga było równie oburzające; a bale warszawskie przedstawiały nie mniej dziwne widowisko jak niegdyś wileńskie. — Na placu Saskim, łączącym się z pałacem brylowskim, gdzie mieszka Witt, i na dziedzińcu przed zamkiem królewskim, w którym przebywa Paszkiewicz, stały nabite działa. W oświeconych salach zabaw ciągle za plecami gubernatora królestwa stał, chodził, ruszał się jak cień za ciałem Czerkas z ogromnym nożem, nigdzie go nieodstępujący; tuż za ścianą brzmiącą muzyką tańców, szerzyły się echem krzyki wart i rondów, i snuły się roje policjantów. Tej samej chwili kiedy skoczne i pensjowane koła toczyły po obszernych i pustych salach ucieszne pląsy, baterja artylerji otaczała armaty, i w takt kontradansu, lub galopady wbijała w nie kartacze. W pałacu gorzały jarzące świeczniki; za pałacem i zaraz po drugiej stronie tego samego muru żarzyły się rospalone lonty. Osobliwsza, dziwnego rodzaju maskarada! Obrzydłe połączenie bezczelności i tchórzostwa, bezwstydu, chęci dokuczenia, urągania się i podłości.

Umiała stolica statecznie godność swoją zachować. We wszystkich domach panowały cichość i żal największy. Ten sam ponury smutek, który przerażał cudzoziemca na ulicach, ten sam otaczał koła rodzinne, zebrania towarzyskie. Rozmowy o wypadkach narodowego powstania, o zawiedzionych najdroższych nadziejach, o coraz nowych prześladowaniach, męczarniach tylu braci, zamachach cara na ostateczne naro-

dowości i imienia Polaków zagubienie; opisy tysiącznych scen rozdzierających serce, jakich tak wiedeńskie Królestwo jak Litwa i prowincje ruskie były ciągłym teatrem; toż wzajemne udzielanie sobie wiadomości o emigracji narodowej, o jej losach i widokach na przyszłość, słodzone nadzieją że braterska zgoda i wzajemny szacunek łączyć będą nierozerwanym węzłem jej członków, z których wszyscy równie do ojczyzny i wolności przywiązani, wszyscy dali dowód równie szlachetnego poświęcenia się, nie wynosząc się jednak nad ogół rodaków niemniej wiernych narodowej sprawie, którzy pozostali w kraju. Przywodzenie licznych i rozrzewniających dowodów spółczucia i braterstwa ludów; rozumowania krzepiące wiarę w szczęśliwszą, niedaleką przyszłość. Te i podobnie poważne przedmioty zajmowały mężczyzn — podczas gdy ich żony, siostry, i córki szyły koszule dla nieszczęśliwych rozbitków narodowego wojska, których dzika złość tyrana nie ukryła była jeszcze przed litością ziomków w azjackie pułki; lub na przyniesienie wsparcia wdowom i sierotom po rycerzach poległych albo emigrujących, zatrudniały się zbieraniem kwesty na jakie domowe ubóstwo mogło się jeszcze zdobyć. Na tego rodzaju familijnych zgromadzeniach pokazywano sobie uratowane przed szpiegoską policją patrjotyczne ryciny, zapewniające naszym bohaterom i męczenikom długie życie w pamięci spółrodaków; niekiedy także śpiewano tkliwe pieśni, tłómaczące żałobę publiczną, których treść zwykle przywodziła do łez wszystkich słuchaczów*). Taki był karnawał Polaków. — Teatra zwyczajnie widziałbyś puste, oprócz miejsc zajętych od Rosjan, albo szpiegów, policjantów, i kobiet publicznych. Łatwo sobie wyobrazić, z jaką ochotą aktorowie występowali na scenę. Każda sztuka przed wystawieniem przechodziła przez najsroższą cenzurę, która ją zawsze dziwnie kaleczyła, a nieraz całkiem przeina-

---

*) Dwie z nich najpowszechniej były powtarzane: jedna p. t. Ptaszki, zastosowana do tułaczów, ciesząca nadzieją że wrócą do ojczystej ziemi, inne jej, pomyślniejsze zwiastować losy; druga p. t. Żebrak wystawująca okropność doli żołnierza polskiego. Tęskne nuty tych pieśni przypadały dobrze do miary z rzewnemi ich słowami, i godziły się z bolesnem uczuciem śpiewaków i słuchających.

czała. Jeden z młodych aktorów wzięty był do aresztu za to, że wyraz ojczyzna w obojętnem miejscu i nawiasem w roli swojej przywiedziony, wymówił, jak policja uważała z przyciskiem (*).

Już to podobno drugi raz przychodzi mi obok Rosjan wspominać zaraz ludzi niegodnych szacunku; nie chcę tu być źle zrozumianym, tembardziej iż mam przekonanie, że każdy uwłaczający ogólnie całemu narodowi, uwłacza przez to raczej własnemu rozsądkowi. Ludność dzisiejsza Warszawy składa się z dwóch narodowości: Polaków i Moskali. Co do tych ostatnich, byłoby zbyteczną wyrzucać im, że szukają zabaw; lecz obok najlepszych nawet Rosjan, któryż z Polaków mógł gonić za tańcem i pustotami miasta wtenczas, kiedy pod murami i w bramach tegoż miasta nie wsiękła jeszcze w ziemię krew jego braci? Kiedy od sprawy, za którą cały naród biegł na śmierć, odstąpił zwycięstwo? Czuje to dobrze pewna liczba samych Moskali; i nie ukrywa bynajmniej wzgardy ku tym z Polaków, łatwym do przeliczenia, co nie umieli szanować ojczystej żałoby.

Mówiąc o Rosjanach, przychodzą na myśl dwa rodzaje ludzi zupełnie od siebie różnych. Naród przywalony samowładztwem despoty, pogrążony w ciemnocie, musi w masach

*) Można się domyśleć, iż tragedje prawie zupełnie zostały ze sceny wygnane. Między komedjami, jakiemi pospolicie publiczność uraczano, często błyszczał na afiszach Rochus-Pompernikiel, który mniej więcej, może być uważany za reprezentanta całej literatury, jakiej pod cenzorskiemi nożycami Rautenstraucha wolno się dziś w Polsce rozwijać. Wspomnijmy jeszcze, mówiąc o szczegółach teatralnych, iż w Warszawie przedstawiają także (o czem donosiła gazeta berlińska) znaną operę Niema z Portici. Rzecz dziwna! powie nie jeden z czytelników; uzna ją wszelako naturalniejszą, gdy się dowie, że sztukę co była introdukcją brukselskiego powstania, dają teraz w Polsce z tą małą odmianą, iż zamiast rewolucji jest w niej ciągle mowa o balecie. — Wiele możnaby przytoczyć podobnych kłamstw większej lub mniejszej wagi, puszczanych w obieg celem uwiedzenia publiczności zagranicznej. Ogłoszono n. p. przez wszystkie gazety warszawskie tytuły wielu dzienników cudzoziemskich, jakie niby można na pocztamtach polskich zapisywać; tymczasem oprócz Gazette de France i ministerjalnego Journal des Debats, żadnego dziennika francuskiego nie wolno do kraju wprowadzać. Tych nawet dwóch nie do puszczano wcale przez kilka pierwszych miesięcy, i ciągle bardzo wiele ich numerów zatrzymuje cenzura: którą to ostrożność rosciąga aż do gazety berlińskiej rządowej Staatszeitung.

swoich przedstawiać smutny widok, który gdyby nie obudzał litości, rodziłby pogardę i obrzydzenie. Cała klasa urzędników we wszystkich gałęziach administracji, której uorganizowanie oparte na samymże systemacie rządu, na złodziejstwie i nadużyciach, nie ma nic spólnego z tą liczbą Rosjan, którzy swem wychowaniem i nieuległem położeniem towarzyskiem do oświaty obyczajów europejskich, oswojeni z wyobrażeniami cywilizacji, czują dobrze potrzeby swojej ojczyzny, jęczą nad jej losem, i pragną jego zmiany. Ci przez to samo umieją oceniać prawa i obowiąski innych ludów, i wszyscy są przyjaciołmi Polaków. Nie mało takich znaleść można w szeregach wojskowych, zwłaszcza między oficerami gwardji i pułków garnizujących zwykle w główniejszych miastach. Oni jedni rozumieli szlachetne godło chorągwi polskich rozpostartych na polach Grochowa: za waszą i naszą wolność. Później widziano ich w Warszawie wykupujących pisma i ryciny rewolucyjne, i niosących z braterskiem uczuciem szczodre wsparcia żołnierzom polskim, pozbawionym przez kalectwo sposobów zarobku, w których uważali nie przeciwników, lecz rycerzów wolności, zasłużonych sprawie wszystkich ludów. Nieszczęściem ogólny duch tyraństwa i niewoli zawzięcie utrzymywany w zbrojnych masach cara, krępuje takich ludzi ciągłym przymusem, i zamyka ich w sobie samych. Powołaniem żołnierza rosyjskiego jest ślepe, żadnym a żadnym względem nieograniczone poddaństwo woli i kijom starszego; które tłumiąc w nim wszelkie władze moralne, te tylko rozwija i zatrudnia, jakie człowieka włączają do rzędu zwierząt. Znaczenie oficera jest zawsze igrzyskiem najzuchwalszego despotyzmu naczelników, którzy we wszystkich swoich podwładnych widzą tylko jedną klasę niewolników. Dosyć tu jest przytoczyć dwa urządzenia wydane przed kilku miesiącami w Warszawie. W skutek licznych skarg oberżystów i właścicieli pojazdów publicznych na nadużucia, jakich się niektórzy z rosyjskich wojskowych dopuszczali, roskazano iżby żadnemu oficerowi ani oberżysta nie dawał jedzenia, ani właściciciel pojazdu nie dozwalał z tegoż pojazdu użytkować, pókiby wprzódy nie miał sobie uiszczonej należącej za to zapłaty. W jakimżeby innym rządzie miano bezczelność

okryć tak ogólną hańbą stan wojskowy przez urządzenia, dozwalające w każdym oficerze widzieć publicznego oszusta? Piszący patrzał sam i po wiele razy, jak oficerowie ozdobieni krzyżami jadący za powozem jenerałów, spuszczali im stopnie karety, i przez ciąg ich wizyt po całych godzinach, nieraz przed domem znanych całemu miastu nierządnic, na deszczu lub mrozie, czekali przy koniach wyjścia swych panów. Przykro powiedzieć, że nawet nie wszyscy czują swoje bezecne poniżenie. Zdarzyło mi się przypadkiem, w czasie pobytu mego na wsi, rozmawiać z dwoma porucznikami od dragonów. «Kto prosił Polaków, mówili ci godni rycerze Mikołaja, walczyć za swoją i naszą wolność? My nie pragniemy zmiany losu, bo kto nam to dał? (wskazując na wstążkę od krzyża) — hosudar!» kończyli z wyrazem tryumfu, uradowani tem logicznem rozumowaniem. Litość brała słyszeć te nieszczęśliwe zwierzęta. Co straszniejsza, niektórzy z tego rodzaju oficerów dochodzą niekiedy pierwszych stopni wojskowych. Z tej to liczby pewien jenerał, gdy cały kraj zadrżał z oburzeniem na okropny wyrok cara, powołujący do pułków Moskwy wszystkich żołnierzy polskich z rewolucji, którym amnestja zapewniała zupełne bespieczeństwo, znajdując się w licznem zgromadzeniu, nie mógł dosyć wysłowić uwielbienia, jakie w nim obudzał tyrański ukaz wiarołomnego despoty. «Tak za jednym razem, mówił, zniszczy się całe gniazdo buntowników». W ludziach broniących najświętszych praw narodu przeciw najobrzydliwszej przemocy i dla ojczyzny poświęcających majątki, życie, nawet całych rodzin szczęście, ten nędznik podły widział tylko buntowników! Inny jenerał otrzymawszy podstępnie od jednego z obywateli bony, jakie Moskale dawali w ciągu wojny za wymuszane na właścicielach ziemi dostawy dla wojska, niby powodowany życzliwością i jedynie w chęci usłużenia przez wymianę tychże za gotowiznę: wszystkie te bony zatrzymał przy sobie, oświadczając potem że już ich nie odda, gdyż ma właśnie do tego obywatela pretensje za szkody, jakie w jego dobrach poniósł od wojska polskiego w czasie utarczki tam stoczonej. Pod tego rodzaju naczelnikami jakiż być może los oficerów? W ogólności mówiąc, wszelkie zatrudnienia naukowe są im

całkiem obce*). Karty, pijaństwo, rospusta zapełniają wszystkie ich godziny wolne od służby. Truchleć też potrzeba na myśl wyuzdanej demoralizacji, jaka się między tymi ludźmi postrzegać daje: jest ona ich potrzebą, rzec prawie można, żywiołem, powietrzem ciągle ich otaczającem. Jakaż może być przyszłość, jakie z czasem zasady i wartość moralna młodzieńca, który się dostawa w podobne towarzystwo? Jakiż po pewnej lat liczbie ukształci się z niego człowiek? W rzeczy samej dziwić się nie można, odkrywając czasem ludzi najnikczemniejszych i godnych najgłębszej pogardy w osobach nawet, których polor i formy obejścia się zdawaćby się mogły rękojmią lepszego wychowania. — Przytoczmy jeszcze jeden szczegół, malujący także położenie i dolę wojskowych rosyjskich. Po wejściu do Warszawy nie zapomnieli pełnomocnicy Mikołaja pośpieszyć z zabraniem ze wszystkich księgarni i składów publicznych wszelkich dzieł i broszur, odnoszących się do rewolucji i w jej ciągu wydanych. O te pisma łakomo się dobijała wielka część oficerów, mianowicie z gwardji petersburgskich, poszukując szczególniej projektu Karty konstytucyjnej dla Rosji, którego rękopism (zapewne z czasów Aleksandra) znaleziony w papierach Nowosilcowa, został także w Warszawie drukiem ogłoszony w dwóch językach, rosyjskim i polskim. Uwiadomioną była władza, że pomimo najusilniejszych z jej strony zabiegów znaczna liczba egzemplarzy wspomnionego projektu dostała się w ręce oficerów. Cóż przedsiewziąść, iżby to fatalne pismo, mogące szerzyć najniebespieczniejszą dla rządów cara zarazę, nie przeszło z zapowietrzonego kraju buntowników w granice dziewiczego cesarstwa? Gdzieindziej nie byłoby już na to środka; znalazł się w Rosji. Za Brześciem zatrzymano podejrzane pułki ciągnące powrotem z Warszawy; tam, jak powszechnie mówiono, kazano otworzyć mantelzaki oficerów, i wszelkie znalezione w nim książki i papiery zostały w je-

---

*) Oficerowie oddający się pracom literackim, źle są uważani od swej władzy. W. Ks. Konstanty otwarcie wojskowych za to prześladował. Oświecać się, jest to w oczach despotów dopuszczać się wielkiego przewinienia. W gruncie nie źle sądzą.

dnym stosie spalone. Dziwne w dziewiętnastym wieku auto-da-fé; nieomylne przeciw zarazom umysłów lekarstwo!

Dręcząca obawa, iżby wyobrażenia wolności w Polsce, starej Rzeczypospolitej, zaszczepione i ciągle się w niej krzewiące, a przez wypadki rewolucji bardziej jeszcze wybujałe, nie udzielały się Rosjanom, nabawiała niepospolitego kłopotu nowych Warszawy panów. Pomimo, iż nie zachodziło żadne połączenie między Polakami a przybyłymi do nich gośćmi, nie chciano nigdy mieć tych samych pułków dłużej cokolwiek w jednem miejscu, i co kilka tygodni zmieniano garnizony, mianowicie w stolicy. Nie przeszkodziło to jednak objawieniu się kilkakrotnie żywego spółczucia niektórych Rosjan ku świętej sprawie, której Polski Naród został rycerzem i męczennikiem. Rozrzucona była w Warszawie odezwa rosyjska zapewniająca Polaków, że nie wszyscy z tych, których Mikołaj przysłał na ujarzmienie ich ojczyzny, są jej nieprzyjaciołmi; że kto tylko czuć i myśleć umie, wiedział, że sprawa Polski jest oraz sprawą Rosji, pragnął jej wygranej, wierzy w przyszły, niezawodny jej tryumf, i t. p. Mimo największych starań nie mogła policja utłumić wieści, głośno w tym czasie szerzącej się, o odkrytem między korpusem oficerów rosyjskich politycznem stowarzyszeniu. Wielu z nich nagle z Warszawy zniknęło; zapewniano także iż w bliskim z tą rzeczą związku była śmierć jenerała Engelmana, człowieka powszechnie szanowanego, który przez samobójstwo życie sobie odebrał.

Kończąc ten ustęp, może przydługi, rzućmy jeszcze raz okiem na tańcujących w Warszawie. Po balu u Paszkiewicza następował bal u Witta, gdzie odśpiewawszy kantatę na cześć Mikołaja, znowu wesołe pary przeniosły się koleją do sal gubernatora królestwa. Opisy zabaw rozgłaszano przez gazety. Gdy w Resursie kupieckiej nie dał się bal ułożyć, przestał Paszkiewicz na obiedzie, i znowu ten obiad opisano w pismach publicznych. W niedostatku starszych roskazano poprzebierać w rozmaite stroje pewną liczbę dzieci urzędników, zaprzedanych lub przymuszonych. Sprawiono wieczór kostiumowy: był to nowy przedmiot do obszernych artykułów po dziennikach.

W ciągu tych niewinnych rozrywek, i dla lepszego ich ożywienia: podczas gdy sprowadzano do badań śledczych i zamykano w areszcie członków sejmu znalezionego w kraju, pędzono tłumami po wszystkich traktach królestwa nieszczęśliwych żołnierzy, których Austrja i Prusy nie wahały się wydać na łup zemsty wiarołomnego cara. Oddziały ich z końcem Grudnia zaczęły przybywać do Warszawy. Jakże to była żałobna chwila, jak rozdzierający widok! Obrońcy ojczyzny, rycérze wolności, których ręka niedawno jeszcze uzbrojona bagnetem zdobytym na nieprzyjacielu, lub kosą z pługa wykutą, rozbijała, przy okrzykach zdziwionej Europy i jakby nadludzką siłą ożywiona, kilkakroć liczniejsze zastępy najezdnika: dziś, ofiary podstępu i gwałtów, wracali w kajdany wroga ludów, z wynędzniałemi twarzami, z rany jeszcze niezagojonemi, bez obuwia, bez odzieży prawie; otoczeni pędzącem ich żołdactwem, wracali, na chwilę tylko, do rodzinnego kraju, jak sieroty do zgorzałego domu ojca, jak żebraków, włóczęgów zgraja! Litość Europy przeznaczała im za jałmużnę... wyrok Mikołaja wtłaczający ich do pułków Moskwy!

Odwróćmy się od tego obrazu, iżby dusze nasze nie uniosły się do bluźnierczych złorzeczeń. Pałających uczuć naszych nie potrzebujemy rozogniać. Już historja na wieczystych swych kartach zapisała obrzydłe gwałty i niegodziwości, jakie rząd zbójecki miał nieszczęście wywrzeć przeciw szukającym przytułku. Strzały pruskich karabinów mordujące bezbronnych, których całą było winą że nie chcieli wracać pod szpony tyrana, że nie mieli odwagi ujrzeć ojczyzny ujarzmionej i deptanej, odbiły się echem okropnem w sercu wszystkich ludów; jęk polskich bohaterów konających pod bagnetem króla pruskiego, powtórzył się w każdej duszy szlachetnej jak głos brata niewinnego, z łoża męczarni pomsty wołającego. Krew bezbronnych, krew niewinnych, krew rycerzy, których kilkadziesiąt bitew oszczędziło, nie utwierdziła gruntu pod stopami despotyzmu, ani wsiękła marnie w ziemię jako kropla deszczu jesiennego. Uniosła się z niej woń czarnoksięska! Uderzy godzina sprawiedliwości*).

---

*) Przypomną sobie czytelnicy, że gazeta Królewiecka pod dniem

Ośmielony takiem postępowaniem teścia, i mistrza w sztuce despotyzmu, Mikołaj, urodził w tym czasie piekielną myśl zabierania dzieci polskich. Nim się pozbawił ostatniej cząstki wstydu i wydarł z bezecnej swej duszy ostatnie uczucie ludzkości; nim nakazał porywanie dziatek z ulic, z domów, z łona rodzin, z uścisku matek, chciał wprzódy doświadczyć środków powolniejszych. Podał do wiadomości publicznej że synowie poległych oficerów i innych wojskowych polskich mogą znaleść umieszczenie w instytutach rosyjskich. To łaskawe ogłoszenie, jak łatwo można było przewidzieć, nie przyniosło żadnego skutku, oprócz powszechnego oburzenia. Zamiar cara przeistoczenia z czasem małoletnich dzieci, któreby zostały mu powierzone, na Rosjan i niewolników, zatracenia w nich wszystkiego co polskie, odebrania im nawet ojczystego języka, był nadto oczywisty. Rozdrażniony tyran stałością i nienawiścią Polaków, jednym pociągiem pióra instytut Kadetów utrzymywany w Kaliszu, a z nim kilkudziesięciu młodzieży polskiej która się tam kształciła, przeniósł w połowie Stycznia częścią do Petersburga, częścią do Moskwy *).

---

30 Stycznia 1832 r. doniosła iż do żołnierzy polskich bezbronnych dano roskaz wojsku pruskiemu strzelać, i że pod temi rozbójniczemi strzałami dziewięciu Polaków padło zabitych, a dziesięciu zranionych. O innych podobnie okropnych i ludzkość oburzających gwałtach nie czyniły wzmianki rządowe gazety; nie zdołały ich jednak pruskie władze utaić. Wiadomo także, iż wszyscy żołnierze polscy, których nie potrafiono wpędzić na powrót pod knut Mikołaja, a których litość rządu berlińskiego zachowała przy życiu, dziś zamknięci w twierdzach pruskich, są skazani do robót publicznych.

*) Co się tyczy oficerów polskich, którzy w skutek amnestji wrócili do kraju, lub których Rosjanie znaleźli w szpitalach wojskowych: tych bezczelność wroga powoływała urzędownie i powiele razy do wejścia w służbę moskiewską. I chociaż namowy w tej mierze, które są raczej otwartem prześladowaniem, dotąd nie ustają, tymczasem naznaczono im na przeciąg lat trzech pensje, o których opłacane od Rossji gazety obszernie donosiły. Pensje te, osobliwie dla mających familje, nie są nawet wystarczające na zaspokojenie pierwszych potrzeb życia: i tak n. p. oficer, który przed rewolucją miał rangę porucznika, pobiera rocznie złp. 850. Nie zapominajmy, że wszyscy oficerowie wojska polskiego aż do dnia wybuchnięcia rewolucji wnosili ciągle do skarbu składkę emerytalną, która im nie została zwróconą; tym sposobem do pobierania emerytury nabyli podwójnego prawa. To jednak prawo zostało im zupełnie teraz zaprze-

Były to epizody warszawskiego karnawału. Przyszła Zapustna Niedziela: dla rozmaitości zabaw przedstawiono w mieszkaniu Paszkiewicza widowisko sceniczne; z nocy na noc toczyły się wesołe tańce. Lecz w ostatni Wtorek, ledwo wieczór zapadł nad miastem, ujrzano od strony Pragi szeroką łunę. Niektórzy wzięli to za znak odległej jakiejś illuminacji: bo któż z Polaków mógł i chciał wiedzieć kolej moskiewskich uciech, i odgadywać pomysły jakiemi zapłacone grono postanowiło w ostatnią noc zapust, skończyć świetność swojego karnawału? Tę nadzwyczajną illuminację dopiero nazajutrz Warszawa zrozumiała. W ciągu nocy, na zamknięcie tych szatańskich zabaw, razem na różnych ulicach, mieszkania znanych z patrjotyzmu osób były napadnięte; wiele senatorów, posłów, wydawców gazet, literatów, i innych obywateli, z których niektórzy już byli wycierpieli areszt prześladowania, i ledwo przed kilku dniami wolność odzyskali, zostało uwięzionych. Że zaś obawiano się, iżby te nocne rozboje nie sprawiły w mieście rozruchu, dano wprzódy roskaz wojsku z prowincji podciągnąć pod stolicę, gdzie przez kilka dni przy rospalonych ogniskach obozowało.

Natychmiast też puszczono odgłos, że będą niezwłocznie ustanowione sądy, które na patrjotów już jęczących w więzieniach cara i tych których dopiero spodziewał się schwytać w moc swoją, mają wydawać wyroki. Zaprowadzenie sądów tam gdzie już naprzód, bez żadnego sądu i jedynie prawem przemocy i tyranji takie mnóstwo ofiar potępiono i umęczono, było zapewnie rzeczą trudną do pojęcia. Tak się jednak despocie podobało, który przez ten krok myślał może działaniom swej niczem niezaspokojonej zemsty nadać w oczach świata jakąś prawną i łudzącą formę. Sądy te nie mogły się długo uorganizować, i po kilku nawet miesiąsach aż do czasu za które niniejsze pismo nie przechodzi (miesiąc Lipiec 1832 r.) publiczność nie była wcale o ich czynnościach uwiadomioną. Mikołaj przysłał w tej mierze co tydzień jedne z drugiemi

czone, i ledwo nędzną jałmużnę przeznaczono dla nich na pierwsze lat trzy; po upływie których już bez żadnego funduszu będą zostawieni, jak to wyraźnie rząd najezdnika zapowiedział i ogłosił.

sprzeczne roskazy i instrukcje; wszystko okrywała zasłona moskiewskiej tajemnicy. Można się tyklo było domyśleć że rospoczęto nowe śledztwa, gdyż znowu w stolicy i na prowincji rozszerzyły się aresztowania. Na członków wspomnionych sądów, oprócz Rosjan sprawiedliwość tyrana powołała godnych jego zaufania: Kalasantego Szaniawskiego, Czarneckiego byłego wojewody, Wyczechowskiego i Poklękowskiego. Pierwszy z nich został także w tym czasie prezesem Komitetu do oczyszczenia listy cywilnej: ustąpiwszy dawniejszego urzędu Dyrektora Wychowania Samuelowi Lindemu, wybranemu służalcowi Rautenstraucha, którego publiczna opinja, bardzo w tym razie sprawiedliwa, osądziła aż nadto na ten zaszczyt zasługującym.

Nieubłagana w swych zapędach złość despoty, i prawie gienjalnie rodząca coraz nowe sposoby dręczenia, nie przepomniała o zaszczytnej oznace którą się chlubią polscy wojownicy. Aby krzyż polski poniżyć, a przynajmniej aby mu odjąć jego znaczenie, Mikołaj (1 Lut. 1832) zawiesił go na szyjach i mundurach swoich niewolników, rozdawszy im oraz na takiejże wstążce medale. Lecz krzyż, który ozdabiał lub zdobi jeszcze piersi Kościuszki, Poniatowskiego, Dąbrowskiego, Kniaziewicza, i którym ojczyzna przystrajała wiernych swych synów na krwawych polach Grochowa, Wawru, Jgań, Stoczka, Ostrołęki, nie straci przeto w oczach polskich uroku. Ten dar cara, zarówno dowodzący jego złośliwości jak bezczelności, wszyscy oficerowie rosyjscy, którym uczciwe uczucie nie jest obcem, przyjęli z oburzeniem; a jeden z korpusnych jenerałów, odbierając go, trafnie powiedział: iż będzie to patent za granicą na otrzymanie policzku.

Skutkiem tego samego natchnienia, i aby niczemu co polskie nie przepuścić, wydał Mikołaj nowe statuta dla orderów cywilnych, z których, dawny królów polskich order Orła białego w tem tylko zmienił, iż zamiast białego roskazał umieścić na nim orła czarnego, rossyjskiego. — W tymże czasie w dalszym ciągu niszczenia wszystkiego co miało jakikolwiek tytuł polski, skasował swój dwór jako króla polskiego, przyłączając tych z jego urzędników co nie mieli głośnego w rewolucji udziału do dworu petersburskiego. Lecz

jakże dziwnie despota musiał być zgorszony, gdy ci wszyscy posłali mu swoje dymisje.

Za każdym tak dowcipnym i świeżym pomysłem cara, warszawscy jego namiestnicy, ile dzieci mogą wyrównać ojcu, lub ucznie mistrzowi, silili się zaraz na zrobienie także jakiej podobnej sztuki. Było to konieczne echo. W czasie gdy ich pan ubierał w polską wstążkę biednych i zdumionych swych żołnierzy, i przemalowywał przy orderach orła białego na czarny, rozrywając szlachetnemu ptakowi głowę na dwie części: oni, przeciw wizerunkowi tegoż ptaka robili wyprawę po wszystkich miejscach publicznych. Wstępnym bojem zdobyli go na ratuszu; a dojrzawszy iż w innym egzemplarzu był także osadzony pod sufitem wysokiej sali teatralnej, (gdzie spoczywając przez lat szesnaście, nie raził nawet oka niegdyś W. Ks. Konstantego i tam go ostatecznie pokonali i zniszczyli. Potem dawano roskazy oświecenia domów na znak powszechnego wesela: pod zastrzeżeniem, iż ktoby nie dowiódł swej radości przez zapalenie świecy, ten za każde okno nieoświecone zapłaci kary złp. dwanaście, którą to kwotę podniesiono później do złp. trzydziestu. Tym sposobem wszystkie dnie świąt carskich stały się dniami publicznej, narodowej szczęśliwości.

Dobrze jest, iż okrutny morderca Polaków przerywał czasem tak dziecinnemi niedorzecznościami kolej straszliwych swych gwałtów i rozbojów. Uśmiech wzgardy, jaki przez to sprowadzał na twarzach swoich ofiar, może niekiedy przytępiał, choć na chwilę, ostrze męczeńskich uczuć co wnętrze serc ich przeszywały. Niestety! nic tych uczuć zatłumić nie mogło; jak nic ich z duszy żadnego Polaka wywołać i ukoić nie zdoła, aż do momentu, kiedy wreszcie drogą ojczyznę swoją ujrzy całą, niepodległą i wolną.

W czasie wybuchu rewolucji w Warszawie pewna liczba oficerów z wojska pol. znajdowała się za urlopami w Litwie i w prowincjach ruskich. Po 29 Listop. ci wszyscy (oprócz kilku, którzy potrafili niezwłocznie przedrzeć się do królestwa) zostali przez rząd rosyjski zatrzymani, a następnie wysłani do Archangiela, Moskwy, Wiatki, i t. d. Na to wygnanie skazał ich Mikołaj dla tego jedynie, że domyślał się, iż ze-

chcieliby wrócić do swych pułków, i wraz z braćmi przeciwko najezdnikom ojczyzny walczyć. Podobnież i w tejże chwili (o czem jeszcze nie wspomniałem) tej samej wygnania karze uległo wielu obywateli Litwy, Podola, Wołynia, Ukrainy, również z tego tylko powodu, iż zdawało się rządowi, że mogliby do rewolucji przyłączyć się. Ta sprawiedliwość moskiewska przypomina ową metodę Jezuitów, którzy po szkołach bili wszystkich studentów: jednych dla tego że na karę zasłużyli, drugich, zupełnie niewinnych, w tej tylko myśli, iżby na przyszłość źle nie zrobili. — W kilka miesięcy po ukończeniu wojny, lubo żaden z jeńców zwyczajnych (jak to mówiliśmy wyżej) nie odzyskał dotąd wolności, pozwolono nareszcie wrócić do kraju tym, którzy już od półtora roku znosili niewolę w odległych grodach cesarstwa, niektórzy w Syberji, jedynie jako ofiary ostrożności tyrana. Otoczeni czujnym i podejrzliwym dozorem policji, pod okiem szpiegów wszystkie ich kroki śledzących, nie mogli oni udzielać się swym ziomkom; i będąc już w ojczyznie, jeszcze jak gdyby wygnaniem byli od nich rozdzieleni. Ci atoli z tej liczby, których gorętsze i samą młodością gwałtów niniejsze uczucie nie było zdolne poddać się żadnemu hamulcowi, opowiedzieli dzieje swej podróży*). Na drodze do min Sybiru, do pustyń dzikich, do ponurych krajów wiecznemi śniegi i wieczną niewolą przywalonych, spotykali oni tłumy Polaków. Byli to żołnierze, których ciała, z ran jeszcze nieuleczone, biczował opiły i uzbrojony poganiacz; byli to spokojni wsi mieszkańcy, właściciele lub pracownicy warsztatów, obywatele znani z przywiązania do kraju, młodzieńcy kilkonastoletni ze szkół porwani, kobiety nawet! Wszyscy okuci w pęta, kijami pędzeni, jak bydląt trzoda! Szczęk ich kajdan, niezatłumiony ani jękiem mdlejących ofiar, ani wrzaskiem i przekleństwami dzikich oprawców, nieraz dawał się słyszeć w odległości pół mili. I znowu go połykała samotność głuchej pustyni; i znowu niebo go tylko słuchało. Któżby uwierzył? w liczbie żołnierzy byli nawet kaleki, rąk lub nóg po-

---

*) Ci wszyscy, unikając prześladowania dalszego, opuścili ojczyznę, i dziś znajdują się za granicą.

zbawieni. Tych oddzielnie wozy ciągnęły. Gdy jeden z nich nie zdołał dosyć prędko zająć miejsca na wozie, naczelnik oddziału (widziało to trzech opowiadających) skoczywszy ku niemu, wymierzył mu policzek. Za cóż go ów tygrys ukarał? za co katowską rękę targnął przeciw twarzy bohatera? Oto za kalectwo jego! Czemże szlachetne grono jeńców polskich, kajdanami w niemocy trzymanych, odpowiedziało w tej chwili carowi? Jak dało poznać uczucie, jakiem ich przejęła ta zbrodnia jego sługi? Wszyscy, jakby natchnienia skutkiem, wznieśli razem broń straszną: pieśń narodową! Zabrzmiało rozgłośnie powietrze słowami: jeszcze Polska nie zginęła; z tym odgłosem pociągnęło dalekie echo, jak wicher stepów z nasieniem krzewu kosztownego, co gdzieś pod innem słońcem i w innych czasach ma się zaszczepić i woń swą lubą rostoczyć. Tak niegdyś w wiekach ciemnoty i barbarzyństwa które były kolebką prawdziwej cywilicacji, cnoty, i prawdy, i przez które ludzkość koniecznie przejść musiała: gdy męczenników Pańskich, z łoża tortury zdjętych, wleczono na stosy ofiarne, nic złamać ich przeświadczenia, nic zachwiać wiary ich nie mogło. Włóczniami przeszyci, krwią oblani, ogniem niszczeni, już konający, wołali jeszcze: jestem chrześcjaninem. — Możnaż wydać ten gwałt żalu, tę rospacz boleści jakiemi rozdziera się i krwawi, serce uderzone temi obrazy męczeństwa, bohaterskiego i jakby na krzyżu omdlewającego ludu? — My przecież, rodacy, patrzmy w nie z męstwem Polaków; przenikajmy do głębi ich okropność; wbijmy całą ich straszność w myśli, w uczucia nasze, niech żadna ich cząstka nie będzie dla nas straconą; utwierdźmy je, zamknijmy we wnętrzu dusz jako talizman przyszłości. Krzywdy jakiemi nas poją, obelgi któremi nas przywalają, męczarnie na jakie morderca plemię nasze ciągnie, są naszym skarbem narodowym, naszą wielkością najszczytniejszą, najwyższem dopełnieniem chwały ziemskiej; i niemniej z nich dumni być możemy jak z tryumfów na polach bitew, jak z jednomyślnych ofiar ludu, jak z zasług i gorliwości obywateli, jak z poświęcenia się niewiast, jak z zapału naszych młodzieńców i dzieci.

Jakież jest zaślepienie tyrana mniemającego, że lud pełen

wiary i męstwa, noszący w głębi dusz przeświadczenie swojego życia, strzeżony całą potęgą wszystkich najświętszych praw ludzkości, skruszy się w jego ręku, skona, zginie pod jego knutem, jak słabe niemowlę w szponach zwierza leśnego! Że jednak Mikołaj łudzi się taką nadzieją, dowiódł tego najlepiej fabrykatą statutu organicznego (d. 26 Lutego 1832): który, jakkolwiek dopełnia miary tyranji jego na Polskę wywartej, jest więcej jeszcze jawną i stanowczą obelgą dla gabinetów, co niegdyś miały udział w układach traktatu wiedeńskiego, jak wyłącznem złem dla Polaków. Nie jest bynajmniej i nigdy nie było w interesie tych ostatnich pragnąć wykonania postanowień rzeczonego kongresu, w którym nie byli stroną działającą ale tylko ofiarą, łupem kłócącym grabieżców. Polska ma prawo i obowiązek odzyskania swojej całości i niepodległego bytu. Całość i niepodległość, to są jej konieczne cele, które nakoniec musi osiągnąć; to są konieczne warunki jej działania i dążności. A lubo nikt wątpić nie może, iż tak tylko rozumiany interes Polski jest oraz interesem Europy, która inaczej nigdy zapewnić sobie nie zdoła ani pokoju, ani bespieczeństwa: wszakże nim to nastąpi, dziś car zuchwały bezczelnem i jawnem złamaniem traktatu do którego wpływały głównie Anglja, Austrja i Francja, dopuścił się kroku znieważającego sławę tych mocarstw, który gdyby nie został odwołany, okryłby one wstydem i hańbą. Powtórzmy jeszcze raz: że w całej tej okoliczności odebrania tak zwanemu Królestwu Polskiemu konstytucji, a nadania mu statutu organicznego, rzecz toczy się wyłącznie z jednej strony między Rosją, z drugiej między mocarstwami, które równie jak ona do działań kongresu należały. Ujrzymy wkrótce czyli gabinet paryski, londyński i wiedeński dozwoli zdeptać się beskarnie despocie Carskiego-Sioła, którego tryumf byłby dla nich tem sromotniejszy, że nic postępowanie Mikołaja tłómaczyć nie może. Gdyby, mianując powstanie Polaków złamaniem wiary, do jakiej ich nakazana względem niego przysięga quasi zobowiązała, chciał on twierdzić, iż w tym razie zgwałcenie ugody z jednej strony upoważnia do odstąpienia od niej stronę drugą, naówczas samże car dawałby rewolucji polskiej zupełne rozgrzeszenie: gdy wiadomo aż nadto iż ta

nie pierwej nastąpiła, aż po zadaniu konstytucji tak zwanego Królestwa wszelkiego rodzaju gwałtów równie od Aleksandra jak Mikołaja, aż po najzuchwalszem z ich strony zdeptaniu wszelkich zobowiązań się, aż po targnieniu się na wszystkie narodu wolności.*)

Mikołaj znosząc stan tymczasowości, (w czem jednak się pomylił), nadając nowo zaprowadzonej (d. 25 Marca 1832) Radzie administracyjnej, złożonej z członków byłego Rządu tymczasowego, do wykonania statut organiczny: czuł dobrze ważność tego postępku, który był oczywistem względem innych mocarstw najgrawaniem się; ale tak zrobił, gdyż tak chciał; napisał znieważonej Europie carskie «byt po siemu», tak niech będzie. Nie dosyć na tem; przykazał razem, zwyczajnym Moskwie systematem, iżby z Warszawy posłano do Petersburga deputację, któraby imieniem Polaków złożyła samowładcy dzięki za nadanie statutu, za ten nowy dowód ojcowskiej jego dobroci. Paszkiewicz, któremu odtąd do tytułu gubernatora przydano imię namiestnika Królestwa Polskiego, zajął się niezwłocznie z wiernym Rautenstrauchem doborem deputatów. Istotnie, po kilku tygodniach namówiono lub przymuszono do tej dzikiej misji kilka osób już to słabych i zwiedzionych nadzieją otrzymania jakiej ulgi dla cierpiących braci i jeńców, już nawet gorszego rodzaju; i tak

---

*) Nie zastanawiam się nad rozbiorem szczegółowym rzeczonego statutu, odwołując się w tej mierze do innych pism poprzednio ogłoszonych, mianowicie do broszury mającej tytuł: la Pologne province russe. Wspomnijmy wszakże główniejsze punkta tego ukazu samowładcy. Według niego Królestwo Polskie staje się częścią tylko cesarstwa rosyjskiego; koronacja króla polskiego zniesiona, wojsko polskie skasowane, Polacy będą brani do wojsk rosyjskich; urzędnikami w królestwie mogą być Rosjanie, sędziowie są odwołalni, konfiskata majątków zaprowadzona. Polacy będą pociągani nie tylko do podatków obowiązujących w Królestwie, lecz nadto do podatków ogólnych cesarstwa rosyjskiego; projekta do praw i wszystkie inne ważniejsze, oraz budżeta roczne, mają być stanowione w Radzie stanu rosyjskiej; zapowiedziany nowy podział kraju (zapewne na gubernje). Komisja rząd. oświecenia zniesiona; cały rząd w namiestniku, który może stanowić wbrew decyzji wszystkich członków Rady Administracyjnej, i t. p. Gorszym od tego wszystkiego jest artykuł ostatni statutu stanowiący, że przepisy w nim zawarte będą stosownie do potrzeby rozwijane i dopełniane.

improwizowanych przez policję reprezentantów narodu i tłomaczów jego woli, dawszy im wprzód na drogę pieniędzy, pchnięto do Petersburga*). Tam przebrano najprzód poważnych deputatów w rosyjskie mundury; potem wspaniały i zadowolony car wezwać ich raczył na odegranie wspólnie z sobą komedji uroczystego posłuchania: gdzie nastąpiły mowy, których żaden Polak nie mógłby bez zarumienienia się odczytać. Szczęściem, obie mówiące strony wzajem się nie rozumiały, każda bowiem tłómaczyła się w innym języku: quasi deputaci, po polsku, odpowiadający zaś im minister carski, po rosyjsku. Sam car siedział śród tej parady nieruchomy jak bożek w pogańskiej świątyni, nie racząc do reprezentantów buntującego się narodu przemówić słowa, i sąmą tylko swą przytomnością nadawał tej wystawie świętość. Owoż zabrzmiały zaraz gazety, że naród polski posłał z oświadczeniem swej wdzięczności deputację do wspaniałomyślnego monarchy, któremu podobało się przyjąć ją jak najłaskawiej**). Wprzód jeszcze całej tej uroczystości zrobił

*) W ich liczbie byli dwaj bracia hrabiowie Łubieńscy: jenerał i kanonik. Największa trudność poległa w tem, że chciano koniecznie zebrać do owej ambasady te imiona (lubo wcale nie tych ludzi) które właśnie w ciągu rewolucji stały się najgłośniejsze. W rzeczy samej zamieszczono w niej jednego Radziwiłła, jednego Niemojowskiego, jednego Sołtyka. Czegóżby nie dano za jakiegokolwiek Czartoryskiego? Z taką to podstępną chytrością fałszywość moskiewskiego rządu stara się przy każdej okoliczności korzystać bezwstydnie z najdrobniejszych szczegółów, aby oszukać i uwieść przynajmniej patrzących z daleka.

**) Nie jednemu zapewne z czytelników zdarzyło się natrafić w niektórych pismach publicznych, zwłaszcza niemieckich, na artykuły wystawujące w jak najlepszem świetle postępowanie rządu Mikołaja: to z opisami jego dobroci i wspaniałomyślności, to znowu z rozmaitemi potwarzami przeciw Polakom. Nie można myśleć, iżby pieniądze moskiewskie nie miały znaleść w każdym kraju jednego lub drugiego przedajnego pióra; nasz wiek jest na te rzeczy nadto ucywilizowany; w tym względzie nie chcę uwłaczać mianowicie gazecie pruskiej rządowej, której wydawcę zaszczycił nawet Mikołaj niedawno orderem. Lecz trzeba wiedzieć, iż wspomnione wyżej artykuły wychodzą po największej części tajemnie z samej Warszawy, do czego używanym bywa między innymi niejaki P. Goldman, rodem Bawarczyk, podobno niegdyś redaktor dziennika niemieckiego Eos. Pisarz ten, sprowadzony przed kilku laty do Polski na cenzora dzieł niemieckich, wolał zaprzedać pióro swoję rządowi despoty, wroga ludów, niżeli poświęcić swój talent dobru i interesowi własnej ojczyzny. W Warszawie jest on teraz podręcznym Rautenstraucha. Niekiedy każą mu pisać

Paszkiewicz próbę w Warszawie także już z całą teatralną wystawą, a nawet z kosztami illuminacji, gdzie zwołanym z każdego województwa po dwóch obywatelom oznajmił ów wielki z d. 26 Lut. akt gosudara. Przy tej okoliczności przemówił wspomniony jenerał do zgromadzonych Polaków językiem rosyjskim; i wtedy to starożytne mury zamku królów polskich usłyszały po raz pierwszy djalekt, którego ani Aleksander ani Mikołaj nigdy tu na publicznych zebraniach nie użyli.

Otrzymawszy uroczyste podziękowanie Polaków za wymierzone już im dobrodziejstwa, postanowił tyran dla pozyskania nowej od nich wdzięczności, obsypać ich ród nowemi dobroci swej łaskami. Ze wstrętem przedłużam opowiadanie tych strasznych dziejów. Pragnąłbym je w jednej chwili ukończyć. Trzymając myśl moją śród tych okropności, szkarad i zbrodni, zdaje mi się że przebiegam jakiś kraj obrzydły zarazy, morderstw, i pożarów; że w chorobie duszy odbywam sen nieznośny, którego obrazy razem mię bolą, męczą i przejmują odrazą, i w znużenie, w niemoc wpadają.

Jeszcze w miesiącu Lutym przybyli z Petersburga komisarze dla wywiezienia tamże warszawskich bibljotek uniwersytetu, gabinetu numizmatycznego i rycin, obudwóch nader ważnych i jedynych co do rzeczy polskich także bibljoteki i zbiorów pamiątek historycznych Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Zdawało się niepodobieństwem, iżby te ostatnie mogły być zagrabione, stanowiły bowiem własność prywatną: jednakże oświadczyli wspomnieni przysłannicy, iż podług danych sobie przepisów muszą uważać wszystko co znajduje się w Polsce za własność cara, zdobywcy. Istotnie przystąpili niezwłocznie do dzieła barbarzyńskiej łupieży. Robiono spisy, zwożono skrzynie, paki, przeliczano książki, ryciny, medale, odkładając co do tych ostatnich osobno złote, (te uważano

---

w rzeczach wojskowych, a wtenczas P. Goldman, z powołania idealista i metafizyk, znajduje się w niepospolitym kłopocie; jednak pisać musi bo każą i płacą. Tak n. p. odebrał był roskaz ułożenia, z podanych sobie not, odpowiedzi na pismo jenerała Umińskiego, ogłoszone w Paryżu p. t. Relation de l'attaque de Varsovie.

za najważniejsze), oddzielnie zaś srebrne, bronzowe, i t. d. Wszelako publiczność cieszyła się ciągle nadzieją że pamięć na wiek w którym panuje, że wreszcie sam wstyd nie dozwoli Mikołajowi zamachów tych przywieść do skutku. Dnia 1 Maja 1872 ustały wszelkie w tej mierze wątpliwości: tego dnia gabinet numizmatyczny i gabinet rycin wywiezione zostały do Petersburga. Tak więc barbarzyństwo moskiewskiego sułtana nie chciało uznać żadnej dla siebie tamy. Przypominano sobie ile to skarbów historycznych, ile pamiątek narodowych, ile naukowych zbiorów z największym trudem i kosztem nagromadzonych, wydarli już nam carowie! Do zaboru sławnej biblioteki Załuskich dawniejszym gwałtem zagrabionej, przydali świeżo ruinę Puław. *)

Boleśnie ten przedmiot zajmował myśli strapionych mieszkańców Warszawy, gdy w tem rozległa się straszliwa, przerażająca wieść porywania dzieci. To co już poprzedziło, czyniło ją od razu w przekonaniu każdego podobną do prawdy. Trwoga niewypowiedziana objęła wszystkie umysły; śmiertelny przestrach wystąpił na twarze matek. Przerażeni rodzice biegli do gmachów szkolnych odbierać małych uczniów, drżący z obawy czy ich już nie stracili. Widziałbyś wtedy przy jednem dziecku prowadzonem przez ulicę, trzymających je, kupiących się ku jego obronie razem ojca, matkę, siostry i inne osoby z rodziny, które kierując w koło wzrok lękliwy, za każdym odgłosem biegu konia albo szczękiem pałasza, mniemali że dziki Czerkas lub Kabardyniec ma się już w tej

---

*) Liczne i sławne zbiory pamiątek historycznych wszelkiego rodzaju, także rękopismów polskich ogromnemi koszty i patrjotycznem staraniem Książąt Czartoryskich w dziedzicznem ich mieście Puławskich założone, uległy w ciągu ostatniej wojny prawie zupełnemu zniszczeniu. Część ich znaczną wywieziono z roskazu cara do Rosji. Spodziewać się należy, że gorliwość właścicieli potrafiła niektóre z nich ocalić. Łotry Mikołaja zgadując, iż jakąś liczbę kosztowności zdolano przed ich rabunkiem ukryć na miejscu, zmuszali domowników z dworu książąt biciem i męczeniem do wydania w tej mierze tajemnicy. Niektórzy z tych ostatnich (między innymi starzec, dozorca Sybilli, Gniewkowski) wierność swoją lub niewiadomość przypłacili życiem. W tłumie puławskich osobliwości znajdowały się także oryginalne obrazy najsławniejszych mistrzów; kilka z tych rzadkich skarbów sztuki wykonawcy łupiestw barbarzyńskiego cara pokrajali nożami.

chwili przeciwko nim rzucić by spełnić rozkaz petersburskiego Heroda. Któż będzie miał serce wyrzucać ojcu albo matce że się za nadto lękają o całość swego dziecka? Lecz tym razem mordercza ręka tyrana ugodziła wyłącznie w klasę mieszkańców ubogich, nie mogących znaleść od przemocy żadnej obrony, stawić żadnego oporu, których nawet rospacz nie mogła zostać głośną, znajomą po świecie.

Zbrodnia, jak cnota, szkarada równie jak piękność, to co obrzydza i przeraża podobnież jak to co zachwyca i unosi, kiedy w wywarciu natężonej, przebranej swej siły obudza w duszy najwyższą roskosz lub najwyższe oburzenie: ma granicę, kres, gdzie się niejako kończy podobieństwo do prawdy. Wtedy, mówiąc o nich, najprostsze słowa stają się najlepszą wymową. Ograniczę się prostem przywiedzeniem rzeczy.

Policja warszawska myśląc ukoić powszechną trwogę, pierwsza wyciągnęła na widnię działanie rządu, ogłaszając przez gazety, iż wieść o porywaniu dzieci jest fałszywa, i że tylko te z nich będą wzięte które są sierotami i włóczęgami.

Jest w Warszawie szpital Dzieciątka Jezus, założony dla podrzutków, w którym kilkaset sierot płci obojej odbierało wychowanie. Utrzymanie tego zakładu zapewnione jest znacznemi funduszami. Wychodząca z niego młodzież zasilała po największej części warsztaty. Te istoty opuszczone od swych rodziców, lecz zostające pod opieką narodu, który je adoptował, jak były najłatwiejszą, tak też stały się najpierwszą cara ofiarą. Chłopców ubranych w płaszcze wojskowe rosyjskie, zmusztrowano na obszernym dziedzińcu przed pałacem gubernatora Warszawy, i zaraz wywieziono do Rosji. Dziewczęta podobnież zostały porwane, lubo na ten raz w mniejszej liczbie.

Była w Warszawie szkółka dla synów żołnierskich. W. Ks. Kostanty przez jedno z licznych swych nadużyć, pomieścił w niej razem dzieci rosyjskie i polskie. Ta szkółka była utrzymana przez cały ciąg powstania. Teraz uczniów jej zabrano bez wyjątku do Rosji.

Ulice Warszawy nad samą Wisłą położone, są zamieszkane wyłącznie od rybaków, traczów, wyrobników, i w ogólności

od najuboższej ludności. Tam z niskich chat co ranek nad brzeg rzeki wychodziły dzieci, czasem ledwo pięcioletnie, a uzbierawszy kilka garści piasku, niosły go w środek miasta, zapowiadając z daleka donośnem wołaniem swój skromny towar. Tych małych handlarzów, z których niejeden był utrzymaniem i całą nadzieją matki pogrążonej w nędzy, lub ojca starością obarczonego, chwytano po ulicach, i w większej części wywieziono podobnież do Rosji.

Niewiasty uderzone rospaczą oblegały ratusz, błagając o wydanie im synów. W obłąkaniu przebiegały miasto, szerzyły wyrzekania i wołały publicznej litości. Policja zamykała je w więzieniach. Mówiono że dwie z nich własną ręką odebrały życie swym dzieciom. Dwóch chłopców, jeden jedenaście drugi dwanaście lat mający, znalazło ocalenie na dnie Wisły. Gazety doniosły że utonęli przypadkiem.

Na prowincji działo się toż samo. Polecił Mikołaj porwać z każdego województwa na pierwszy raz sto dzieci płci męskiej. Ten roskaz udzielił Paszkiewiczowi szef sztabu cesarskiego Tołstoj pod d. 19 Lutego vet. st. 1832. Od Paszkiewicza, za pośrednictwem jego szefa sztabu Gorczakowa, przeszedł wspomniony roskaz na ręce jeneralnego sekretarza Rady Administracyjnej Tymowskiego d. 24 Marca 1832, N. 1579; a na posiedzeniu tejże Rady z d. 10 Kwietnia postanowiono wykonanie jego polecić gubernatorom wojewódzkim.

Stało się zadość ukazowi cara. Porwano z prowincji ośmset synów Polski. Na ich ubranie przeznaczył Paszkiewicz ze skarbu królestwa summę 48,000 złp. z czego intendent jeneralny armji rosyjskiej Pogodin miał później złożyć rachunek.

Że jest koniecznym zamiarem Mikołaja, aby wywożone z Polski dzieci mogły z czasem zamienić się w Rosjan, dowodzi tego urządzenie z d. 29 Czerwca 1832 w którem zastrzeżono, iżby oprócz zabieranych sierot będących bez przytułku, poszukiwać mianowicie dzieci płci męskiej nie mające wieku nad lat pięć.

Wszystkie oddziały porwanych dziatek polskich miały być odstawione najprzód do gubernji Mińskiej. Prowadzono je z miejca w lazaretowych wozach, a dalej piechotą. W po-

dróży śmierć uwolniła wiele z tych ofiar od losu jaki im car przeznaczał. W tym razie ich zgon był prawie pociechą dla kraju.

Przewodnicy oddziałów, którzy za ich liczbę byli odpowiedzialni, na miejsce pomarłych kradli po drodze inne. — Zdarzało się, że niektóre z porwanych dzieci były później odzyskane przez jaki podstęp matki, lub innej osoby z rodziny. Piszący to, widział chłopczyka, który był przez ciotkę swoją odkradziony carowi już o 14 mil od Warszawy.

Oprawcy Mikołaja wykonywając jego roskaz z nadużyciami, od których żaden krok rządu moskiewskiego nie może być wolny, przydawali jeszcze swemu dziełu okropności. Tak dnia jednego zajechano wozem po dzieci przed szkołę Ks. Misjonarzy na ulicy Krakowskie przedmieście. Nauczyciele ledwo zdążyli wypuścić drżących uczniów przez okno do ogrodu, skąd ocalili się dalszą ucieczką. Toż samo było w szkole na ulicy Nowy Świat, i w innej mniejszej na ulicy Jasnej.

Zastanawiając się nad naturą tej poczwarnej zbrodni cesarza Mikołaja, niepodobna jest dziwić się, iż Europa wzbrania się, nie może jej uwierzyć. Że słudzy i pensjonowani petersburskiego tyrana szerzą wszędzie odgłosy o nieprawdzie tego factum, to także łatwo daje się pojąć, od tych zwłaszcza, którzy znajdując się nawet w Polsce, w samejże Warszawie, i widząc własnemi oczami co się tam działo, licząc własnym palcem dzieci śród dnia wywożone, zaraz na miejscu słyszeli że to są przesadzone wieści, fałsze głoszone przez nieprzyjaciół cesarza. Ale kto zna besczelność i fałszywość rządu moskiewskiego, który się wszystkiego najbezwstydniej wypiera; dla kogo autentyczne dowody z przytoczeniem miejsc, nazwisk, daty, i samej treści roskazów mają przecie wartość; dla kogo tysiące żyjących, mówiących świadków nie znaczą mniej, jak proste zaprzeczenie jednego zbrodniarza, oświadczone przez usta lub pióro nikczemników których opłaca: nad tego przekonaniem jakiż mogą mieć skutek kłamstwa służalców despoty?*)

---

*) Obacz broszury, 1. Nouvelles de la Pologne, accompagnées de

Może kto zapyta: jakie podówczas noty przesyłali swym dworom Konsulowie zagraniczni będący w Warszawie. Nie podobna wątpić, iż wszystkie szczegóły tych okropności uszu ich dochodziły; lecz zachodzi pytanie, czy rząd cara, którego głównym warunkiem i przepisem jest utrzymanie tajemnicy, nie potrafił najistotniejszej prawdy uczynić dla nich wątpliwą? Czy najrzeczywistsze onej opisy nie umiał im także wystawić jako przesadzone wieści? Przydajmy ważną okoliczność, iż ciągłem było i jest usiłowaniem Rosji trzymać Konsulów przybywających do Warszawy w zupełnem oddaleniu od Polaków. Nie mięszając się wcale do towarzystw polskich, nie rozumiejąc krajowego języka, to tylko mogą ci panowie wiedzieć, co usłyszą od moskiewskich urzędników. Tak n. p. konsul francuski (Pan Durand) przez cały ciąg swego długiego pobytu w Warszawie nie zabrał dotąd szczerej znajomości, wiem o tem jak najpewniej, z żadnym domem polskim, z żadną rodziną polską. Przybyły w Marcu 1832 po raz pierwszy konsul angielski (P. Fryd. Chatefield) zdawał się obiecywać w tej mierze właściwsze postępowanie. W miesiącu Maju, t. j. właściwie w chwili, kiedy się dopuszczał najstraszliwszych względem Polski okrucieństw, udarował Mikołaj orderami wszystkich konsulów w Warszawie, (z wyjątkiem podobno angielskiego.)

Żydzi, ta plaga trapiąca Polskę od tak dawnego czasu, otworzyli carowi nowe źródło przygnębienia kraju, którego zgubę zaprzysiągł. Nieszczęsne to plemię pogrążone w przesądach, ciemnocie i domoralizacji, wydarte ciągiem wieków prawdziwej swej wierze, mozaizmowi, czerpa dziś jedyne obowiązujące jego sumienie przepisy w fanatycznych bałamuctwach ksiąg Rabinów, w zbrodniczych nakazach Talmudów, co w każdym bliźnim nie żydzie wskazują mu wroga, któremu wolno jest i owszem należy mu szkodzić. Ta część

---

cumens officiels, juillet 1832, Paris, au bureau de la Revue encyclop. — 2. La Pologne province russe; imprimerie de Guiraudet, St. Hon. 315. — La nationalité polonaise détruite; 1832, Paris, chez P. Bossange et Comp — 4. A. Messieurs les Pairs et les Députès de la France, quelques mot sur l'état actuel de la Pologne; 1832, Paris, imprimerie Guiraudet — i inne.

mieszkańców polskiej ziemi, nim będzie mogła wcielić się zupełnie w masę Europejskiej ludności, musi wprzódy uledz całkowitemu pod względem moralnym przekształceniu; inaczej, żyjąc najpowszechniej oszustwem i złą wiarą, i unikając, skutkiem przesądów sfałszowanej swej religji, prac rolniczych, nie może się utrzymać jak tylko z konieczną szkodą ogółu kraju. Dawniejszy rząd tak zwanego Królestwa, oddalając żydów od handlu trunków, chciał przez to stanowczo przyjść w pomoc klasie włościan, na których opilstwie i ruinie opierali tamci najgłówniej swoją pomyślność. Dziś Mikołaj, przywracając Żydów do wspomnionego handlu, zadał tem samem dotkliwą klęskę stanowi rolniczemu, który w Polsce jest najważniejszym i sam jeden bogactwo kraju utrzymującym. Oprócz tego wziął on żydów pod wyłączną i jak największą władzy swej opiekę. Tak n. p. dnia (5 Kwietnia 1832) przyznano im ze skarbu polskiego, jako wsparcie mające być rozdane na raz jeden między najwięcej potrzebujących, summę 200,000 złp.

Od roku sławnej konstytucji, której ustanowienie przywodzi tak chlubną w dziejach narodu pamiątkę, miesiąc Maj jest zawsze dla Polaków jakoby porą świąteczną, uroczystą, W tym to miesiącu zawiązywały się dawniej rozmaite stowarzyszenia patrjotów; w nim, dla żywienia wspomnień narodowych, zbierały się zgromadzenia obywateli już to w prywatnych domach, już nawet, unikając oka policji, w lasach strojących się w pierwszą zieloność wiosny; na jego wreszcie cześć układane pieśni rozbrzmiewają po całej przestrzeni dawnej Polski, pod których urokiem granice Rosji, Prus, i Austrji cofają się w właściwe sobie miejsca. Jak gdyby wymyślny w sposobach zemsty i dręczenia tyran, chciał i tej okoliczności nie przepomnieć: właśnie w miesiącu Maju wywarł na nieszczęśliwą Polskę najwścieklejszą burzę swych gwałtów.

D. 21 Maja 1832 ogłoszono postanowienie powołujące do służby rosyjskiej wszystkich żołnierzy i podoficerów polskich, co należeli do ostatniej wojny, nie wyjmując tych, którzy w jej ciągu zostali oficerami. Wyjaśniła się tedy ostatecznie amnestja Mikołaja; wyjaśniał się cel podstępów i gwałtów

przez które żołnierze polscy zostali napowrót z Austrji i Prus oddani w moc cara.

Naród uderzony tylu plagami, karany, męczony bez końca, bez wytchnienia, zabijany od mordercy, przeciw któremu nie widział żadnej opieki: w rospacz wpadał. Mówiono o nowem wybuchnąć mającem powstaniu w mieście. Niektórzy z ostrożnych urzędników cara wyjechali z Warszawy; inni mieli wszystko gotowe do ucieczki. Chcąc położyć niejaką tamę publicznemu oburzeniu, rząd obwieścił przez gazety dla pewnej liczby wyjątki od powszechnego poboru. Żonaci mieli pozostać w domu. Lecz zaledwie kilka dni przedzieliło to urzędowe zapewnienie od jego zupełnego pogwałcenia. Ojcowie rodzin ulegli przemocy zarówno z innymi.

Wiadomo, że na głos powstającej ojczyzny tacy nawet spieszyli w szeregi jej obrońców, których siła wiekiem już osłabiona, źle odpowiadała szlachetnemu serca zapałowi. Mikołaj podobnież nie czyniąc różnicy, rozciągnął gwałt swój na wszystkich. — Na każde z ośmiu województw, przydano władzom dla poboru żołnierzy siłę wojskową, składającą się z dwóch pułków piechoty, dwóch pułków jazdy, i z dwunastu dział.

Każdy z zagrożonych szukał jedynego sposobu ocalenia się w tajemnem opuszczeniu kraju; lecz już naprzód wzmocnione kordony na granicach Austrji i Prus, nader czujnie utrzymywane, stawiły temu przeszkodę. W województwie Sandomierskiem, znaczna liczba włościan w masie zebranych, potrafiła zrobić sobie przejście do Galicji. Oprócz tego, niektórym pojedyńczym osobom udało się także uratować ucieczką.*)

---

*) W Prusach łowiono ich i znowu odstawiano w ręce Moskali. Na wielu z takich wojskowych polskich, chcących się dostać do Francji, urzęda pruskie rozsyłały listy gończe jak za złoczyńcami; schwytanych wiązano postronkami. Osobną nawet i tylko ku temu celowi zaprowadził rząd berliński policję na wszystkich ważniejszych punktach granicznych. Władza cesarza rosyjskiego dosięgała otwarcie Polaków aż w Saksonji. Przybyłym do Drezna nie chciano dozwalać dalszej podróży do Francji; w tej mierze były jak największe trudności. Chroniący się przed jarzmem tyrana Polacy mogli się przekonać, iż w rzeczy samej granica Rosji kończy się dopiero na ziemi francuskiej. Od wszystkich rządów niemieckich, gdyż

Rozszerzyły się po całym kraju samobójstwa. Przez jakiś czas w samej Warszawie, codzień ich kilka liczono. Miejsca, w których zbierano pochwytanych żołnierzy, stały się teatrem scen najokropniejszych. Wzbraniających się wykonać przysięgi carowi, bito kijami, karano najokrutniej. Tak n. p. było w Janowie, (w województwie Podlaskiem) gdzie zgromadzonych żołnierzy przez trzy tygodnie co dzień biczowano. Do Rosji pędzono ich w dybach, pod najściślejszą strażą i przy nabitych działach.

Śród tego mnóstwa śmiertelnych ciosów, z taką gwałtownością po sobie następujących, umysły były już w odrętwieniu, i prawie w stanie nieczułej, martwej obojętności konania: kiedy się dowiedziano, że z Litwy i z prowincji ruskich, tak zwana dawniej drobna szlachta, ma być w masach i z całemi rodzinami przesiedlona na Kaukaz, mianowicie do gubernji orenburskiej i saratowskiej. Słuchano tego z tem uczuciem z jakiemby potępiony na śmierć dowiadywał się na rusztowaniu, iż wprzódy ma jeszcze odbyć nową jaką męczarnię, o której dotąd nie był uprzedzony. Wszelka miara cierpień była już dawno przebrana. I tu jeszcze nieporównana besczelność rządu moskiewskiego, ośmieliła się ogłosić przez pisma publiczne, że wspomnione przesiedlenie rodzin polskich, ma nastąpić z ich własnej woli! Nie długo po tem potwierdziła się wieść zbrodni, którą niewiedzieć jak nazwać, wieść, iż z każdej gubernji w prowincjach dawnej na Polsce zagrabionych, pięć tysięcy rodzin zapędza petersburski Neron na linję kaukaską.

Szczegóły i reskrypta urzędowe, odnoszące się do tego dzieła Mikołaja, którego piekielnym pomysłem przekazał on ostatecznie imię swoje przekleństwom i ohydzie pokoleń, i które ze względu na wiek, w jakim ten potwór rozboje swoje szerzy, wynosi go może nad wszystkich tyranów świata, są już w ręku publiczności, i niech mi wolno będzie o nich

---

wszystkie ulegają jawnemu wpływowi Moskwy, tyle prawie doznali oni prześladowania, ile wszędzie, Prus nie wyjmując, doświadczali spółczucia i braterskiej życzliwości od szlachetnych wolność kochających mieszkańców.

nie mówić. (Ob. broszurę cytowaną wyżej: A MM. les Pairs et Députés de la France.)

Na próżno mieszkańcy rzeczonych ziem Polski chcieliby szukać pociechy religijnej w przybytkach Najświętszego; wściekłość tyrana i tu ich dosięgła. Kościoły Polaków zostały w znacznej liczbie wydarte ich wyznaniu. Przy ołtarzach, u których podnóża przez tyle wieków wznosiły się westchnienia ludu wiernego; przed wizerunkiem ukrzyżowanego Boga, którego męk obraz przedstawia się na nowo chrześcjańskiemu światu w boleściach i konaniu całego narodu bezbronnie mordowanego: dziś księża moskiewscy modlą się za cara!.. za trwałość jego dzieł, za powodzenie jego zamysłów! — Kajdany światu, hańba ludzkości, śmierć wszystkiemu co zacne i szlachetne.....jeśli piekło wysłucha tych modłów za swoim ulubieńcem i namiestnikiem.

Lecz nie ta przed nami przyszłość.

KONIEC.

Pisano w miesiącu Październiku 1832 r.
w Enghien-Montmorency.

DO RODAKÓW

W OJCZYZNIE BĘDĄCYCH.

Bracia! Wy, którzy pozostaliście przy ogniskach rodzinnych, przy mogiłach naszych poległych rycerzy, którzy macie nieszczęście patrzeć co dzień, jak w domu wspólnej naszej Matki bezbożny wróg czcią naszą pomiata; wy pewnie myślicie o waszych Pielgrzymach, jak i oni o Was nie zapominają. Rozdzieleni czasowo miejscem, jesteśmy ciągle połączeni duszą. Jednoczy nas węzłem nierozerwanym czucie święte, niczem niestłumione, będące od wieków już nie cnotą, lecz pierwszą potrzebą, koniecznym oddechem serc polskich: miłość ojczyzny.

Otoczeni powszechną żałobą, w nacisku smutków i żalu szukając ulgi, pociechy i nie znachodząc jej około siebie, nieraz zapewne pragniecie usłyszeć słowa waszych braci, lub synów: Tułaczów dalekich, którym przynajmniej wolno jest przemawiać szczerze do Was, do świata. Bolesne nasze rozmowy!.. I dzisiejsze pismo, które Wam przesyłam, goryczą Was przejmie. Jest to wspomnienie ostatnich naszych męczarni, obraz świeżych ran Polski, których krew nie spłynęła jeszcze z ręki jej mordercy.

Lecz umiejmy los nasz dobrze zrozumieć. Cierpienia nadzwyczajne, męczeństwo, przez które plemię nasze z wytrwałością bohatera, co mówię! z wiarą Apostoła, z poświęce-

niem się Męczennika, długiem lat pasmem przechodzi, przedstawia w dziejach rodu ludzkiego obraz tak wielki i wzniosły że przy nim najgłośniejsze tryumfy rycerskie ucichną i zbledną; największe pomyślności ludów, zwyczajnem życiem żyjących, wydadzą się niedolą, poniżeniem prawie. Zachować, utrwalić pamięć tych cierpień, jest to uczcić chwałę narododową w tem, co ona ma najwyższego.

Na książkach o tem mówiących, niech dziatki wasze czytać się uczą; niech je uważają, jakby za książki od nabożeństwa. Nazwiska bitew, gdzie niewinna krew Polaków pod mieczem bezbożnego najezdnika, wroga ludów, strumieniami się przelewała; wiadomości o braciach umęczonych, opisy krzywd, boleści, i udręczeń wszystkich lat naszej niewoli i walki — będą ich katechizmem przygotowującym do świątyni obywatelstwa. Rospamiętywanie męki narodu, skropione łzami poddania się woli przedwiecznego Pana pradziadów naszych — będzie ich modlitwą. Dajcie im za przewodnika tę myśl wielką, zachowawczą, a tak się jaśnie z ciągu dziejów naszych wybijającą, że plemię, które Opatrzność dziwnie i tajemniczo przez tak nadzwyczajną kolej utrapień i ofiar przeprowadza, jest plemieniem wybranem i potrzebnem dla przyszłych losów ludzkości. Z pokorą Ucznia, z miłością Wyznawcy, niech patrzą ciągle w obraz męczarni swojego narodu, i czerpią stąd dla siebie naukę, przykład, wczesne umocnienie. Tak w pierwszych i najpiękniejszych wiekach chrześcjaństwa, na miejsca zgonu Męczeników, prowadzono dzieci przybrane w suknie świąteczne, szukając ukrzepienia dla ich wiary i cnoty. Tak niegdyś samotnicy Bogu oddani, gdy przybywający do ich pustyni młodzieńcy, wołali obrony przeciw zarazom świata, odejmowali im wieńce biesiadne i włos ich popiołem narzucali; a odrywając od uciech i występków, mocując ich zaraz do walki z ziemią i jej znikomem życiem — zamiast w zwyczajnem łożu, dzienny spoczynek obierali im w trumnach.

Bo i któryż z ludzi wytknąć nam zdoła kres naszej próby? Kto naprzód przeliczy jej godziny, dnie, może lata? W jakimże to zapowiedzialnym czasie, jakiejże szkoły filozofowie i doktrynery, konstytucyjni czy republikanie, okażą

ludom Mesjasza świata politycznego, który w gruncie jest tylko zwyczajnym światem moralnym? Kiedyż nad tym potopem teorji, marzeń, i waśni co ogarnął Europę, ciągnąc w rozbicie i pochłaniając rozumy tyle reformatorów, przeleci nakoniec gołąb pokoju i zbawienia?.. Od rospraw przechodząc do czynów: nie dosyć jest wstrząsnąć i przewrócić, aby naprawić i ubespieczyć. Próżnoby kto mętną i brudną wodę chciał oczyścić i uzdrowić mięszaniem choćby najgwałtowniejszem; — potrzeba, iżby dno miał czyste. Szczęście narodu, jak szczęście pojedyńczego człowieka, wewnątrz niego spoczywa. Formy nie stanowią istoty, nie są życiem, i te z nich tylko mogą być trwałe i dobre, które są naturalnem objawieniem się ducha. Doktrynerzy i marzyciele chcący ratować narody przez ogłaszanie im takiego lub innego kształtu Rządu, podobni są tym rosprawiaczom w Polsce, którzy w najlepszej wierze pragną nas przekonać, iż dla dokonania pożądanej reformy naszych Żydów, dosyć jest pogolić im brody, ubrać Rabinów we fraki i halsztuki, i zamiast kahałów zaprowadzić sanhedryny.

Do tego to mówię, że teorje i systemata nie uszczęśliwią same przez się, nie wyzwolą żadnego ludu. Najbieglejszy botanik nie potrafi mimo wszelkich prac i zachodów zaszczepić rośliny, jeśli jej korzenie nie znajdą tego koniecznie gruntu, na którym jedynie wyrastać i kwitnąć może. Wpadli dziś ludzie w szkolnictwo i dysputy polityczne, jak niegdyś w religijne. Każdy wiek musi mieć swoją chorobę. Odwieczne są potrzeby ludzkości, odwieczne zasady i prawa rozumu i serca. Duch poświęcenia się najwyższą powinnością, cierpienie najwznioślejszym cnoty i dobra warunkiem. Na tej drodze prawdy chrześcjańskiej wystąpiła przed innymi narodami Polska. Jej przykład i ofiara są jedyną wolności i chwały ludów doktryną.

Staczać bitwy, i okrywać się sławą mężnych, kochać wolność, bronić swą ziemię rodzinną od najazdów wroga, jest to zwyczajna chwała wielu narodów. Lecz starania najwyższej obywatelskiej cnoty, usłyszeć okrzyczane za zbrodnię; ujrzeć naprzeciw siebie miecz zdrajcy, któregoś samże niedawno ocalił; od własnych sług mieć sobie wydarte najświęt-

sze prawa w rodzinnym, odwiecznym domu; wygnaniec lub więzień, widzieć w okowach jak zbójcy przy twojem ognisku dzielą się beskarnie twojem dziedzictwem; zginąć pod przemocą najstraszniejszego gwałtu, najczarniejszej zdrady, a jednak dla wielkiej świata nauki, żyć wyższem, cudownem, trwałem życiem, siłą wewnętrznego przeświadczenia i wiary; jak słońce ciemnością burzy na czas zasłonięte, lub jak duch niewinnie zabitego, przedwiecznej sprawiedliwości objawca, powracać z grobu, by w sprawie wszystkich walczyć nadludzko ze swemi mordercy, i być od wszystkich opuszczonym! swoją jedynie piersią odbić grom co miał ugodzić w ludzkość, i w omdleniu siły, ale nigdy wiary i nadziei, upadając, tę śmierć bolesną mieć tylko za wypoczynek do nowej, nieuchronnej, zawsze równie szlachetnej walki... Te dzieje dziwne, uroczyste, to całym blaskiem najwspanialszego dnia iskrzące, to przerażające najczarniejszą żałobą nocy, a nadzwyczajne wypadki i losy ziemi tak górnie noszące się, nie sąż wyłącznie dziejami Polaków?

Umiejmy los swój zrozumieć. Jako wyniosłe i odwieczne drzewo, choć burzą Lata uderzone, wichrami Jesieni z liści obrane, wreszcie pod gwałtem Zimy niemocą zamarłe, jej pętami ściśnione, nie jest przecież trupem, dopóki chowa w swem łonie życie wewnętrzne: i tylko czeka pierwszego obudzenia się słońca, pierwszej rosy niebios, by tuż życie na jaw wydało, by nową zielonością roskwitnione, znowu swą dawną potęgą zaszumiało, znowu wspaniały swój wieniec nad głową puszcz okolicznych potrzęsło: tak naród nasz, żyjąc w każdym swym członku życiem ducha, nie lęka się bynajmniej, że zbójcy śmierć jego ogłaszają. Już na nas przemierzano najcięższe kajdany, a mocą tego życia, wszystkie się na ręku naszem kruszyły. Polacy, zachowując między sobą jako lud, życie wewnętrzne, będąc przeto oczywiście narodem, w istocie; mogliżby wątpić, iż muszą być koniecznie narodem i w formie? Uważając Polskę pod tym względem, który jest tu jedyną miarą prawdy i rzeczywistości, jest ona nierównie pewniejszą politycznego bytu i niepodległości, i bardziej żyje dzisiaj, skrępowana łańcuchami trzech najezdników, nie uznana od żadnego Gabinetu, od żadnej panującej familji

nie mająca ambasadorów, ani wojska, ani swojego Rządu, ani nawet swojego nazwiska, niżeli n. p. przed pierwszym rozbiorem, kiedy miała to wszystko, kiedy była w kompletnej formie życia, w zupełnym swoim tytule jako Państwo udzielne, lecz kiedy wewnątrz psuła się ospalstwem, ciemnotą i domową niemocą. — Jestże choć jeden Polak, coby całą siłą swej duszy nie czuł, nie uznawał przyszłego Ojczyzny zmartwychwstania? A razem, nie stanowimyż masy dwudziestomiljonowej?..

Jednym ze środków zapewniających to jedyne życie narodu, o którem mówimy, jest troskliwe przechowywanie pamiątki wszystkich jego cierpień. Starannie przeto zapisujcie, szanowni Bracia, codziennie dzieje niewoli, w której jęczycie. W wiernym jej obrazie, nie zapominajcie żadnego dowodu cnoty polskiej; nie zapominajcie również żadnego przewinieani tych, którzy mieliby nieszczęście okazać się niegodni Was i naszej sprawy ojczystej. Nie pochopni do nagan niezasłużonych, które zostawmy wyłącznie niebacznym rozsiewaczom niezgody domowej, potępiajmy z całą srogością nieubłaganej sprawiedliwości każdego, coby wykroczył przeciw rzeczy publicznej, i został sługą wrogów ojczyzny. Besprzykładnem poświęceniem się, i znoszoną przez nas męczarnią wyniesieni dziś na czoło ludów, jedną wiarą ożywieni, zawiążmy między sobą, jakoby Zakon surowej reguły, przestrzegając najściślej, w każdym jego członku spólnej czci, spólnego dobra i zbawienia. To zachęci dobrych, to zagrozi wyrodkom — jeśliby ci mogli się znaleść w gronie synów Polski.

Stefan Witwicki.

Paryż, 5 Maja 1833 r.

TOWIAŃSZCZYZNA.

Nie mogę bez odrazy i ściśnienia serca o tej rzeczy pisać, tak przez się jest fatalną i w następstwach swoich zgubną, i tak mi żal ludzi, którzy w nią upadli, spółtowarzyszy wygnania i tułactwa, między którymi liczę osobistych nawet przyjaciół. Piszę jednak, gdyż sądzę, że mi to nakazuje sumienie, piszę dla nadziei, że może kogo oświecić potrafię, jeżeli nie z tych co już do Towiańszczyzny należą, przynajmniej z takich, co jeszcze do niej należećby mogli, to bowiem sektarstwo nie ustaje, owszem, lubo w cichości i powolnie, ciągle przecież od czasu do czasu nowe sobie ofiary zyskuje.

Dam najprzód historję całej rzeczy; przyłączę niektóre objaśniające postrzeżenia; wreszcie uczynię kilka uwag nad kursem P. Mickiewicza, który od pewnego czasu katedrę języków Słowiańskich przemienia niejako w ambonę nowej religji, chcę mówić religji Towiańskiego.

I.

Historja jest taka.

Niejaki P. Andrzej Towiański, obywatel z Litwy, właściciel tam małego ziemskiego majątku, człowiek żonaty, ojciec kilkorga dzieci, mający lat około pięćdziesięciu, niegdyś uczeń Wileński, póżniej przy jednym z sądów powiatowych Regent, który do Powstania w 1830 roku nie należał, owszem drugich od niego wstrzymywał, a to jakoby z wia-

domości duchem prorockim że się udać nie miało, — przyjechawszy, wraz z żoną i synkiem, do Paryża, za paszportem rosyjskim, w lecie 1841 r., przyszedł jednego dnia do P. Mickiewicza, któremu niegdyś w Wilnie ledwie cokolwiek był znany z widzenia, i zastawszy samego w domu, oświadczył mu że on, Andrzej Towiański, jest posłannik Boży, i do niego, Mickiewicza, a przez niego do całej Emigracji ma misję z Nieba.

P. Mickiewicz znajdował się wówczas w jak największem domowem nieszczęściu, do rospaczy go doprowadzającem, z przyczyny choroby żony. Towiański przyrzekł mu przedewszystkiem jej wyzdrowienie. Mickiewicz uwierzył. Wyzdrowienie istotnie nastąpiło.

Prócz Mickiewicza, w tymże czasie dwóch jeszcze innych emigrantów, w Paryżu zamieszkałych, PP. S* i G*, do których się podobnież Towiański zgłosił, tę jakoby Boską jego misję uznało.

We trzech tedy, to jest Mickiewicz, S* i G*, a między nimi najszczególniej Mickiewicz, zaczęli nagle głosić niesłychane rzeczy, niesłychane pomyślności, niesłychane łaski Boże, że emigracja już skończona, że ojczyzna już jest, że wszystkie w niej parjte ustały, że słowem, Bóg ostatecznie już się nad Polską zlitował, niedolę jej zamknął, i z tą wielką nowiną przysłał swojego męża, swojego posła, swojego proroka, Towiańskiego, który prócz tego oznajmia odrodzenie się, udoskonalenie i uszczęśliwienie całej ludzkości, nową dla świata Erę! — przytem namawiali (lubo co do tego nie wszyscy trzej byli z sobą zgodni) aby iść do spowiedzi, uczęszczać do kościoła, i t. d.

Można sobie wystawić jak to po całym polskim Paryżu gruchnęło, jak się listami rozbiegło po prowincji, i jakie w całej naszej sierocej rodzinie sprawiło wstrząśnienie. Powaga Mickiewicza, wówczas jeszcze nie nienaruszona, i ta okoliczność, iż znano go za wiernego katolika, broniła na razie całą tę nadzwyczajność równie od śmieszności jak od pozorów jakiegoś sektarstwa. Jedni przypuszczali, iż istotnie zaszło coś cudownego i szczęśliwego dla Polski, tylko nie wiedzieli co; drudzy, trudniejsi uwierzenia rzeczom nadprzy-

rodzonym, nic zgoła nie pojmowali i wcale sobie sprawy z tego zdać nie umieli; inni wreszcie rozumieli, że była to jakaś robota wprost polityczna, tylko której z potrzeby, naprzykład dla tem skuteczniejszego działania na lud, dawano płaszczyk religijny i cudotwórczy.

Niebawem zaszła następująca okoliczność. Towiański, — który dużo bardzo pisze, a o wartości i naturze tego co pisze można sądzić z Biesiady — chciał ogłosić jakieś pismo, przez któreby się lepiej Emigracji dał poznać i wytłómaczył jej o co chodzi; jakoż, ułożył rękopism i pokazał swoim trzem uczniom, oświadczając że tak kazał napisać Pan Bóg; ale gdy trochę poczekawszy przyniósł im drugą, całkiem inną, redakcję, mówiąc znów że tak kazał napisać Pan Bóg, — G* zaraz się spostrzegł, oświadczył, że Pan Póg nie potrzebuje się poprawiać, gdyż od razu potrafi bez myłki i tak jak trzeba podyktować, i nie czekając dłużej, Towiańskiego odstąpił, owszem począł zaraz rospowiadać, że to wszystko komedja albo warjacja, nic więcej. Przydajmy, że pismo które Pan Bóg tak po dwakroć kazał do druku układać, zostało gdzieś dotychczas w ukryciu i nie było wcale ogłoszone. Wkrótce potem, acz nie w tak głośny sposób i nie tak od razu, odstał od mistrza i S*. Z trzech tedy pozostał sam Mickiewicz.

Ten dnia jednego ogłosił, osobno drukowanemi kartkami, wezwanie do emigrantów, aby się zeszli do kościoła Notre Dame (obacz annex A). Przyszło dosyć osób; Towiański i Mickiewicz przystępowali do Komunji; po mszy, Towiański, zatrzymawszy się przy drzwiach w jednej z bocznych framug, miał do słuchaczy krótkie przemówienie. Była to pierwsza Towiańszczyzny publiczna manifestacja. (Obacz annex B).

Trzeba wiedzieć że Mickiewicz, który przed przybyciem Towiańskiego żył szczególnie w towarzystwie katolików, i w ich gronie liczył najbliższych, najściślejszych przyjaciół, teraz żadnego z nich nie widział już przy sobie: ani jeden mniemania jego o tym nowym pośle Bożym, zgoła nie podzielał. Natomiast Mickiewicz szukuł nowych związków, był w tem niezmiernie czynny, oddawał pierwszy różnym osobom

wizyty, mówiąc wszędzie z zapałem o Towiańskim. Zapowiadał z natchnienia jego, że idzie Mąż Przeznaczenia, który narody uciśnione, a najprzód Polaków i Żydów, wydźwignie z toni, że nastąpi to tak prędko, iż jeszcze starcy nasi, między innymi Jenerał Kniaziewicz, ojczyzny wolnej doczekają, że na całym świecie będzie odtąd, sprawą owego męża, panowała sprawiedliwość, i t. d. Na te wszystkie zwiastowania wstrząsano już powszechnie ramionami, mówiąc tylko pocichu: co to się robi i co się zrobi z Mickiewiczem!

Towiański w kilka niedziel po owej mszy zrobił drugą manifestację. Wydrukował i rozesłał emigrantom doniesienie że w kościele Ś. Seweryna w Paryżu, zawiesił obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej. Wyraził się w taki sposób, jakoby to był sam oryginał z Wilna uniesiony, tymczasem była to tylko jedna z kopji. (Obacz annex C).

W tych czasach pokazał się w Paryżu główny agent Towiańskiego, który oraz jest jego szwagrem, P. doktor Gutt. Ten żarliwością swoją dodał Mickiewiczowi najwięcej otuchy, i on to podobno pobudził Towiańskiego do śmielszego działania, do wyraźniejszego wystąpienia na scenę.

Szerzono na nowo uroczą wieść, że niezawodnie nadszedł czas wskrzeszenia Polski, przydając zarazem, że kto się prędzej na jej posługę do Towiańskiego, do męża Boskiego zgłosi, ten prędzej i świetniej zostanie użyty. Wyborowy przyszłego zbawcy ludów hufiec miał być w liczbie tylko czterdziestu czterech, trzeba więc było z zapisywaniem się spieszyć. Wiadomo czytelnikom poezji Mickiewicza, jaką ta liczba gra w Dziadach rolę; Towiański podniósł ją do wyższego jeszcze znaczenia, mieszkał także podobno w domu pod Nr. 44.

Zapisywano się u Mickiewicza. Tam też co Niedziela zaczęły się konferencje nowego mistrza, na które przychodził prawie kto chciał, wprzód się tylko gospodarzowi domu opowiedziawszy. Co i jak Towiański na tych konferencjach mawiał, najlepsze o tem można sobie zrobić wyobrażenie przeczytawszy Biesiadę: o kolumnach duchów, o podnoszeniu ducha, o Słowiańszczyznie, o Napoleonie, o Żydach, o przechodzeniu dusz, że idzie Mąż Przeznaczenia, że zbliżyły się

wypadki co postać świata przemienią i zaszczepią wszędzie sprawiedliwość, o tonie i giestach przyszłych wodzów i kapłanów, o tem, co będą o jego uczniach mówili za tysiąc lat, i t. d. i t. d. słowem, mięszając wszystko, i mówiąc zawsze z zapałem, równie niedorzeczeństwa i śmieszności, jak niektóre rzeczy wzniosłe i piękne*). Przeciw kościołowi, nie występował niby otwarcie, tytularnie mienił się zawsze katolikiem, oświadczając nawet, że się uda wkrótce do Rzymu po błogosławieństwo Ojca Śgo dla całej swojej roboty. Ze słuchaczów, jedni, zaspokoiwszy w sobie ciekawość, wychodzili z uczuciem, bądź zgrozy, bądź smutku i litości, niekiedy także żartując i widząc w tem tylko stronę śmieszną; insi, przyjmowali słowa nowego proroka z najwyższem wzruszeniem; wysłowienie jego było dla nich, mówili, urocze, ton mowy zachwycający. Ci ostatni, wszyscy właśnie, zapisali się do owego pierwszego hufca, przystali do Towiańskiego na uczniów, na wyznawców, zaczęli go ślepo odtąd uwielbiać, ślepo słuchać. Otóż zakład Towiańszczyzny, początek Towiańszczyków! Mickiewicz szczególnie swojem imieniem, swoją wymową, swoim zapałem, nadawał wszystkiemu pewnego znaczenia.

Śmierć, wtenczas przypadła, Księcia Orleanu, odżywiając na moment rozmaite we Francji ruchy polityczne, uczyniła policję Paryską czujniejszą i na wszelkie schadzki surowszą niż kiedykolwiek. Towiański mógł już był skądinąd zwrócić oczy jej na siebie. W dzień imienin króla Filipa, do którego przychodzą wtedy z powinszowaniem wszystkie krajowe władze i także profesorowie głównych szkół, — z Mickiewiczem, to jest przy Zgromadzeniu członków Kollegjum Francji, do którego ten należy, szedł także do Zamku Towiański, niewiadomo, czy z projektem przemówienia do króla, czy tylko dla zobaczenia dworskiej ceremonji; już był podobno kilka sal przeszedł, kiedy wreszcie poznany za nienależącego do Zgromadzenia i zapytany co jest za jeden, musiał się cofnąć. Na razie nie miało to dla niego żadnego następstwa jawnego,

---

*) O tych konferencjach miałem zaraz na razie dokładną wiadomość od bardzo wielu osób, które na nich bywały.

lecz teraz, gdy ten sam nieproszony gość królewski, występował jako głowa kilkudziesięciu ludzi, z któremi często odprawiał posiedzenie — kazano mu, dla tego, czy dla czego innego, z miasta i nawet z kraju wyjechać.

Wtenczas to uczniowie Towiańskiego wydrukowali w dwóch językach owo pismo do Ministra, gdzie dają świadectwo czystości zamiarów i postępków człowieka, który im przyniósł słowa prawdy i żywota, i gdzie, nie wiedzieć czemu, wspominają, że Towiańskiego, w czasie pobytu jego w Paryżu, zawzięcie złość ścigała, o żadnem bowiem ściganiu nikt tu z nas nie słyszał, chyba tylko, że jeden z dzienników emigracji, żartom wyłącznie poświęcony, kilkakrotnie podobno na nowego proroka coś napisał. (Ob. anneks D.)

Pierwej jeszcze nieco, Mickiewicz dał się po raz pierwszy słyszeć jako Towiańszczyk, to jest, jako całkiem inny człowiek, niż go znaliśmy dotychczas, na publicznem posiedzeniu Towarzystwa Literackiego Polskiego. Mowę jego, którą tu załączam, niech sam czytelnik osądzi. (Ob. anneks E.)

Towiański przeniósł się do Belgji, znosząc się przez listy z Paryskimi swoimi wyznawcami. Ci związali już między sobą zupełnie odrębną spółeczność i przyjęli wyraźnie charakter sekty, równie na przekładania dawnych przyjaciół, krewnych i innych co najpoważniejszych rodaków, jak na przestrogi i starania duchowieństwa nieczuli.

W tem miejscu należy przywieść szczególny jednego z nich postępek, Pana * *, któren raz publicznie w kościele, gdzie się zwykle Polacy na mszę i kazanie zgromadzają, klęknąwszy po skończonem nabożeństwie przed Księciem Czartoryskim i dobywszy papier, miał do niego jakąś mowę, zapewniając, że mu ją kazał napisać Pan Bóg.

Kilkakroć do dziś dnia, i już od czterech kapłanów, uczniowie Towiańskiego byli upominani z polskiej kazalnicy, jaką Opatrzność pociesza i oświeca od dwóch lat nasze tułactwo. Arcybiskup Paryski chciał mieć bliższe tej rzeczy wyjaśnienie; udał się do niego Mickiewicz, lecz po to..., aby zapewnił, że i on i wszyscy jego towarzysze i sam Towiański są wierni synowie Kościoła, i zaparł się wszelkiej nowości!

Mniej więcej w tej samej epoce wyszło na widok jedno

dłuższe pismo Towiańskiego, wyżej już tu wspomniane i znajome dziś publiczności, Biesiada. Nie było w tem wprawdzie woli ani autora, ani osoby, która miała u siebie rękopism, czyjejkolwiek jednak przypisać to gorliwości, przyczyniło się to ogłoszenie najwięcej do wyjaśnienia człowieka i jego mniemanej Nauki. (Ob. anneks F.)

Towiański, po niejakim czasie pobytu w Belgji, wybrał się był ostatniego lata do Rzymu, zawsze, jak zapewniają wiarogodne osoby, za paszportem rosyjskim. Tu, zamiast Papieskiego błogosławieństwa, o jakiem z taką pewnością uczniom swym mawiał, otrzymał roskaz, któren też wszystkim z nienależących do Towiańszczyzny łatwo było przewidzieć, co najrychlejszego wyjazdu.

Opuściwszy tedy Rzym, dostał się do Szwajcarji, i na teraz tam się wraz z żoną znajduje.

Otóż historja.

Powiedzmy jeszcze dla jej dopełnienia, że Towiański, który dziś w Paryżu liczy, jak mówią, do sześćdziesięciu uczniów, między nimi dwie, czy trzy uczennic, nim przybył do Francji miał już na Litwie parę uczniów, mianowicie swojego szwagra, o którym była tu wzmianka. Po drodze namawiał na swoją wiarę kilka osób, zapewniając je, jak to prawie wszystkim ma zwyczaj czynić, że są wielkie duchy i wielkie mają przeznaczenie. Trafiał nawet do dwóch znakomitych rodaków: ś. p. Arcybiskupa Poznańskiego, Dunina i Jenerała Skrzyneckiego. Od jednego i drugiego przyjęty z początku dobrze, jak człowiek przybierający postać gorliwego chrześcjanina, — jednego i drugiego utracił w końcu względy. Widziałem sam list ś. p. Dunina, zupełnie Towiańskiego potępiający*); słyszałem także sam z ust Jenerała Skrzyneckiego, między innemi szczegółami, że gdy Towiański, na uczynioną sobie propozycję spowiedzi, niezmiernie

*) Żałuję, że listu tego nie mogę teraz zacytować, niech przynajmniej powiem, do kogo był pisany: pisał go Arcybiskup do Ks. Aleksandra Jełowickiego, który od jakiegoś czasu bawi w Rzymie.

się oburzył, Jenerał od tego momentu, lepiej go przez to poznawszy, nie chciał już żadnych z nim mieć stosunków. Wszakże i to pewna, że później Towiański przystępował do Kommunji, musiał się więc zapewne i spowiadać.

II.

Teraz dajmy niektóre objaśnienia.

Co jest Towiański?.. Kto tak szczególniejszą mógł wziąść na siebie rolę, i takich ludzi, jak n. p. Mickiewicz, potrafił podbić sobie w posłuszeństwo i niewolę, ten nie jest, oczywiście, człowiekiem pospolitym, wystawiony też być musi na różne sądy i domysły. Są osoby bardzo poważne, szacowne, o ludziach i rzeczach sądzić mogące, jedne świeckie, drugie duchowne, męszczyzni i kobiety, co poznawszy Towiańskiego z bliska, widziały w nim fałszywość i złą wiarę. Lubo sam, z wszystkiego co wiem, tak o nim nie trzymam, nie wolno mi zdania owych osób bezwzględnie tu zamilczeć. Są insi, mniej skropulatni, daleko też liczniejsi, którzy po prostu mają Towiańskiego za agenta Moskwy, nowego tylko rodzaju. Podług mnie, jest to, w całem znaczeniu tego wyrazu, marzyciel, człowiek ognistej, śmiałej, a w mistyczność zwróconej imaginacji, który sobie najdziwniejsze rzeczy do głowy przypuszcza, — w swoich snach na jawie, w swoich lataniach po sferach, w swoich Niebieskich migdałach roskochany, przywidzeniami się pasie, rad się zatapia w myśli i obrazy o duchach. — Samotnik, niepospolitych sił umysłu, poetyckiego zapału, łatwej i bujnej wymowy, który wpadł w chorobę wizjonarstwa, zagorzalstwa, odchodzenia w pewnym względzie od przytomności — który, wiary naszej świętej, wiary przez Kościół Apostolski opowiadanej, nie nosząc w sercu, uroił sobie inszą, swoją własną, z rozmaitych dawnego i nowego świata błędów usnutą. Uroił, jak to dziś czyni tylu innych, tu i ówdzie wynalazców i przedsiębiorców nowych religji, nigdy z niej, sam przed sobą, jasno sprawy nie zdał; to dopiero mieniący się katolikiem, to zaraz że z najjawniejszą herezją występujący; zwodzący drugich, bo naprzód sam

zwiedzony; budzący w pewnych entuzjastach wiarę, bo sam wierzący.

Człowiek taki, oczywiście, równie łatwo wyjść może na założyciela jakiej sekty, któren uczniom swym gotów opowiadać z największemi szczegółami, co widział i słyszał w Niebie, co tam mówił do Matki Boskiej lub Aniołów, jak na mieszkańca domu obłąkanych; któren będzie udawał Boga Ojca, zapraszał na śniadanie Świętych, pisał listy do Jezusa Chrystusa, i t. d.

Osobiście ja Towiańskiego nie znam, tylko z widzenia, od pierwszej bowiem chwili posłyszenia o jego Nauce, uderzony jej dziwactwy i błędami przeciw Wierze, a uczucie i zdanie swoje otwarcie natychmiast wyjawiwszy, byłem od znajomości z nim ciągle dla tego odsuwany; później zaś, gdy Towiański bardziej na siebie zwrócił oczy, sam już tej znajomości nie chciałem. Na konferencje naprzykład, jakie odbywał u Mickiewicza, ani razu nie szedłem, dla obawy zgorszenia drugich. Jeżeli mi kto zarzuci, jak mogę Towiańskiego sądzić, nie znając, odpowiem: sądzę go z dzieł, a te dzieła znam, sądzę z Biesiady i innych pism własnoręcznych, jakie widziałem, aż w czterech miejscach, sądzę z postępowania i mowy najpoufalszych jego uczniów*); sądzę z tego mnóstwa rozmaitych szczegółów, jakie mam od ludzi pobożnych, cnotliwych i światłych, którzy go z bliska i długo znali, lub przynajmniej kilkakrotne mieli z nim rozmowy; sądzę także

---

*) Między innymi, Mickiewicza. Po wejściu w Towiańszczyznę, żył on jeszcze ze mną blisko rok cały w dawnej przyjaźni; zwykle nie miewaliśmy dla siebie nawzajem nic skrytego, mawiał mi więc i o Towiańskim bardzo wiele rzeczy, pokazywał nawet różne jego pisma, licząc na mój charakter. Że to życzył sobie mieć dla innych sekretem, zachowam przy sobie tylko. Tej ufności przyjaciela, w żadnym oczywiście przypadku, i choćby miało przyjść do najżarliwszej między nami wojny, nie zdradzę, lecz wspominam o tem dla tego, aby wiedział czytelnik, że byłem istotnie w możności uformowania sobie prawdziwej o Towiańskim opinji, lubo go osobiście nie znam; wszystko zaś, co wiem o nim przez Mickiewicza, tem bardziej za wątpliwe mieć muszę, że nikogo w życiu nie znałem, za którego słowo mógłbym śmielszem sumieniem ręczyć; w mnóstwie przedziwnych przymiotów, miał także Mickiewicz przymiot jak największej prawdomówności, przymiot rzadszy między ludźmi, niżby się zdawało i który sam jeden mógłby już dowodzić, pięknej jego i wzniosłej duszy.

z tego, co o Towiańszczyznie w kursie swoim głosi Mickiewicz.

Ważny jest jeden szczegół z młodości Towiańskiego. Dotknięty wtedy ciężką chorobą oczów i nie mogąc się przez długie czasy niczem zgoła zatrudniać, do czego tylko potrzeba wzroku, zapuścił się w młodzieńczym zaraz wieku i w pierwszej żywości życia w ciągłe dumania, marzenia i fantazje. Te długie, na miesiące i lata całe mierzące się rekolekcje, ognistego i z czynną niezmiernie od natury wyobraźnią młodzieńca, musiały konieczne gotować z niego już wtedy, zaraz jakąś istotę wyjątkową i senną.

Z przeszłości Towiańskiego przed-paryskiej, te dwa mianowicie, dla każdego Polskiego patrjoty i katolika, wybijają się fakta: pierwszy, że, cośmy już wspomnieli, nie wziął sam czynnego, w narodowem powstaniu udziału, owszem, przeszkadzał ile mógł innym; drugi, że długo niezmiernie, bo kilkanaście i aż podobno dwadzieścia lat z górą, nie przystępował do Sakramentów. Jeśli pierwsze nie oznaczało gorącego patrjoty, drugie w żaden sposób nie przystało posłannikowi Bożemu. Tymczasem, ani o jednym, ani o drugiem nie masz wątpliwości. Malarz Wańkowicz, jeden z najdawniejszych Towiańskiego uczniów, który w roku 1841 przybywszy do Paryża, wkrótce tu umarł, rospowiadał nam wszystkim, że w czasie wojny, miał już konia i broń przygotowaną, kiedy w momencie połączenia się z powstańcami, wstrzymał go powagą swoją mistrz, zapewniając oraz, iż wszystkie usiłowania Polaków, spełznąć wówczas miały na niczem. Biedny Wańkowicz, (skądinąd artysta z talentem i po którym kilka pięknych zostało obrazów i litografji), dowodził stąd, w dobrej wierze ducha prorockiego w Towiańskim. Niestety! o tego rodzaju proroków nie trudno było i zawsze będzie ich więcej, niżbyśmy chcieli. Co do zaniedbania ŚŚ. Sakramentów, nie tail się z tem sam Towiański; uczniowie zaś jego znajdują to dla tego naturalnem, iż dla tego męża nielada rzecz była znaleść godnego spowiednika!..

Co jest właściwie Nauka Towiańskiego, co to jest, co on opowiada, — trudno powiedzieć. Raz, sam to zowie Nowym Zakonem; Mickiewicz podobnież na lekcjach mówi o nowym

Kościele, nowej Ewangelji, nowej Modlitwie Pańskiej; drugi raz oświadczają, że nie jest to wcale nowa religja. — Ale, że i Chrześcjanizm nie był według nich nową religją, tylko dopełnieniem dawniejszej, w czem, z pewnego względu mają słuszność, więc znowu Naukę swoją uważają jako dopełnienie Chrześcjanizmu.

W czem że to dopełnienie widzieć? jak rozumieć?.. Jeżeli np. w przechodzeniu dusz, o którem Towiański prawi, lub w czemś podobnem?. To, oczywista, nie jest dopełnienie Chrześcjaznimu, lecz z gruntu wywrócenie. Jeżeli np. w podnoszeniu ducha do Boga, o czem także wciąż się od Towiańskiego słyszy, lub znowu w czemś takiem?.. Chrześcjanizm już to od dziewiętnastu wieków zaleca. Ogólnie: jeżeli kto ogłasza, niby Chrześcjanizm, opowiadając to, co on zawsze w sobie mieścił i czego zawsze nauczał, tedy w istocie nie ogłasza żadnego i powtarza tylko rzeczy znane; jeżeli zaś co nowego, czego w Chrześcjanizmie nie było i nie ma, tedy przynosi nie dopełnienie, lecz lekarstwo. Wreszcie samo to słowo, dopełnienie Chrześcjanizmu, już jest dostatecznie potępiające. Stary Zakon mógł być dopełniony, w całej bowiem swej treści nosił to, że dopełnienia potrzebował i że je miał otrzymać; ale Nowy, to jest Chrześcjanizm, który sam jest właśnie dopełnieniem, żadnego dopełnienia ani przyjąć, ani oczekiwać nie może, chyba tylko w mniemaniu niewiernych, którzy przedewszystkiem wywracają go i za to czem jest, to jest za Boską, skończoną i jedyną Prawdę, nie mają.

Zapytaliśmy się w prostocie, co jest Towiańskiego Nauka, — ale należy się raczej zapytać, czy to, co Towiański opowiada, zasługuję na imię Nauki? I musimy dać odpowiedź, że, ściśle mówiąc, nie jest to żadna, zła, czy dobra, Nauka, raz na zawsze obmyślona, pewna, wyraźna, tylko bardziej gadanina najrozmaitszej osnowy, zmieniającej się wciąż barwy, nie mająca dotąd, nie tylko u uczniów, lecz u samego mistrza, nic stale określonego i ten ledwo jeden charakter nosząca, że od początku do końca pełna heretyckich błędów.

Jeden z najgorliwszych Towiańskiego uczniów, a moich dobrych przed tem znajomych, gdy o wpisaniu się swojem

do jego koła, do jego hufcu, słowem, do jego sekty uwiadamiał tego samego dnia przyjaciół, spytany do czego się wpisał, — zamyśliwszy się rzekł: jutro mają mi powiedzieć. Jutro mieli mu powiedzieć, do czego się dzisiaj wpisał. To oryginalne i tak godne zacytowania słowo, a ręczę sumieniem, że prawdziwe, i lepiej Towiańszczyznę maluje, niżby mogły najdłuższe opisy.

Uczniowie Towiańskiego przyznawają mu czynienie cudów i proroctwo i tem cześć swą dla jego osoby i wiarę w niego tłómaczą. Najprzód, ponieważ mówią o rzeczach duchowych, nadprzyrodzonych, wiedzieć powinni, a dość jest na to otworzyć same Ewangelje, że i złe duchy czynią cuda i prorokują, przemieniać się nawet mogą, mówi Pismo, w anioły światłości*), więc to jeszcze nicby ostatecznie nie dowodziło. Powtóre, gdzie dowody na cuda Towiańskiego? gdzie dowody na jego proroctwa? Że uzdrowił, powiadają, jedną chorą, że przepowiada zbliżające się wielkie wypadki!

Pierwszego niepodobieństwo jest podciągnąć pod sądy. Osoba, o której tu mowa, już i przed Towiańskim zapadając na swą nieszczęsną chorobę, na chorobę umysłową, przychodziła później do siebie i bywała znów zdrowa. Wreszcie, jak te rzeczy rostrząsać?.. Ten więc cały fakt, nic mu tu nie zaprzeczając, wybiega samą swoją naturą, jeszcze powtórzmy, z pod wszelkich rozbiorów i nie może być istotnie, ani za Towiańskim, ani przeciw niemu, przytaczany.

Co do przepowiadań, te właśnie są zupełnie przeciw Towiańskiemu. Zapowiadał nie raz, nie dwa, wielkie wypadki, termina nawet naznaczając; termina mijały, dawno przeminęły, wypadków dotychczas nie ma. Od półtrzecia roku, jak się pojawił w Paryżu, prorokował koniec emigracji, wskrzeszenie Polski; tymczasem emigracja dotąd jest. Polski niestety! dotąd nie ma. Idą jeszcze inne termina od Towiańskiego wskazane; być może, iż te nareszcie coś przyniosą: ale któż dzisiaj taką rzeczą, nie mógłby się mniej więcej nazwać prorokiem?. Im dłużej na świecie cicho, tym się bardziej spodziewać, że coś zajdzie; im gorzej, tym większych

*) 2 Kor. 11, 14.

zmian wyglądać; im więcej niesprawiedliwości od ludzi, tym więcej nadziei u Boga; nasze zaś w szczególności, jako Polaków, jako emigrantów, nadzieje i oczekiwania są nieustanne. Znam jednego kolegę, który co rok przepowiada, że na Wielkanoc będzie Polska..., i da Pan Bóg, w miłosierdzie Jego wierzym, że na jakąś Wielkanoc proroctwo to rzeczywiście się uiści.

Jacy to ludzie zostali uczniami Towiańskiego? jak mogli tak się mu dać opanować? tak w niego uwierzyć?. Nie mam zarozumiałości wszystkiego tłómaczyć, uważmy jednak cokolwiek, czy to przechodzi wszelkie pojęcie. Przecież bywały na świecie rozmaite Towarzystwa i sekty, daleko jeszcze osobliwsze, a znajdowały także stronników i zapaleńców, znajdowały nawet nierównie prędzej i więcej. Natura ludzka tak jest ułomna i biedna, tak żadnych sama z siebie rękojmi nie dająca, że najznakomitszy nawet człowiek pewnym siebie być nie może. Święci upadali. Kto mniema, aby stał, mówi Pismo, niech patrzy, aby nie upadł*). Każden z nas może zawsze upaść, jak też, szczęściem! może potem zawsze się podnieść. Słabość i złość ludzka, jak moc i dobroć Boska, są ustawiczne. Uczniowie Towiańskiego są to, z małym wyjątkiem, ludzie entuzjazmu i uczucia, przytem nie mający niestety! (w szczupłej gromadce tułaczy, nie trudno się między sobą znać, wreszcie sami to o sobie opowiadają), żadnej wprzód religji, lubo tylko jakąś przelotną i marną**); — to ostatnie nie stosuje się do Mickiewicza, który był szczerym katolikiem i jeszcze może do którego innego. Możnasz się tak bardzo dziwić, a przynajmniej, czyliż nie można tego w żaden sposób pojąć, że ludzie tacy, przygnębieni nieszczęściem wygnania i sieroctwa, stęsknieni próżnią serca, żadnego pierwej i przez tak długo, celu życia nie widząc, wszelkiej karmi, wszelkiej pociechy wyższej, duchowej pozbawieni, wstrzęśli się, płomieniem zapalili na słowa człowieka osobliw-

---

*) 1 Kor. 10, 12.

**) W piśmie podanem do Ministra, o którem wyżej była wzmianka, wyrazili, że słowo Towiańskiego godziło ich z Bogiem, skąd także możnaby wnosić, że wprzód się z Bogiem nie godzili.

szego, w nadzwyczajny sposób, nagle pośród nich stawającego, który samą już postawą, samym tonem głosu, samą swoją dziwnością, silnie imaginację ich uderzył, a mówił często o wielkich, pięknych, szlachetnych rzeczach, o miłości Boga, zbawieniu ojczyzny, szczęściu ludu, braterstwie narodów, życiu duchowem, mówił wymownie, śmiało, górnie... Cóż, że nic z tego wszystkiego nie wytrzyma sądu najkrótszej rozwagi, tak jest na powietrzu, tak w sobie zamięszane, tak urojone, tak wciąż się rozsypujące?.. Zapał rozwagi o radę nie prosi. Cóż, że ten wskrzesiciela ducha, ten mniemany uciśnionych przyjaciel, ten opowiadacz sprawiedliwości na ziemi, ten nowy prorok jest niestety! Wyraźny kacermistrz i co chwila mówi rzeczy, na jakie każdy prawowierny syn Kościoła uszy zatykać musi?. Tego, czemu on tak przed nimi, bądź umyślnie, bądź z niewiadomości, uwłacza, tych prawd, tych świętości, tej Wiary, oni nigdy nie czuli, nie rozumieli, nie kochali, nie pełnili.

Jakże nam tych herezji dowodzicie? kto je u nas śmie widzieć? — wołają oburzeni Towiańszczycy. Mój Boże! dowodzimy łatwo bardzo; posłuchajcie tylko. Dowodzimy przez to, że tę waszą mniemaną Naukę odepchnęli powszechnie wszyscy katolicy, a to nawet z najbliższych waszych przyjaciół; przez to, że was kilkakrotnie, skąd inąd, najżyczliwsi wam kapłani, Doktorowie Teologji Ś. i do których sądu samiście się wprzód odwoływali, publicznie z kazalnicy, o błędy przeciw Wierze upominać musieli; przez to, że wam tacy księża, którzy lepiej mieli sposobność wybadać, co się w Towiańszczyznie kryje, rozgrzeszenia dawać nie chcą, póki się z niej nie cofniecie*); przez to, że jeden z książąt Kościoła, śp. Arcybiskup i Prymas Dunin, ujęty wprawdzie z początku pokorą i jakoby nabożeństwem waszego mistrza, lecz wkrótce lepiej się na nim poznawszy, o błędy gó w wierze obwinił;

*) Nie jest to żadnym sekretem konfesjonału, bo i sami Towiańszczycy o tem rospowiadali, skarżąc się, jakoby na księży i ci księża przestrzegali i przestrzegają otwarcie, iż nikomu, ktoby przystępował do błędów, jakie Towiańszczyzna w sobie mieści, nie mają prawa dawać rozgrzeszenia, podobnież, jak nikomu, ktoby chciał trwać w Luterstwie, Kalwinizmie. i t. p.

przez to, że w Kościele zakładacie, jakoby kościół osobny i wyłączaliście się z towarzystwa wszystkich innych wiernych, nie mając dla swoich nauk, dla swoich opowiadań, dla swoich ćwiczeń religijnych, żadnego od Władzy duchownej upoważnienia; przez to wreszcie, że waszego nauczyciela i ojca, ledwo się pokazał w Rzymie, w mieście Piotrowem, natychmiast stamtąd roskazem urzędu i wcale nie dla względów politycznych, tylko czysto religijnych, oddalono i wyprawiono. Małeż to wszystko dowody?.. Tyle ich mamy, tyle pokazujemy przeciwko wam, a wy cóż macie, co pokazać możecie za sobą? Nie ogłosiliście prawda waszego katechizmu, jeszczeście go nawet sami dla siebie nie złożyli, nie występujecie z żadnemi pismami, choć macie między sobą ludzi piśmiennych, nie pokazujecie na oczy światu nic z waszej Nauki całkowitego, zupełnego. Ale czyż długo potrzeba słuchać któregokolwiek z naczelników waszych, aby usłyszeć taką lub taką herezję? Trzebaż aż Sobory na was zgromadzać, aby was badały, sądziły? Nie dosyć-li mieć, choćby najsłabsze wyobrażenie pierwszych tylko zasad katechizmu, aby was nie znać za prawowiernych, co mówię! aby na was najgrubsze namacać kacerstwo, kiedy twierdzicie, że Chrystus pierwszy po Bogu, że Kościół nie rozumie Ewangelji, że dusze przechodzą, że przechodzą z jednych ludzi w drugich, a nawet w zwierzęta i znów ze zwierząt w ludzi; że będzie nowy Zakon, że się Nowe Słowo urodziło, i t. d., co wszystko bądź sam Towiański, bądź jego i was wszystkich główny tłómacz, Mickiewicz niestety! wyraźnie obwieszcza. O! drodzy i biedni bracia nasi! dokądżeście to zaszli? do jakich błędów, do jakiego zaślepienia?

Nie jest że bowiem u was zaślepienie? które wprawdzie po wszystkich kacerstwach i sektarstwach mniej więcej napotyka, któremu jednak człowiek przytomny nigdy się dosyć wydziwować nie może... Zapowiada wam Towiański koniec bezzwłoczny emigracji, wskrzeszenie bezzwłoczne ojczyzny mówi, że z tą szczęśliwą wieścią umyślnie od Boga jest przysłany... Mijają tygodnie, miesiące, lata, lata całe! nic się z tego nie uiszcza, nie sprawdza, wy jednak wciąż jemu wierzycie; nie jestże to zaślepienie?. Prorokuje mnóstwo wy-

padków innych rozmaitego rodzaju, że Mąż Przeznaczenia jest już na świecie i on, Towiański, ma dla niego konia gotowego, konia już nawet osiodłanego; że pewien monarcha, którego nie chcę tu wymieniać, już Boskim wyrokiem zrzucony z tronu, (a monarcha ten w najlepsze dotychczas panuje, choć już półtrzecia roku od tego proroctwa, czy zwiastowania upłynęło); że na wystawie obrazów w Paryżu, będzie portret Napoleona taki, iż stanie się powodem rewolucji, i t. d. i t. d... Upływają znowu lata, najmniejsze dziecko widziało już i dawno okrzyczało, że te wszystkie mniemane proroctwa, były tylko brednie chorego, nieprzytomnego umysłu, wy nie widzicie, wy na to niemi: nie jestże to zaślepienie?.. Opowiada przed wami, jak wczoraj przyszli do niego Święci z Nieba, Ś. Jan, Ś. Kazimierz, lub inny, dzisiaj Matka Boska, w nocy sam Chrystus, jak po godzinach z niemi rozmawia, o co chce, ich wypytuje, i t. d... i wiecie, że zaraz, ledwo prawie Matka Boska, czy Chrystus Pan odeszli, on spieszy... dokąd?. na Wielką Operę i balet, orzeźwić się, jak powiada, po fatygach ducha i to wam także zdaje się naturalne! Nie jestże to zaślepienie?.. Ostrzegają was wszyscy, wszyscy mówię, gdyż na całą Emigrację was Towiańszczyków, ledwo jest kilkudziesięciu, ostrzegają, żeście się wciągnąć dali w rzecz bałamutną, niedorzeczną i szkodliwą; gorliwsi w Wierze dodają natychmiast, że to także wyraźna herezja. — Przyjeżdża z Rzymu kapłan, człowiek z najbliższych przedtem waszych przyjaciół i braci*), bada rzecz i wnet wam błąd wasz okazuje; odwołujecie się do drugiego, ten drugi**) również was tak samo osądza; odwołujcie się do trzeciego, którego zdanie więcej niż dwóch pierwszych ważyć sobie chcecie. Staje pośród was i ten trzeci***) widzi się w długiej rozmowie z waszym mistrzem, najmocniej was, najnieodwołalniej, jako ludzi w kacerstwie zabrnionych upomina, przestrzega, upamiętać się stara. — Jedzie nakoniec wasz mistrz do Rzymu, po ostateczne zawyrokowanie; tam mu,

*) Ks. Duński.
**) Ks. Kajsiewicz, dr. Teol. Št.
***) Ks. Semenenko, dr. Teol. Št.

jako buntownikowi przeciw Kościołowi, jako niebespiecznemu marzycielowi i nowatorowi, w tejże chwili pobyt nawet jest wzbroniony... Wy, wy to wszystko wiecie, śród tego żyjecie i na wszystko niewzruszeni, niczem się nie obaczacie, niczem osądzić nie chcecie, przy swojem ciągle trwacie; nie jestże, pytam się jeszcze raz, nie jestże to zaślepienie, najgrubsze, najdziwniejsze zaślepienie?

Mogliżbyście nam dać jakikolwiek, nie mówię słuszny, ale choć pozorny powód trzymania i dziś jeszcze z Towiańskim?.. Cóżeście jemu winni? cóż on wam przyniósł? czego was nauczył? jakiej mądrości, jakiej cnoty?.. Cokolwiek od niego macie, jest albo niedorzeczność, śmieszność, grzech, albo jeśli co dobrego, szlachetnego, wszystko to mieliście, daleko też czystsze, istotniejsze, w wierze Apostolskiej Katolickiej. Gdybyście chcieli być prawowiernymi synami Chrystusowego Kościoła, żadnemu by z was, o bracia pożałowania godni, nie trzeba było wynalazków, czy P. Towiańskiego, czy P. Gutta, czy kogobądź z tysiącznych proroków, proroczków i prorokiń, jakich teraz tak pełno po świecie*). Jeśli To-

---

*) Mało w jakim czasie, można by było tyle co dzisiaj, znaleść rozmaitych nowatorów, bałamutnych mistyków, wynalazców religji, między którymi nie rzadko także, spotkać najdziwniejszych oryginałów, zagorzalców, półwarjatów nawet. We Francji, kilku jest cokolwiek głośniejszych. Jeden, (Glouton), podpisuje się «Christ du second avènement» i drukuje niestworzone rzeczy; drugi, (Albert), autor wielu niby prorockich książek, pokazał się przed paru laty ubrany w infułę na pewnym jarmarku, obwieszczając się prorokiem, za co poszedł potem do kozy; trzeci, (Pierre-Michel), który w liczbie swych uczniów, miał nawet osoby znaczniejszego w świecie położenia, został niedawno wyrokiem sądowym, jako oszust nadużywający łatwowiernych, na pięć lat więzienia skazany, i t. d. i t. d. W Emigracji naszej mamy również, prócz uczniów P. Towiańskiego, kilku podobnego rodzaju nowatorów, którzy na swoją rękę układają, czy już podobno ułożyli jakąś religję, skarżą się na nadużycia i błędy Kościoła, mają swoje osobne objawienia, swoje cuda, swoje uzdrowienia, swoich wyznawców, etc. Słyszałem, że i w kraju są tacy. Ja tę chorobę epoki, w jakiej żyjemy, tak szczególniej tłómaczę, że już umysły powszechnie przerażone są skutkami irreligji przeszłego wieku i czują potrzebę zbliżenia się do Boga, ale, że dla pychy ciężko, a dla złych nałogów życia niedogodnie jest poddać się temu, cośmy niedawno, jako niby przesądne odrzucali, a co na namiętności i żądze ciasny hamulec wkłada, więc zamiast wrócić po prostu do Kościoła, włóczą się po za jego świętemi ściany, bijąc o nie głowami. Darmo jednak! bo nie przebiją. Oby raczej, *jak najprędzej we środek* weszli. Strzeżmy się, napisałem już gdzieindziej,

wiański każe wam boleć nad ludu uciskiem — tę boleść, tę boleść świętą podsłuchał tylko w sercach chrześcjańskich; jeśli was chce uczynić gotowymi do ofiar, do poświęcenia się, — Kościół nasz, Kościół waszych ojców, Kościół z którego wasz wice-mistrz, wice-prorok szydzi teraz publicznie z katedry, wynosił w swem łonie, urodził i wykarmił, czci i do naśladowania stawi krocie, miljony Męczenników. Jeśli wam modlitwę i ofiarowanie się Bogu zaleca — to jest chleb powszedni wszystkich wiernych w Kościele; jeśli uczy was jakiejś miłości, jakiegoś braterstwa w waszem tylko maluchnem kółeczku — Kościół Ś. przykazuje miłość nieograniczoną, ustawiczną, niczem niezmęczoną, błaga o nią, wszczepia ją w sercach swych dzieci, dla wszystkich, dla wszystkich ludzi bez wyjątku. Jeśli wam z siebie chce dawać jakiejś pojedyńczej cnoty przykład — Kościół zaludnił Niebo Świętymi i liczbę ich codzień pomnażał! Wy, którzy mieliście szczęście urodzić się w Kościele Rzymsko-Katolickim, a dziś po nabożeństwie i uświęcenie się, udajecie się raczej do takich, jak Towiański, albo jak Glouton, jak Albert, jak Pierre-Michel, i t. p. — czynicie się podobni dziedzicowi, coby zamiast używania bespiecznego ogromnych, niezmiernych bogactw, nagromadzonych dla siebie w domu ojca, wyszedł Bóg wie, gdzie na złodziejkę i cieszył się, że dostał tam parę przecie jakichś szelążków! Cóż więc tedy, odpowiedzcie nam, odpowiedzcie sami sobie, zyskaliście, coście dostali z łaski tej Towiańszczyzny?.. Czy tę waszą Spowiedź, te waszą Komunję, do jakiej pierwej, największa część między wami,

---

iżbyśmy się w sumieniu nie zwodzili i albo nie zaspakajali romansowym i czczym pietyzmem, przestającym, że tak powiem, na ogólnej jakiejś tylko względem Stwórcy grzeczności, do niczego właściwie nie obowiązującej, albo nie brnęli w zgubne jakiekolwiek nowości i urojenia, których za dni naszych jest tak pełno rozmaitego kształtu, gdy się już umysły przestraszyły okropnościami irreligji, a nie mają jeszcze dość prostoty, by szczerze zejść napowrót na drogę starą, zawsze prawdziwą, zawsze jedyną i zawsze dla wszystkich, co po niej wiernie pójdą, zbawienną. Gdy, mówię, wstydzą się już i rozumieją Woltera, ale jeszcze nie czczą i nie rozumieją Papieża i owszem, hołdując ciągle w gruncie tej dumie i niekarności ducha, jakiemi je zaraził filozofizm, śmią wynajdować, niby nowe Prawdy, nowe Kościoły, nowe Zakony, ledwie nie nowego Pana Boga!» (*Wiecz. Pielgrz.* t. II.)

przystępować niestety! nie chciała? Wielka to rzecz, niezmierna rzecz, niezawodnie! Pomnijcie tylko, że jeśli strasznem jest nieszczęściem, nie chcieć mieć w Sakramentach uczestnictwa, straszniejszem nierównie używać ich źle. Jakaż i czem jest wasza Komunja, kiedy Chrystus jest dla was pierwszy tylko po Bogu i tylko nad jedyną, czy kilku planety panujący? Jakaż i czem jest wasza Spowiedź, kiedy, jakem to wyżej przywodził, kapłani znający wasze religijne bałamuctwa, nie chcą, nie mogą dawać wam rozgrzeszenia, póki w tych bałamuctwach trwacie?..

Głośno bardzo mówicie o czynach, o czynie, bawicie się, zdaje się, w to brzmiące słowo, jesteście, powiadacie ludzie czynu, zaczynacie epokę czynów; insi niosą słowa tylko, wy przynosicie czyn, poezja nawet wasza ma być poezją czynu, wszędzie to słowo wtykacie, wciąż się niem popisujecie... cóż to znów w tem za osobliwsza mistyfikacja? czy z drugich, czy z siebie żartujecie? Boć przecie, kochani bracia! zastanówcie się tylko, gdzież proszę te wasze takie czyny? kto je widział? kto o nich słyszał? co wy takiego czynicie? coście uczynili? co czynić choćby zaczęli? Już dwa lata i pół, jak o tych czynach gadacie.

Jest jedna cecha, wszystkim Towiańszczykom spólna — musi więc być nie do osób, lecz do rzeczy samej przywiązana — która także bardzo Towiańszczyznę potępia i złe jej pochodzenie, złą naturę od razu pokazuje: oto wyłączenie ze społeczności innych chrześcjan, z pozrywaniem nawet najbliższych przedtem stosunków z kolegami, przyjaciołmi, krewnymi i uformowanie całkiem odrębnego kółka, ligi, jak sami się dziś wyrażają. Bracią zowią się tylko pomiędzy sobą, nikogo z tych, co w Towiańskiego nie wierzą za brata, za znajomego nawet nie mając, do tego stopnia, iż rzadko któren Towiańszczyk odkłoni się, słowo raczy odpowiedzieć takim nawet ludziom, co nie tylko nic mu nigdy złego nie zrobili, żadnego zajścia z nim nie mieli, ale owszem, z którymi w najsłodszy sposób był połączony, dla których nawet miał i chętnie wyznawał, pewne zobowiązanie się*). Temu, że tak

*) Jeślibyście pozdrawiali tylko bracią waszę, cóż więcej czynicie?

powiem zdziczeniu, ulegli między nimi, nie tylko ludzie charakterów gwałtowniejszych, ale i tacy, co byli pełni uprzejmości i łagodności. Takie wyzucie się z wszelkich związków serca, takie głębokie i powszechne zobojętnienie ku bliźnim, ku chrześcjanom, ku rodakom, jest istotną okropnością, graniczy bowiem z bliska bardzo z nienawiścią, jeśli już nią nie jest... Z owoców ich poznacie je.*) — A możeż być straszliwszy owoc nad nienawiść?... Emigranci zbierają śród siebie, jak wiadomo, różne dobroczynne składki, — do jakich składek niektórzy z Towiańszczyków, nie wiem jeszcze czy wszyscy, przestają należeć, oświadczając, że podobne składki chcą odtąd czynić tylko dla braci, to jest dla wyznawców Towiańskiego. Mają oni zwyczaj nazywać wszystkich, co ich przekonania nie dzielą, a zwłaszcza co szanują i pełnią, ale nie na ich sposób, pobożność, Faryzeuszami. Nie do rzeczy będzie, dla objaśnienia tych kochanych i złudzonych braci, przytoczyć następny naprzykład opis istotnych Faryzeuszów: «wielką ich pretensją było, jakoby znali i pełnili zakon daleko lepiej od innych, jakoby tedy byli nierównie świętsi i doskonalsi; uważali więc drugich Żydów jak grzeszników i profanów; odłączali się od nich, ani pić, ani jeść z nimi nie chcieli. Stąd poszło nazwisko ich Faryzeusze, od wyrazu phares, który w hebrajskiem znaczy odłączać.»**) — Któż teraz podobniejszy do Faryzeuszów?

---

azaż i poganie tego nie czynią? Mat. 5, 47. — Zaszło prawda takie zdarzenie: jeden z uczniów Towiańskiego, który z innym spół-emigrantem był oddawna poróżniony, w taki nawet sposób, że o tem powszechnie wiedziano, udał się do niego, zostawszy Towiańszczykiem, pierwszy przeprosił. Był to niezawodnie postępek szlachetny i godny wyższej duszy, zróbmy wszakże uwagę, iż nie trzeba na to nowych religji, ani nowych mistrzów i że obok tego przeproszenia, o jakiem Towiańszczycy tak głośno na razie mówili, źle i całkiem nienaturalnie odbija zachowywanie się ich ogólno, pozrywanie z krewnemi i najbliższemi przyjaciołmi, unikanie wszystkich bez wyjątku nie-Towiańszczyków. Przeprosili się z jednym, a poróżnili z tysiącem!

*) Mat. 7, 16.

**) Leur grande prètention ètait, qu'ils entendaient et observaient la loi beaucoup mieux que les autres, qu'ils ètaient conséquemment beaucoup plus saints et plus parfaits; ils regardaient donc les autres Juifs comme des pécheurs et des profanes; ils s'en séparaient, ils ne voulaient ni boire

Co tylko tu o Towiańszczyznie przywodzę, wszystko jest z najpewniejszych źródeł; cokolwiek o niej, jako osobnej Nauce, mówię, wychodzi bądź wprost od samego jej wynalascy, Towiańskiego, bądź od jego głównego apostoła, Mickiewicza. Uważa także czytelnik, iż ani chcę dotykać całej jednej jej strony, o jakiej skądinąd tak wiele słychać: strony śmiesznej. Winienem ten wzgląd osobom, winienem go także związkom moim przeszłym; nie przystoi też żart, choćby najnaturalniejszy i zupełnie przeciwnika porazić mogący, gdzie w gruncie rzecz jest poważna i, tak jak tu, w skutkach swoich wielce owszem żałobna i nieszczęsna.

Że ludzie baczni i Wiarę ś. szanujący, wszędzie Towiańskiego i jego mniemane poselstwo od Boga jednakowo sądzą, przytoczę na dowód następujące miejsce z świeżego listu z Szwajcarji. Pisze go do swej przyjaciołki w Paryżu*), pewna Polka równie z światła, jak pobożności i wszelkich domowych cnót znakomita i której słowa na tem większą w tym razie uwagę zasługują, że była dotychczas najszczerszą wielbicielką Mickiewicza: «Wiadomo Pani, jaka była nasza wiara i uwielbienie dla Mickiewicza do tego stopnia, że pomimo okrzyków ogólnych na Towiańskiego, powaga jego opinji nie dozwalała nam potępiać tego, co choć trochę dziwacznem wydawało się, wyobrażał on nam, jako święte i prawowierne... Aż przy końcu Listopada pisze — (kto inny, nie Mickiewicz) — że Towiański wracając z Włoch, będzie w L *. i bardzo prosi, ażeby mój mąż korzystać chciał z tego zdarzenia i przekonał się o tych wielkich prawdach i świetle, które on w sobie nosi. Jakoż mój mąż chcąc wiedzieć o co idzie, miał tylko trzygodzinne konferencje z Towiańskim i przekonał się, jak najoczywiściej, wyciskając lichą treść z bezdennego chaosu bredni, że to wszystko jest fałszem, obłudą, że ten człowiek mieniący się być posłannikiem Bożym, pierwszem Objawieniem od Chrystusa, wyrzeka, że Kościół w błędzie, że nikt

---

ni manger avec eux. De là leur était venu le nom des pharisiens, du nom pharas, qui en hébreu signifie separer. (Hist. de l'église cathol., par l'abbé Rorbacher, t. III, p. 522.)

*) Szanownej Pani Hofmanowej z Tańskich.

do tej pory Ewangelji nie zrozumiał, że Jezus pierwszy po Bogu i tym podobne herezje, że już nie wspominam o dziwactwach najśmieszniejszych, o przechwałkach najpróżniejszych, niegodnych nie tylko Proroka, ale najśmieszniejszego człowieka.... Upoważniam, nadto proszę, kochaną Panię, abyś to wiedzieć dała naszym i swoim znajomym.» List ten, zajmujący treścią i pięknie bardzo napisany, pokazywany był, zgodnie z życiem piszącej, niektórym osobom; nie masz więc zapewne z tej strony niedyskrecji, że mając go także w ręku, pozwoliłem sobie, na poparcie prawdy, dać tu z niego wyjątek.

III.

Teraz słowo o kursie Sławiańszczyzny.

Kurs ten, sądząc zwłaszcza po lekcjach w teraźniejszym szkolnym roku, powinienby się raczej nazywać kursem Towiańszczyzny i dla tego muszę tu o nim mówić. Gdyby pojawienie się Towiańskiego żadnego gorszego skutku nie miało, tylko, że nam olśniło i w oczach naszych niweczy Mickiewicza, jużby powinno być od całej Polski przeklęte. Strata takiego męża jak Mickiewicz, byłaby w każdym czasie jego życia i w każdem położeniu stratą publiczną; staje się zaś stokroć większą, gdy przypadła właśnie w punkcie samej władz jego dojrzałości i w położeniu, w jakiem mógł znacznie sprawie ojczystej służyć: katedrę bowiem w Kollegjum Francji można niejako uważać za Europejską mównicę. Kto Mickiewicza znał tylko z tego, co dotychczas wydrukował, ten go prawie jeszcze nie znał. Trzeba było przestawać z nim w towarzystwie ścisłem i długiem, aby wiedzieć, ilu nadzwyczajnemi i rozmaitemi siły tę istotę Opatrzność obdarzyła, ile w nią piękności umysłu i serca tchnęła. Dziś, wróciwszy z której jego prelekcji, a niedawno jeszcze do tej samej samotnej mojej, samotnej naszej izdebki, gdzie przez lata przywykły byłem dzień w dzień go koło siebie, jak brata widywać i dziwić mu się i z niego się budować, dumam o nim

jak o wspaniałej tylko, niestety, ruinie!.. Obyż Bóg miłosierny przywrócił tam jeszcze dawne życie, to jest światło swoje i prawdę!

Jak tylko Mickiewicz na tę Towiańszczyznę zachorował, zaraz się to zaczęło objawiać i w jego kursie, z początku wprawdzie nie wyraźnie. Rosło w miarę dłuższych stosunków z Towiańskim. Wkrótce poznawać łatwo było, jak istotny przedmiot kursu, literatura narodów Sławiańskich, coraz przed okiem profesora, za jakąś mgłę zachodziły. Natomiast występowało w słowach jego jakieś osobliwsze, nieopisane sektarstwo. Dziwne zamięszanie i nieład opanowały prelekcje; zaczęła się w nich mowa o nowej erze ludzkości, o nowym mesjanizmie! Na końcu przeszłego szkolnego roku oznajmił Mickiewicz z katedry, że przyszło na świat Nowe Słowo i trzeba je tylko uznać; w teraźniejszym nareszcie, stracił już wszelką miarę, przestał być, można powiedzieć, profesorem i otwarcie wywiesił chorągiew sektarza. Mówi, cośmy już wyżej wspominali, o nowym Kościele, o nowej Ewangelji; do tego nawet stopnia zaciekł się i poszedł na przebój najprostszemu rozsądkowi, najpospolitszej przyzwoitości, że owo pismo Towiańskiego, którego ogłoszenie tak go było na razie gniewało, ową prawdziwą banialukę, niegodną czytania, a różnemi kacerstwy i niedorzecznościami nadzianą, Biesiadę, ogłosił teraz za arcydzieło i płód nadziemskiej mądrości i jako rzecz nad wszelkie pochwały, nad wszelkie wyższą uwielbienie. Raz przyrównywa prawie tę nudną i ckliwą bazgraninę do Ewangelji, to znowu mówi o niej, niby o nowej Wieczerzy Pańskiej, zowiąc ją la Cène!

Kurs dzisiejszy Sławiańszczyzny, nie może wytrzymać żadnej krytyki. Są w nim zapewne nieraz jeszcze zabłyski niezmiernego talentu, momenta wielkiego poety, lecz w ogólności, jest to tylko dziwaczna i dumna mięszanina herezji i niedorzeczeństw, gdzie nawet czasami nie ma zgoła najmniejszego sensu. Kiedy Mickiewicz puszcza szyderstwo i pogardę na Następcę Piotra ś., wyśmiewa kardynałów, miota obelgi na wszystkich innych księży, zowiąc ich naprzykład kupczykami, (de commis

voyageurs)*) — kiedy się rzuca na Kościół Chrystusowy, niesie pochlebstwo wszystkim jego wrogom i potwarcom, albo, dla pozyskania niegodnych siebie, chcę mówić, niegodnych dawnego Mickiewicza, oklasków pewnej części słuchaczy, wywleka zwietrzałe i ledwie nie uliczne deklamacje Constitutionela; jest wtedy zaślepiony, gorszący, staje na równi z tymi, nad którymi niedawno sam się litował**); jest płaski, lecz ma przynajmniej cel przed sobą, wie o czem mówi i słuchacz wie o czem słyszy. — Nie można tego przyznać, kiedy zacznie na przykład o tej nieszczęsnej Biesiadzie, którą zdaje się wziął za główny tegorocznego kursu przedmiot, albo prawi o duchach i aniołach ludów, jak się będą w przyszłości z sobą łączyły, jaki ubiór noszą, jakie płaszcze i t. d. — W napaściach na Kościół, tem się niekiedy pragnąłby niby maskować, iż dodaje mu nazwę urzędowego, jak gdyby był drugi jaki istotnie nieurzędowy, a prawy i Boski. Kościół nasz jest istotnie urzędowy, stąd też właśnie tak poważny i święty. Apostołowie, byli to istotnie urzędnicy i wielcy bardzo; następcy ich, Biskupi, równie, jak wszelkiego stopnia kapłani, są istotnie prawi i poświęceni, każdy według swego miejsca, urzędnicy; naczelnik i widoma Głowa Kościoła, nosi na sobie istotnie najwyższy na ziemi urząd, urząd Namiestnika Boskiego. I możemy tu zaraz przydać uwagę, że wszelki sektarz, wszelki marzyciel i nowych religji wymyślacz, dla tego już samego jest koniecznie wilkiem w owczarni Pańskiej i, jak się wyraża Skarga,

---

*) Powiada, że jak kupczyki tam tylko niosą swój towar, gdzie wiedzą, że ludzie go chcą sami... Możnasz z podobnym mówcą wchodzić w rosprawy? Więc i na misjach naprzykład, gdzie do dziś dnia leje się krew katolickich misjonarzy, są oni tylko kupczykami, łatwy odbyt na swój towar znajdującymi?.. A przecież, że nie tylko tam idą, gdzie pewni są dobrego przyjęcia, ma Mickiewicz dowód, że i do niego samego kilku takich kupczyków, kilku gorliwych kapłanów przychodziło, aby go upamiętać, choć także niestety! na towar swój, to jest za prawdę Boską, ochotnika w nim nie znaleźli.

**) Kiedy ks. Lamenais, zapomniawszy także całej swojej zaszczytnej przeszłości, wydał podobnież wojnę Kościołowi i poszedł w pismach swych, gdzie zawsze jeszcze znać wielkie pióro, na służebnika i pochlebcę najgminniejszych namiętności i przesądów, Mickiewicz mówił o nim: «jest

dusz rozbójnikiem, że jest samosłańcem, to jest nie posłanym od Boga, nieprawym, nieurzędowym nauczycielem, mistrzem.

Nie mam potrzeby wchodzić w inne rozmaite szczegóły kursu niegdyś Sławiańszczyzny, dziś, powtarzam, Towiańszczyzny. Oskarża Mickiewicz Kościół, że od tego, czem był w pierwszych wiekach Chrześcjaństwa, jest dzisiaj całkiem inny. Mój Boże! oklepane to słowo wszystkich, we wszystkich czasach i narodach, odszczepieńców. I Luter i Kalwin i wszyscy ilu ich było, nie co innego śpiewali; ale jak Luter i Kalwin i wszyscy insi z tegoż wojska, tak myli się i Mickiewicz, gdyż Kościół nigdy nie był inszy i nigdy nie będzie. Był, jest i będzie nieodmienny i niewzruszony i zawsze jednakowy, jak Ten, który go postanowił i który jest jego prawdziwą, acz niewidomą Głową. Z jątrzenia umysłów przeciw Stolicy Apostolskiej, przeciw duchowieństwu, jakiż, pytam się, gdyby nawet na sam tylko ziemski interes baczność dawać, jaki może być dziś pożytek? jaka i dla kogo chluba? Czyliż trzeba do tego aż takich ludzi, jak Adam Mickiewicz, co równie dobrze, może i lepiej, potrafi lada redaktor najlichszego dzienniczka, lada półgłówek, lada najpospolitszy bezbożnik?*)

Niech Mickiewicz brnie wreszcie, gdzie mu się podoba, powstrzymać go niestety! nie w naszej mocy; niech rozszerza lub sam zakłada sekty — choćby był większym jeszcze poetą, sławniejszym człowiekiem, mocarzem nawet, jednak Kościoła Chrystusowego, któremu Bóg trwanie do skończenia wieków zapewnił, nie zachwieje, ani mu najmniej nie zaszkodzi, możemy być o to spokojni, a sekty być muszą i zawsze były... Muszą przyjść zgorszenia, a wszakże biada

---

to wprawdzie ten sam co dawniej, niepospolity malarz, ale, który odrywając pędzel od rzeczy poważnych i szanownych, puścił się na malowanie... szyldów karczemnych.»

*) Mickiewicz mówiąc niedawno, że Kościół wszystko, co w sobie ma żywotnego, bierze od laików, użył w złości wyrażenia kradnie, że kradnie od laików konferencje, styl, i t. d. Z jednego takiego słowa, możnaby już prawie wnosić, co się teraz w sercu Mickiewicza i co na jego kursie dzieje.

człowiekowi onemu, przez którego zgorszenie przychodzi *). Lecz niechże nie porywa takich, co za nim nigdy nie poszli, gdyby powiedział prawdziwie dokąd leci, niech ich nie zwodzi, jak niestety! sam siebie dał zwieść zapewnieniami, że wszystko w dzisiejszych jego wyobrażeniach, jest w gruncie prawowierne i katolickie...

Są młode, szlachetne umysły, tkliwe, ogniste serca, co usłyszawszy od uczniów Towiańskiego piękne niektóre słowa o miłości ludu, o wprowadzeniu Ewangelji w życie i t. p., słowa, do których szerzenia i uiszczenia nie masz potrzeby nowych religji, lgnąć mogą do Towiańszczyzny, mając ją, tak im bowiem zapewniają, za rzecz nie przeciwną ś. Wierze Katolickiej; gdyby zaś wiedziały, co w sobie mieści, jak najmocniej by ją odepchnęły — te serca chciałem objaśnić, przestrzedz.

Niech teraz sądzą, wybierają.

Z tych nawet, co są już Towiańszczykami, nie masz że żadnego, który by się za nic w liczbę uczniów nowego mistrza nie wpisał, gdyby mu ten nie zaręczył, że Nauka jego nie ma nic przeciwko Kościołowi? Nie masz że nawet żadnego, który wyraźnie przed wpisaniem się oświadczał Towiańskiemu, iż koniecznie takiego zaręczenia żąda od niego?.. Otrzymał je i przestał na tem! Był to zbawienny i prawdziwie święty głos sumienia, była to łaska Boska ostrzegająca; niestety! czemuż je w sobie tak łatwo dał zagłuszyć!..

Ale wszedłszy do jakiego wyłącznego Towarzystwa, a jeszcze tak się we wszystkiem oddzielającego i w sobie tylko zawartego, jak jest u sekty, o której to piszemy, krok za krokiem i dzień po dniu, zajdzie się powoli, dokąd by się nigdy od razu powieść nie dało; jednak krok zły ciągnie za sobą drugie gorsze. Po gruncie pochyłym i śliskim, łatwo się coraz osuwać; aż na koniec mnóstwa się już rzeczy nie czuje, nie postrzega; przyłączy się jeszcze upór, wstyd fałszywy i upamiętanie się, robi się prawie niepodobne...

---

*) Mat. 18, 7.

Mickiewiczu! Adamie mój drogi i biedny! ty, który tyle lat zwałeś się przyjacielem i bratem i sam nim dla mnie byłeś, który mnie znasz, jak ja ciebie, ty łatwo pojmiesz... Nie! nie, ty już dziś tego nie pojmiesz, jaki żal serce moje ogarniał, jaki mnie smutek przeszywał, kiedy ręka moja pismo niniejsze kreśliła, gdzie przeciw tobie, tyle nawet słów goryczy pełnych użyć musiałem, przeciw tobie, którego i teraz, choć już nieprzyjaciela Boga mojego, jeszcze całą duszą kocham i niewypowiedzialnym sposobem żałuję, żałuję tysiąc razy bardziej i okropniej, niż gdybym cię widział przed sobą umarłym!.. Długom milczał, dłużej może, niż obowiązek pozwalał; jeżelim zawinił tem milczeniem, niech mi Bóg przebaczyć raczy, czyniłem to przez miłość — czyniłem także w nadziei, że cię sam czas uleczy. Lubom dotąd publicznie na błąd twój nie uderzał, lubom nawet z początku starał się go ile możności przed ludźmi zakrywać, zmniejszać, tłómaczyć — wiesz, czy w poufałych stosunkach przyjaźni naszej, byłem co do tego ospały, czym cię nie zaraz od najpierwszej chwili przestrzegał, nie dosyć o tem do ciebie mówił i pisał, czym zaniedbał, z narażaniem się nawet, wskazywać szczerze, dokąd cię to prowadzi, czym ci nie dosyć w tem gorliwości i serca pokazał. Pogardziłeś, odepchnąłeś, zapomniałeś wszystko! Brnąłeś dalej; dziś cię ani poznać nie mogę. Milczeć jeszcze, byłoby niegodną już męża, niegodną chrześcjanina słabością. Tyś jawnie wojnę na Chrystusa, na Kościół, na Wiarę ś. poniósł — ja, acz najsłabszy żołnierz i służebnik, stawię się w ich obronie na moje miejsce i oto masz mię przeciw siebie oko w oko. Choć siły moje uznasz nie równe twoim, uczcisz we mnie przynajmniej szczerość i gotowość. Ileż to razy, w długich rozmowach i boleściach naszych, nad losami drogiej i nieszczęśliwej ojczyzny, kiedyśmy sobie nawzajem najskrytsze myśli wynurzali, mieliśmy oba to zdanie, to uczucie, to przekonanie najgłębsze, iż ś. Wiara Rzymsko-Katolicka, jest koniecznym wskrzeszenia jej i bytu warunkiem. Adamie mój! gdzież dzisiaj w tobie to zdanie, to uczucie, to przekonanie?.. O! przez miłość Polski, przez miłość całej twojej przyszłości doczesnej i wiecznej, dopomóż modlitwom na-

szym, któremi dawni i wierni przyjaciele twoi, codziennie prosim za ciebie Boga, i przy łasce jego stań znów przed nami, dawnym Mickiewiczem, powróć nam braci, których za sobą w złe porwałeś, stań znów czem byłeś: wiernym chrześcjaninem, wielkim pisarzem, chlubą i przykładem ziomków.

ANNEKSA.

(Anneks A.)

«Upraszа się łaskawych braci o uczestnictwo w nabożeństwie odbyć się mającem, w kościele arcy-katedralnym Paryskim, Nôtre Dame de Paris, na dniu 27 września, o godzinie ósmej i pół z rana, w intencji przyjęcia i podziękowania za łaski zlane przez Pana.

Adam Mickiewicz.

25 Września, (1841 r.)»

W tem wezwaniu, w tem pierwszem publicznem Towiańszczyzny słowie, jest już coś zamięszanego; domyślałbym się nawet, że redagował je raczej P. Towiański, a P. Mickiewicz tylko podpisał. Nikt z pisarzy, a tem bardziej P. Mickiewicz, nie powiedziałby w chwili zupełnej baczności: w intencji przyjęcia i podziękowania za łaski zlane.

(Anneks B.)

«Kochani Bracia, pozwólcie przemówić do was w tej świątyni, gdyż gdzieindziej nie wolno mi było tego uczynić i udzielić wam po Kommunji świętej, do której mnie niegodnemu, dozwolił Pan przystąpić dzisiaj, słowa pociechy i radości.... Przychodzę tu do was, żeby się z wami zapoznać, żeby się ku wam zbliżyć, żeby się z wami porozumieć... Nie przynoszę wam ani mądrości rzeczy ludzkich, ani nauki, ani umiejętności, bo tych więcej odemnie posiadacie.... tylko przchodzę z poleconem mi uwiadomieniem.... Od dawna serce moje gorąco pragnęło oświadczyć wam, iż wybiła godzina miłosierdzia Pańskiego; lecz mi to dozwolonem nie było; teraz zaledwie nadeszła chwila, kiedy mi z wysoka roskazano objawić wam, iż wstąpiliśmy w nową epokę, w epokę łaski.... Niechaj was, kochani Bracia, to wyrażenie «z wysoka» nie zadziwia — albowiem wszystko i zawsze na

święcie odbywa się tym trybem, że, gdy złość ludzka dojdzie do ostatniego kresu, tak, że już dłużej najmędrsza Opatrzność ścierpieć nie może, przedsiębierze natenczas ku temu zbawienne i zaradcze środki i wszystko wprzód musi być osnowane i wykończone w sądzie najwyższej Mądrości w górze, nim zejdzie w krainy ducha, w karby realnego i praktycznego życia na ziemi... Weźcie przed oczy całą historję, wszystkie dzieje ludzkości, stary i nowy Testament, wszędzie i zawsze to samo znajdziecie. — To samo i dzisiaj odbyć się ma w naszej społeczności, z tą tylko różnicą, że co dawniej odbywało się długą koleją czasu i w zawiłych rewolucjach, to teraz nagle i rychło się dokona. A dzień dzisiejszy, w którym tu was wezwano, jest dniem wielkim i znaczącym, w całem rozwijaniu się tego ogromnego dzieła, w którem naród nasz, tak mocno przez nas ukochany, znajdzie dla siebie byt niepodległy i szczęśliwy. — Przychodzę więc uwiadomić was, że wkrótce wszystkie nasze cierpienia ustaną, wszystkie cierpienia ludzkości z siły materjalnej pochodzące przeminą. Ewangelja obejmuje w całej rozległości swe panowanie, zajaśnieje nie w słowach i formach, ale w sercach wszystkich i ludy wolnością pocieszone będą.... Przychodzę wzywać was do uczestnictwa w tem wielkiem dziele, was, pierwszych w niem urzędników: dają wam do tego niezaprzeczone prawa wasze cierpienia, trudy i poświęcenia się... Tak jest, wkrótce to wszystko na własne oczy ujrzymy; błoga ta epoka dla naszej generacji przeznaczona. W naszej to generacji powołane przez Opatrzność osoby, zajmą swoje stanowiska i wszystko co im poruczone, rozwiną i uskutecznią.... — Owóż co wam miałem powiedzieć. Lecz, że materja ta wielce jest obszerną, dzisiejsze nasze zebranie, uważajmy tylko, jako zagajenie rospoczętej kwestji; w następnych, jeśli, jak dzisiaj łaskawą obecnością zadowolnić mię raczycie, szczegółowiej wszystko zgłębimy. Ofiaruję wam, kochani Bracia, skromne usługi moje, doświadczenie całego życia mojego i wszystko, cokolwiek użytecznego za mojem pośrednictwem zrobić się może. Nie szukajcie jednak we mnie nauk i talentów, które sami posiadacie. Nie wiem dla czego, przez największe miłosierdzie Boskie, powołany zostałem do misji, którą zaczynam spełniać, udając się do was. Z powołania mojego, nigdy nie przekroczę w żadne inne przewodnictwo, ale na właściwem mojem stanowisku, w poświęceniu się, trudach i pracy dla was, nie ustanę... Mam za najświętszy sobie obowiązek oświadczyć, iż w całem tem dziele, ani na chwilę myśleć o sobie nie będę, bo mi to wzbronione i żadnej najmniejszej korzyści osobistej nie otrzymam; a jeśliby kto z was w postępowaniu mojem, czy z wami publicznie, czy gdzie na stronie, znalazł co nieczystego i przeciwko temu co zapowiadam, wzywam każdego, aby pasmo grzesznych dni moich natychmiast przeciął. Na tem kończę dzisiejsze moje przemówienie i tylko dodam, że dla łatwiejszego rospoznania ważnego przedmiotu, który nas zajmuje, będziecie mieli, kochani Bracia, pismo przezemnie ułożone i ogłoszone drukiem. Teraz zaś, powołując was do wielkiego uczestnictwa, mogę uroczyście zapewnić, że już dzieło Pańskie rospoczęte zostało!»

Mówi tu P. Towiański, że mu nie wolno przemawiać gdzieindziej, tylko w kościele, czy też w szczególności w kościele Nôtre Dame de Paris; jakżeż z tem zgodzić konferencje, jakie miewał później w mieszkaniu P. Mickiewicza i to, że na bardzo wielu innych miejscach i pierwej i potem prze-

mawiał i przemawia dotychczas, a nawet często po kilka godzin ciągiem! Albo tedy robił i robi, co mu nie wolno; albo mu tu wolno, jak każdemu inszemu, więc tutaj mylnie oświadcza. — Mówi dalej, że od dawna wybiła godzina miłosierdzia Pańskiego, o tem od dawna donosi, już temu pół trzecia roku! Więc podług P. Towiańskiego, już przynajmniej od lat kilku skończyły się nieszczęścia Polski, a zaczęły powodzenia, zaczęła epoka łaski! Możnaż takie twierdzenie pogodzić z najzdrowszym zdrowym rozsądkiem? — Oświadczywszy skromnie, z niejakiem także pochlebstwem, że nie posiada tyle co jego słuchacze, ani nauki, ani umiejętności i przychodzi tylko z poleconem sobie uwiadomieniem o nadejściu łaski, zmienia natychmiast rolę i czyni się owszem, a to w sposób najzuchwalszy, wykładaczem najgłębszych rzeczy. Wszystko, mówi, musi wprzód odbyć się w sądzie Boga, nim zejdzie na ziemię, jak gdyby Bogu potrzeba do tego, co chce uiścić, czasu, jak go potrzeba naprzykład człowiekowi; odwołuje się śmiało do dziejów; któż z nim o tem mógłby rosprawiać? kto, prócz Boga, wiedzieć może, jak się sąd Jego i wola Jego odbywa? Nie jest że bezbożność podobne rzeczy wytaczać?.. Powiada przy tem, że gdy złość ludzka dojdzie do swojego kresu, Bóg bierze natenczas zbawienne i zaradcze środki. Czyliż wtedy tylko bierze Bóg te środki, kiedy złość ludzka dojdzie tak daleko? czyliż Opatrzność Jego, nie ciągle nam, owszem zbawienne i zaradcze środki podaje? Nie jest że i w tem, bądź to bezbożność, bądź zupełna myśli nieprzytomność i płytkość? — Zapowiada szanowny Rejent, że wkrótce wszystkie cierpienia ludzkości, z przemocy pochodzące, przeminą, Ewangelja zajaśnieje w sercach wszystkich i t. d... Któż nie widzi, że w ogłaszaniu podobnych obietnic, może być wprawdzie znak dobrego serca i marzyciela, ale pewno nie ma najmniejszego znaku poselstwa od Boga? We wszystkich sercach nie będzie nigdy Ewangelji, bo przy dobrych i świętych, będą zawsze złe i grzeszne, więc też i przemoc niestety! i inne niesprawiedliwości i grzechy, nigdy zupełnie z ziemi, tego miejsca wygnania i kary, nie znikną. — Słuchaczów swoich zowie pierwszymi urzędnikami w dziele odrodzenia się świata, dodając,

że mają do tego niezaprzeczone prawa. Pochlebstwo tak grube, skądinąd zwykłe bardzo u P. Towiańskiego, źle całkiem przypada mężowi Boskiemu. — Powiada, że misję swoją zaczyna teraz spełniać; powołany zostałem do misji, którą zaczynam spełniać, udając się do was — a przecież już zaczął ją spełniać daleko pierwej, odbywał ją na Litwie, później jeździł z nią po różnych miejscach, udawał się do różnych osób, więc oczywista, że myli się tutaj, bo nie dopiero w 1841 r. spełniać swoją mniemaną misję począł. — Pomijam wyrażenie dość nieszlachetne i w mężu, zwłaszcza Boskim rażące: myśleć o sobie nie będę, bo mi to wzbronione — byli bowiem i są ludzie, nieuprzywilejowani poselstwem od Boga, a którzy przez samą zacność duszy, nie dla tego zaś, że im to wzbronione, nie szukali i nie szukają w sprawach swoich osobistej korzyści. Wzywa P. Towiański swoich słuchaczy, aby, którykolwiek z nich natychmiast pasmo grzesznych dni jego przeciął, gdyby w postępowaniu jego znalazł co nieczystego... Możeż być co niedorzeczniejszego i bardziej gorszącego? — Kończy wreszcie przyrzeczeniem formalnem, że ogłosi drukiem pismo przez siebie ułożone — i tego przyrzeczenia dotychczas nie wypełnił, choć już miał czasu blisko pół trzecia roku.

(Anneks C.)

Église de St. Sèverin, près du pont St. Michel.

Czas jawnem i pojętem każdemu uczyni, co Pan dotąd w zakryciu trzyma.

Dziś mowa moja dla tych jest, których stęskniona dusza nad powłokę zmysłów wybiegając, przeczuwa Miłosierdzie Pańskie, w niezwyczajnej hojności za dni naszych zlać się mające; a w podaniu jednego procha, nic obcego dla siebie nie znajdując, wierzy nie prochowi, ale głębszemu uczuciu własnemu.

O Bracia tęskniący i czujący!

Pan nasz wszechmocny otwiera źródło Łaski dla Sprawy świętej. Korzmy się przed niezgłębionemi Sądami Pańskiemi, i z kwapieniem się, czerpiemy z świętego Zdroju, bośmy więcej od wielu w potrzebie.

Przenajświętsza Królowa Korony Polskiej, podobała sobie w starożytnej opuszczonej kaplicy, w stronie najmniej okazałej Paryża — i tam, w cudownym obrazie Wileńskim Ostrobramskim, ku ratunkowi ludu swojego pospiesza.

Tam, o Bracia! biegnijmy i przed Panią naszą składajmy serca na-

zze, iskrę Wiary i Miłości naszej ukazujmy, którąśmy przy pomocy Pańskiej dochowali, wśród długiej i burzliwej nocy naszej. Tam pod Najświętszą Opieką zapełniajmy odkryte niedostatki nasze; uczucia więzione wylewajmy; Panu i Bratu dług miłości naszej opłacajmy, a spełniając ten przegląd Pański, sposóbmy się do wielkiej godziny, którą miłosierny Pan przeznaczył na odkrycie ogromu Myśli Swojej dla człowieka; a gdzie my nasze powinności i nasze przeznaczenie znajdziemy.

A nim ta godzina wybije, potrzeba, aby przed Panem w całej gotowości stanął Zastęp Pański, jednym ogniem ożywiony, jednym ogniem zlany, który Pan Łaską Swoją zasili i postawi Go na wielkie dzieła w sprawie Swojej.

Wy tęskniący i czujący Męczennicy wolności! cierpiący dziś na ziemi i pod ziemią! których Pan więcej umartwił, aby więcej do siebie przybliżył, prędzej powołał, czynniej zatrudnił. Wy u Pana znaleźliście pierwsze prawo do tego wielkiego zaszczytu. Niech to jawnem wam będzie! — Święte zjednoczenie wasze stanie się posadą kolosu, który Prawica Wszechmocna podnieść już zaczyna. Niezwyczajne drogi wasze, przygotowały wam to niezwyczajne Przeznaczenie.

O Duszo Sławiańska! w prostocie twojej masz Ty organ rozumienia Głosu Pańskiego. Cała ziemia i wieki świadectwo to niosą Tobie. I zasługa powolności Twej dla Pana, niezadługo uweseli Ciebie.

Słowo to pociechy, sługa wasz, w radości Ducha składam Wam.

Andrzej Towiański.

Roku 1841, miesiąca Grudnia, 8 dnia, Paryż.

Nie będę już tego pisma rostrząsał, bo istotnie nie warto. Nie sposób, zdaje mi się, aby kto z czytelników choć cokolwiek baczniejszych nie widział od razu, że cechą jego jest nie żadne zwiastowanie, czy proroctwo posła Boskiego, ale po prostu bałamuctwo marzyciela. W pierwszej mowie doniósł szan. Rejent, że godzina już wybiła, w tej drugiej, że dopiero ma wybić!

(Anneks D.)

Kopja aktu podanego przez niżej podpisanych, Panu Ministrowi, Sekretarzowi Stanu w wydziale Spraw wewnętrznych Francji. (Tłómaczenie z francuskiego.)

Panie Ministrze!

My niżej podpisani, dowiedzieliśmy się, iż Andrzej Towiański wygnany został z granic Francji, za roskazem rządu. Powody tego roskazu nie są nam znane i nie do nas należy oceniać je. Ale wiemy, jak zawzięcie złość ścigała Andrzeja Towiańskiego, w czasie pobytu jego między nami; wiemy, że nikt ze strony władzy, nie przyszedł zapytać Go o przyczynę napaści, których doznawał; lękamy się, aby potwarz nie podchwyciła dobrej wiary rządu, dla tego winniśmy Tobie, Panie Ministrze, winniśmy nam

samym oddać walne świadectwo Prawdzie, ręcząc wszyscy razem i każdy z osobna za czystość zamiarów i postępków człowieka, którego jesteśmy przyjaciołmi i uczniami.

Andrzej Towiański, znany w kraju swoim, jako prawy i cnotliwy obywatel, przez długi czas sędzia Sądu głównego litewskiego, otoczony szacunkiem spółrodaków i szanowany nawet przez władze rosyjskie, opuścił przed dwoma laty ziemię ojczystą, rzucił znaczny majątek, który musiał być na skarb zabrany, rozstał się z pięciorgiem dzieci, które odjazdem swoim na niebespieczeństwo naraził, przybył do Francji, przynosząc nam słowo zbawienia.

Nie tu jest miejsce, Panie Ministrze, opowiadać, ile dobra zdziałało między nami to słowo; godziło nas z Bogiem, z samymi sobą i z trudnemi obowiązkami naszemi; utwierdzało w nas uczucia chrześcjańskie i polskie: uzdrawiało choroby ciała i duszy: odrodziło nas. Uznaliśmy w niem słowo prawdy i żywota; uznaliśmy w Andrzeju Towiańskim jednego z tych mężów, których Opatrzność zsyła narodom w wielkich epokach Miłosierdzia swojego.

Przyrzekliśmy uroczyście przechować słowo to w duszach naszych. Bolejem, że odłączony od nas jest Ten, który je zasiał i miał moc puszczać je w owoce. Oddalenie Jego każdy z nas czuje, jako cios najdolegliwszy w życiu, które Opatrzność już potylekroć i tak mocno dotknęła.

Paryż, dnia 7 sierpnia 1842.

(Tu następują podpisy 43 męczyzn i 2 kobiet.)

(Anneks E.)

Nie jest naszem głównem powołaniem dawać krajowi rady i nauki; nie po to nas kraj posłał, nie tego od nas potrzebuje. Długoż będziemy pisząc i radząc czekali, aż pomrzemy wszyscy. Tylu już tu żegnaliśmy mowamy naszemi, a mowy te były tak żałobne, tak czarne, jak gdybyśmy odprowadzali ojczyznę i z nią sami szli do grobu. Dosyć zamykać się w przeszłości, stawić twierdze w piersiach swoich; nadeszły inne czasy, trzeba wszystko zdjąć z siebie, roskryć, nagą pokazać duszę i w niej wszystko znaleść; bo wiedzcie, że już nic nie macie: imię, zaszczyty, dostojeństwa, zdarte z was dawno i daleko precz odrzucone. Nie pytajmy co się dzieje w kraju. Niech każdy, wstawszy rano, kiedy po niebie i po ziemi patrzy ze smutkiem, wzniesie swojego ducha i przysłucha się własnemu uczuciu, a wtenczas niebo i ziemia mu odpowie, jaki tam ucisk, jaka tęsknota i boleść. Nieprzyjaciel rozdarł pierś narodu, włożył w nią palce, całą garścią wziął za każde polskie serce i patrzy ci w oczy, a byle dostrzegł najmniejszą myśl, najmniejsze wzruszenie podejrzane, ściśnie dłoń i zadusi życie.

Rosprawialiśmy wiele o historji, niekiedy mieliśmy przeczucie. Nie nazywajcie mnie krytykiem, ale wieszczem; przyznaję się do tego charakteru, gdyż dzisiaj byłoby dla mnie zaniechaniem obowiązków, byłoby zbrodnią odrzucać go przez jakąś skromność, przez jakiekolwiek względy. Ale któż z nas nie jest wieszczem? Każdy, kto słowem, piórem, czynem, służył świętej sprawie, był wieszczem, był urzędnikiem w powołaniu narodowem, miał przeczucie tego, co się stać powinno. Zaprawdę powiadam

wam, iż zbliżyły się czasy. I oto w tej chwili składam — spełniam część mojego urzędu. Staję tu na świadectwo między wami, że przyszło wielkie miłosierdzie Boże; przyszedł czas zmartwychwstania Ojczyzny. Te słowa nie odstąpią was, choćbyście je odpychali, będą zawsze świadczyły, że były wam powiedziane, nigdy ich nie zdołacie zapomnieć. Przysięgam wam Bracia, na śmiertelnem łożu przypomną się wam i nie dadzą pokoju.

Powtórzę wam z apostołem, mówiącym do Żydów: czekaliście Mesjasza, a Mesjasz był między wami. Powiem, jak w Ewangelji o niewiastach Galilejskich, co przyszły szukać Chrystusa w grobie: kogo szukacie? Chrystus powstał. Wstała z martwych Ojczyzna wasza i jest pośród was.

Chcecie ją widzieć? Nie przyjdzie ona do was zamkniętych u siebie; nie wlezie wam przeze drzwi, nie napłynie rurami, jak powódź prawdy wezbranej do wysokości okien waszych. Trzeba się podnieść duchem aż do niej.

Nie szukajcie jej ani w niebie, ani na ziemi, ludzie rady i ludzie czynu, zapytajcie was samych, gdzie jest, zejdźcie do głębi duszy waszej, natężcie ducha wewnętrzną pracą, a ujrzycie ją, okaże się wam zstępująca, biała i czysta jak gołębica, błoga zwiastunka przyszłych losów waszych.

Odzywam się do was, bo wszyscy jesteście wieszczami, wszyscy powinniście byli to przeczuć. Ten co nic nie mówiąc, bił się za ojczyznę, w milczeniu pierś swoją nadstawiał nieprzyjacielskim działom, przeczuł ją, był pierwej wieszczem. Tak jest z wyroków Opatrzności i długo było by wam to tłómaczyć. Rzadki jest moment, w którym dozwolono wieszczom zupełnie się wywnętrzyć, ducha swojego przybierającego pierwej różne formy, nago niejako okazać. Dzisiejsza chwila jest taką.

Nie oglądajmy się na nic, odrzućmy wszelkie względy. Nie masz między nami różnicy wieku, zaszczytów, urodzenia, bogactw, wszyscy jesteśmy równi, bo na wszystkich położone jedno namaszczenie.

Do wieszczów należy przodkować braciom, wskazywać narodowi drogę: ale dziś nie dość na tem, trzeba przeczucie w czyn zamienić, tak wyrobić swego ducha, żeby jego natchnienie było czynem. Odtąd ujrzycie mnie zawsze tam, gdzie was prowadzić będę, pierś własną nastawiając. — Przyszedł czas, że natchnienie musi być czynem, a czyn natchnieniem, bo w dziele Bożem, jak w piorunie, uderzenie jest jedno, między błyskawicą, a ciosem nie masz rozdziału.*)

(Anneks F.)

BIESIADA — PISMO ANDRZEJA TOWIAŃSKIEGO.

17 Stycznia 1841 roku.

W imię Ojca i Syna i Ducha ś. Amen.

ZAGAJENIE.

Uroczystość 17 Stycznia obchodzona wewnętrznie i zewnętrznie dla tem większej Chwały Pana i tem gorętszego Dziękczynienia, za umieszcze-

*) Mowę tę nieszczęśliwą, równie jak wyżej przemowę P Towiańskiego,

nie w Kole Służby Świętej Brata..... obchodzona w gronie jeszcze małem i cichem, jako w tym pierwszym kroku urzeczywistniającej się Sprawy ś., w kroku pierwszym wyjścia w krainę zewnętrzną, będącej dotąd w całości w krainie Duchów.

Tak radosną i tak świętą chwałę przez Pana naszego nam dozwoloną, poświęćmy rozważaniu tych wielkich i świętych tajemnic, jakie Bóg z Łaski i Miłosierdzia swojego Nam objawić raczył; tajemnice, które staną się posadą, na której wszystkie Sprawy nasze w nadchodzącej służbie kierować, staną się źródłem, z którego siłę w ciężkiej chwili czerpać będziemy.

Wyobraźmy Człowieka, jako ostatnią pochwę, ostatni punkt widzialny, przez który Zastępy Duchów niewidzialne działają. Te zastępy są nader różne, bo duch człowieka, co mówię każdego Tworu, musi z nimi do pewnej Wyrokiem Najwyższego przepisanej harmonji ułożyć się.

Nie przejrzane chmury Duchów zalegają glob ziemski, które zwyczajnie w tym stanie ducha, bez pokrywy, bez organizacji, to jest bez życia podług ziemi, odbywają pokutę, dalej urabiając się, i czekając, póki Wola wyższa nie wprowadzi nam nowo do tego życia ziemskiego, a co jest śmiercią dla ducha, bo zniszczeniem jego władz, cechy, siły — albo jak wyższe Duchy, Duchy święte, które przebywszy już pielgrzymkę ziemską, podług praw Miłości, nie mogą już dla swej Wysokości w żadnem sklepieniu ziemskiem przebywać, i od tego gatunku operacji są wolne — przeciągają tylko dalszą Operację w stanie Ducha, w stanie Wolności — i życia.

Ziemia jest padołem, bo same niższe Duchy, stąd pokusy zalegają Jej powierzchnią — ale Bóg przez zesłanie Jezusa Chrystusa z górnych Swych Przybytków, pokonał, rozproszył w pewnej części Złe ziemskie, bo Jezus Chrystus otworzył drogę do Nieba, pokonał Piekło, to jest niskie duchy zalegające ziemię, i podług swej natury nie rządzące — a to przez zasianie Światła Boskiego, nauką Swoją najświętszą, życiem, przykładem, a nadewszystko tem świętem Boskiem Tchnieniem, które puścił na nie wielu do tego zaszczytu przygotowanych. — To światło Boskie, skoro oświeciło wnętrza ludzi, wnet stosownie do prawa gatunkowego, prawa najświętszej Harmonji, przez Boga najmocniej bronionego, kolumny niskich Duchów przez Swą pochwę, przez Swój punkt ziemski działające, musiały ustąpić, a Duchy wyższe, prawem Harmonji niebieskiej, Ich miejsce zająć. — Kolumny więc czynniejsze, według stopnia tej jasności przez Jezusa Chrystusa przyniesionej, na wielu punktach ziemi stanęły, Berło Piekłu wydartem zostało, a Najświęstza Panna, narzędzie ważne w sprawie Miłości Pana, głowę węża starła. — Kiedy dziś znowu przez sfałszowanie światła Jezusa Chrystusa, albo zgaszenie jego zupełne, przez nieżywienie ognia Bożego w sercach, znów kolumny ciemne, mocą tegoż prawa ziemię zaległy, Bóg postanowił z swego niegasnącego nigdy Miłosierdzia, aby nie tylko światło Jezusa Chrystusa oczyszczone i rozżarzone zostało, lecz aby

---

mianą w kościele, biorę z Dziennika Narodowego. Ówczesny jego redaktor, pisarz biegły, a liczący się do uczniów P. Towiańskiego, wystawił je, pierwszą i drugą, w sposób, jak można było najkorzystniejszy. O tej P. Mickiewicza sam mogę sądzić, gdyż słyszałem ją mówioną; o pierwszej zaś, że dobrze w Dzienniku została powtórzona, zapewniał mię na razie P. Mickiewicz; inni ze słuchaczy utrzymywali, że w Dzienniku wydawało się nawet daleko lepiej.

tak się natężyło, iżby gwiazda żarząca się ze światła, zapaliła się — aby ogień Miłości Boskiej, ogień nowego Zakonu, uweselił posępną ziemię. — Aby więcej Berła, więcej władzy piekło straciło, bo ćmy złych Duchów, te ciemne kolumny, na mocy tegoż Prawa, przed gwiazdą pierzchać muszą, a czyste Duchy do światła Boskiego spuszczają się. — A kiedy Bóg podług objawionego Miłosierdzia dla ziemi, zsyłając z Swych, już nie ziemskich przestrzeni wyższe Duchy, i coraz rozżarzając ogień miłości Swojej, za Śgo Posłańca najmocniej go rospali i ogień ten ziemię obejmie, wtenczas złe na ziemi zniknie, przepadnie podług świętego wyrażenia. — Z tego czerpiemy o Bracia wielką dla siebie naukę. — Siła tylko jest w Duchu tem większa, im duch wyższy, czystszy. Jeden niższy duch całą Rosją dziś wstrząsa, niepokoi, a Najświętsza Panna, siłą swej świętości, jednem swem skinieniem, pułkom takich duchów roskazuje, przed Jezusem Chrystusem, który jak lekki obłok jest dla wielkiej swej świętości, drży całe piekło.

Korzystajmy ze światła Jezusa Chrystusa nam zesłanego, pielęgnujmy je w sercach naszych, rospalajmy je do stanu ognia gwiazd, ono jest wśród ciemnej pielgrzymki jedynem naszem zbawieniem, naszą tarczą, siłą, naszą obroną przeciw złemu, jeszcze tak potężnemu — rospalajmy przez modlitwy, akta pokory, skruchy, miłości, przez dociskanie się, prace wewnętrzne, a w każdej chwili stosowne do stanu duszy naszej, kolumna ciemna na światłą zmieni się i sprowadzi nam błogosławieństwo Pana, pociechę, radość ducha, sprowadzi nadewszystko opiekę wyższą, światło i siłę dla sprawy do dzieł owych olbrzymich. — Niczem jest światło i siła materjalna ziemska, przy świetle i sile jednego wolnego niższego ducha, a cóż mówić o całej kolumnie światłej, ze świętych pańskich złożonej, na której czele jest sam Bóg kolumny, o niepojęta łasko Pana! jednem pokornem, czystem i gorącem westchnieniem mogącej się sprowadzić.

Człowiek ma wolę, ale ona jest cząstką nieskończenie małą jego czynności. — Stawi Bóg często człowieka jako wolnego, wszystko jemu ułatwia, zastępy światłości i ciemności ustępują i czekają na kierunek, jaki, człowiek sam sobie zostawiony, zupełnie wolny dać musi — a po zrobionym kierunku, na światło lub ciemno, kolumny światłości lub ciemności mocą prawa harmonji, tego prawa najwyższego, zalegają wnętrze człowieka i podług swej natury rządzą nim. — Wielkie dobrowolne zasępienie duszy rodzi ten fatalny skutek, że na długo ciemna kolumna zalega duszę człowieka, i tak podług słów objawienia «oddany jest pod moc złego». — Taki nieszczęśliwy traci wolę, bo duch jego kolumna ciemna zalega — ma zawsze wolę wydobyć się przez wysilenie wewnętrzne, może wśród tego piekła, w jakim zostaje, wydobyć światełko i tem światełkiem kolumnę opiekuńczą, w ród niedoli swej sprowadzić. Ale toć prawie niepodobna — bo kiedy wolny, przy pomocy łaski, tego nie zrobił, jakże wśród piekielnej atmosfery tego dokaże. Doczeka się on w czasie swoim, w skutek miłosierdzia Boskiego, znów wolności i pomocy łaski, i podług tego, jak użyje darów Nieba, znów jemu pójdzie. — Co więc nasz ziemski rozum, co doktryna, co siła ziemska? jak to najwyższe ziemskie, a niczem przy świetle Boskiem na drodze naszej prawdziwej, kiedy gorujący na ziemi (podług słów objawienia) może nie być w lszym żywocie, może nie być człowiekiem — i duch niedźwiedzia, opuściwszy stepy polarne, może być na szczycie górowania w pierwszej świata stolicy. — Jakim więc jest orężem czystość, pokora, skrucha, kiedy jedno czyste westchnienie pastuszka, sprowadza jemu światła kolumnę — w dzisiejszej więć naszej pozycji,

nie w Kole Służby Świętej Brata..... obchodzona w gronie jeszcze małem i cichem, jako w tym pierwszym kroku urzeczywistniającej się Sprawy ś., w kroku pierwszym wyjścia w krainę zewnętrzną, będącej dotąd w całości w krainie Duchów.

Tak radosną i tak świętą chwałę przez Pana naszego nam dozwoloną, poświęćmy rozważaniu tych wielkich i świętych tajemnic, jakie Bóg z Łaski i Miłosierdzia swojego Nam objawić raczył; tajemnice, które staną się posadą, na której wszystkie Sprawy nasze w nadchodzącej służbie kierować, staną się źródłem, z którego siłę w ciężkiej chwili czerpać będziemy.

Wyobraźmy Człowieka, jako ostatnią pochwę, ostatni punkt widzialny, przez który Zastępy Duchów niewidzialne działają. Te zastępy są nader różne, bo duch człowieka, co mówię każdego Tworu, musi z nimi do pewnej Wyrokiem Najwyższego przepisanej harmonji ułożyć się.

Nie przejrzane chmury Duchów zalegają glob ziemski, które zwyczajnie w tym stanie ducha, bez pokrywy, bez organizacji, to jest bez życia podług ziemi, odbywają pokutę, dalej urabiając się, i czekając, póki Wola wyższa nie wprowadzi nam nowo do tego życia ziemskiego, a co jest śmiercią dla ducha, bo zniszczeniem jego władz, cechy, siły — albo jak wyższe Duchy, Duchy święte, które przebywszy już pielgrzymkę ziemską, podług praw Miłości, nie mogą już dla swej Wysokości w żadnem sklepieniu ziemskiem przebywać, i od tego gatunku operacji są wolne — przeciągają tylko dalszą Operację w stanie Ducha, w stanie Wolności — i życia.

Ziemia jest padołem, bo same niższe Duchy, stąd pokusy zalegają Jej powierzchnią — ale Bóg przez zesłanie Jezusa Chrystusa z górnych Swych Przybytków, pokonał, rozproszył w pewnej części Złe ziemskie, bo Jezus Chrystus otworzył drogę do Nieba, pokonał Piekło, to jest niskie duchy zalegające ziemię, i podług swej natury nie rządzące — a to przez zasianie Światła Boskiego, nauką Swoją najświętszą, życiem, przykładem, a nadewszystko tem świętem Boskiem Tchnieniem, które puścił na nie wielu do tego zaszczytu przygotowanych. — To światło Boskie, skoro oświeciło wnętrza ludzi, wnet stosownie do prawa gatunkowego, prawa najświętszej Harmonji, przez Boga najmocniej bronionego, kolumny niskich Duchów przez Swą pochwę, przez Swój punkt ziemski działające, musiały ustąpić, a Duchy wyższe, prawem Harmonji niebieskiej, Ich miejsce zająć. — Kolumny więc czynniejsze, według stopnia tej jasności przez Jezusa Chrystusa przyniesionej, na wielu punktach ziemi stanęły, Berło Piekłu wydartem zostało, a Najświętsza Panna, narzędzie ważne w sprawie Miłości Pana, głowę węża starła. — Kiedy dziś znowu przez sfałszowanie światła Jezusa Chrystusa, albo zgaszenie jego zupełne, przez nieżywienie ognia Bożego w sercach, znów kolumny ciemne, mocą tegoż prawa ziemię zaległy, Bóg postanowił z swego niegasnącego nigdy Miłosierdzia, aby nie tylko światło Jezusa Chrystusa oczyszczone i rozżarzone zostało, lecz aby

---

mianą w kościele, biorę z Dziennika Narodowego. Ówczesny jego redaktor, pisarz biegły, a liczący się do uczniów P. Towiańskiego, wystawił je, pierwszą i drugą, w sposób, jak można było najkorzystniejszy. O tej P. Mickiewicza sam mogę sądzić, gdyż słyszałem ją mówioną; o pierwszej zaś, że dobrze w Dzienniku została powtórzona, zapewniał mię na razie P. Mickiewicz; inni ze słuchaczy utrzymywali, że w Dzienniku wydawało się nawet daleko lepiej.

nie mogą ziemi opuścić; stąd tych wielkich herubinów pomoc będzie nadzwyczajna; będą te najświętsze istoty, z żądzą miłości niepojętej, spuszczać się do nas, nas oświecać, posilać, aby tylko to prawo gatunkowe im tego dozwalało — to jest, abyśmy czyste, proste, niewinne i kochające serca zawsze dla Boga stawili. — A po dopełnionej sprawie otworzy się ten najwspanialszy Chód, w obliczu Boga, wielkich świętych opuszczających glob ziemski. — Jeden Jezus Chrystus, jako Ojciec ziemi, zupełnie nie opuszcza ziemi. — Jako pień najświętszy Boskiego drzewa na ziemi, czuwać będzie nad swemi siedmiu gałąskami. — Jest on pniem na wielu globach. — Ojcostwo jego jest wielkie, obszerne. — Jak wszystkie w swoim czasie gałęzie zazielenieją, wtenczas, podług słów objawienia, obłok siedmiu Duchów, pod naczelnictwem Ojca swego, tego pnia drzewa Boskiego, zleje się do łona Ojca powszechnego i to drzewo szczególne przyłączy się do do drzewa ogólnego miłości — podług słów objawienia.

Wiele synów ciemności, to jest duchów niskich, do których promień światła Boskiego nie przeniknął dotąd Świątyni, kolumny odbierało, bo wiele, bardzo wiele, bardzo wiele zrobili, kierunki ludom dali, postać ziemi zmienili, to jak zwyczajnie nie swoją, ale duchów mocą, swoją wielką ciemną kolumną. — I dotąd zwyczajnie, taka wielkość znaną tylko była na ziemi. — Jezus Chrystus, wielkość podług Boga, to jest wielkość przez sprowadzenie światłej kolumny objawił światu. Ale nigdy jeszcze dotąd, światła kolumna berła ziemi nie miała; jeszcze światło Jezusa Chrystusa, pasując się z przewyższającemi ciemnościami, nie stanęło jeszcze na tym punkcie potęgi i siły. — Krzywdzone, gaszone, fałszowane, dla dogodności niestety, dla dumy za narzędzie używane, czyste światło Jezusa Chrystusa, gdzie niegdzie sposobem żebraczym w pokorze i skrusze egzystowało. — Władza, kierunki ogólne przy ciemnych duchach były. — Te swemi kolumnami ciemnemi, władały ziemią — a Duch Duchów ziemi, swobodnie po swojej obszernej Dziedzinie przebiegał. — Ach! nikt dotąd nie pomyślał, aby Bóg po spełnionych dwóch tysiącach księżycowych, niebieskich Roków, tak silne zrobił upomnienie się, o marnotrawiący się Dar Łaski i Miłosierdzia swego, dla ziemi przez Jezusa Chrystusa zesłanego — że po tem upomnieniu się, nowa łaska i miłosierdzie zleje się, a w skutek rozjaśnionej atmosfery ziemskiej, w skutek tuż za łaską lejących się światłych kolumn, tymże prawem gatunkowym, i Berło i kierunki ziemi, światła kolumna trzymać będzie. — Przez Proroka widziany Mąż trudem trudów, Ducha miłością ludów, w liczbie błogosławionej 44., już odebrał roskaz najwyższy, i tego upomnienia się i tego przeprowadzenia nowej łaski, a w skutek i siłą jej odebrania berła duchowi ciemności ziemi. — Połowie 19go wieku zachowałeś o Panie ten zaszczyt, to uweselenie, to zjawienie nie znane globowi.

Władza przy światłej kolumnie, a stąd panowanie światła, prawdy i miłości.

Ale ziemia niska, ciężka grzechami, podług wyrażenia objawionego, nie potrafi długo tego Gościa Niebieskiego, to światło z Łona Miłosiernego zesłane, pielęgnować. — Przyjdą czasy błogie, zasępi się ogień pierwszego czucia w sercach ludzkich — a ciemne kolumny do zasępionych dusz, jako do swej zdobyczy przypadną — i panowanie obejmą. — Bo i w tym Jubileuszu dwutysiącznoletnim Łaski i Miłosierdzia Boskiego, na pewnych tylko przygotowanych punktach ziemi, ogień święty palić się będzie — a paląc się, sprowadzi przez kolumny święte Niebo na ziemię — ale przykładem światła naszego ziemskiego palącego jedne kraje, drugie w mroku,

a inne w najgrubszych ciemnościach i zimnie zostawującego, i światło Niebieskie ulegnie tej kolei, i wśród Jubileuszu Łaski, ogień palący, wybrane przygotowane narody, nie rzuci na inne najsłabszego nawet promienia. Wszakże według zapewnienia Pana, Berło Piekła na czas pewny wydartem będzie, i najmniejsze krainy po wstrzymaniu na ten czas Prawicą Wszechmocnego, potęgi Ciemnego ich Mocarza, w zamitrężeniu, nie działaniu przebędą. — Po tej smutnej, bolesnej, o! pocieszająca myśli! wstrząśnięty duch ciemny ziemi, już nigdy do dawnej swej potęgi nie powróci, bo wybrani Pańscy, te przyszłe świeczniki ziemi, znając już drogi sprowadzenia świątłych Kolumn, tego jedynego puklerza od zamachów ciemności, ciągiem już będą chwiać tę potęgę Złego — i władza nad ziemią będzie już dzielić się, będzie ważyć się między duchem światłości i ciemności. — I wy dusze czyste, kochające, tęsknotą wśród ciemności pożerane, będziecie i na ziemi już miały punkt światłości, do którego dusza wasza kierując się, krzepić będzie. I dziś Francja, jeżeli nie punkt świątły, to choć szary wśród ciemności globu stawi — i to już jest początkowem, stopniowem rozwijaniem się Twej Miłosiernej myśli, o Boże!

Tu Bracia! zwróćmy uwagę, zaspokojmy niepokój trapiący duszę naszę w tej chwili — dla czego Bóg, Ojciec powszechny, ta pełna doskonała Miłość, dla Tworów dzieci swych tylko egzystujący, poświęcający się, i nic przed Sobą, prócz postępu i zbliżania do siebie tychże tworów nie mający; dla czego, przy władzy i potędze będąc zbiorem światła, cząstkę tylko i to tak rzadko na ziemię spuszcza, i na tak smutne koleje naraża — dopuszcza zniewagi Siebie, a tryumfu ciemności. — Podobało się Panu odkryć przed nastającym Jubileuszem, część tajemnic swych rządów, ułatwić Nam przez to czystą Miłość Siebie, aby tajemnica serca wznoszącego się, góry nie wzięła.

Ziemia między innemi globami niższa, to jest przeznaczona do urabiania niższych duchów tej smutnej kolei ulega — w każdej fabryce są sale, wydziały, do niższej operacji przeznaczone. — Mistrz dzieła, patrząc na to obrabianie początkowe z surowego, cieszy się w Duszy widokiem ostatniego wyrobu — bo on jeden tylko widzi, jak ta kolej jest konieczną, jest na drodze postu Jego Wyrobów — i wśród brudów niższej operacji, prąd miłości do wykończonego dzieła Jego mechaniki, jest ten sam — i to jest cechą Mistrza. — Komu brudy niższej operacji nie są miłe, przez miłość ostatniego Wyrobu, ten Mistrzem nie jest. — Kto żołnierza nie kocha, z żołnierzem nie żyje, nie łączy się w jednej sprawie za którą walczy, ten Wodzem nie jest. — Bóg podług pewnych praw sprawiedliwości rządzi się i tych nie przestępuje. — Konstytucja dana globowi, przez wieki nie tknięta. — Przez wieki nic najdrobniejszego z zakreślonych kolei na włosek nie wyszło, tem bardziej urabianie się i postęp tworów, tem bardziej tworzenie się, szerzenie się, rospalanie się światła i ognia Boskiego na globie, najściślejszej kolei poddane — bo wszelkie przestąpienie, jużby świetności Boga uwłaczać mogło. — Nic zmazanego nie wejdzie do Królestwa Niebieskiego.

W tej Najświętszej Konstytucji jest zapisane: — Miłość, to najświętsze czucie, musi być dobrowolne przez Twór przyjęte. — Na tej pełnej dobrowolności świętość miłości, stąd Boga, co jest samą Miłością, zależy. — Miłość, choćby wszechmocnością Boga, wciśnięta, narzucona, nakazana, przestałaby być miłością — swą świętość, swój blask niebieski straciłaby. — Z poczucia tej istoty poczujemy, dla czego Pan tak wszechwładny, co jednem skinieniem wstrząsa globy, co je podnieść i zniszczyć jednem ski-

nieniem może, dla czego tyle wysilenia robi aby westchnienie jedno, jednego robaka ziemi pozyskać?

Dozwól o Panie! że dla ulżenia Braciom moim, pojęcia zasadniczego prawa Twojego, porównania niższego użyję. — Dumny Mocarz Wschodu, od którego skinienia życie miljonowych niewolników zależy, nie przestaje na hołdach wymuszonych, a całą swą władzę i dumę składa, wszystko swoje poświęca, aby dobrowolne jedno poruszenie serca, miłości, u jednej słabej istoty uzyskać. — To porównanie, to tłómaczenie rzeczy najwyższych przez najniższe, pod temiż prawami zostającemi, wyjaśnia Nam, jak Miłość od dobrowolności zależy, jak musi stać się kwiatem wonnym, przez samo tylko serce nasze wypielęgnowanym, i dla tego Bóg, ten Najwyższy Mistrz Miłości na poniewierkę Siebie oddaje, aby po upływie Wieków wyjednał u Tworów, choć słabe poruszenie serca dla Siebie — a w 2gim artykule tego Najświętszego Prawa zapisano — że niczem innem, tylko tem Twory mogą uzacniać się i zbliżać do Twórcy — z istoty rzeczy nie ma innej drogi, którąby Bóg mógł Dziedzice przyszłej chwały do przeznaczonego Dziedzictwa przeprowadzać.

Tak o Panie! Istotą tej Najświętszej prawdy ściśnięty jesteś. — I choć miłość Twoja miljonowe sposoby ułatwienia nam drogi do zbawienia podaje — zbawić nas wszakże bez nas, bez tej dobrowolności, bez tego własnego poruszenia, bez tego kwiatu z własnego naszego pola nie może.

W ogromie dzieł Boskich, siła jest tylko w Duchu. — A Duch w powłoce, w swem życiu ziemskiem traci swą siłę. — A ludzie wiele robili i robić mogą przez łączenie się, sprowadzanie kolumn duchów silnych, kolumn jaśniejszych lub ciemniejszych, stosownie, jak widzieliśmy do Stanu ich duszy. — Tak Mojżesz, modląc się, to jest sprowadzając nader silną, bo świętą kolumnę, choć słaby zewnętrznie, bo rąk bez pomocy wznosić nie mógł, losem bitwy kierował.

Dla jednego sprawiedliwego przez zasługi Jego, Bóg ocala Kraj, miasto — bo ten sprawiedliwy, sprowadził swem czystem wnętrzem Kolumnę Świętą broniącą ten Kraj, to miasto od zamachów Złego — a właśnie bez tego jednego, stosownie do prawa nieprzystępnej Konstytucji, Kolumna wyższa pospieszyć ku ratunkowi by nie mogła. — Kiedy więc na poruszeniu duszy naszej dla Boga, wszystko zależy, uważajmy co są formy wszelkie, co spowiedzie, Komunje, bez tego poruszenia. — Ach! co mówię? są formy, wszelkie wyzywania Ojca kochającego, do tego oczekiwanego przez niego poruszenia, głuszące, bo zaspakające — niepokoje sumienia. — Tu Tryumf złego spełniony został. — Kiedy złe sposobów przez Boga podanych, dla Siebie używa. — Kiedy w Świątyniach Pana, czarne dymy dla Szatana wznoszą się. — Ale o! próżne zamachy! niczem są cnoty zimne, martwe modlitwy, te formy, te fundacje, etc. bez liku, tylko jedno wysłuchanie wołającego Boga przez Namiestnika swojego: Synu oddaj Mnie Serce Twoje, jedno poruszenie, rozświetlenie duszy, Kolumnę duchów Świętych, a stąd Łaskę, Błogosławieństwo, Niebo sprowadzić sam może.

Dotąd dostatkiem od Boga danym, ludzie chcieli Niebo osiągnąć, Kolumnę świętą sprowadzić — oszczędzając siebie, dogadzając sobie, a stąd zasępiając duszę, i łącząc się ciągiem w sprawach życia z ciemną kolumną — a światło kolumny do Serc nie wielu czystych, spuszczające się, nie były do służby użyte; cele klasztorne, lub nędzne lepianki były tylko siedliskiem Łaski.

Na wyższym szczeblu społeczności święta kolumna nie zajaśniała dotąd. — I dziś świat uwielbia, kiedy kto z szczebla wyższego, wezwanie Boskie, to święte napięcie do dzieł, do służby, na formy i łechtanie się modlitwą, biorąc ją za cel, nie za środek do służby pańskiej, obrócił. Dziś Bóg wydał już Roskazy, aby Światłe Kolumny, do czynnej służby na ziemi, stawały dla obrony od złego Najświętszej sprawy Pańskiej.

To najświętsze Roskazanie otrzymawszy, pospieszyłem z zakąta Litwy, dla objawienia Go Tobie Bracie, i wezwania Ciebie na mocy najwyższego Roskazu, do Dzieła. — Nie badajmy wyroków, dla czego nam niegodnym Bóg tak wielką rzecz, bo sprawę swej miłości, poleca — nie badajmy, a wszystkie siły do spełnienia najwyższej Woli obróćmy — w innej epoce musielibyśmy w murach klasztornych kryć się z iskrą nas ożywiającą. — Dziś, kiedy łaska Najwyższego do działania nas powołuje, wśród burzy świata nas czekającej, w klasztorze wnętrza naszego zamknąć się winniśmy, aby złe na nas czyhające, za kraty nasze nie wdarło się i ciemnej kolumny nam nie sprowadziło — któraby sprawą zachwiać mogła. — Jezus Chrystus jest naszą obroną, jako Ojciec i źródło wszelkiej światłości dla ziemi od Boga spuszczonej, a w tej sprawie jest pierwszym po Bogu działaczem. — Dalej idą te wielkie Herubiny, te święte zastępy Duchów — a my tej kolumny ostatni stopień z najwyższej Woli stanowimy — stanowimy nadewszystko otwór ów, przez który siła niewidzialna Boska, widzialnie ma się ziemi objawić. — A Ty, o Duchu Napoleona, szczególniejszym przywilejem jesteś przedostatnim w tej świętej kolumnie. — Pozwolono Tobie żyć, działać na ziemi, nie przestając być duchem czystym, pozwolono łączyć się i wspierać narzędzia Twoje ziemskie, aby Naród Twój poznał Ciebie, i do Twojego kierunku przyzwyczajony, chciwy jego, aby prowadzony przez Ciebie, spełnił dzieło przez Pana naznaczone, jak się Panu podobało objawić w tem Najświętszą wolę i rosporządzenie swoje. — Kiedyśmy do zaszczytu i łaski podniesieni, że przez nas ma miłosierdzie Boskie zlewać się; ach! pomnijmy w każdej chwili, że zupełna próżność, wolność od człowieczeństwa, wszelkiego brudu może być cechą tego otworu, najmniejsze zmięszanie, zatrzymać może kolumnę — bo Bóg prawa swego gatunkowego, nie odmieni. — Wielu mężów dziś jęczących, zdrój łaski Boskiej przez swą nieczystość zatrzymało. — Dziś, według objawionej Woli Najwyższej, przez jednego zatrzymana łaska, przez drugiego przesunięta bez zwłoki będzie, bo dzieło miłosierdzia Boskiego spełnionem być musi, bo sprawę tę od wieków osnowaną ostatniemi czasy Bardem (podług wyrażenia ś. Jana) Bóg przeciągnął, i do spełnienia sługom podał. — Sługi wyższe, objawili tę Wolę Najwyższą niższym. — Ja pierwszy na ziemi ten roskaz otrzymałem i razem Wolę Najwyższą, abym Tobie Bracie tajemnice Pana otworzył, i do spółki służby przyjął — abym nić Brata podał bratu. Słowa Roskazu ś. Jana. — To się i dopełniło w perjodzie siedmnastodniowym, od 24 Grudnia do 10 Stycznia — a 11go Bóg objawił, że wola Jego dopełnioną została. — Dziś, więc po złożeniu dziękczynienia Panu, że spojrzał z wysokości swoich na nas niegodnych, wolno nam ucieszyć się w duchu, i sobie wzajemnie tej łaski i miłosierdzia Boskiego nad nami, powinszować — a jako ludziom w sprawie Ducha, wolno kielich przy gorącem westchnieniu, za pomyślność sprawy i Ojczyzny naszej wychylić. — Kielich pierwszy taki na ziemi — bo ani służby takiej na ziemi, a stąd takiego kielicha nie było dotąd — pomnąc, że pozwolono jest człowiekowi przez podniesienie Ducha wieczerzę Pańską odnawiać.

I. TOAST.

Boże racz przyjąć na Chwałę Twoją, to pierwsze wydanie Najświętszej Sprawy Ducha, w formie ziemskiej.

Za pomyślność, za święcenie się Imienia Twojego o Panie! za pomyślność Najświętszej Sprawy Ludów, za pomyślność Ojczyzny naszej.

II. TOAST.

Miłosierdzie Pana, odpuszczenie i pokój Tobie i rychłe z nami zjednoczenie o Duchu. — Nam drogi Bohatyra. Bracie Towarzyszu i współdziałaczu w świętej Sprawie, Ty Mistrzu światły! znający bliżej Wyroki Pana dla ziemi po dwudziestoletnich cierpieniach, z pozwolenia wyższego, w tej chwili podzielający naszą radość, naszą Biesiadę w duchu, przyjm w tej chwili uroczyste zapewnienie nasze i ukoj trawiące Ciebie o cieniu drogi frasunki; że dołożym wszelkiego wysilenia, aby stać się powolnymi na Twoje natchnienia, na twój kierunek, jaki bliższy Boga, podług Woli Boskiej zakreślać będziesz. Za radość, pokój i zbawienie Ducha Twojego.

III. TOAST.

Za pomyślność, Błogosławieństwo i zdrowie miłego nam Brata, co z łaski i przywileju Boskiego, w krąg świętej służby wstępując, uweselił Ducha naszego, serce nasze rozradował. — Niech żyje.... niech idzie w pokoju i sile, prowadzony Wszechmocną prawicą po Świętej drodze wielkiego przeznaczenia swojego.

O tym głównym, z dotąd ogłoszonych, utworze P. Towiańskiego, jeden z szanownych księży i kaznodziei naszych (Ks. Kajsiewicz) ma zamiar, dla lepszego Towiańszczyzny wyjaśnienia i usługi wiernych, wydać drukiem swoje zdanie, skoro tylko czas na to znajdzie. Tam tędy czytelnika odsyłając, żadnych tu z mojej strony uwag nie widzę potrzeby podawać.

Pisałem w Paryżu w Marcu 1844 r.

KONIEC.

LISTY Z ZAGRANICY.

LIST I*).

Z Strasburga.

Sześć lat jak tędy przejeżdżając, pisałem do ciebie z tego samego hotelu, z tego samego pokoju, na tem samem biórku, nie ręczę nawet, czy pióro które mam w ręku, a które w doskonale już zaschłym i wyschłym znalazłem kałamarzu, nie będzie to samo co wtenczas. Ledwo bym nie uwierzył, że te wszystkie lata, to był tylko sen, i żem dopiero wczoraj, onegdaj, pierwszy raz tu przyjechał. Ale nie! Na seń, to za nadto bolące i za nadto długie.

Po całych tedy sześciu latach jestem znów w Strasburgu — i jeszcze do ciebie, do was wszystkich, do domu jeszcze nie wracam! — Familijne, spólne całego rodzeństwa naszego interesa nie załatwione, a dla których raz się już poświęci-

*) Niektóre z tych listów były w pewnym dzienniku ogłoszone, ale bardzo nie kompletnie, tak, iż gdzieniegdzie połowę listu brakło. Załączony tu do nich opis stolicy Francji, pierwszy raz tu był umieszczony.
Przyp. Wyd.

łem, nie dają mi o tem ani pomyśleć. W Bogu jednak sprawiedliwym nadzieja, że w końcu...*) Żebyż przynajmniej do tej włóczęgi po świecie, choć zdrowia inszego, lepszego! — ale dzisiaj ja ani już nie spróbuję wyjść na wieżę; ledwo z ziemi mogę popatrzeć i to nie długo. Żebyś ty wiedział, co to jest ta wieża, co jest ta Strasburska katedra! Nic w świecie nie ma takiego!

Pamiętam, kiedym tu był dawniej i był zdrów, ilem to ja wtenczas razy obiegał ją, oglądał, obchodził, stał przed nią po kwadransach, po godzinach całych, zatopiony, nieruchomy! — A ona przedemną, w oczach moich, rosła od ziemi, wysoko, coraz wyżej, coraz prędzej, coraz dalej, że ledwie oko, ledwie duch mój zdążał, czepiąc się jak lunatyk po jej bokach, piersiach, skroniach: aż u wierzchu, u szczytu, w wysokościach, jak strzała, co cel swój trafia i na wskroś się zatrzęśnie, utkwił się i drżał na Krzyżu!.. Pod nim, ze ścian, z wnętrza wierzycy, brzmiały do mnie głosy organów, i głosy dzwonów, i śpiewania święte; i płynęło morze pacierzy, ciche i jasne jak sny dziecięce, i zsuwały się lata, i znów lata, i stolecia całe... Tylko ornatów, zbroi i gromnic blask migał się po farbach szyb, po łukach wiązań, po twarzach figur niezliczonego mnóstwa... Ale co tam po tych opisach!

Czy mi te wody pomogą, czy mię ten doktor sławny uleczy, Panu Bogu tylko wiadomo. Czy będę często pisywał, wątpię bardzo; ponieważ jednak chcesz koniecznie, więc już będę, ale ostrzegam, że tylko jak wojażer, jak gaduła, nic więcej. Powiadasz, że u Wód będę miał więcej czasu, jak gdyby moje niepisanie pochodziło z braku czasu! Przeciwnie, mój kochany, całkiem przeciwnie; ja go mam zawsze, wszędzie, póty! na około siebie, wczoraj, dziś, jutro, pojutrze! ja go mam jak powietrza na pustyni, jak wody na morzu, i dla tego właśnie... Bo co mi po tej pustce ogromnej, gdzie ani ogniska, ani siedzenia, ani mieszkańcy? Kamień

**) Opuszczamy tu kilka wierszy, tyczących się rzeczy familijnych korespondenta. Przyp. Wyd.

co gdzieś tam leży, na pół już w ziemię wrośnięty, ma także czas, którego nikt mu nie przerywa.

Ale źle listy te zaczynam; smutno jakoś i nudnie! Lepiej przerwać.

LIST II.

Z Baden-Baden.

Jestem tedy w Baden-Baden. Tuż przy Francji, bliziutko, jakby umyślnie dla takich jak ja wojażerów, co nie bardzo mają za co jechać daleko. Znałem dawniej Badeńskie, alem w Baden pierwszy raz teraz. Cieszę się, że ta moja kuracja ma się odbywać w kraju, co od pierwszego wejrzenia zaraz mi się był podobał i o którym zawsze odtąd milem sobie wspominał. — Mówię to o całem W. Księstwie Badeńskiem. Mnie to zdarza się z krajami, co komu z osobami: od pierwszych kilku chwil, od tego co tam zaraz zobaczę, co zaraz usłyszę, od pierwszych twarzy jakie spotkam, robię sobie mimowolnie o całym kraju wyobrażenie, i uprzedzam się o nim dobrze lub źle już na zawsze. — Jest to bez sensu, wyznaję; a najciekawsza, że tego pierwszego sądu nigdy prawie potem nie żałuję. Z Strasburga jedzie się tu tylko pół dnia, ja jechałem dłużej, bo w dyliżansie nie było miejsca i wziąłem landkuczera. Wyjechaliśmy we czterech: jakiś ksiądz młody, skromniutki; przy nim jakiś jegomość z wielkiemi faworytami, z wielkim na kamizelce łańcuchem, z wielką na chustce szpinką, nie bardzo już młody, i w którym od razu poznałem jednego z synów Izraela, gęsto w Strasburgu zagnieżdżonych. Na przodzie jakiś ucieszony Aptekarz, gaduła nad gadułami, który zaraz w pierwszych pięciu minutach powiedział nam, że czas bardzo piękny, że on jest aptekarz, że niezmiernie z miłego naszego towarzystwa uszczęśliwiony, że lubi bardzo kraj górzysty, że nie chciał by wpaść w Ren, bo nigdy się nie mógł nauczyć pływać, że ma żonę słabowi-

tego zdrowia, i t. d.; czwarty ja. — Przejeżdżając Ren, który pod Strasburgiem płynie szeroko i wspaniale, przypomniało mi się z jakiem niegdyś uczuciem przebywałem go pierwszy raz; — a że most i długi i na łyżwach, a myśl prędzej rusza i dalej staje niż pojazd choćby najlekszy, przypomniałem sobie Pragę, Warszawę i różne, różne rzeczy! Przyznam się, że jestem w tem tak prawie śmieszny, jak ów poczciwy legjonista o którym mówiono, że na wszystkie w świecie miasta miał tylko jedno imię, Kraków, a każdą rzekę brał w najlepszej wierze za Wisłę. Szczęściem, podniósłszy oczy, ujrzałem przed sobą moją wieżę, którą widać długo jeszcze za Renem; wyglądała jak siatka, zdało się, że za najmniejszym wiatrem rozedrze się i spadnie, albo raczej wyżej gdzieś poleci. — Przez jej przezrocze słońce Francji patrzało na nas w długich, złotych promieniach: Aptekarz miał rację, czas istotnie był piękny, Ksiądz czytał w brewiarzu, ja czytałem w wieży. Sąsiad księdza, obtarłszy sobie starannie kapelusz, okrył go fularem, wyciągnął z kieszeni pulares i zaczął pisać jakieś liczby; — mój, tamtych obydwóch widząc zajętych, zwrócił się całkiem na mnie, z widocznem postanowieniem wciągnienia mię gwałtem w rozmowę. Broniłem się jak mogłem, nic nie pomogło. «Pan widzę patrzy na wieżę... o! sztuki piękne, piękna to rzecz niezmiernie. — Ja także kocham się w architekturze. — Gdybyś Pan widział fasadę, którąm kazał do mojej apteki dorobić... Ja może pana nudzę... Bo widzi pan, ja nie dawno aptekę objąłem po stryju; trzeba było mnóstwo rzeczy przerabiać, odmieniać, gdyby nawet nie to, że żona zawsze mi słaba... jeśli pan kiedy będziesz w naszem mieście; ale ja pana może nudzę, oto jest mój adres.» Wyjął prędko i wetknął mi w rękę adres, i znowu zaczął o czem innem. We Francji żaden handlarz, żaden spekulant, żaden oszust, słowem, żaden mający jakąkolwiek styczność z publicznością, nie ruszy się prawie z pokoju do pokoju, żeby nie miał przy sobie adresu. — Jest to kartka, na której jego nazwisko, zamieszkanie, tudzież opis handlu, przedsiębiorstwa, słowem czegokolwiek, z czem się publiczności poleca. Dla pewniejszego ściągnienia oczu, często na tych adresach kładą rozmaite rysunki, portrety, plany miast;

wszystko tu bowiem na tem zależy, aby imię swoje najwięcej roznieść, rozrzucić, rozgłosić, słowem rozbłocić i spieniężyć. Wy, poczciwi krajowcy, nie macie jeszcze o takich rzeczach dobrego wyobrażenia; — dojdzie to jednak i do was, jeśli tylko lepiej uwierzycie, że cywilizacja, szczęście i godność narodów polega na fabryce pończoch, świec, cukru, pudrety, na machinach parowych, latarniach gazowych, drogach żelaznych, słowem na kupiectwie, na przemyśle, na miastach. I jeśli zatłumiwszy wszystkie inne głosy, jeden tylko, jak Polska szeroka, rospuścicie, ten sam, który niegdyś słyszałem na Pociejowskiem i Franciszkańskiej ulicy, hendel, hendel, hendel.*) Wracając do mego gaduły, postrzegł nareszcie, iż domysł, na jaki kilkakrotnie wpadał, że mię może nudzi, miał rzeczywiście bardzo wielkie do prawdy podobieństwo, i przecie się uciszył, a raczej gadanie zamienił na śpiewanie, bijąc sobie takt lornetką po palcach, to po kolanach. Jechaliśmy dalej, krajem miłym, otwartym, wesołym. W Bischoffsheim, małem miasteczku, przybył nam na popasie nowy do kocza kandydat: jakaś panienka, jakaś Francuska, udająca się także do Baden. Pakunek jej nie zastraszał furmana, składał się z małego tylko zawiniątka w ładnej jedwabnej chusteczce — ale pojazd był tylko na cztery osoby i mieliśmy prawo oprzeć się, żeby nie brał nikogo więcej. Rospoczęły się negocacje. Aptekarz zaczął pierwszy popierać całą siłą sprawę wojażerki. Księdza, który zrobił uwagę, iż wszystkie miejsca zajęte, tem szczególniej zbijał, że osoba tak szczupłej i wciętej talji, nic prawie miejsca nie zabierze. Jegomość z wielką, ognistą szpinką, poprawiwszy ją kilka razy i rozsiadłszy się, jak mógł najwygodniej, był dalej zajęty pularesem, przeglądając z niego to listy, to rozmaite jakieś świstki; furman ciągnął widocznie za stroną panny. Ja, nie wiem czy przez grzeczność dla pularesowego jegomości, który o tyle raczył do dyskusji należeć, że się straszliwie w pojeździe rozwalił, wotowałem za aptekarzem. Znów więc

---

*) Tak, zamiast handel, handel, wołały i wołają żydki warszawskie, noszące na przedarz suknie, zegarki, łańcuszki i rozmaite starzyzny.
Przyp. Wyd.

ruszyliśmy, w pięcioro. Farmaceuta kontent był niezmiernie z przybyłej towarzyszki. Gęba im się nie zamykała. Zaczęło się od długiej historji panny, jakim sposobem znalazła się sama w Bischoffsheim, i jak mimo bojaźni jechała z męszczyznami, musiała siąść w naszym pojeździe, i t. d. — Dosyć, że w kilka minut po przybyciu do Baden widziałem z okna, jak oboje nie znalazłszy miejsca w jednym hotelu, szli do innego i w takiem już stowarzyszeniu wzajemnej pomocy, że zawiniątko w jedwabnej chustce było pod pachą aptekarza, a lornetka, którą przez drogę takt wybijał, była na szyi nierównie piękniejszej.

Spytasz się może, na co ci to wszystko piszę? — Sameś chciał. Miasta tak dobrze jakbym jeszcze nie widział: dotychczas znam ledwie hotel gdziem zajechał; Guberta także nie widziałem, i mówią mi, że kilka dni będę czekał, tak zajęty. Patrzyłem w listę przyjezdnych, która tu wychodzi co dzień, jak u innych Wód, tylko daleko liczniejsza; nikogo prawie z Polski! — Nie wiem sam, czy to gorzej dla mnie, czy lepiej.

LIST III.

Z Bad-Baden.

Muszę już ci napisać cokolwiek o Baden. A najprzód, ty geograf, gotóweś mi przypomnieć, że to jest Bad-Baden, albo nawet Baden-Baden — mniejsza z tem, ja przez skrócenie, przez lenistwo, będę jednak nazywał Baden. — Otóż tedy to moje Baden, leży sobie w najroskoszniejszem w świecie położeniu. Dobrze mówię leży, bo można by je przyrównać do podróżnego, który mając na około prześliczny kraj, położył się na wzgórzu, głową wyżej, żeby mógł widzieć jak najdalej i rosciągnął się na dół jak długi. W tem porównaniu, głowę mego miasteczka, stanowiłby Zamek książęcy

i kościół, które jeden i drugi są na górze; pod nimi i zaraz przy nich, gęste domy schodzą coraz w lekkiej pochyłości na wąską dolinę; tędy puszcza się mała rzeczka i bieży wciąż pod miastem. Całe Baden postawione jak do malowania, jakby umyślnie na krajobraz, bo dosyć jest odejść o kilkadziesiąt kroków, a już całe masz jak na dłoni; dla piękniejszego zaś widoku, na samym wierzchu, wielkie i wysokie starego Zamku ruiny! Góra, na której miasto, pierwsza jest od doliny Renu, od strony Strasburskiej; bo z Strasburga jedzie się tu wciąż płaszczyzną; ale za nią i w tej samej linji ciągną się inne, — między temi największa Merkurberg. Nie dość na tem, po drugiej stronie rzeki masz także góry, tak, iż zewsząd jesteś między górami, jak w kryjówce jakiej. Ale żebyś widział co to za miła, za śliczna kryjówka! Po nad rzeką idzie główny spacer; prowadzi jedną stroną na drogę ku Strasburgowi, a także ku Rastadt i Karlsruhe, drugą do wioski Lichtenthal; ta druga jest nierównie ważniejsza, tu zbiera się, tu mieszka, tu się ciągle rusza od rana do nocy cała Publiczność, jest to pod gołem niebem salon dla wszystkich gości badeńskich. Malutka rzeczka, o której powiadam, dzieli Baden na dwa odrębne kraje. Po jednej stronie miasto, więc jak wszędzie ulice, domy, rzemiosła, praca, obowiąski, słowem cała proza życia, świat pospolity, powszedni; — po drugiej świat gości, świat strojów, spacerów, mody, nowin, tańców, słowem świat romansu. Wznosi się tu główna badeńska świątynia, Conversations-Saal — długi, okazały i dość dziwaczny gmach, ogromne i pyszne sale: w nich króluje zabawa! Muzyka, sklepy, spacery, gry, dzienniki, bale, teatr, zielonośc, kwiaty, drzewa, w około rozległy ogród, co tylko zechcieć może myśl swobodna, wesoła, pusta, goniąca przed sobą czas jak ptaszka, jak motyla, — wszystko tu znajdziesz. Tu jest prawdziwy Baden. Nie ów Baden mieszczanin, Niemiec z małego księstewka Baden, jakich pełno na świecie; ale Baden europejczyk, kosmopolita, Pan, Baden sławny, jedyny na ziemi, i który na to tylko żyje, na to oddycha, aby się bawił, używał, roskoszował. Osobliwsze zbiegowisko! Dziwny utwór dzisiejszej cywilizacji, dzisiejszych bogactw i zbytków, zepsucia i nudów! Niegdyś dla poruszenia, dla

zebrania tłumów ludzi, trzeba było myśli wielkiej, uczucia wielkiego, to też zbierano się w kościołach, albo gmachach narodowych przy krzyżu Pańskim, albo przy chorągwi ojczystej; — teraz dosyć jest dla kobiet sklepu z modami, dosyć jest dla męszczyzn stołu z kartami i ze złotem, a spieszą do najpierwszej karczmy publicznej, byle pięknie, bogato i gustownie utrzymanej, nie pytając nawet w jakim jest kraju. Ale cóż znów! to coś zakrawa na brzydką satyrę. Wracam się więc co prędzej do Conversations-Saal.

Od samego rana już tu pełno ludzi. Muzyka wygrywa po włosku, po niemiecku, po francusku, po polsku nawet; spotykasz samych elegantów, same elegantki, prześliczne ranne stroiki, nigdzie ani jednej figury smutnej, biednej, nieszczęśliwej, tu nawet nikt nie wie, może i nie wieży, że takie figury gdziekolwiek są na świecie. Wszędzie bogactwo, wielkość, szczęście. Spotykasz rozmaite grupy, wszystkie języki słyszysz, mięszanina jak największa wszystkich stanów, głośne rozmowy i śmiech w około, każdy tak jest, jak gdyby był sam jeden tylko — tu ładne, tam jeszcze ładniejsze twarzyczki, ówdzie śliczna figurka mignęła, jak ptak między klomby. Ale za kim to raz i drugi raz zwrócono się? Kto przeszedł, kto się pokazał? Dopiero szedł z Księżną F**, już znowu z kim innym; tylko co stał z Ledi W**, już zniknął; znów jest, wołają, nie posłyszał, już pędził dalej, — lecz go jakaś drobna rączka chwyciła, jakiś miły głosik zatrzymał... A któżby, jeśli nie Gubert, latająca wyrocznia badeńska, ulubieniec, powiernik, przyjaciel, cudowny lekarz Dam!*) Jak on umie ich wszystkie choroby zrozumieć, przyczyny tych chorób zgadnąć, lekarstwo na nie znaleść! jak całe opowiadanie historji ich umie wysłuchać, i uspokoić, i zaręczyć, że ani płeć nie straci blasku, ani oko ognia, ani głos świeżości, ani żaden wdzięk swojego uroku. — Nie masz że tu, gotóweś zawołać, prawdziwych chorych? O człowieku

*) P. Gubert, jeden z najsławniejszych wtedy doktorów w Niemczech; sławie jego i szczęściu, jakie ma w leczeniu, winien jest Baden z połowę swoich licznych gości. Był to lekarz nie tylko wielkiego, ale i ubogiego świata; przy tem tak dobroczynny, że w szpitalu utrzymywał ciągle kilka łóżek na własnym swoim koszcie. Przyp. Wyd.

prosty i nieczuły! któż ci mówi, że to nie są prawdziwe chore? A dla czegóż by innego wstały tak rano? Ósma godzina dopiero; ale doktor każe, oddech poranku orzeźwi nerwy, myśl swobodna uczyni poruszenia ich łagodniejsze; widok natury, szmer wody, szum listków, uspokoi fatygę uczuć, sharmonizuje tony wrażeń...

Bądź pewny, że te wszystkie panie są chore, że ci wszyscy panowie są chorzy, bo tu wszyscy chorzy, wszystko chore: strumyk co tu płynie, jest chory; ptaszki co tu latają, są chore; kwiaty co tu rosną, są chore; — rozumiesz prostaczku? Więc ostrożnie, cicho, na palcach, delikatnie i ani słówka z uwagami! Cóż dziwnego, że chory ubiera się, stroi się, oddaje i przyjmuje wizyty, jeździ pojazdem albo konno, gra, śpiewa, tańczy do północy? Doktor pozwala, bez wiedzy doktora nic się tu nie dzieje. Cóż byś ty dopiero mówił, gdybyś tu był wieczorem? Wtenczas to piękny Baden porusza się jak mrowisko. Droga do Lichtenthal, wysłana po obu brzegach najpiękniejszemi strojami: idą, jadą, spotykają się, krzyżują się; wstążki, kwiaty, pióra, tysiące kolorów, latają ci w oczach, mnóstwo pojazdów tam i nazad, na rączych koniach migają lekkie jezdne w długich amazonkach; co żyje, wszystko musi się pokazać. — Ja sam o moim wiernym kiju, ciągnę tu także, a usiadłszy nad drogą, przy krynicy przedziwnej wody, skąd wiejskie dzieci, a moi dobrzy już znajomi, obwołują «Glas Wasser» robię nasamprzód u tych małych handlarzy sprawunek i za grajcara kupuję cały kubek doskonałego napoju — potem patrzę się przez chwilę to na kraj przecudny, to na ludzi, co na niego ani spojrzą, to na ruch ciągły, dziwny, w jakim się tyle osób rozmaitego wieku, stanu i narodu wije i miota przedemną, to na spokojność wieczoru, który już coraz kładzie się po górach i wszelkie głosy dniowe powoli ucisza... Aż nie długo szum liści słyszę wyraźniej nad sobą, i szum wody wyraźniej przy sobie, turkot pojazdów już ustał, głos ludzki odszedł, wrócił ku miastu, — tylko dzwon, oznajmiciel modlitwy, ukrytych służebnic Chrystusa, zabrzmiał od wiejskiego klasztoru*) i w ci-

*) W Lichtenthal jest klasztor Zakonnic. Prz. Wyd.

chem powietrzu zwrócił się także ku miastu, i szedł górnym szlakiem za ludźmi, jak myśl nie rozumiana, jak przestroga pogardzona!

LIST IV.

Z Bad-Baden.

Wiesz tedy, że Conversations-Saal jest to główne ognisko, główny przybytek eleganckiego Badenu. Muszę cię wprowadzić do środka. Wchodzisz do jednej sali, do drugiej, do trzeciej... patrzysz... to samo! Oglądasz się, sam sobie nie wierzysz — jednakże tak jest istotnie. Bardzo tu wszystko pięknie, ładnie, strojnie, grzecznie — przecież koniec końców, jest to nic innego, tylko wielki dom gry. Na kilku warsztatach, chcę mówić, ogromnych stołach, szulerstwo się odbywa; zaczyna się zaraz od rana, i z małemi przerwami idzie ciągle do północy dzień w dzień. Przy każdym stole masz pewną liczbę oficjalitsów, akuratnie, jakby w jakiem urzędowem biórze, godziny swoje odbywających, panowie radcy, sekretarze, kasjerowie, na wszelki też przypadek nie braknie i policyjnych pachołków. Stosami złoto i srebro, kupami bilety bankowe, na około mnóstwo męszczyzn i kobiet; cisną się, jeden przed drugim zabiera miejsce; z kieszeń, surdutów i fraków, z eleganckich damskich woreczków, z śliczniuchnych pularesów, padają na stół rozmaite sumy; twarze się rospalają, czoła marszczą, — przed rosnącym to gniewem, to wstydem, to żalem graczy, gaśnie coraz widoczniej uśmiech ludzi dobrej kompanji, którzy tu przyszli na niewinną niby rozrywkę. Nie patrzą już na siebie, ale każdy tylko na fatalną kartkę, lub gałkę; tu z pięknego oczka sentymentalnej Milady, błysnęła przelotem łza mimowolna, tam z pod wąsów starego wojaka, ba nawet z ostrożnych wszędzie indziej ust dyplomaty, furknęło przypadkiem

słowo grubego przekleństwa; tylko twarze bankierów i drugich szanownych urzędników spokojne, jednakowe, obojętne, — bo jeśli który skrzywi się, lub mruknie, to chyba z gorąca oddechów przy nim skupionych, chyba ze znudzenia oka, patrzącego ciągle w jeden punkt na stół, i ze znużenia ręki, zgarniającej ciągle zakrzywioną łopatką pieniądze na prawo i na lewo... Między nami, już to prawda, że te wszystkie piękne stoły są rzeczą szkaradną, muszą nawet prędzej-później koniecznie Badenowi zaszkodzić. Gdybyż jeszcze robiono jaką z tego tajemnicę, gdyby się choć najmniej wstydzono, żenowano, toby w tem samem był jeszcze jakiś hamulec. — Ale wcale a wcale! Każdy idzie na grę tak śmiało, otwarcie, niewinnie prawie, jakby na spacer, albo na teatr. Szulerstwo tutejsze, jest to wprawdzie zawsze łotr i nic dobrego, bo to już jego natura — ale nie jak pospolicie, obdarty, pijany, zarosły, obrzydliwy, tylko jak ów elegant nie dawno w Paryżu sądzony, co stawał przed sądem w modnym fraku, ufryzowany, w glansownych rękawiczkach, z laseczką, z lornetką, i zlany parfumami, słowem śliczny gagatek i Dandy — tylko że biedaczek kradł, fałszował weksle i rozbijał. — Ależ mówią mi tu, to niewinna rozrywka, zabawa, zabawa tylko; czemu tak czarno i strasznie rzeczy wystawiać? Właśnie miałem wczoraj o to dysputę. Niewinna! a niejednę familją w rospacz wpędza, nie jednego do samobójstwa przywodzi, nie jednego na całe życie gubi, rozwijając w nim gry namiętność! — Niewinna! a ogromne sumy, z krzywdą ubogich i nieszczęśliwych, z krzywdą tysiącznych potrzeb kraju, składa corocznie w ręce niecnych spekulantów, zowiących się wprawdzie bardzo niewinnie, bo tylko przedsiębiorcami zabaw. Przedsiębiorca badeński za wolność zdzierania publiczności, płaci miastu na rok przeszło sto tysięcy złp., to samo może ci dać wyobrażenie ile on sam musi zarabiać. Szanowny pan przedsiębiorca, jest to ten sam, który dawniej dzierżawił w Paryżu wszystkie domy gry, był tam także przedsiębiorcą zabaw. W Paryżu przecie to śliczne przedsiębiorstwo rospędzone zostało prawem, jako łotrostwo, a co Paryż tak nazwie, tego już można nie bronić, on w tych rzeczach jest dostatecznym i doskonałym znawcą.

Przerzucę cię teraz, jeśli chcesz, na drugą stronę rzeki, do miasta. Baden ma wiele źródeł, najgłówniejsze na górze miasta pod Zamkiem; tamtędy jest i galerja do chodzenia. Zdziwiłbyś się, nie widząc zazwyczaj jak kilka lub kilkanaście osób, chociaż jest w bardzo ładnem miejscu i z ślicznym widokiem przez miasto na góry. Otóż nie wiem, czy wiesz, że wody tutejsze używają się wprawdzie do picia, ale nie równie więcej do kąpieli tylko. Na kąpiele nie ma miejsca jednego, ale po różnych stronach miasta, każdy z większych hotelów ma łazienki, po kilkadziesiąt i więcej wanien. — Oprócz łazienek co tu jeszcze hotele mają ciekawego, to sale, wielkie, okazałe nawet, jak rzadko gdzieindziej; w Paryżu naprzykład, o tem ani słychać. Każdy hotel ma u siebie stół, obiady dają dwa razy na dzień, dla jednych o 1szej, dla drugich o 5tej. Zabawna to rzecz bywać na tych obiadach — miarkuj sobie, zbiera się czasem do dwustu osób, mnóstwo dam i ładnych, w świeżych toaletach, tu bowiem zwyczaj pozwala wszystkim jadać w oberży. W tem mnóstwie są oczywiście i ładne, czasem taką właśnie da ci los za sąsiadkę; rozmowa toczy się najswobodniej, wszyscy tak są, jakby się od najdawniej znali, chociaż dopiero pierwszy raz się widzą. Często też zdarzają się figury ucieszne, dziwaczne, rozmaite oryginały — tym czasem muzyka wygrywa, obiad doskonały, gustownie zastawiony, wybornie ułożony; wiją się, nawołują garsony, kelnery; sąsiedzi ciągle ci coś podają, ciągle się o coś pytają, o coś proszą; szereg potraw uderza z lewej i z prawej strony, stąd niedźwiedź, pustelnik onegdajszy jeszcze sąsiedniego Szwarzwaldu, stąd żeglarz Reński, łosoś potężny, znów ptastwo drobne. — Strzeliły szampany, damy się straszą; kieliszki się pienią, śmiechy, wesołość; tam reńskie doskonale zapachło w około jak kwiatem; brzęk, gwar, łoskot; orkiestra, żeby wziąść jakim sposobem górę, natęża instrumenta; goście także, żeby się nie dać zagłuszyć natężają głosu: jeneralne zatem w całej sali crescendo hałasu i huku; słowem, powiadam ci, zabawna to rzecz bardzo. Byłem tam ze trzy razy, i nie więcej podobnom tego żałował jak raz, czy dwa najwięcej — ale nie zapominaj, żem ja słaby i że to nie było moje miejsce. W tychże dużych

salach, o których mówię, bywają także koncerta, albo jakie widowiska, i znów wtenczas do oberży pod Złotym Jeleniem, lub innym podobnym znakiem, idą wszyscy, bo nawet Książęta i Księżne panujące.

LIST V.

Z Bad-Baden.

W przeszłym tygodniu miałem miły bardzo dzień, chciałem zaraz do ciebie napisać, ale przewlekło się jakoś aż do dzisiaj; Boże ciało obchodzono tu z wielką uroczystością. Tak mi było przyjemnie zobaczyć się przecie w kraju chrześcjańskim, katolickim, mnie, który przez lat kilka siedziałem w Paryżu. Paryżanie zowią się także katolikami; ale to są tego rodzaju katolicy, że gdyby naprzykład zobaczyli procesję, gotowiby zrobić drugą rewolucję lipcową. — Świeżo w kilku ich dziennikach czytałem okropne wyrzekania, że w jakiemś miasteczku na prowincji, istotnie jakiś proboszcz odważył się wyjść z procesją. — Ale mówmy o Baden. Zdało mi się prawie, że byłem w kraju. Nie tylko, że w całem mieście znać było po wszystkiem że święto, po zamkniętych sklepach, po czysto obmiecionych domach, po piękniejszem każdego, kogoś tylko spotkał, ubraniu; ale przy całym obchodzie nabożeństwa, mnóstwo rzeczy całkiem Polskę przypominających. Wystaw sobie, jakiem się ucieszył, zobaczywszy drzwi domów przybrane rzęsisto w maj, zupełnie jak u nas na Zielone Świątki, ziemia zasypana tatarakiem; z mozdzieży palą, we wszystkie dzwony dzwonią, dzieci zewsząd kręcą się — bo nie wiem jak się to dzieje, na każde takie święto bierze się z kądsić daleko więcej dzieci, podobnie jak ptasząt zawsze więcej na słońcu. Pamiętam w dziecinstwie na każdą taką uroczystość, jeśli tylko pogoda, to zawsze mi się zdawało, że powietrze było jaśniejsze, przejrzystsze, że twarze znajomych

wyglądały łagodniej, ładniej, młodziej, że nawet głosy osób domowych wyraźniej się zmieniały i miękczyły. Czy doprawdy tak było, czy żeby to widzieć i słyszeć, potrzeba zmysłów i duszy dziecka, dosyć żem pewny, iż gdybym w owym czasie wpadł był kiedy w letarg i potem obudził się w święto, to za pierwszem oczu otwarciem, poznałbym natychmiast że święto.

Jestem tu w kraju wcale pobożnym. Cywilizacja Badeńczyków, choć zaraz na pograniczu Francji żyjących, nie doszła jeszcze do tej doskonałości, żeby wywracać krzyże, figury świętych, i t. p. — Widzę tu i krzyże i figury, widzę nawet ludzi, którzy koło nich przechodząc nie wstydzą się odkryć głowy i pokazać, że są chrześcjanami.

Kościół tutejszy, piękny, jasny, ma w sobie i dawne nagrobki Książąt Badeńskich. Cudzoziemcy przychodzą je oglądać; Anglików zwłaszcza mróstwo się włóczy; często nie dadzą spokojnie mszy wysłuchać. Nie lubię w nagrobkach jednego konceptu, którен się bardzo często, a nawet w najsławniejszych spotyka: wystawiania śmierci i znikomości ludzkiej z pewną jakąś grubjańską i bezduszną ironją. Widzisz na przykład sławnego rycerza, monarchę, lub innego wielkiego męża, idącego z całą pompą wielkości swojej do trumny, a tej wierzch otwiera przed nim, niby wierny, miły sługa, Śmierć, w postaci nagiego szkieletu. Czemu żeś już, panie malarzu, albo panie snycerzu, nie dozwolił temu umarłemu spokojnie położyć się w prochu? Przecież już idzie do trumny, schodzi z oczu wszystkim, nie dość że ci tego? — Po co przez ten szkielet, stawiony w postaci ułożonego niby dworzanina, po co, mówię, w tak uroczystym obrazie, jakim jest śmierć, zwłaszcza śmierć człowieka wielkiego, to natrząsanie się, żart, wyraźne szyderstwo, kiedy oczywista, że ten twój szkielet ma na sobie w całej tej scenie charakter nie sługi i poddanego, lecz owszem zwycięscy i tyrana. Wystawiając śmierć, to przejście z życia znikomego w wiekuiste, stawcie nam przed oczy nadzieję, modlitwę, żal ziemi za sługą Bożym, oto są naturalni i chrześcjańcy towarzysze i przybocznicy śmierci, a cały wasz obraz niech będzie poważny, surowy, uroczysty. Tak sobie w myśli mówiłem do

kunsztmistrzów, patrząc na jeden z głównych i najokazalszy tutejszego kościoła nagrobek. — Wczoraj znalazłem drugi kościół, a raczej kościołek. Mogę powiedzieć znalazłem, bo stoi całkiem w dole i zewsząd domami zakryty. Jest przy nim klasztor Panien Zakonnic. O tych poczciwych Zakonnicach opowiadano mi bardzo tkliwe rzeczy. Jedyny prawie dochód ich jest z jałmużn, a prócz potrzeb samego klasztoru i tego co wydają na biednych i chorych, utrzymują jeszcze szkołę dla ubogich dziewcząt. Nie raz słyszę, zupełnie już ostatkiem gonią, a nigdy biednym nie odmawiają, choćby było w domu najmniej — i potem znów przyjdzie jakaś niespodziana, czasem nawet z dalekich stron, jałmużna i znów mają żyć z czego. Lud prosty tak już nawykł widzieć w nich swoje szafarki i dobrodziejki, że przed kilku laty, jak był nieurodzaj, to ustawicznie się tutaj schodził, wołając pokarmu, który mu też ciągle z klasztoru, jakby widocznym cudem, wynoszono. Ciekawa rzecz, skąd to ten lud głodny miał instynkt, że trzeba iść nie przed dom naprzykład bankiera, gdzie przecie od rana do nocy liczą pieniądze, ani jakiego profesora, wydającego książki o filantropji, ani jakiego reformatora, coby się dał ubić za teorję równości i wszechwładztwa ludu, ale wprost do ubogich zakonnic, o których wiedział, że same ani skarbu, ani dóbr żadnych nie mają, i owszem, jutro lub pojutrze mogą także pójść na ulicę żebrać! — Jest tu jeszcze jedno święte, bardzo miłe miejsce — blisko, bo może na mniej, jak na ćwierć mili przed miastem, jadąc od Strasburga, mała ubożuchna, a po całych dniach otwarta kaplica z obrazem Najśw. Panny. Opiece tej nieba i ziemi Królowej lud okoliczny przyznaje ratunek od wszelkich chorób; podczas cholery gromadnie się tu zbierał i choroba ta wcale w tej stronie nie grasowała. Jest podanie, że już od bardzo dawnych czasów zawsze podobnej łaski przy tym obrazie doznawano. Rzadko, abyś w tej kapliczce nikogo nie zastał; zejdziesz się raz z żebrakiem, albo biedną wdową z której przyległej wioski, drugi raz z możną jaką i znaczącą na świecie osobą; o każdej chwili dnia, aż do późnego wieczoru, zawsze tu ktoś jest, klęczy, modli się, służy Bogu; ustawiczna modlitwa ciągle

się tu, jak lampa. utrzymuje, wznosi się do nieba w pustelniczej prawie samotności, żadnem okiem obojętnem nie wstrzymywana, nie brukana. Z Baden przejeżdża się tu małym spacerem.

Już to spacerów, to nie brak. W jaką chcesz obrócić się stronę, wszędzie wygodna droga, miła jedna i druga ścieżka, ławki, cień, krynica, nawet oberża i kawiarnia, że nie wspomnę muzyki, która jest wszędzie i przy wszystkiem. Ciągle tedy spotykasz mnóstwo osób, męczyzn i dam, piechotą, pojazdem, konno, lub na osiołkach, bo tu nikt czasu nie traci. Aż miło, jak się wszędzie, na prawo i na lewo, czujesz panem i panującą osobą! Cała okolica w twojem poddaństwie; wszędzie gdzie się zwrócisz, wcześnie dla ciebie już coś nagotowano, przyrządzono, wszędzie na ciebie czekano, bo jesteś gość, jesteś słaby — tego swego tytułu pamiętaj nie zapominać — jesteś cudzoziemiec, i przyjechałeś leczyć się, bawić się, próżnować, płacić. Oprócz spaceru koło sali i do Lichtenthal, co się nawet za spacer nie liczy, bo tam ciągle się żyje: najsamprzód chce się zobaczyć ruiny starego Zamku. Sterczą ci prawie nad głową, masz je tuż pod ręką, dość prawie wyjść z domu i podejść trochę pod górę: a więc ruszasz do Altschloss. Już to co się tyczy tej wielkiej bliskości, to konie, wlekąc się kręconą drogą, dobrze się biedne zasapią; prawda i to, że cię to nic nie obchodzi, bo ty tymczasem używasz tak cudnego widoku, że się ani postrzeżesz, jak godzina przeleci i już stanąłeś. Ruiny obronnego niegdyś i obszernego Zamku. Mniejsza o jego historję! Historja ta sama co wszędzie: dowcip, praca, pycha, ucisk, wielkość, poddaństwo, wojna, sława, i inne nędze i mary, w końcu gruzy, mech i dla okolicznych mieszkańców spacer na ruiny! — Główna tu rzecz jest widok. Gdyby widok dawał się opisywać, i gdybym ja go opisywać umiał, miałbyś list do oprawienia w złote ramki, przepyszny, zachwycający! — Ale nic z tego. Powiem ci tylko, że masz Ren jak na dłoni; wieżę Strasburską jak przed nosem; dolinę Reńską jak na kolanach; Baden jak pod pachą; wiosek, wioseczek jak maku; a nad tem wszystkiem dwoje oczów twoich, jak dwa łakome, pożerające, nienasycone jastrzębie. Otóż spacer

pierwszy. — Drugi, także wielkiej piękności, jest do Eberstein-Schloss, o dobrą naszą milę od miasta. Dwie tam idą drogi, jedna od drugiej piękniejsza. Eberstein-Schloss należy do Książąt Badeńskich, którzy noszą także tytuł Hrabiów Ebersteinskich. Jeśli ci szczęśliwi Książęta nie wszyscy jeden w drugiego są wielcy poeci, wielcy malarze, wielcy muzycy, wielcy artyści, to chyba dla tego, że nie zawsze w Eberstein-Schloss mieszkają. Jeśli w którymkolwiek z nich powstała kiedy jaka myśl pozioma, płaska, jakie uczucie niegodne, pospolite, to pewno nie na tem miejscu, nie w tem mieszkaniu, nie na cyplu tej góry wyniosłej, pod której stopami lecą na przestrzał najcudowniejsze obrazy: nie nad tą mówię, czarowną doliną Murgthalu, nie w obec tej natury wielkiej, rozłożystej i w tysiączne piękności ubranej. Gdybym mógł panom tego świata dawać rady, radziłbym jak najmocniej Badeńskim Wielkim Książętom nie wychowywać synów swoich gdzieindziej, tylko w Eberstein-Schloss. Spacer drugi! — Bo cóż ci mówić jak pokoje Zamku umeblowane, jakie posadzki, sufity, stoły, krzesła, łóżka, jacy tam nawet stoją rycerze w dawnych zbrojach? Jednego z nich, co jest zaraz przy progu sali, wysoki, potężny, chciałem wychodząc, ścisnąć za żelazną rękawicę i prosić, aby w te błogosławione ściany nie wpuszczał żadnego profana co by nie czuł, nie widział w jakiem jest miejscu, a patrzał raczej na to co znajdzie w każdym pałacu, i co powinno by obchodzić jakiegoś murgrabiego, kamerdynera, lub pannę garderobianę. Są doprawdy ludzie mający osobliwszy talent widzieć, słyszeć, czuć, uważać, właśnie nie to co trzeba i tym sposobem nigdzie być nie umieją. Pójdź z nimi na operę Mozarta, będą patrzeć kto siedzi obok w loży; pójdź do galerji Luwru, ich uwaga zwróci się na liberję lokajów dworskich; wprowadź ich do Eberstein-Schloss, będą oglądać jaką materją krzesła obite. Z jednym takim kamerdynerem, i z jedną taką garderobianą — notabene był to pewien Lord angielski z żoną, paryską elegantką — i mnie zdarzyło się zwiedzić Ebersteinski Zamek, szczęściem byłem już tam pierwej w bardzo miłem i polskiem towarzystwie. — Trzeci spacer masz na przykład do Jagdhaus, znów ku dolinie Reńskiej. — Ależ nie

myślę wyliczać wszystkich. Z Merkurberg ma być osobliwszej piękności i niezmiernie rozległy widok; bardzo wierzę, bo góra potężna, ale właśnie dla tego samego nie byłem na niej, a dla tego że nie byłem, nie opisuję. Między innymi miejscami bardzo mi się podobał Fremersberg. Był tam kiedyś dawny kościół i klasztór, podobno Franciszkanów, ruiny dopiero w tych latach sprzątniono, a teraz zrobił się ogród i spacer. Miejsce roskoszne, na schyłku góry, nad zielonym parowem, w lesie, jedną stroną na obszerną otwiera się dolinę, po niej przechadza się Ren, i żeby dłużej tu bawić, nie idzie prosto, ale się to w lewo, to w prawo powoli zawraca. Do koła cicho, miło, samotnie, pobożnie! Początek klasztoru musiał być pewnie taki, że ktoś tu zaszedłszy, stanął, spojrzał w około, zmówił mimowolnie pacierz, pomyślał trochę... pomyślał jeszcze, i lepiej... i nie chciał więcej na świat powracać. — Potem trafił mu się towarzysz jeden, drugi; potem z okolicznej wioski jakaś biedna matka, jakiś ubogi rybak, posłyszawszy śpiewanie psalmu, zobaczywszy krzyż, przynieśli kawałek chleba, trochę płótna, lub sukna. — Potem ten sam co z jednego ziarneczka robi drzewo ogromne, stóletnie — z jednego pacierza szczerego, z jednej jałmużny serdecznej zrobił kościół, klasztór, szpital dla chorych, przytułek dla pielgrzymów, szkołę dla sierot, i t. d., historja bardzo prosta i naturalna. Ale czas, ale cywilizacja, która nie cierpi próżnowania, pacierza i klasztorów! Więc zamiast próżnujących mnichów, widzisz teraz pracowników takich jak ja, codziennych gości z Baden: zamiast nieużytecznego pacierza bigotów, słyszysz rozmowy o kartach, o modach, lub aryjkę z Robert le Diable; zamiast ponurnego klasztoru, masz wesoły domek z kawiarnią i elegancką altankę — daleko lepiej. Panujący Wielki Książę Leopold, spłacając widać hołd dawnym przesądom, uczcił pamiątkę miejsca tego i postawił piękny krzyż biały, tam właśnie, gdzie kiedyś był wielki ołtarz. Niech mu Bóg tę poczciwą myśl nagrodzi na jego ładnych dziatkach jasnowłosych! których od czasu spaceru do Fremersberg zawsze mi jest przyjemnie spotykać. Raz mi się zdarzyło, muszę ci to opowiedzieć, że właśnie nazajutrz po tym spacerze, spotkałem jednego z synów Księcia;

jechał konno z guwernerem tylko i bez żadnego służącego; wiatr zerwał mu z głowy czapeczkę, mały jeździec miał już zsiadać i gonić zbiega, który toczył się prosto w rów, alem czapeczkę złowił, obtarł, i spiesząc się jak mogłem, podałem. Widziałem, że go ta grzeczność nieznanego jakiegoś cudzoziemca, a do tego chorego, zmięszała i spłonął cały rumieńcem. Nie domyślał się i nie będzie wiedział, mały blondynek, że to było za ów krzyż biały w Fremersbergu. Jest pod tym krzyżem napis, cztery wiersze niemieckie. Myśl ładna, ale jak to u Niemców zwyczaj, szumno i ciemno wyrażona. Wracając do miasta na spokojnym bardzo osiołku, którego lenistwo wcale mię nie gniewało, bo droga najpiękniejsza, przełożyłem je sobie, ale już dobrze nie pamiętam. Jest jeszcze ładny jeden spacer, do kaskady. Kaskada sama nie osobliwsza, ale miejsce w górach warte widzenia, i jedzie się ślicznym, kwitnącym krajem — tylko prawda, jużem cię przestrzegł, że o wszystkiem pisać nie myślę. Przyjedź sam, to zobaczysz, przyjedź, to się może zobaczymy. Ciekawy ja jestem, skąd ta wasza taka niełaska na Baden. Jeździcie do wszystkich Wód świata, do Ems, do Akwisgranu, które są dalej, a do Baden nie. Już to urzędowną, nadworną Polaków wodą jest Karlsbad; na Karlsbad wszyscy chorują starym jeszcze obyczajem. Kiedy już macie koniecznie chorować, a nie chcecie na Busk, na Krzeszowice, na Gwoździków, to przynajmniej chorujcie na Baden, żeby was choć łatwiej zobaczyć. Szczęściem, nie jestem tu przecież sam. Donosząc o spacerach, powiem o dwóch moich najczęstszych, i najbliższych, bo w mieście — jeden zum Goldene Traube, drugi zur Stadt Strasburg. Mieszkają tam Polki, dobre, szanowne, kochane. Te przecież, na wielką moją pociechę, raczyły zachorować trochę na Baden. Prawda, że to nie na długo; cóż, kiedy stan ich zdrowia jest taki, że jedna musi koniecznie do Włoch, do Neapolu, do Florencji — nie wiem jeszcze gdzie bądzie lepsza Opera; druga... ale co ja najlepszego robię! jak by się przypadkiem dowiedziały — niegodziwy ze mnie niewdzięcznik!

LIST VI.

Ze statku parowego.

Cóż ty, mój kochany, na to mówisz? Już stąd widzę twoje zdziwienie. Ze statku?.. Cóż znów? z jakiego?.. — Tak jest, ze statku, ze statku parowego bardzo ładnego, ze statku, który lata po Renie. I cóż w tem nawet tak dziwnego? Kto w Baden czas swój wysiedział, i jeśli nie całkiem, to przynajmniej trochę wyzdrowiał, po cóż miał siedzieć dłużej? Kto na rogach wszystkich ulic widział co dzień ogromne afisze, że tylko o milkę od miasta wsiada się do statku, i za bezcen i w mgnieniu oka zwiedza się brzegi Renu, sławne brzegi Renu! — Jak tu się tej pokusie oprzeć? Otóż wiesz już wszystko. Jestem na statku; zapłaciłem miejsce aż do Kolonji; będę w Mannhejmie, będę w Moguncji, będę w Koblencji, będę w Frankfurcie, będę wszędzie, będę na Renie, daleko na Renie, tam gdzie były kiedyś Średnie Wieki, i ich Barony, i ich Baronówny, i ich Minstrele i ich turnieje! W kraju zamków, ruin, ballad; w kraju Katedry Kolońskiej; w kraju poezji, malarstwa, wiary; w raju nie w kraju! Już tam jadę, płynę, już tam jestem jedną nogą, połową serca, całą głową! Dobry prawdziwie ze mnie człowiek, że tak jeszcze do ciebie poufale, tak po przyjacielsku chcę mówić, jakby równy do równego: co gdzieś tam na piaskach jakiegoś tam Mazowsza żyjesz sobie życiem grzyba, życiem parafjanina, życiem nie żywem, i o cudownych, sławnych, przepysznych tych krajach tyle ledwo wiesz, ile coś czasem na jakiejś gazeciarskiej bibule waszej wyczytasz. — O! mój że ty kochany biedaczku.

Widzisz tedy, że jestem sobie wesół i plotę koszałki; jestem wesół już przeszło pół godziny, czekając w Iffetzheim na statek Strasburski, bo wtenczas dopiero nasz, zabrawszy tamtych passażerów, ruszy w swoją drogę. Ten Iffetzheim, do którego się z Baden przyjeżdża, nie jest to nic więcej tylko domek nad rzeką, tylko jakiś pan Pisarz, pan Urzędnik,

który zapisuje wojażerów i pieniądze od nich odbiera. Byłem już u szanownego dygnitarza, wyekspedjował mię, i chodzę sobie po statku jak admirał, jak Kolumb, jak Robinson. Widzę nad sobą niebo, pod sobą fale — widzę prawda i różne inne rzeczy, na przykład dzieci kąpiące się po brzegach z tej i z tej strony, ale nie moja wina, że brzegi tak blisko jeden drugiego, że zamiast na oceanie jestem tylko na rzece, i że ta rzeka, chociaż niezmiernie sławna, nie warta jednak, w tem przynajmniej miejscu i połowy naszej Wisły. Ale cóż! Wisła w Polsce, Ren we Francji, przy Francji! Bodaj to we Francji być czemkolwiek. Wisłę nazwano by tu Monarchinią wód, Napoleonem rzek, lub coś podobnego; i wyczytawszy to w paryskich żurnalach, żaden by wtedy Polak dobrze wychowany, nie śmiał już nazywać jej inaczej. — Nim ruszymy, muszę ci teraźniejszy mój dom opisać, bo ty, błogosławiony człowieku, co pewnie rodziłeś się w czepku i możesz o sobie powiedzieć jak niegdyś ów przedni Rej:

Z granicy polskiej, milę nigdziem nie wyjechał,
Lecz co widzieć przystoi, przeciem nie zaniechał —

nie znasz podobno większego okrętu jak ten, którym się z Warszawy żegluje na podwieczorek na Saską-Kępę. Przeszedłem dopiero wzdłuż pokładu, ma do siedmiudziesięciu kroków. W pośrodku sterczy blaszany komin od pieca i dzieli statek na dwie połowy: — na kraj surdutów, fraków, i kraj bluz, to jest płóciennych kurtek; na arystokrację i demokrację; słowem na dwa miejsca, o cenie większej i mniejszej, jak na przykład loże i parter. Na około idą ławeczki. Przy kominie kupa waliz, tłomoczków, paczek, różnych rzeczy panów pasażerów. Na rogach zaś, po stronie arystokracji, siedzi na małem podniesieniu sternik u steru, a na przeciwnym stoi kilka pojazdów. W linji środkowej są trzy dziury, jak do piwnicy, kilkanaście kroków od drugiej, któremi schodzi się po schodach we wnętrze statku: dwie z nich prowadzi do dwóch pokojów dla gości, tu lożowych, tam parterowych; przez trzecią włażą i wyłażą osmolone brudasy, piecowi usługacze. Otóż masz pokład. Jest to tylko jakby dach, jakby strych domu, sam dom jest dopiero pod spodem. Zapusz-

czać się w opisy nie myślę, wprowadzę cię tylko do pokoju, gdzie teraz to piszę. W waszych lądowych, bywają prawda sufity wyższe, ale i w tym można stanąć nie uderzywszy się głową, byle tylko małego był wzrostu. Wreszcie nie chwaląc z wysokości, skądinąd pokoik śliczny. W około kanapki, przed niemi stoliki, wszystkie jednej miary; te albo można oddzielać, albo się składają razem i stanowią jeden duży stół w podkowę, przy którym statkowa publiczność zasiada do obiadu. Jasny, bo okienek gęsto; widok z nich spodziewam się że ciekawy i taki, jakiego żaden na świecie pałac nie ma i mieć nie może, co chwila bowiem zmienia się. Mimo tego wszystkiego, mało kto w pokoju siedzi, wszyscy wolą pokład, chyba że komu co napisać, albo chce co zjeść lub wypić, albo wygodniej na kanapie, albo czytać dzienniki, które leżą na stołach; albo wreszcie, racja wielka! kiedy mu się tak podoba. Na noc zatrzymuje się statek zwykle w jakiemś mieście; jeśli zaś nie chcesz spać: to możesz albo patrzyć sobie na gwiazdy, albo bawić się rozmową, albo nawet gdziekolwiek i jakkolwiek zadrzymać, słowem, jesteś wtenczas zostawiony własnemu przemysłowi. Ale nie mam już czasu; odpływamy, spieszę na górę. Dokończę ci z Mannheimu.

Otóż kończę z Mannheimu. —

Byłem tedy cały dzień żeglarzem, a raczej dymnikiem, parnikiem, nazwij jak chcesz. Bardzo to wszystko ładnie i pięknie, i słowa przeciw temu, ale jedno w drugie, jeszczem ja sobie coś więcej wystawiał. Powiesz, twoja wina! któż ci kazał więcej sobie wystawiać? Kto kazał? — a też tysiączne i na różne tony i ustawicznie wychwalania gadułów różnego narodu; te tysiączne opisy, ryciny, sztychy, litografje; ta taka sława Renu! Imaginacja — bo z przeproszeniem nowych panów pisarzy, to ten nasz wyraz wyobraźnia, jak w ogólności wszystkie nowej fabryki, albo mówiąc konceptem staropolskim i gospodarskim, nowego pieczywa, nic doprawdy nie wart, i zły jestem, że się już tak przyjął — imaginacja mówię, jak ruszy naprzód, ciężko ją potem doganiać. Już to z samego początku, od Iffetzhein, to wcale nic a nic ciekawego. Rzeka wąska, brzegi płaskie, po większej części puste; u nas w Polsce, jest tysiąc stawów, gdzie bez porówna-

nia milej i piękniej. Przypomniało mi się, jak na jednym z nich na stawie Jampolskim, mały niegdyś studencik Krzemieniecki, puszczałem się, bywało, sam jeden długiem czółnem, i tak po całych godzinach wakacjowałem, używając wody i powietrza, ziemi i nieba, jak ryba, jak ptak! Położywszy się na wznak, i jak struna wyciągnięty, wiatr sobie brałem za wiosło, za sternika; niechby był zawiózł gdzie zechciał! Kołysała mną woda, a mnie się zdało, że to mię niańka znowu do kołyski włożyła — więc zamrużyłem oczy, bo prosiła, żebym zasnął — taką słodką piosenką prosiła! — Więc słuchałem i słyszałem co woda na dnie gadała, co w koło oczeret szumiał... aż zerwało się stado cyranek tuż przy mnie, i spłoszyło mi stado obrasków, marzeń, cacek, których w młodej głowie pełno było, jak ptasząt w gniaździe.... Hej, hej! mój kochany, nie ma już na świecie tak jasnej wody, tak zielonych brzegów, tak szczęśliwych pływaczy! — Ubiegłszy dość znaczny kawał kraju płaskiego, jak po stole, postrzegliśmy z prawej strony pasmo wzgórz. Dalekie, niewyraźne; wszelako widok zaraz się upięknił. Statek leciał parą i samym pędem wody, bośmy płynęli z wodą, a do tego Ren bystro idzie; wzgórza się coraz zbliżały, wyraźniały, rosły, ale opadający wieczór, zaczął je znów prędko za mgłę zabierać, tylko się na niebie ładnie malowały: zdawało się, że jakaś wielka rzeka płynie powietrzem, której fale to w dół to w górę wybijają; tu i owdzie obłok biały pędził po tej rzece jak statek. W jednem miejscu na wierzchu góry, widać było jakiś kawał słupa, resztka jakiejś starodawnej ruiny; zapytałem sternika co by to było?
— Koenigstuhl. Pomylił się haniebnie, bo Koenigstuhl nie w tem jest miejscu; że jednak lubię opowiadania, i żeby zobaczyć, jaka się o tem wieść utrzymuje, spytałem co to takiego Koenigstuhl?.. Niegodziwe Niemczysko! miarkuj sobie, nic a nic nie wiedział — «tyle tych różnych kamieni jest na około, a ktoby się tam o nich wszystkiego ponadowiadywał.» — Skądżeś rodem? — «Nie daleko Heidelberga.» — «Jak to! więc oto zaraz za temi górami rodziłeś się, około tych gór ustawicznie przepływasz, nad Renem całe życie twoje, i nie wiesz nic zgoła o Koenigstuhl, żadnej pieśni, żadnej

legendy!» Stanął przy nas inny sługus statkowy, pytałem i tego: tyleż wiedział co i pierwszy. Zgorszyłem się. Gdzież to przebrzmiały, gdzie zapadły, pomyślałem, te liczne pieśni i powieści, z których miałbym teraz natychmiast odpowiedź!. Pieśni i powieści, ta akademja ludu, lepsza doprawdy, jak wszystkie Berlińskie, Halskie, Getyngskie, i ile ich tylko naliczysz; albo, jak ładnie mówi Mickiewicz, ta arka przymierza między dawnemi i nowemi laty!.. Pieśni i powieści, co niegdyś w tym pięknym kraju, nad tą piękną rzeką, tak się gromadnie wylęgały, pod każdym dachem mieszkały, przy każdem ognisku, przy każdem stole rodzinnym do rozmów się mięszały!.. Ta obojętność i nieczułość między ludem na rzeczy miejscowe, na pamiątki krajowe, rodzinne, to zagłuchnienie tradycji, właściwe jest tylko czasom handlowym, przemysłowym, rewolucyjnym, bezbożnym, gdzie wszystko zamienia się na pieniądz i pieniądz zamienia się na wszystko; czasem mówię, gdzie miłość ojczyzny, miłość natury, miłość poezji, miłość wszystkiego co piękne, znika z pośród ludzi, i przestawszy być uczuciem, w słowo już tylko przechodzi. Biedny sternik chciał mi to nagrodzić długą historją o Kompanji Kolońskiej statków parowych, w których służył: że przeszłego roku strasznie straciła, że teraz liczbę statków i pensje oficjalistów zmniejszyć musiała — alem przeszedł w drugi konicc pokładu. Dopływaliśmy do Mannheimu; było jeszcze z kwadrans może drogi. Ciemniało na ziemi, zaświtało gwiazdami na niebie. W takim momencie ile razy jestem na dworze, mimowolnie wtenczas prostuję się, robię się jak mogę wysoki, wzrok i cała głowa podnosi mi się do góry, jak by te światła Niebieskie wyraźną atrakcję wywierały. Nie jest to najpewniejszy sposób dobrego chodzenia: jakoż, porządnie raraz jakiegoś sąsiada nadeptałem — trzeba było raczej patrzeć na pokład. Na pokładzie wszystko w poruszeniu; każdy zbierał rzeczy, żeby być gotów wysiąść, jak tylko się statek zatrzyma. Ten wciąga na siebie płaszcz, bierze w rękę laskę i parasol, ciska w wodę niedopalone jeszcze cygaro, kończy przyspieszoną mową prowadzone komuś opowiadanie, i nad samym brzegiem staje, jak gdyby przez to moment wyjścia swego przyspieszył. Ta, zawiązuje

sobie kapelusz, obtula szyję szalem, rękę nawet towarzyszowi podała, i żeby biegli, nic już im nie brakuje, tylko ziemi pod nogami; na prawo i na lewo wiją się garsony, odbierając co prędzej za obiad, kawę, limonadę, lub za co bądź, co im kto jeszcze był winien; ci, przesuwają i odsuwają tłomoczki, wykładając każdy swoje na wierzch; z prawego brzegu mruga już na nas z zapalonych okien Mannheim, i na nocleg zaprasza; już doganiamy łyżwowego mostu, już się przed nami otworzył, skręciliśmy do lądu; — otóż dzień żeglugi odbyty! Przy wysiadaniu co mi się podobało, to karety, które oberżyści przysełają, i darmo podróżnych zawożą do hotelów, byle tylko dostać gości.

Miasto zwiedzałem nazajutrz. Czyste, regularne, ładne nawet — cóż, kiedy puste i nudne! Ma prawie minę domu, którego państwo wynieśli się, albo się jeszcze nie wprowadzili, albo też gdzie wszyscy chorzy i śpią. Pani Mannheimu W. Ks. Stefanja, wyniosła się istotnie, bo jakem ci istotnie podobno wspominał, przepędza lato w Baden. Ta pustkowatość, jest to wada wszystkich w Badeńskiem większych miast; jeszcze ona bardziej uderza w samem Karlsruhe. Jedna tu rzecz w Mannheimie prawdziwie piękna, ogród Zamkowy, — tuż nad rzeką, duży, z ogromnemi trawnikami, drzewa stare, ulice szerokie; żal tylko, że w takiej pustce, bo w Zamku żywej duszy nie widać, ani słychać, oprócz jednego szyldwacha samotnika, co chodzi sobie przy bramie. Nigdym nie spotkał, choć byłem kilka razy, jak jednę albo dwie pary; był to zawsze jakiś powolny Niemiaszek ze swoją damą, palący jej ofiarę i kadzidło... z kruciutkiej fajki. Fajka u człowieka rodu niemieckiego, jest to coś więcej. Jak nierozdzielny towarzysz; jest to prawie jeden z koniecznych przyrostków i członków ciała. Już co nadto to nadto. Całe to tutejsze pustkowie ma się, powiadają, ożywiać trochę na Niedzielę. Szyldwach zaręczał mi, że wtenczas i w ogrodzie jest daleko ludniej i dymniej. Mniejsza z tem. Ja jutro skoro świt płynę do Moguncji; stamtąd, albo z Frankfurtu napiszę.

LIST VII.

Z Moguncji.

Z tego nudnego Mannheimu ruszyłem przed wschodem słońca, a mogę mówić, że nawet raniej; nie było więcej, jak druga po północy; kiedy Hausknecht, mający z wczoraj polecenie zbudzić nas wszystkich, którzyśmy odpływali — statek bowiem wychodził bardzo rano — wszedł z trzaskiem do pokoju i na gutmorgen w same oczy świecę postawił. Zerwałem się, nie spojrzawszy nawet na zegarek; słyszałem, jak koleją otwierał potem drzwi u moich sąsiadów i sąsiadek! w kilka minut byłem gotów — a gdy z workiem podróżnym pod pachą, który notabene mam jeszcze z Warszawy, ze sklepu Czabana, a który na palcu sobie zawiesiwszy, mogę śmiało zostać filozofem i powtórzyć sławne «omnia mea mecum porto», zszedłem na dół rospłacić się i spieszyć na statek — pokazało się nic więcej, tylko, żeśmy mieli jeszcze ogromnych dwie godzin czasu! O niegodne, złośliwe Knechcisko! Tłomaczył się, że bał się, abyśmy się nie spóźnili, że nie wiedział sam, że jeszcze tak rano, że to, że owo; ale cała rzecz, oberżysta, aby przymusić do śniadania, kazał pewno umyślnie pobudzić, stół też był już nakryty. Zgadliśmy ten interes wszyscy od razu, było nas siedm czy ośm osób, i na złość, żeby łakomca ukarać, zawiązaliśmy w mgnieniu oka, nic nawet do siebie nie mówiąc, generalną między sobą koalicję, powiedział każdy, że nic jeść ani pić nie będzie. Rozsiadłszy się więc po kątach sali, bawiliśmy się poziewaniem, przez kwadrans, potem przez drugi, potem przez trzeci; dzień ledwo się zaczynał pokazywać. Już Niemiec niezawodnie był by przegrał: ja pierwszy chciałem iść ku rzece i tam czekać, żeby tylko cokolwiek jeszcze widniej się na dworze zrobiło... — ale mały chłopaczek, który był między nami, uprosił sobie u matki, że mu nasmarowała kawałek chleba i przyłożyła na wierzch kilka rzodkiewek. Malec jak gdyby był w zmowie z naszym nieprzyjacielem, zaczął chrupać rzod-

kiewką na całą salę, i zrobił uwagę, że chleb był jeszcze ciepły, tak świeży. — Nie dość na tem, napadł go atak takiej miłości synowskiej, że chciał koniecznie, aby i matka skosztowała, i gwałtem jej część swojej porcji odstępował. Najciężej było, aby ktokolwiek ze sprzymierzeńców nie dotrzymał i dał zły przykład. Dla matki istotnie trudno się było oprzeć; skończyło się na tem, że jeden za drugim wszyscyśmy kapitulowali! Masło było wyborne, kawa gorąca; zaczęliśmy sami z siebie żartować; zrobiła się zaraz spólna między wszystkimi znajomość; ktoś zawołał o kotlet, drugi znów o bifsztyk; śniadanie poszło przedziwnie; słowem w najlepszym humorze pożegnaliśmy się z gospodarzem, który dobrze zaczął swój dzień, bo prócz guldenów, miał jeszcze w zysku lekcję moralną, nowy dowód niestałości i ułomności biednej natury ludzkiej!

Wypływało razem dwa statki, rozumie się parowe, na każdym mnóstwo ludzi; wyglądały jak dwa małe miasteczka. W jednej chwili i na jedno zadzwonienie ruszyły obydwa, ale w dwie strony przeciwne: nasz na prawo, lekko i posuwiście, bo z wodą — drugi wolniej ku Strasburgowi. Widać było, że dzień będzie pogodny; słońce miało już wschodzić. Pod Mannheimem Ren szeroki i okazały; od Iffetzheim, roschodził się często we dwie odnogi, tu złączonemi siły idzie cały jednym traktem, położył się w jedno koryto, i jest istotnie rzeką wielką, piękną, co się nazywa. Wkrótce wzięliśmy się bardziej jeszcze w prawo, i pokazał się nam Mannheim jak na dłoni, z końca w koniec, nawet tak ładnie, że można by go nie poznać. Patrzył nam w oczy mnóstwem swych czystych, wymytych, niemieckich okien, które już brzask wschodowy zaczynał gdzieniegdzie różować. Długo potem było go ciągle widać; stał za nami, jak zdarza się, iż stoi przyjaciel wierny, któremu ciężko odejść z miejsca, gdzie nas pożegnał: — znikasz mu już z oczu, on jeszcze czeka nieporuszony i jeszcze patrzy w twoją stronę!.. Tylko że Mannheim, suchy i nudny Niemiec, nie wart tego tkliwego porównania. Słońce zaczęło wyraźnie ruszać się z noclegu; ale jak gdyby złego humoru, żeśmy raniej od niego wstali, bardzo jakoś leniwie z łóżka się podnosiło, i swojej kołdry

białego obłoku, co je w pół przykrywała, nie chciało prędko z siebie zrzucić. Jużem się nie żartem był zląkł o pogodę; szczęściem spojrzawszy na błękitne niebo, na zieloną ziemię, raczyło się udobruchać; i wnet z całym swoim dworem miljonów promieni, które się w mgnieniu oka po całym bożym świecie rozleciały, wystąpiło jasne, pełne, świeże, jakby tylko co i umyślnie dla nas stworzone. Pyszna to i cudowna rzecz, wschód słońca! Choćby dla tego tylko, aby go widzieć, warto jest podróżować, warto płynąć po Renie statkiem parowym. Franklin zrobił podobno kiedyś odkrycie, że i w Paryżu bywa wschód słońca; ja, który od lat kilku w tym nowym Babilonie, zą swoje i swoich rodziców grzechy, bawię się, jestem zdania, że to śmiałe odkrycie szanownego Amerykanina potrzebowałoby jeszcze sprawdzenia. Wschód słońca dla każdego z mieszczan, czyli Paryżanina, czy nawet Warszawianina, jest zawsze wielką rzeczą i fenomenem; cóż dopiero w takim kraju, na takiej rzece i w takiej porze roku! Chłód rankowy prawda przejmował, aleśmy wszyscy byli na pokładzie. Słońce biegło do nas szerokim złotym pasem, twarz nam i włosy całując; my za to z naszej znów strony odsyłaliśmy mu niemniej szeroki pas czarnego i śmierdzącego dymu, któren buchając ze statkowego komina, zwracał się właśnie na wschód i cieniem swoim ciągnął się jak błoto po rzece. Patrząc na te dwa szlaki tak różne, a które długo aż póki słońce się nie podniosło, mieliśmy przed oczyma — tak to, pomyślałem, zwykle się ziemia niebu odpłaca: za złoto, błoto! — Płynęliśmy sobie miło, cicho, jasno, prędko, bez najmniejszej fatygi, najmniejszego wstrząśnienia, jak gdybyśmy jechali w myśli tylko, lub przez sen. Podróż po wodzie podobna jest bardzo do tej, jaką wszyscy odbywamy ciągle przez obracanie się ziemi; jesteś wojażerem, lecisz nawet jak ptak, i ani czujesz, ani byś się tego domyślił. Nie mówiąc nic o naszym latawcu Globusie, tym generalnym wszystkich nas statku, tym dziwnym wszystkich stworzeń omnibusie, który ród po rodzie, i pokolenie po pokoleniu wiezie nas, Panu Bogu tylko wiadomo skąd, dokąd i po co, i gdzie pod jednym nakryciem i z równem bespieczeństwem siedzi najpotężniejszy król, największy bohater, i najmaleńsza

mróweczka — nie masz na świecie słodszej podróży jak statkiem. Żadnej przykrości, żadnej niewygody, jakie w pojeździe muszą być koniecznie, choćby i w najlepszym; nie zdrętwieje ci noga, nie odsiedzisz sobie boku, możesz się wyciągnąć jak chcesz, wstać, chodzić, siedzieć, leżeć, pisać, grać, robić co się podoba, słowem zapomnieć że jedziesz. Ja nawet myślę, że innych dróg, innych traktów na świecie jak rzeki, wcale być nie powinno; ani też innych karet, koczów i bryczek, jak okręta, statki i czółna. Na lądzie niechby tylko szły ścieżki od sąsiada do sąsiada i do kościoła. Dla istotnych potrzeb koniecznej i godziwej kommunikacji, doprawdy żeby to mogło wystarczyć; bo na przykład, człowiek powinien siedzieć na miejscu, a latać tylko myślą i sercem, i to nie gdzieindziej, tylko do Tego, któren jest jego stwórcą, początkiem i końcem; powtóre, wierz mi, z tego takiego kręcenia się i uwijania się ludzi, nic się dla nich w gruncie dobrego nie rodzi... Mówcie wy sobie i dowódźcie jak chcecie, że człowiek stworzony do towarzystwa, ja powiadam przeciwnie, że owszem do samotności; bo stworzony jest nie dla ludzi, ale dla Boga; a pożycie z ludźmi nie jest celem jego ziemskiego bytu, ale tylko środkiem. Otóż patrz, patrz jakie to piękne, nowe i mądre myśli pojawiają się na Renie między Mannheimem a Moguncją! — Spłoszyły mi je trochę i w inną zwróciły stronę ponure wieże Wormsu, do któregośmy właśnie dopływali. — Chociaż historją sławnego ex-Augustjanina, tego, jak go jeden z naszych starych kościelnych Pisarzy nazywa, mnicha wylazłego z kaplicy, co niegdyś w tem mieście występował z całą powagą i śmiałością strasznego herezjarchy, mógłbym ci owszem w najlepsze dowodzić, jak jest niebespieczne ludzkie towarzystwo. Gdyby nie wyjście z samotności, gdyby nie ludzie, którzy na każdą zuchwałość i nowość mają gotowy poklask, przed każdym błędem uderzą czołem, żadnej złej myśli zginąć śród siebie nie dadzą, i im więcej o czem rosprawiają, tem więcej to zmącą i sfałszują — nie byłoby Marcina Lutra, ani drugich jemu podobnych. — Od Oppenheimu zaczął się kraj jeszcze piękniejszy. Wzgórza, które dotychczas szły tylko prawą stroną, pokazały się także z le-

wej. Pogoda, jakąśmy sobie od rana obiecywali, nie zawiodła; po drodze, co pół godziny, co kwadrans, witały nas z brzegów różne małe miasteczka i wioski. Ren wywijał się to w jedną to w drugą stronę, a my za nim i za nim; w uszach rosciągły, łagodny szum, jak gdyby z daleka rozmowa lasu wielkiego; w oczach jasno, przyjemnie, zielono; gdzieniegdzie małe czółno z czerwoną chorągiewką porwie się jak ptak od lądu, dogania, podwija się pod statek, i wnet dwóch lub trzech nam gości przybyło; gdzie niegdzie stacja; więc sami do brzegu zakręcamy, i nie bawiąc dłużej, niżby na poczcie konie przeprzęgano, już dzwoniono na znak odjazdu, tylko dym po nas pozostał i długo się w powietrzu rozwleka, jak wielka kurzawa, kiedy pojazd pędzi po suchym, szerokim gościńcu. Czasem także pokazał się nasz alter ego, taki sam statek płynący ze strony przeciwnej; więc się mijamy, dając sobie znaki powitania, nieznajomi do nieznajomych; młodsi, weselsi, wszczynali nawet krzykliwą rozmowę; jeszcze słowa przez wodę nie doszły, jużeśmy się w swoje drogi rozbiegli! O czem chcieli do siebie gadać? co powiedzieli? z jakiego powodu? darmo dochodzić. Tak w piękny dzień dwa stada ptaków spotkawszy się, wydają ku sobie głosy nawzajem, bo w koło powietrze przejrzyste, wesołe; bo nad niemi niebo lazurowe, szerokie; bo lot ich swobodny, szczęśliwy. — Daleko jeszcze było do wieczora, kiedy z lewej ręki zaczęła wysuwać się Moguncja. Na znacznym zakręcie rzeki i trochę na wyniesieniu, dla płynących z tej strony zdaje się zupełnie drogę zamykać. Wspaniale wygląda; mury wysokie, wieże gęste. Długośmy pod miastem płynęli, nimeśmy wbiegli do portu.

Miasto samo, żeby miało być piękne, czyste, porządne, tego nie powiem, ale po Mannheimie wydało mi się bardzo ożywione. W stronie zwłaszcza od rzeki ruch istotnie znaczny. Możesz także, nie czytawszy nawet Liwjusza, wiedzieć zaraz za pierwszem wejrzeniem, że tu już nie od dzisiaj ludzie mieszkają. Starodawność Moguncji, nie mówiąc nic o czasach Rzymskich, ma potężny i wspaniały pomnik, katedrę. Gmach ogromny, ale przyznam się, nie bardzo dla oka piękny, — *niesłychanie* ciężki. Zdaje się, że było mu strasznie trudno

wspinać się w górę; że jak go wynoszono, ustawicznie ciężarem swoim osuwał się na dół. Nie jest to bynajmniej, jak na przykład kościół Strasburgski, akt strzelisty, serdeczny, pędem w niebo godzący, ale raczej mozolna, pracowita, i wytrwała, choć nierówna modlitwa. Za to wnętrze bardzo wspaniałe. Ale cóż, kiedy przeszedł tędy zwierz straszliwy, Rewolucja Francuska! Zdaje mi się, że poganie, że nawet dzicy ludzie, wchodząc do takiej świątyni, uczuliby uszanowanie; wojsko przecież chrześcjańskie wciągnęło tu za sobą barłóg, profanację i ruinę! Pod ścianami ołtarzy roskładano ogniska kuchenne, część kościoła w stajnię obrócono; na odwiecznych grobowcach Książąt, lub Biskupów, młody żołnierz próbował siły nóg swoich, lub hartu pałasza swojego. To płaczu godne spustoszenie widać jeszcze do dziś dnia, i na długo zapewne ślady jego zostaną, chociaż po różnych miejscach kościoła wielu teraz robotników, i już od dawna pracuje. Nagrobki Arcybiskupów Mogunckich, lubo znacznie pouszkadzane, ogląda się z wielkim interesem. Na każdym prawie, naturalnej wielkości kamienna figura nieboszczyka, i w całej pompie arcykapłańskiego stroju: — widok tem poważniejszy, że znać odrazu, nie czytając nawet napisów, jak to jest dawnej starożytności. Także po rozmaitych innych nagrobkach, jakich tu gęsto z każdej strony, mnóstwo upatrzyć można pięknych rzeczy. Przy lewych naprzykład drzwiach od wielkiego ołtarza, w nagrobku jakiegoś Biskupa, wyborna płaskorzeźba zdjęcie z krzyża, gdzie figura Najświętszej Panny dziwnie piękna. Za to znów napisy nieraz nie wiedzieć jakie! Czasem zupełnie tego rodzaju, a przynajmniej tej wartości, co nasz: Tu leży trębacz, Panie mu przebacz; albo co owo: Starościna, którą śmierć nie starą ścina. Wolę nawet trębacza niż na przykład: lege et luge, plora et ora, ingemisce et contremisce, etc. Okna, z których naturalnie ani jednej szyby nie zostało, zaczęli teraz na nowo malowidłami zaprawiać. Jedno nad wielkim ołtarzem, wystawiające Zbawiciela na krzyżu, bardzo ładne; piękniejsze od wszystkiego co mi się w tym rodzaju, ma się rozumieć z nowych rzeczy, zdarzało widzieć we Francji: kolory dzielniejsze, ognistsze. Czy jednak istotnie, jak się malarze już chwalą, będą tak trwałe jak dawne, to

jeszcze pytanie. Okno, o jakiem powiadam, ma dopiero pięć czy sześć lat.

Wyszedłszy z katedry, ciekawy byłem pomnika Gutenberga, o którym świeżo dzienniki niemieckie tak się rozwodziły z pochwałami. Wiesz, że się rodził w Moguncji — notabene nie pomnik, bo ten rodził się w Rzymie i z ojca Thorwaldsona, ale sam Gutenberg, przyjaciel i podobno kolega sławnego naszego verbum nobile Twardowskiego. Szczególniejsza rzecz, że w historję wynalasku druku, któren choć prawda dziwny, nie jest jednak dziwniejszy od tylu innych, tradycja ludu, i u nas i gdzie indziej, tak wmięszała djabła. Fatalny kollaborator! I nie bardzo to powinno być przyjemne dla wszystkich, których los jakimkolwiek sposobem przyczepił do świata drukarskiego. Bądź co bądź, że w wielkiej armji piszącej i drukującej, ja także jakimś tam biednym ciurem zostałem, tem bardziej tedy należało mi tutejszy pomnik oglądać. Placyk gdzie stoi: nie regularny, nie ładny, brudny. Nie podobało mi się wszystko com tam widział. Posąg wynalascy sztuki drukarskiej, jeśli to ma być istotnie sztuka szlachetna, szanowna, mądrości i prawdzie poświęcona, powinien by być, jabym przynajmniej tak rozumiał, w jakiemś miejscu spokojnem, raczej samotnem niż zgiełkowem, tuż naprzykład przy Domu Bożym, w bliskości jakiego poważnego instytutu naukowego, jakiej bibljoteki, i t. p. Tu przeciwne, z jednej strony teatr, brzydki i niezgrabny budynek, gdzie na drzwiach i oknach poprzylepiane afisze, obwieszczały szanownej Publiczności przyjazd dwojga sławnych artystów, baletniczki i brzuchomowcy; z drugiej, kilka bud jarmacznych włóczęgów, pokazujących małpy, węże, woskowe figury, i inne podobne ciekawości; w koło zaś i pod samym pomnikiem tłumne targowisko, stragany przekupek, tandety rozmaite, stoliki z wódką i piwem, żebraki, policjanci, krzyk, hałas, przeklinania, istna zarwańska ulica! Nie wiem, czy byłem tak w humorze satyrycznym i złośliwym, czy też naturalnie i niewinnie przyszła mi uwaga: że istotnie Sztuka Gutenberga za czasów w jakich żyjemy, że mówię drukarstwo, takie jak dziś jest na świecie, nie źle w tem wszystkiem było reprezentowane. Posąg sam nie zachwycił mię. W kom-

pozycji jest wprawdzie prostota, kształty czyste, piękne; w umieszczeniu Biblji myśl szczęśliwa*), przecież w ogólności wrażenie jakie sprawia nie jest, jak powinno być, potężne, pewne, uderzające. Rzeźbiarz tem mianowicie różni się od pisarza, że w najmniejszej rzeczy nie wolno mu być dwuznacznym. Nie ma on na swoje roskazy komm, średników, dwupunktów, wykrzykników, i tym podobnych znaków, ale młotu uderzenie! Posąg każdy, zwłaszcza przeznaczony na plac publiczny i tej wielkości co Gutenberga, powinien gadać głosem strasznie wyraźnym, dobitnym, takim, żeby o milę było słychać, takim, żeby każdy za pierwszem spojrzeniem, choćby najdalej, już wiedział co on jest, już go doskonale rozumiał. Tymczasem ta tutejsza figura może to być zupełnie inszy jakiś męszczyzna. W twarzy nie widać ani pracy i umęczenia ducha, ani też, co by było daleko piękniej, natchnienia spokojnego, które bez trudu i tylko darem łaski, nowe, wielkie dobrodziejstwo ludziom podaje. Na podstawie z dwóch stron są płaskorzeźby, z dwóch zaś napisy. Jedna płaskorzeźba nadzwyczaj mi się podobała. Myśl jej taka: stoi prasa drukarska, przy niej preser w robocie i właśnie w tym momencie, kiedy wytłacza; obok sam Gutenberg, odwrócony od presera, trzyma jeden arkusz odbity i cały jest w nim zatopiony. Kiedy ci mam prawdę powiedzieć, to w tej małej tablicy, w tym małym przydatku do dzieła, więcej widzę i samego Gutenberga i sztukę przez niego wynalezioną, jak w samym posągu, jak w samem dziele. Być może, że to nie była jedna z tych myśli, dla których wyrażenia trzeba koniecznie więcej, niż jednej osoby; być może, że to nie była myśl do posągu, ale raczej, i tak bym ja rozumiał, do wielkiej płaskorzeźby. Ta, którą ci opisuję, jest prześliczna, stworzona prawdziwie w natchnieniu; między innemi ten szczegół, że Gutenberg odwrócił się od swego czeladnika, jest także doskonały; widać, że rad by swój dziwny wynalazek mieć jeszcze ukryty przed tym prostym robotnikiem prostym człowiekiem, jak skarb, którego tamten nie umie

---

*) Trzyma w prawem ręku parę czcionek drukarskich, w lewem zaś, złożonem na piersi, księgę Pisma Świętego. Przyp. Wyd.

i nie godzień oceniać; widać, że cały wynalazek należy się Gutenbergowi, bo do jego oglądania i cieszenia się nim nie dopuszcza nawet tego, przez czyją rękę pomysł swój wykonał. W tej postawie, w tem ukrywaniu się mistrza, jest także wydana owa strona tajemnicza wynalasku o jakiej powieści ludu tyle nam bają. Słowem możnaby o tem obszernie pisać, jak zwyczajnie o każdej rzeczy prawdziwie pięknej i natchnionej, o każdem szczęśliwem dziele jakegobądź kunsztu. — Wspomniałem o napisach — oto je masz, bom umyślnie dla ciebie przepisał, z wielkiem zadziwieniem przekupek, tandeciarzy i policjantów. Po jednej stronie:

JOANNEM GENSFLEISCH
DE GUTENBERG
PATRICIUM MOGUNTIUM
AERE PER TOTAM EUROPAM COLLATO
POSUERUNT CIVES
MDCCCXXXVII.

Po przeciwnej zaś:

ARTEM QUAE GRECOS LATUIT
LATUITQUE LATINOS,
GERMANI SOLERS EXTUDIT INGENIUM.
NUNC QUIDQUID VETERES SAPIUNT
SAPIUNTQUE RECENTES
NON SIBI, SED POPULIS OMNIBUS
ID SAPIUNT.

LIST VIII.

Z Frankfortu nad Menem.

Z Moguncji zamiast płynąć dalej Renem, biegłem lądem do Frankfortu. Blisko bardzo, a miałem także interes; nie taki wprawdzie, za jakim tu zwyczajnie jeżdżą, nie handlowy, *nie frankforcki* bynajmniej, ale literacki, poetycki, religijny.

Każdy ma swoje; ja wszystkim frankforckim ludziom, gdziekolwiek oni są na świecie, ich interesów nie zazdroszczę. Chciałem się poznać z Klemensem Brentano, o którym powiedziano mi, iż był w Frankforcie. Oprócz, że to jest jeden ze znakomitych dziś poetów i człowiek niezmiernie szanowny, ciekawość moja poszła najwięcej z książki jego o Katarzynie Emmerich. Nie wiem czyś ją czytał, to wiesz, że nic piękniejszego, i że przy książkach tegoczesnych poetów i filozofów, jest to jak dukat przy liczmanach. U nas nie słyszałem dotychczas, żeby była tłomaczona. Nie mamy prawda czasu, bo musim tłomaczyć Koka, Balzaka, a co pilniejsze to trzeba robić pierwej. Przytem, wszystkie książki tego rodzaju, o rzeczach świętych, nadnaturalnych, o cudach, zostawiają się prostaczkom, bawiącym się literaturą Częstochowską, dla których jakiś ksiądz niech tam kiedyś, jeśli zechce, napisze o tem w jakimś Ołtarzyku. Nieprawdaż? — Otóż poznać się osobiście z człowiekiem, który kilka lat przeżył przy tak świętej i widocznie łaską jaśniejącej słudze Chrystusowej, który całą próżność i hardość rozumu, całą pychę talentu, co go nad tylu ludzi wyniósł i chwałą u nich okrył, całą swoją sławę ziemską umiał pokornie u nóg jej złożyć; i będąc codziennym świadkiem jej krzyżowych boleści, jej tajemniczego życia, jej związku z Niebem, stał się dla tej prostej chłopki, dla tej wzgardzonej zakonnicy, synem, opiekunem i sługą; i to wszystko z taką wymową, z taką prostotą opisał. — Poznać się, mówię, z tym człowiekiem, przyjaźń jego zyskać, i słyszeć go opowiadającego rzeczy, jakich przed całą Publicznością nie widział może potrzeby ze wszystkiemi szczegóły ogłaszać — przyznaj, że to był interes ważny, i wart, żeby dla niego dalej nawet pojechać jak z Moguncji do Frankfurtu. Wyjechałem rano, nie wyspany; w drodze nic bardzo ciekawego do widzenia nie było; jeszcze mię i głowa trochę bolała — zasnąłem na dobre. Turkot kół wbiegłych na bruk, zbudził mię. Pierwsza rzecz com zobaczył, był... zgadnij co?.. Wielki Orzeł biały w polu czerwonem! Przetarłem prędko oczy raz i drugi, żeby być pewnym, że już nie spię, że mi się nie śni. Nie spałem rzerzywiście; był to herb... Wolnego miasta Frankfortu. Widać

coś mi się musiało przyśnić, zamarzyć ciężkiego, bom westchnął serdecznie. — Najpierwej tedy rospatrzywszy się o mieszkaniu Senatora Brentano, brata Klemensa, i wziąwszy ze sobą list rekomendacyjny, albo mówiąc czyściejszą, chociaż dawną polszczyzną przyczynny, który miałem z Baden, puściłem się z wizytą... Zawód kompletny! Pan Senator, który jest oraz jeden z głównych frankforckich bankierów, był prawda w domu i przyjął mię jak najuprzejmiej; ale poety, ale kochanego bijografa błogosławionej Katarzyny, nie tylko w domu, ale w całym Frankforcie nie było. Źle mi powiedziano; ani myślał wyjeżdżać z Monachium, gdzie od lat już kilku przebywa. Że on, poeta i artysta, woli Monachium — — to jest tak naturalnie, jak, że znów brat jego, senator i bankier, woli Frankfort; a jeśli tam nie ma brata po krwi, to ma za to brata po duchu, Goerresa, z którym żyją, słyszę w wielkiej przyjaźni i bardzo temu wierzę. Tak więc główny interes poszedł w nic. Raz jednak będąc w mieście, zostałem, żeby je obejrzeć — i dobrzem zrobił, bom spędził parę dni przyjemnie.

Frankfort ma trzy fizjonomje odrębne. Są to, prawie w jednem mieście, trzy miasta różne i wszystkie ciekawe. Najprzód, bo tego najwięcej, miasto handlowe, bankierskie, składowe, jarmarczne, brudne, czarne, ciasne, tłumne, pełne sklepów, kramów, tandet, pak, hałasu, pieniędzy, błota — czyli krócej, żydowskie; potem, miasto strojne, jasne, szerokie, eleganckie, pełne gustu, sztuk, mody — słowem, europejskie, dzisiejsze; na koniec miasto stare, sędziwe, poważne, milczące, ponure, najciekawsze — gród Rzymian i Franków. Tego ostatniego już najmniej; trzeba go prawie szukać.

Kto chce widzieć Frankfort, młody, modny, wyświeżony, Frankfort czytający dzienniki i romanse paryskie: niech idzie na Zeil. Szeroka i pyszna ulica, coś niby w rodzaju bulwarów Paryża, a jednak oryginalna, nie tak nużąca i własna frankforcka; ogromne i okazałe hotele, wielki dom poczty, sklepy bogate i z gustem ubrane. Łażąc koło nich z założonemi rękoma, i gawroniąc prawem wojażera, to *w jedną to* w drugą stronę: postrzegłem miłego znajomego!

Wyglądał wprawdzie tylko z okna; co gorsza, był tylko... w wizerunku. Zgadniesz kto taki, jak powiem, że to był sklep muzyczny, gdzie także sprzedawano portrety najsławniejszych pianistów i kompozytorów. Jakby to się ucieszył kochany Profesor Warszawski, Chopin, jak by się ucieszyła dobra matka, widząc tak po różnych miastach świata, portrety swego drogiego Fryderyka! Zazdroszczę jemu, nie tak jeszcze genjuszu, jak, że całą tę sławę swoją, którą tak prędko a tak słusznie zdobył, złożyć może pod nogi ojca starego, matki kochanej.

Z Zeil, weź się tylko gdzie zechcesz, w jedną czy w drugą stronę, zaraz zmiana dekoracji i jesteś już w żydowszczyznie po szyję! Hałas, gwar, rejwach, rwetes, krzyki, ciżba, targi nieustanne. Nie dość sklepów po domach, byle gdzie odrobina miejsca, masz zaraz budkę jedną lub więcej, i jakiś kramik, jakiś żydek, lub żydówka. Szyldy przy domach przyczepiają bardzo długie, żeby z daleka widzieć; a że są nie tylko na dole, ale i na piętrach, i przy tem różnego koloru, więc patrząc wzdłuż ulicy, robi się zabawny widok, jakby domy były ze skrzydełkami. Nie polecą jednak w górę, nie bój się, bo trzeba by skrzydeł nie lada, żeby je podniosły z wszystkiemi ich kuframi, skrzyniami i baryłkami. Żydzi tutejsi, mają być niesłychanie bogaci. Ale to wszystko jest nic, przy ulicy zwanej Żydowską — to dopiero non plus ultra żydowszczyzny! Wystaw sobie przesmyk długi, wąski, ciemny, straszny, okopcony, zapowietrzony, pełen śmieci, gałganów, pomyjów, podobniejszy do przekopu w jakimś zadusznym lochu, niż do ulicy w mieście — to tylko będzie cząstka obrazu; bo tej szkarady, nie podobnej do niczego, jaka tu zewsząd na ciebie bucha, to przez okna odwiecznym brudem zasklepione, to przez drzwi czarne jak sadza, to ze ścian i dachów porospadanych, krzywych, dziurawych, i które, jeśli się od dawna nie zawaliły, to chyba dla tego, że szczególna jakaś gęszcz błota, kurzów i brudów, laty nabijana, mocniej je widać zespoiła i trzyma niż by cement rzymski; tego wszystkiego ani sposób sobie wystawić. Domy, które są wszystkie drewniane, stare, i nigdy nie były pobielane, są już teraz jakiegoś koloru, jeszcze prawie ciemniejszego,

niż czarny. Przeszedłszy tę dziwną ulicę z niesłychanem cierpieniem nosa, oczu i nerwów, odetchnąłem głęboko, jakbym się wyrwał z jakiego lazaretu śmiertelnego, albo od jakiej kary nieznośnej. W dawnych czasach, i aż do końca zeszłego wieku, wszystkich Żydów z całego miasta, spędzano na noc w tę jedną ulicę. Mówiono mi, że na jednym z jej końców mieszka, czy mieszkała matka Baronów Rotszyldów. Można by tu do tej pani Baronowej powiedzieć staroświeckim konceptem: winszuję, ale nie zazdroszczę.

Stary, wspaniały, czcigodny Frankfort, jest mianowicie w ratuszu, zwanym Roemer, sławnym z wyborów niegdyś Cesarzy; w katedrze, w kościele ś. Leonarda i kilku innych. Cóż, kiedy na to wszystko wlazł już całkiem Frankfort jarmarczny, izraelski, i wszystkie te szanowne pomniki nakrył sobą, jak starym płaszczem tandetnym. W obszernym przedsieniu ratusza i po korytarzach, przeciskać się trzeba między paki towarów, między ogromne wory z wełną. Katedrę tak zewsząd domami i kramami oblepili, że, szczerzę mówię, obszedłem ją kilka razy, żeby trafić do drzwi, i w końcu musiałem wejść do jednego sklepu, prosząc, aby mi ścieżkę pokazano, bo samemu niepodobna było znaleść.

Obejrzawszy to wszystko, i przeszedłszy przez most na Menie ku przedmieściu Sachsenhaus, skąd ładnie się miasto przedstawia i na raz wszystkie trzy fizjonomje pokazuje. — Wieczorem tego samego dnia poszedłem jeszcze na Meinlust. Jest to ulubiony Frankforczyków spacer. Słyszałeś o tych niemieckich ogródkach, gdzie całe miasto idzie, ubodzy i bogaci, młodzi i starzy, i gdzie zwyczajnie masz bardzo dobrą muzykę, bardzo złą kawę, piwo, fajki, gazety, słowem wszystkie niemieckie potrzeby i roskosze. Kobiety przynoszą pończochę, lub inną robotę, przyprowadzają dzieci, pieski, zasiadają wszyscy familjami przy małych stolikach, gęsto pod drzewami rozstawionych. Niemki cerują, szyją, dają dzieciom piersi; Niemcy częstują się piwem, politykują, palą tytuń, mięszając dzieciom do najpierwszego pokarmu, do mleka matczynego, smak dymu i fajki, jak gdyby przez to chcieli w nie wcześnie i już fizycznym sposobem zaszczepiać *niemiecką narodowość*. Takiem właśnie miejscem jest tutaj Mein-

lust; ogródek tuż za miastem, nad samym Menem, w ślicznem położeniu. Przy wejściu napis: Płaci co łaska. Publiczność, we wszystkiem porządna, zredukowała tę łaskę raz na zawsze na sześć grajcarów, i tego się już wszyscy pilnują; ja dałem parę grajcarów, nie pamiętam czy mniej czy więcej, więc odbierający natychmiast się ze mną rospłacił do równości ze wszystkiemi. Czemuż, spytałem, koniecznie sześć? — bo tak się płaci zawsze. Czemuż napis co łaska? — Bo ten napis jest tutaj zawsze. Na tak jasne wytłomaczenie, nie było co odpowiedzieć; wszedłem do środka. Między drzewami, ławki, stoły, stoliki; pośrodku altana dla muzyki; z boku domek, skąd wynoszą gościom wasser-kawkę, piwo, ciastka, i t. d. Dla Niemców, którzy, choćby chcieli, nie potrafią się w niczem rostrzepać, zabawa nawet, jest to jakaś poważna robota, którą, jak wszystkie inne, odbywają z całą swoją flegmą, z całą akuratnością i w jak największym porządku. Siedzą wszyscy bardzo grzecznie, spokojnie, tylko kiedy nie kiedy kiwną głową w takt muzyce, a i to zdaje się bardziej przez zwyczaj i formą raz już przyjętą, niż przez sympatyczne i mimowolne poruszenie. — Kto w lecie w Frankforcie nie spędzi przyjemnie wieczoru: chyba nie ma sześciu grajcarów do stracenia. Nie uwierzysz, jakem się na tym Meinluscie doskonale zabawił. Orkiestra, co się nazywa wyborna; przytem żadnej szarlatanerji, żadnej arlekinady. We Francji, w Paryżu na przykład, zrobiono by z tego ogromną rzecz; wielkie afisze, opisy w dziennikach, tysiąc przyborów; dyrektor ubrał by się w wielką toaletę, ufryzowany, w białych rękawiczkach, machałby, rzucał się, udawał jak aktor na scenie: a muzyka byłaby zła, nieznośna, z tysiącem najgłupszych dodatków i konceptów. — Tutaj wszystko po prostu, naturalnie, bez najmniejszej pretensji, za kilka groszy: a muzyka przedziwna, i masz prawdziwą przyjemność. U Miuzarda, który jest dziś jednym z najsławniejszych ludzi we Francji, stukają w takt krzesłami, strzelają, grają na organach, klaskają z biczów, biją w dzwony; i Musard po wszystkich paryskich gazetach zowie się Napoleonem kadryla, portrety i biusta jego na każdej ulicy spotykasz, i zrobił pewnie duży już majątek. — Frankforckiego ogródka dyrektor, którego

nie oddał bym za dziesięciu takich szarlatanów, który gra sam na skrzypcach i prowadzi orkiestrę bardzo dobrze, nikt ani zna, ani wie nawet jak się nazywa, chyba gospodarz domu, gdzie stoi i może za ostatni kwartał jeszcze winien, albo krawiec, który mu robi suknie na kredyt. Tak to, co kraj to obyczaj. A obyczaj i charakter narodu, jak charakter pojedyńczego człowieka, pokaże się często w najmniejszej rzeczy. Grali mi różne kawałki dawne, znajome, i jakby chcieli mnie wetować i umyślnie dla mnie, takie właśnie które lubię, pamiętam, i które mi różne rzeczy, miejsca czasy, i różne osoby przypomniały. Puściłem więc myśl na spacer, żeby sobie trochę pobiegła z ogródka za Men, za Ren, i dalej, dalej jeszcze — a sam tymczasem, jak gdyby w jakimś półśnie, zapatrzywszy się w jasne koryto rzeki, która odbijając się z szumem o trawiste brzegi, trzymała, jakby wtór orkiestrze, i gdzie niebawem zaczęły się przeglądać gwiazdy — odgrywałem także wewnątrz siebie, i sam dla siebie, wieczorną jakąś symfonję różnemi instrumentami duszy, wspomnieniem, żalem, nadzieją, tęsknotą... Ta wewnętrzna, osobista orkiestra, czasem prawda, nie bardzo mi szła równo, takty mięszała, jakby nót swoich czytać i dobrze zrozumieć nie mogła... Świeżem, miłem powietrzem oddychałem, nie myśląc nawet, gdzie jestem i dla czego jestem... Anim się spostrzegł, jak mi ten wieczór przeleciał.

Nazajutrz miałem jeszcze różne rzeczy do zwiedzenia. Poszedłem do bibljoteki. Dom nowy, piękny, podobny do warszawskiej mennicy. Żeby ci dowieść, że umiałem ją oglądać, powiem, że są tam sale, w salach szafy i półki, w szafach i półkach książki; co do książek, z tych jedne są oprawne, drugie nie. Poczciwy jakiś germańczyk, który mię oprowadzał, nie wiem, czy z oczu mi wyczytał, że tak tylko jego bibljotekę opisywać potrafię, ale za najciekawsze jej skarby, pokazywał mi portret JMci Pani Marcinowej Lutrowej, pantofle jej małżonka, Marcina, i tym podobne naukowe kosztowności. Widziałem jednak doskonale zachowany egzemplarz najpierwszej książki, jaka się na tym świecie pokazała: Biblję Gutenberga! Patrząc na tę księgę, na tę matkę wszystkich dzisiejszych bibljotek, nie mogłem się oprzeć wielkiemu

wzruszeniu. Schylony nad jej kartami, i pomyślawszy sobie na tę całą niezmierną liczbę książek po wszystkich teraz krajach i kątach ziemi, i wszędzie jeszcze ustawicznie się mnożących, a które wszystkie od tej jednej poszły; pomyślawszy, mówię, co one dla świata, dla losu tylu pokoleń i narodów, dla całego rodu ludzkiego zrobiły, robią, i robić jeszcze będą, zdało mi się, żem stanął nad źródłem i pierwszym wytryskiem rzeki ogromnej, niezmiernej, niepowściągnionej! Czysta, ożywcza, błogosławiona u swego początku. Pociągnęła rozgraniczenie między cywilizacją a barbarzyństwem: między sztukami, przemysłem, wolnością, a dzikością, nędzą, niewolą... Ale nic że więcej? Nic że innngo?.. O! tak; prawdziwa i straszna rzeka. Tu żyzność poniosła i ozdobę, tam zniszczenie i okropność. Wszystkie strony ożywia, w ruch wprawia, jedne z drugiemi zasila, ze wszystkich krajów ziemi, czyni ludziom jakoby jedną, spólną ojczyznę; ale także wylewami zatapia, najpiękniejsze łąki mułem i błotem zanosi, całe wtedy okolice zapowietrza, i t. d i t. d. —

Jest tu także osobny dom z publiczną Galerją obrazów; zakład bardzo dobrze uposażony, i tak urządzony, iż ciągle musi się powiększać. Fundatorem był jeden z tutejszych obywateli, Staedel. Godzien za to czci nie tylko swoich, ale i obcych wszystkich, którzy kochają sztuki i umieją wielbić piękne czyny, piękne użycie majątku. Pamiętaj, proszę, to szanowne imię, Staedel. Jest to widać jakiś kuzyn naszych Ossolińskich, Baczyńskich, i... daj Boże, żeby familja ta była jak najliczniejsza. Galerja sama nie dawno założona, nie posiada jeszcze wielkich bogactw, ma jednak rzeczy pięknej wartości Dürera, Holbejna, także Rafaela Sanzio, Perugina, Canaletty, z mniej znanych podobał mi się bardzo Vivarino w jednym obrazie Matki Boskiej. Wielkie alfresco Vejta, wystawiające wprowadzenie Sztuk do Niemiec przez Chrześcjanizm, które zajmuje całą ścianę jednej sali, ma znakomite zalety rysunku.

Dom ten Staedla jest już trochę za miastem. Co Frankfort ma niezmiernie ładnego, to spacer, który go na około opasuje. Na miejscu dawniejszych wałów fortecznych, zrobiono

długi ogród angielski. Jest to zwyczajna dla całego miasta przechadzka i bardzo miła. Tu także jeden z prywatnych, niejaki Guiollet, pokazał chwalebną gorliwość; pierwszy tego spaceru podał myśl, a przynajmniej do wykonania się głównie się przyczynił. Wdzięczni Frankforczanie postawili mu za to na tymże samym spacerze pomnik. Ma się rozumieć, że w Galerji obrazów jest także popiersie Staedla. To wszystko robi z Frankfortu miejsce dla artysty przyjemne, gdzie na Sztukach znają się, lubią je, i opiekują się niemi. W istocie rzadko miasta, nie mówiąc chyba o włoskich, żeby miało więcej prywatnych zbiorów malarstwa i snycerstwa; tutaj jest to nawet modą, próżnością. Każdy prawie większy bankier, każdy większy bogacz ma jakąś Galerję i tę zazwyczaj wszyscy odwiedzają. Właściciele przez sam punkt honoru mieszczański, walczą między sobą o pierwszeństwo; a tym czasem sztukmistrze znajdują zachętę i wsparcie, miasto się przyozdabia i uzacnia. Do najciekawszych należy Gabinet Bathmana, gdzie między innemi jest jedno wielkie dzieło Danneckera, i które będzie, myślę, coraz sławniejsze; posąg Arjadny. Jak mnie się zdaje, to nowoczesna rzeźba nic nie wydała, coby więcej przypominało utwory klasycznej Sztuki Grecji i Rzymu... Chodziłem kilka razy przypatrywać się tej pięknej Bachantce, jadącej na panterze i zadumanej o niewdzięczności swoich kochanków. Wie ona, jak jest piękna, i mimo nieszczęść, czoło jej w górę wzniesione. Spojrzała na ciebie; objąłeś wzrokiem jej postać; i natychmiast porwała cię w światy bajeczne. Nie jest to opuszczona kochanka Tadeusza, litość pragnąca obudzić; ale pyszna córka królewska, i żona bożka. Prawą nogę, założoną na lewej, ma spuszczoną ku ziemi; lewą rzuciła wzdłuż grzbietu pantery, łaskawej, posłusznej, bo taśma, którą ją prowadzi, wolno na szyi wisi. Lewą ręką wsparła się na karku wiernego zwierza, prawą przytrzymuje wiszącą z pod siebie draperję; przytrzymuje trzema tylko palcami, draperja tak jest lekka, że widać, iż nie potrzebuje do niej całej dłoni. Pantera, jakby się bała przerwać dumanie swej pani, kroczy powoli. Na jej łeb potężny, wielkiemi zęby uzbrojony, pada jakiś urok i odblask jeźdźca, którego niesie: jest więc tylko mocny i groźny,

ale nie straszny. Postawa Arjadny, cała prawie prześliczna i żywa; mówię cała prawie, gdyż na przykład noga, ta co spuszczona, bardziej jest z marmuru jak z ciała. Głowa, wolałbym, żeby raczej była na dół pochylona, i mniej miała pychy, a więcej tkliwości; zgadzało by się to więcej z całą historją córki Minosa. Pantery bok może za płaski i martwy. Cała jednak kompozycja ma wiele prostoty, piękności i wdzięku prawdziwie starożytnego. Bethman, który jest, czy był jeden z tutejszych bankierów, nabył to, słyszę, za dwadzieścia tysięcy złotych niemieckich; czem też na wieczne czasy kupił sobie w Frankforcie sławę Mecenasa. — Była kiedyś i w Polsce familja Bethmanów, za czasów pierwszych Jagiellończyków, może ta sama: należeli do najmożniejszych mieszczan szlacheckich krakowskich. O jednym z nich, na imię Seweryn, jest piękna w kronikach wzmianka. W czasie pożaru w kopalni Wielickiej za Zygmunta I, spuścił się pierwszy, z wielkiem niebespieczeństwem na ratunek będących tam robotników i ugaszenie ognia, a miał już blisko lat dziewięćdziesiąt! Bohaterski ten i sławy godzien starzec, był wtenczas burmistrzem krakowskim. Ale to już do opisu Frankfortu nie należy.

Jeszcze jedną rzecz, bo ciekawa. Znalazłem tu jakąś kamienicę dość brudną, brzydką, z napisem: dedié à l' Eternel 1793. Sama data i język napisu, tłumaczą to najlepiej. Wreszcie w owym czasie, trzeba było i na taki kościół pewnej śmiałości ducha, kiedy prawie nie można było powiedzieć, że się wierzy, choćby tylko w istność Boga, nie zostawszy za to jezuitą i nieprzyjacielem ludów. Ta piękna skromność i pokora ówczesnej filozofji, przyznającej już nareszcie zgodnym sposobem, że jest Pan Bóg, i te jej takie napisy, przypominają mi pewnego w dawnych czasach polskiego Pana, który uratowany raz od śmierci, a będąc całe życie na wpół pomięszanych zmysłów, postawił także jakiś pomnik Panu Bogu i dał taki napis:

A za to, że Pan Pana od śmierci wybawił,
Pan Panu na pamiątkę, ten pomnik postawił.

LIST IX.

Z Kolonji.

Uff! Owóż jestem w Kolonji. Muszę sobie trochę, pisząc do ciebie, odpocząć, muszę się trochę uspokoić, bo mi się prawdziwie w głowie przewraca. Żebyś ty wiedział, żebyś mógł wiedzieć, mój ty Mazurze, mój ty kochany piaskowcze; gdziem ja był, com ja widział! O żałuj, żałuj, że niepodobna, że ani myślę tego ci opisywać. Nie moja wina. Cóż by ci z tego przyszło, choćbym tu wysypał wszystkie, ile ich tylko jest w naszym języku przymiotniki, piękny, śliczny, wspaniały, czarowny, cudowny, zachwycający, niezrównany, i t. p. To wszystko nie dało by ci najmniejszej rzeczy brzegów Reńskich poznać, nie przeniosło by w ciebie ani jednego tego wzruszenia jakich tam doznałem. — Wstawszy jednak od uczty wielkiej, królewskiej, rzucę ci biedakowi, ponieważ chcesz, parę okruszyn, choćby tylko na pokazanie dobrego serca. Wybiegłszy z ogrodu roskosznego, i pełen jeszcze upojenia wszystkich zmysłów, wynoszę ci jeden listeczek, jedną małą trawkę, bez woni, bez koloru, choćby tylko na przekonanie cię, że tam byłem.

Z Frankfortu wróciłem do Moguncji, z Moguncji puściłem się znowu statkiem. Wypłynęliśmy rano, a w wieczór stanęliśmy w Kolonji. Przedewszystkiem z góry zaraz masz wiedzieć, iż wszystkie tego kraju opisy, są wyraźnie na to robione, żeby ludzi zwodzić. Wszystkie pochwały Renu od Strasburga aż do Moguncji — zupełnie przesadzone i na całą milę wyżej prawdy; wszystkie zaś jego pochwały od Moguncji do Koblenz, są na sto mil niżej prawdy i nie dają o nim żadnego wyobrażenia. Alboż ja sam podług nich nie wystawiałem sobie zawsze, że jest to kraj jak wszystkie inne, tylko daleko piękniejszy?.. Że jest to kawałek tej samej ziemi, na której wszyscy mieszkamy, którą wszyscy depczemy, a którą każdy wiek, każde pokolenie po swojemu i w właściwą *sobie suknię* ubiera?.. Otóż największa! Jest to kraj

do żadnego niepodobny; jest to sen na jawie; jest to najpoetyczniejsza pod słońcem ballada, legenda, napisana górami i ruinami; jest to cząstka świata ukryta, gdzie żaden z kilku ostatnich wieków nogą prawie nie postał, a przynajmniej na której żaden nie zabił, nie zatarł czasów, w jakich się rodziła i życiem brzmiała, czasów krucjat i rycerstwa.

Minąwszy pałac Książąt Nassaudzkich (Biberich) i rozległy nad samą rzeką ogród, czujesz zaraz po wszystkiem na co spojrzysz, żeś wjechał w jakieś strony insze, ze świata znanego, powszedniego, w które się gdzie przeniesiesz. Z przeproszeniem Nassaudzkich Książąt, w takim kraju, w takim mówię ogrodzie, zakładać ogród, jest to już kompletny i bardzo kompletny zbytek. Krajobraz się zmienia, bogaci; wzgórza zaczynają się rozmaiciej poruszać, bardziej do ciebie przybliżać, od brzegów jednak widok jeszcze rozległy; prawa strona ciągle piękniejsza. Ludność, widać, coraz się tu gromadniej cisnęła: winnice ciągną się już bez przerwy; wsie, miasta coraz gęstsze; stare jakieś mury, reszty jakichsiś baszt coraz częściej tu i owdzie; ale to wszystko trzyma się jeszcze poziomu, nie skacze jeszcze w powietrze. Ren, obmywając od czasu do czasu zielone wyspy, co na łoże jego wybiegły, rozlewa się wreszcie (od Rüdesheim), jakby spokojne, szerokie jezioro... aż nagle i niespodziewanie bierze cię gwałtownym zwrotem w prawo — i jesteś już w zupełnem oczarowaniu!

Rzeka wpadła między dwa zastępy gór; te tak ku sobie zbliżone, że nieraz ledwo ma miejsce przebić się z całą swą wodą. Góry wysokie, strome, zasłaniają wszystko; świata, na którym żyć przywykłeś, którego dotychczas byłeś mieszkańcem, nigdzie już tu nie ujrzysz — zapomnij o nim; nie żałuj. Nad głową sterczą skały, wiszą ruiny, zielenią się winnice; wyżej niebo, niżej Ren — nic więcej!.. Człowiek i natura uparcie się tu z sobą spierają; najmniejszy punkcik ziemi, radzi by sobie wydrzeć nawzajem. On i tam gdzie już szczera i goła skała, chciałby jeszcze wymusić ręką i potem swoim jakąś krzewinę, jakieś ziarno, byle tylko czemkolwiek i jakkolwiek dłużej siebie przy tych roskosznych miejscach wyżywił; ona chciała by tę jednę przynajmniej, tę

jednę małą okolicę, wybraną i ukochaną, mieć w wolnem swojem posiadaniu, żeby podług upodobania mogła się nią cieszyć i rządzić, mogła ją ubierać jak zechce, to w białe kwiatki i murawy, to w siwe głazy i mech; i nie chciałaby tu wpuścić człowieka, chyba poetą, malarzem, kochankiem. Góry w ciągłym są ruchu, w coraz odmienne układają się obrazy. To skaczą wprost, jak fontanny, to się zastawiają do twego oka, jak tarcze wypukłe, jak gdyby zamków, co na głowach im siadły, bronić przed tobą chciały. Tu pną się w piętra jedne na drugie, wiążą się w węzły, ściskają, i w powietrzu sznurem pobiegły; tam opadną, przysiędą ku ziemi, albo nawet w wąski przesmyk się rozstąpią, żeby pokazać, że i po za niemi jeszcze ten kraj czerwony. Czasem od wierzchu składu jakaś jedna i druga piaskiem się otworzy, wysypie, i stacza go szerokim, białym potokiem po zielonych ścianach góry aż do rzeki. Na prawo i na lewo patrzą wciąż na ciebie wspaniałe ruiny Zamków, Klasztorów. Gdzieniegdzie wdarł się już tam na nowo człowiek; w zwaliskach tych jakieś sobie gniazdo ulepił — i drobną, nędzną lepiankę, z łaski kilku dawnych kamieni wzniesioną, przezywa także Zamkiem, pałacem. W innych mieszkają tylko wiatry i ptaki, przechadza się cień dawnych czasów, trawa buja, drzewa porosły. Czasem skalistą ścieszką widać jak pnie się jakiś żebrak. Usiadłszy na gruzach, będzie tam czekał podróżnego. Więc gdzie Baron dumny, gdzie cały ród jego, z pokolenia w pokolenie, w chwale i sławie królował, gdzie mnogie warty czuwały, brzmiały turnieje i uczty — zajękła z starych, rozleciałych pustek pieśń dziadowska i ponurem echem spadła do ciebie na wodę. O nazwiska tych miejsc nie pytaj się: wszystkie prawie przykre dla ucha i ciężkie do wymówienia. Te poetyckie ruiny trzeba by koniecznie przezwać jakimś językiem słodszym, muzyczniejszym, niż niemiecki, o którym stary nasz jeden pisarz powiada żartem:

Taka u niemieckiego mowa jest narodu,
Jakby głośne pudło spuścił z wysokiego schodu.*)

---

*) *Klonowicz.* Ale pierwszy wiersz jest tu zmieniony, znać z pamięci *pisany.* Przyp. Wyd.

Lepiej raczej dowiadywać się, jakie są o nich podania, jakie legendy, bo domyślasz się zapewne, że tu co zamek, co ruina, to jakaś bajka, jakaś powieść — i gdzieżby umysł ludzki miał poetyzować, jeżeli nie w takim kraju. Na próbę powiem ci jedną; posłuchaj.

Dawno temu, dawno, był sobie w jednej górze smok straszny, okrutny, że nikt przystąpić nie mógł. Ludzie nic mu zrobić nie mogli, bo miał taką skórę twardą i tak był silny, że go niczem nie można było zabić. Więc, że ludzie byli jeszcze poganie, zaczęli ze strachu czcić tego bożka i dawali mu ofiary. Otóż tedy, była raz w okolicy jedna dziewczynka, taka piękna, taka śliczna, jak anioł, i tak niewinna, jak anioł. Kto tylko ją zobaczył, to się zaraz i kochał. Tak, dwóch największych Panów i Książąt, chciało ją mieć za żonę i księżnę, i żaden żadnemu nie chcieli ustąpić, ale koniecznie, żeby się z nią ożenić i zawieść ją do siebie, do swego Zamku na panię. Jeden i drugi był rycerz wielki, bogaty: mieli swoje wojsko i pierwsze urzęda. Co tu robić! Starsza Rada, Starostowie, Panowie, co krajem wtenczas rządzili, bojąc się, żeby nie przyszło do wojny, nie wiedzieli jak na to poradzić, więc się zgodzili, żeby dziewczynę oddać smokowi, żeby ją zjadł sobie na ofiarę i tak obydwóch pogodził. Wzięli, przeczytali jej wyrok: ślicznie, pięknie ubrali ją w białą sukienkę, w białe wstążki, w białe kwiatki, i wyprowadzili na górę do smoka, gdzie on mieszkał w jednej przepaści. Taka była głęboka, taka czarna, że nic nie można było widzieć, a smok wtenczas tylko wychodził, jak mu przyprowadzili ofiarę; brał ją i znowu właził nazad; a gdyby nie miał ofiary, a zechciał jeść, to szedłszy precz po zamkach, po miastach, i cały kraj pustoszył, niech Pan Bóg broni. Tak, tylko co ją przyprowadzili, postawili przy jamie, żeby smok wyszedł; ludu była straszna moc, bo tak ją wszyscy żałowali, że taka jeszcze młoda, śliczna, niewinna; ale cóż, nikt nie mógł bronić i Rada tak roskazała. Aż tu niezadługo zatrzęsła się góra od spodu aż do wierzchu, ryknęła pod ziemią okrutna bestja smoczysko, wyłazi, wszyscy się przelękli co strach, każdy tylko patrzy się, żeby ją jeszcze choć raz zobaczyć... — Tylko ona sama nic się nie zlękła, a zro-

biła się jeszcze piękniejsza, jeszcze ślieczniejsza. Już, już miał ją porwać, a ta dostała prędko od piersi, i zrobiła jakiś znak, którego nikt nie zrozumiał. Ale smok zrozumiał dobrze; patrzą się, a on co miał ją rozedrzeć, zadrżał, ryknął strasznym sposobem, aż góry się wszystkie zatrzęsły, i tak nim rzuciło, że buchnął, jak kłoda w swoją przepaść. — Dopiero co? jak? Wszyscy się zbiegają, dziwią, nie chcą swoim oczom wierzyć; a ona biedaczka klęczy cichutko, jak baranek, i modli się, a taki blask bił od niej, jakby od gwiazdy jakiej. Nie wiedzą co to jest, co to się wszystko znaczy. Starsi Panowie myśleli że czarownica, że to przez czary tak zrobiła; ale ona wstała i powiada: «nie będę ja żoną żadnego Księcia ziemskiego, mam ja już innego Oblubieńca, widzicie, że jest mocny i obronił mię; jestem chrześcjanką; oto jest krzyż, na którym Oblubieniec mój umarł. Mocą jego pokonałam piekielnego smoka; zbudujcie mi na tem miejscu kaplicę, żebym się do śmierci modliła, i przyjmcie wszyscy Wiarę prawdziwą!» — Tak, zaraz Książęta jeden i drugi, właśnie ze wszystkich najpierwsi, przyjęli Wiarę, i także wiele z ludu co tam przyszedł, przyjęło. Wystawili nie kaplicę, ale kościół śliczny, bogaty bardzo. — Jeden Książę został w nim mnichem; drugi poszedł do Rzymu, potem do Grobu Pańskiego; a ona do śmierci była zakonnicą, dziękując Bogu, że ją tak ocalił i Wiarę przez nią ludziom pokazał.

A cóż? jakże znajdujesz? Takich powieści mógłbym ci stąd wiele spisać. Notabene byłoby bardzo dobrze, żeby i nasze kto kiedy spisał; byle tylko nie żadnym innym sposobem, nie kwieciste, nie po autorsku i nie po aktorsku, ale po prostu i jak najprościej. Ty, co mieszkasz w kraju i znasz się z literatami, powinienbyś którego namówić; pamiętajcie tylko, żeby tego nie zepsuć. Prawdę rzekłszy, to żeby to dobrze, i jak ja sobie wystawiam, zrobić, trzeba by nie mnie, ani ciebie, ale przynajmniej jakiego Brodzińskiego. W tutejszych Reńskich panuje prawie we wszystkich jakaś myśl religijna. Częsta w nich bardzo wzmianka o Ziemi Świętej, o wojnach Krzyżowych, o ś. Bernardzie i t. d. Możnaby *z nich także ułożyć* wyborny kurs filozofji moralnej; uczą

na przykład gościnności, stałości, wiary małżeńskiej. Aktorami w niektórych są różne duchy, istoty tajemnicze, gnomy, karły, nimfy wodne, czarownice. Te dziwne, nadprzyrodzone podania, słyszane tu na miejscu, w tym tak dziwnym, niepodobnym do innych, w tym tak poetyckim kraju, mocniej, niżbyś sobie wystawiał, uderzają umysł. Wodząc okiem po tych zielonych, cichych górach, po tych ścianach skał, po tych białych, wszystkich ruinach, których kształty powtarzają się i mieszają wciąż przed tobą i za tobą w jasnych zwierciadłach Renu, zdaje się, że doprawdy insi tu jacyś ludzie, insze jakieś musiały przebywać istoty, i że zdarzenia co tu miały miejsce, nie mogły być podobne do zdarzeń pospolitego świata. Właśnie byłem zajęty słuchaniem bardzo ciekawej historji o jednym pięknym, młodym rycerzu, który się zakochał w pewnej ślicznej Ondynie, a nigdy nie mógł do niej dostąpić, bo albo szła pod wodę, albo w powietrzu pierzchła — kiedy jakiś jegomość, co się nie dawno z lądu do nas dostał i od kilku minut chodził po statku, zbliżył się do mnie i zapytał... o paszport. Nie wiedziałem w pierwszym momencie co to było. Od powietrznej i mgłami zasutej Ondyny, do tłustego, w skórzanym kaszkiecie i z krótką w gębie fajką, JMci Pana Sekretarzza Koblenckiej Policji, wizytującego pasażerów, który powtórzył mi po raz drugi, że chce widzieć mój paszport, przejście istotnie dość szczególne. Dopływaliśmy do Koblenc.

Miasta nie oglądałem, bom wolał płynąć ciągiem do Kolonji. Bardziej mię uderzyła na przeciwnym brzegu twierdza Ehrenbreitstein, ogromna, straszna i na potężnej górze. Wkrótce krajobraz mniej już zachwycający, pospolitszy. Góry się rozsunęły, opadły; gdzieniegdzie całkiem płaszczyzna. Myślałem, że już koniec cudów — ale od Andernach wszystko na nowo! Góry się znów podnoszą, biegną jedne na drugiemi, doganiają się, i w jedną ścianę wzdłuż rzeki po obu stronach stawają; znów na ich karkach te same dawne zwaliska, te same dawne czasy. Przyznam ci się, że już tem wszystkiem byłem przywalony. Cały dzień od rana do nocy takich widoków, takich dziwów, takich wzruszeń, to na nerwy jednego biednego, słabego człowieka, za nadto.

Bałem się, żebym się nie dopuścił przeciw tej wielkiej, świątecznej, tej uroczystej naturze, obrazy majestatu; żebym na te malarstwa i piękności nie zaczął patrzeć wzrokiem grzesznym, szkaradnym, wzrokiem bankiera, adwokata, chirurga, lub sekretarza policji — i rad byłem, kiedy ponury i burzą grożący wieczór, zaczął wszystko przedemną zakrywać. Nocny chłód wody ostudził mi czoło; zmysły wychodziły powoli z upojenia; ucichłem wewnątrz. Statek z szumem rozrywał przed sobą ciemną wodę; z masztu tylko migało po niej światełko kilku zapalonych latarek, ostrzegających statki z naprzeciw idące, żeby się na wprost nie wpędziły. Nie długo żal mi się zrobiło za wszystkiem, czegom już nie widział; zatęskniłem, podniósłem w górę głowę... — noc zupełna! Po szczytach, którędy przed chwilą oczy się moje czepiały, chodził już teraz inszy podróżny... burza; i patrzał tam swojemi, jaśniejszemi oczami... błyskawicami. Deszcz lunął jak z cebra. Ale jeśli chciał nam dokuczyć, to się spóźnił, bośmy już właśnie stawali w porcie Kolońskim.

Teraz jestem lepiej jeszcze jak w porcie, bo w wygoddnym pokoju hotelu Reinberg — i zasyłam ci dobranoc.

P. S. Przebiegłem ten list, zobaczyć jaki jest; i widzę, że nie ma w nim ani okruszyny od uczty, ani listeczka z ogrodu. Małom obiecał, a nie dałem i tego. Cóż robić! Jak się kiedyś zobaczym, to ci będę opowiadał. Miejsc nie wyliczam, bo znajdziesz w lada geografji, w lada przewodniku.

LIST X.

Z Kolonji.

Otóż to tak sławne, przemożne, tak starożytne miasto, *gdzie, wprzód* nawet, nim szanowny Marja Faryna, rozlał

jego imię po wszystkich krajach świata, swoją niezawodną na ból zębów, romatyzmy i plamy sukien Wodą Kolońską, już Cesarzów Rzymskich jednych obierano, drugich zabijano, Witelljusza, Trajana, Sylwana. Które i później grało zawsze tak wielką rolę, i słynęło, czy to w dziejach kościoła, czy to w dziejach europejskiego handlu; co w Wiekach Średnich liczyło, powiadają, blisko trzysta kościołów i kaplic, do kilkadziesiąt tysięcy żołnierza wystawiało, i nie bardzo jeszcze dawno, samych żebraków miało regularnie do kilkunastu tysięcy, (czem tak właśnie można by wielkości jego dowodzić, jak dowodzono bogactwa pewnego Pana Polskiego przez to, że samych długów miał na kilka miljonów). Kolonja, mówię, niczem dziś, ani swojej starożytności, ani swojej dawnej chwały, w pierwszym przynajmniej momencie, nie pokazuje. Wygląda jak wszystkie inne miasta. To co jest, zatarło całkiem, to co było. Zamiast Rzymskiego Forum, masz po prostu rynek z marchwią, cybulą i bułkami; zamiast Patrycjuszów, szanownych oficerów od landwery; zamiast legjonów Germanika i Klaudjusza, piechotę i dragonów szczęśliwie Prusom panującego Fryderyka Wilhelma. Kościołów ledwo kilka; żebraków nawet rospędzono, lub po Domach Zarobku zamknięto; jeden się Marja Faryna w chwale swej utrzymuje i składy Kolońskiej wody widzisz na każdej ulicy. Szkoda, że tu o tem wonidle dowiaduje się zmysłem wzroku, niż węchu, bo ulice wcale a wcale nie pachnące, po największej części ciasne, kręte, bruk też niegodziwy, chodników prawie nigdzie, albo chyba na chińskie nóżki, tak wąskie.

Pierwsza rzecz com spotkał, wyszedłszy z hotelu, była kupa aresztantów, w łańcuchach i w osobliwszem ubraniu. Kurtki i spodnie mieli z guni, pół na pół dwóch różnych kolorów; prócz tego, każden miał nad głową zawieszony na obręczy dzwonek, który za każdym krokiem ruszał mu się i dzwonił. Szli z wartą, i widać było, że nie przechodem, ale umyślnie chodzili po mieście. Co ten spacer znaczył, czy to było za jałmużną, czy chodzili po domach szukać roboty i zarobku, nie wiem; być może, iż tu za karę oprowadzają winowajców po bruku, któren doprawdy jest tak szkaradny, że ledwom sobie nóg nie połamał. Cokolwiek bądź, źle mi

się i przykrem widokiem dzień zaczął, źle też miałem go skończyć, bo tego samego dnia wieczorem poczęły się moje biedy z policją. Ale to powiem ci potem. Szedłem najprzód widzieć to, zaczem jedynie przyjechałem, w czem dla mnie była i jest jeszcze cała Kolonja — szedłem do katedry. Byłem pewny, że dość będzie z najpierwszego placu obejrzeć się i powieść okiem w górę, żeby ją natychmiast ujrzeć i wiedzieć, gdzie się skierować. Oglądam się, przypatruję; widzę dachy kamienic i kamieniczek, widzę ze strychów to siano, to porozwieszaną do suszenia bieliznę — przychodzę na drugi jakiś placyk... to samo! Chybaż nie jesteś w Kolonji? Wstyd mię brał zapytać się. Myślę sobie, chodzić śród białego dnia po Kolonji i pytać się o katedrę, to będzie tak dziwnie, jakby chodząc po jakim pokoju pytać się, gdzie jest okno. Koniec końców, przeszedłszy jeszcze darmo kilka ulic krętych, błotnistych, musiałem, jak nie pyszny, wziąść po prostu przewodnika. Przyznam ci się, że dochodząc, zdjął mię trochę strach o moją kochankę Strasburską; po dawnej, tak serdecznej znajomości radbym był, żeby zawsze u mnie miała pierwszeństwo, a bałem się porównania. Doszedłem, zobaczyłem. Cofnąłem się, prawda, jakby mię kto potężnie w skronie i piersi uderzył... lecz wytrzymawszy pierwszy moment, krzyknąłem w sobie: górą Strasburg!

Po pierwszej chwili uniesienia nad dziwną okazałością i przepychem odwiecznej i tak wsławionej świątyni, zaraz mię złość wzięła na to niegodziwe zuchwalstwo i nieczułość ludzisków, którzy ze swojemi domy, domki, i rozmaitemi budynki, obleźli w około, jak robactwo. Przypomniało mi się, com już z tego powodu ucierpiał w Frankforcie i gdzieindziej. Tutaj znacznie wprawdzie plac oczyszczono, ale wiele jeszcze do zrobienia. Do głównych drzwi ledwo przystąpić, widok od tej strony całkiem zamknięty. Że też się dotychczas nie znajdzie jaki zacny, miłosierny, i miłośnik Sztuk Pięknych, kapitan artylerji, coby wziąwszy z sobą porządną baterję, przeszedł się raz po tych wszystkich miastach i wymiótł jak należy, te klitki włażące na takie gmachy, na takie kościoły jak Frankforcki, albo Koloński! — Znasz dobrze z rysunku tutejszą katedrę. Prawda, że jest nadzwyczajna,

dziwna, osobliwa; kto ją zobaczył, pewno nigdy nie zapomni; będzie ją miał przed myślą, jak jakiś sen strojny, lecący, promienisty; gdyby została skóńczona, może by była nieporównana — ale taka jak jest, jak ją dziś widzieć można, nie ma ani piękności, ani majestatu Strasburskiej. Mówię to o zewnętrzu. Przeciwnie, w środku jest od niej potężniejsza, wspanialsza, sędziwsza, uroczystsza. Tak ogromna, że kiedym wszedł i posłyszał dzwonek mszalny, musiałem długi czas chodzić na prawo i na lewo, nimem znalazł ołtarz, gdzie się msza odbywała. Jest to prawdziwie jakby jakie miasto, jaki kraik kolumn, sklepień, framug, kaplic, chorów, ołtarzy, nagrobków, posągów i t. d. Na wszystkiem wielka starowieczność, wielka powaga dawności. — Tuż za wielkim ołtarzem, jest sławny grób Trzech śś. Króli, z napisem zewnątrz: corpora Sanctorum recubent hic terna Magorum. — W czasie wielkiej rewolucji Francuskiej, która tu także plądrowała, dużo stąd bogactw ubyło, tak w kruszcach, jak drogich kamieniach. Musiano przed łupieżą i profanacją uciekać z tym świętym skarbem do Westfalji, i wiele się rzeczy zgubiło, lub zepsuło. Później, kiedy za powrotem chciano znów przyprowadzić trumnę do dawnego ile było można stanu, użyty był do trudnej i kunsztownej roboty złotnik, nazwiskiem Polak. Być bardzo może, iż to był jakiś nasz rodak, nie familjant, który w braku innego przezwiska, przybrał sobie nazwisko narodu. — W ołtarzu obok grobu Trzech Króli, jest jedna z wielkich tutejszego kościoła osobliwości, obraz wystawiający, jak ci trzej Królowie i Mędrcy śś., oddają Dzieciątku Najświętszemu pokłon i dary. Malowany na drzewie, składa się z trzech części, środka i dwóch skrzydeł; skrzydła zwykle są zamknięte, i stanowią zewnętrzną swoją stroną, zasłonę całego obrazu, który pokazują tylko dla zwiedzających kościół, albo w pewne czasy nabożeństwa. Na tej stronie zewnątrznej dwóch złożonych skrzydeł, na tym mówię pokrowcu, są dwie figury, Anioła i jednej świętej, podobno ś. Urszuli, tak piękne, tak uderzające, że same jedne byłyby już prześlicznym obrazem. Cóż dopiero mówić o tem co wewnątrz! Nie mogłem się dość napatrzyć, a widziałem co dzień po kilka razy, lubom raz tylko zapłacił. Poczciwy

zakrystjan, który mię za coś, nie wiem za co polubił i pod wyraźną wziął protekcję, zwykle nim obraz dla jakiej nowej kompanji gości otworzył, szukał mię wprzód po kościele, kluczami na mnie dzwonił, żebym szedł także oglądać, nic już nie płacąc. Ta opłata razić może kogo, jednakże należy mu się coś słusznie memu przyjacielowi, zakrystjanowi, któren po całych dniach musi być na nogach i jest każdemu na zawołanie; powtóre, ponieważ między odwiedzaczami bywa bez porównania więcej takich co opatrują kościół, jak ciekawą tylko Galerję, nie ma tedy nic złego, że mu przynajmniej jaki grosz na służbę Bożą i miłosierne uczynki, zostawią. Co do obrazu, był on dawniej nie tutaj, ale w kaplicy ratuszowej; nie wiadomo z pewnością kto go robił, ani nawet kiedy. Najpospoliciej, tu zwłaszcza na miejscu, przypisywany jest niejakiemu Kalfowi; mówię niejakiemu, gdyż w świecie malarzy jest to figura wcale prawie nieznana. Jedni datują go z końca czternastego wieku, drudzy znacznie później. Bądź co bądź, kiedykolwiek i ktokolwiek go zrobił, zrobił rzecz wielką i był wielkim malarzem. O tem, że jest szkoły staro-niemieckiej, nie można ani wątpić. W ogólności, więcej niż zwykle u tej szkoły, ma słodyczy i miękkości; przypomina owszem sławną włoską. A chociaż tworom tej pierwszej w świecie szkoły, osobliwie samego Rafaela, ani kolorytem, ani szlachetnością i pięknością formy nie dorównywa; mocą jednak i prostotą rysunku, może i przechodzi. Prawda i to, że ja tak o obrazach wyrokując, jestem ogromnym fanfaronem, bo wiesz, że malować nie umiem; ależ na całym świecie jeden z przywilei wojażerów jest, gadać i sądzić o wszystkiem. Po różnych miejscach katedry, spotyka się ciągle artystów różnego rodzaju i narodu, ten przerysowuje jakąś osobliwość architektury, ten w rzeźbie nagrobków śledzi szczegółów starodawnej zbroi, ten zdejmuje kopję obrazu, ten posągu. Poznałem się z kilku tymi panami i zyskałem na tem prawdziwie, bo mi pokazali wiele rzeczy, i tak, jakbym sam zapewne nie zobaczył. Między innemi, oglądałem z nimi ciekawe niezmiernie rzeźby na drzewie w stolniach chóru. Tysiące grup, figur, zwierząt, ptaków, płazów i kształtów najrozmaitszych; czasem z pisma, czasem z legend i po-

dań miejscowych, czasem zaś niestworzone rzeczy, które tylko fantazja robotnika płodziła, niektóre bezecne, gorszące nawet; niektóre prześliczne i pełne wdzięku; a wszystko razem dziwnie ciekawe i oryginalne! Jest w tem całe życie artysty, jak się składa z chwil rozmaitych, z rozmaitych wrażeń, pomysłów i uczuć. Robił to lub owo, w miarę, jak się modlił do Boga, albo się śmiał i gorszył z ludzi, albo się przenosił w rzeczy Biblji, albo dumał o rzeczach i wieściach własnej ojczyzny i kraju, gdzie się znajdował, albo wreszcie jak marzył i tworzył sam dla siebie świat jakiś senny, niewidomy, artystowski: miał w ręku dłóto, miał pod ręką kawał drzewa, więc każdą myśl, każdy obraz chwytał za skrzydło, jak ptaka przelatującego, i ślad jego i jakąś formę jego natychmiast wyciskał. Rzeczy historyczne, ubiory, zbroje, rynsztunki, są wykonane z jak największą prawdą i dokładnością. — Przyjaciel mój i protektor, zakrystjan, chciał koniecznie, żebym widział także skarbiec. Rzeczy istotnie nadzwyczaj kosztowne, w krzyżach, monstrancjach, różnych naczyniach i strojach kościelnych; nie był jednak ze mnie kontent, bom się wcale nad tem nie unosił. Pojmuję ja bardzo, że człowiek na uczczenie swego Stwórcy, ofiaruje do jego służby, co tylko może mieć najdroższego; jest w tem owszem uczucie wzniosłe, piękne, jest w tem szczera miłość; ale do mnie, wszystkie te po kościołach bogactwa i przepychy, przyznam ci się, nic a nic nie przemawiają. Krzyż, na którym krew swoją Zbawiciel rozlał, z prostego był drzewa. — Widziałem tam na małych tabliczkach kościelnych, piękne bardzo płaskorzeźby niektórych obrazów Rafaelowskich i innych; jest ich dziesięć. Robił to przed laty jeden z ówczesnych kanoników Kolońskich, Melchior Paulus; dzieło rzadkiego kunsztu, a zwłaszcza niesłychanej cierpliwości: ślęczał też nad tem podobno przez trzydzieści lat. — Ależ, gdyby opisywać wszystkie tej katedry osobliwości, musiałbym z tego samego książkę zrobić. — Niechże dzisiejsza cywilizacja, dzisiejsza społeczność zrobi co podobnego; niechże będzie w stanie choć myśl tylko powziąść takiego gmachu, nad którego by stawianiem, kilka pokoleń jedne po drugich pracowało! W teraźniejszym świecie nic nie masz dłuższego,

trwalszego, jak życie jednego człowieka. Dawniej społeczność, była to ludzkość, dziś jest to pojedyńczy człowiek, jest to tylko jeden samolub, jeden śmiertelnik, jeden przechodzień. Sensymoniści paryscy, albo Ks. Szatel, wynalascy i przedsiębiorcy nowych religji, najmują sobie na kościół pierwszą rajtszulę, pierwszą jaką salę pustą, i to im wystarcza, bo nim komorne wyjdzie, już wiernych nie stało. O! jakże naszych mędrców, naszych reformatorów, zawstydzić i zbudować mógłby sam widok takiej świątyni, jak Kolońska. Czemże się, jakąż siłą te wielkie, olbrzymie i wiekuiste dzieła wykonywały? Nie było dzisiejszych asocjacji ani akcji, ani całego świata bursowego, ani dzienników, ani machin parowych, ani dróg żelaznych, ani telegrafów, nic tego wszystkiego; tylko była Wiara i Prawda! —

W innym z tutejszych kościołów, jest do widzenia sławny obraz Rubensa, ukrzyżowanie ś. Piotra. Ja, który nie znam jeszcze Galerji Antwerpskiej, najbogatszej w Rubensy, nigdziem nie widział tego malarza takim, jak w tym obrazie. Twarz ś. Męczennika jest nad wszelką pochwałę; sama jedna więcej warta, jak wszystkie Rubensy w Luwrze, których jest mnóstwo. Obraz ten darował tu sam malarz, którem właśnie w tym kościele był chrzcony. Na ulicy Sternengasse pokazują dom, gdzie się rodził.

Teraz jeszcze choć kilka wierszy o czem innnem. — Najczęstszy Kolończyków spacer jest, albo na drugą stronę rzeki, przez długi most łyżwowy, na przedmieściu Deutz; albo na małą jedną wysepkę zaraz pod miastem, która cała urządzona w ogród, i jeden tylko ma domek, z kawiarnią i salą dla gości. Sparer do Deutz kończy się także tem, że się idzie do ogródka, położonego nad samą wodą! Tam, muzyka gra, goście zaś piją kawę, nie lepszą jak w Frankforcie, palą tytuń, i patrzą to na miasto, co stoi przed niemi jak na dłoni, to bliżej jeszcze, na statki i czółna mijające się po Renie. Ja wolę wyspę; ogród dość obszerny, ładny z pięknym widokiem. W dni, kiedy ma być muzyka, widzisz przy wchodzie napis: Heute Harmonie. Ta harmouja, jest to zwykle jakiś wiedeński walczyk, albo jakiś oklepany kawałek Rossi-

niego; lepiej jednak grają niż w Deutz, ludzi więcej, i kompanja świetniejsza.

Pod względem obyczajów i charakteru mieszkańców, powiem ci chyba, że mieszczki tutejsze noszą jakieś płaszczyki ładne, oryginalne, z kapturem i długiemi falbany. Jest w nich coś niby zakonnego, niby bardzo skromnego, nie przeszkadzał jednak pokazać talji i wabi do siebie oko. Szkoda, że ten strój nie doszedł do klas wyższych. Elegantki, tak kolońskie, jak też innych miejsc i krajów, nie wiedzą, ileby wygrały, gdyby zamiast niewolniczego przybierania zawsze mód paryskich, zachowywały raczej i kształciły formy ubiorów miejscowych, swoich własnych.

Ale ręczę, że uwagi moje o tych płaszczykach i o wszystkiem com w Kolonji widział, byłyby daleko głębsze, mędrsze, liczniejsze, a zwłaszcza bez porównania swobodniejsze, gdyby nie pan Dyrektor policji, który całkiem zepsuł mi humor, ciągle prześladował i cały mój tutaj pobyt zatruł. Wystaw sobie, na opak dobremu zakrystjanowi, jak tamten w łaskę, tak znów ten nie wiedzieć za co i przez co w szczególniejszą jakąś wziął mię niełaskę. Paszport miałem formalny, miałem wizę Pruską, nic złego nikomu nie zrobiłem; pomimo to podobało się Dyrektorowi, niech mu Bóg nie pamięta, różne mi wyrządzić turbacje. To raz dziwił się po com przyjechał, i nie chciał wierzyć, że dla katedry; to znów wyjeżdżać nie pozwalał i ustawicznie kazał się do siebie meldować. Przecież na koniec raczył się jakoś udobruchać i jutro mam odpłynąć. Pójdę jeszcze pożegnać się z katedrą — z tobą zaś żegnam się już teraz.

LIST XI.

Z Karlsruhe.

Tą razą krótko, bo się spieszę. — O powrocie z Kolonji nic ci więcej nie powiem, tylko, że od Koblencji do Moguncji,

płynąłem najpyszniejszą nocą i przy pełni księżyca. Jeżeli tedy masz w sobie choć odrobinkę, choć na główkę szpilki imaginacji, choć cień tylko żyłki artystowskiej, to już wiesz co takiego było i co się ze mną takiego dziać musiało. Księżyc nie taki wcale jak u was mieszczan, tłusty, żółty, wyszczerzony, jak Niemiec oberżysta w nankinowym szlafroku, który włóczy się, gdy wszyscy posnęli, patrzeć czy wszystko w domu na swojem miejscu, czy słudzy roboty pokończyli czy złodziej kufra mu nie ruszył — ale księżyc malarski, poetycki, miłosny, lekki żeglarz powietrzy, mgłą, jak smutkiem przesłonięty. Ten sam co tam leciał, co tam świecił, kiedy te zamczyska całe stały, kiedy dziedzice ich i panowie żyli, wojowali, modlili się, pielgrzymowali; kiedy ze świątyń, co teraz w prochu rozsypane, wznosił się po nad te góry północny hymn czujnych i licznych sług Bożych, przez kraty wysokich okien blask lampy wyzierał, ze szczytu wież krzyże odbłyskiwały. — Te długie pasma gór różnokształtnych, te po ich wierzchach i bokach białe ruiny, te nagłe rozdoły, ta wciąż koło nich jasna droga rzeki, wszystko to w cieniach nocy, i w cichości nocy, pięknej, ciepłej, miesięcznej!.. Było to jeszcze coś dziwniejszego, uroczniejszego, bardziej niewypowiedzianego, niż kiedym widział w dzień. Myślę też, że tej nocy nigdy nie zapomnę; i przez uszanowanie i wdzięczność nic o niej nie napiszę. Jest to tajemnica osobista między mną, a zielonym krajem od Koblencji do Moguncji, mogilnikiem Średnich Wieków, budzącym się przy pełni księżyca!

W Moguncji, gdzieśmy stanęli rano, zatrzymał się statek parę godzin, było tedy aż nadto czasu wyjść w miasto; alem tego nie zrobił — najprzód, że od czasu Dyrektora Kolońskiego, straciłem znacznie do pewnych lądów ufność, powtóre, tak byłem pełen wrażeń mojej uocy, i tak w nich roskochany, że nie chciałem ich niczem sobie niepotrzebnie rozrywać; prócz tego, byłem już w Moguncji dwa razy. Publiczność statkowa cała prawie tutaj się zostawała; do Mannhejmu miała być nowa. Między przybyłemi weszła do nas na pokład jedna młoda dama, z małą dziewczynką i służącą. *Z karety, którą* za nią wtoczono, przyniósł lokaj książkę;

siadła i zaczęła czytać, nie okazując wcale ciekawości zobaczyć, w jakiem towarzystwie dzień miała przepędzić. Ja byłem trochę ciekawszy. Nie wiem czy sposobem, w jaki miała na sobie zarzucony szal, a który zwyczajny był naszym damom polskim, czy podobniej jeszcze wyrazem twarzy i dużem czarnem okiem, ściągnęła na siebie moją uwagę. Wkrótce posłyszałem mowę polską! Dowiedziawszy się, że była to osoba, której znałem familję, która znała kilku z moich najlepszych przyjaciół, i niedawno z kraju wyjechała, ośmieliłem się przerwać czytanie. Tej niegrzeczności wcale nie żałuję, bo aż do Mannheimu zyskałem sobie miłą kompanję. W Mannheimie ładną czytelniczkę pożegnałem. Z Ems przejeżdżała do Baden.

Dla dopełnienia przygód żeglugi, miałem tego dnia burzę. Być może, że na morzach i oceanach zdarza się czasem większa, ale było cokolwiek strachu i u nas. Wiatr zerwał się gwałtowny, rzeka mocno wzburzona, huczała, przewracała się, dużemi tłukła falami, chmury zakryły całkiem niebo, wszystkich z pokładu spędzono, statek się raz mocno przechylił, parę Angielek zemdlało, parę Francuzów pokłóciło się, parę Niemców przestało palić fajkę, kilkoro dzieci na głos wrzeszczało — czegoż chcieć więcej. Żebyś zaś nie myślał, że to całkiem dziecińatwo, właśnie nie daleko miejsca, gdzie nas ta burza napadła, zatopił się przed kilku tygodniami jeden taki sam statek; nikt prawda nie zginął, ale nim się wyratowali, mieli już wodę po pas.

Dowlókłem się na koniec do Leopoldhaffu, bo pod wodę, każdy widzę statek, wlecze się, choćby parowy; stamtąd dyliżansem jestem od wczoraj w Karlsruhe.

O czystem, pustem i głuchem Karlsruhe, mógłbym prawie powtórzyć ten sam koncept, którym Krasicki przypiął niegdyś łatkę poczciwemu naszemu Ryczywołowi.*) A choćby i było co powiedzieć, nie mam czasu, bo za godzinę jestem już w drodze. Skończona tedy moja podróż!

Zdrowszy cokolwiek, ale zawsze jeszcze cierpiący ciałem

---

*) O Ryczywole
Zamilczeć wolę. — Przyp. Wyd.

i duszą, wracam do domu... do Francji! Bogu niech będą dzięki i za tę małą ulgę i pociechę i za tę krótką rozrywkę. Czuję ja, że te wszystkie miejsca w innym by trzeba zwiedzać humorze, w innem położeniu. Bodajto wybrać się tu, kiedyś z pod jakiego naszego Ryczywołu, ale tak, żeby znowu pod Ryczywół wrócić; byle tylko w tym Ryczywole, i na około Ryczywołu wszystko było, jak być powinno; albo lepiej, bodajto zwiedzać swoje własne, we własnym kraju, wzgórza, rzeki, doliny! Alboż ich nie ma? Alboż nie piękne strony w Krakowskiem, w Karpatach, nad Wartą, nad Niemnem i w mojem zielonem Podolu!.. O Boże, Boże!

Na Niego my wszystko złóżmy,
A sobą sami nie trwóżmy;
Wrócą się i dobre lata —
Jeszcze nie tu koniec świata.

powiada stary poeta*) a ty, wiem, że lubisz czasem stare wierszyki. — Do zobaczenia!

---

*) Kochanowski w Sobótce. — Przyp. Wyd.

LIST Z PARYZA.

Paryż. — Quai Voltaire.

Mówisz, że lubisz moje listy; nie wiem czy powiesz tak, ten przeczytawszy.

Kilka już lat jak zostałem Paryżaninem! Ów Paryż sławny na cały świat: — Prezes i Dyktator Europy, Wielki-Kapłan Mody, Wielki-Mistrz Rewolucji, ten sam Paryż nad Sekwaną, gdzie Louvre, Tuilleries, Palais Royal, Champs Elysées i Bulwarów bez końca, szklannę domów ściany i szklanne ulic dachy, gdzie jest Izba Deputowanych i Lasek Buloński, Wielka Opera i wolność druku, Panteon, Constitutionnel, Religja księdza Chatel i Charivari, gdzie Cyrk Frankoniego, Panna Mars, Panna Rachel, Pan Dupin, Pan Balzac, Pan Scribé, Robert le Diable, Robert Macaire, i tak dalej, i tak dalej, i po wielekroć i tak dalej, bo któż by kiedy wszystkie te sławności wyliczył!.. Paryż, za którym tylu ludzi a zwłaszcza u nas, wzdycha, przepada, i wszystko by dali, żeby w nim być choć tydzień, choć dzień, choć balonem przez niego przelecieć... Ten sam, wystaw sobie! jest moim domem codziennym, moim towarzyszem nieustannym, moim chlebem powszednim; mam go rano i wieczór, w dzień i w nocy, w zimie i w lecie, o słońcu i o księżycu, w niedzielę i w każdy dzień tygodnia: tak to, kiedy się już kto urodził

pod łaskawą i fortunną gwiazdą! Otóż, żeby w tem wielkiem szczęściu nie być przecie samolubem, chcę się niem z tobą także odrobinę, choć tylko w malowidle, podzielić.

Ale pisząc o Paryżu, przedewszystkiem trzeba być Paryżaninem. Muszę więc coś napisać prędko, śmiało, żywo, po trzpiotowsku, nic nie osłaniając, niczego się nie wstydząc, jedno w drugie mięszając, o wszystkiem i o niczem, niech żyje Paryż! Dalej do dzieła!

Już to jak wygląda, ile ma ulic, placów, mostów, kawiarni, sklepów, rogatek, ile na dzień zjada szczęśliwie baranów, wołów, kur, ostryg, dzików, słoniów, pelikanów, feniksów, ilu w niem szewców, krawców, szwaczek, praczek, ministrów, prezesów i t. d., w ten się cały uczony rachunek wdawać nie myślę: z takich opisów tak tylko można poznać jaką stolicę, jak człowieka, o którym by mówiono, że tyle ma długości, szerokości, w zębach, nogach, palcach, albo, że tyle ma par rękawiczek, butów, chustek, kamizelek. Żeby ci jednak dać jakiekolwiek wyobrażenie powierzchowności miasteczka, złówmy jedną jakąbądź chwilkę. W tym na przykład momencie, gdy to piszę, jest pogoda, a ja wracam z Tivoli. Wystaw sobie, (tylko czytaj ten kawałek szybko), obszerny ogród, altany, altanki, karuzele, hałas, ścisk, muzykę, strzelanie, tańce, gwar, klomby, samotne pary, lampy, teatra, loterje, sztuki, śliczne stroiki, śliczne nóżki, kurzawę, żandarmów, municypałów i innych policjantów; także słomianych krzeseł tysiące, wachlarze, parasolki, lornetki, śmiechy, gadania, fajerwerki, wołania, bieganie młodych, prowadzenie chorych, ciągnienie w wóskach kaleków, wstawanie, siadanie, przesuwanie się ludzi, jakby płynienie szeroko rozlanej rzeki!.. Teraz tłumne wychodzenie, fiakry, kabrjolety, kocze, karety, liberja, dzieci na ręku, pieski na sznurkach, zgiełk, kapelusze, turkot pojazdów, gorąco, błoto, kwiaty, perfumy, zaduch rynsztoków, blask gazu, wojsko, bębnienie, dzwonienie, bruk, ruch, konie, koła, prawdziwa zarwańska ulica!.. Zmięszaj prędko, poplącz, teraz porusz, pociągnij, żeby jedno po drugiem biegło, następowało, cisnęło się, *rwało*, prędko, prędzej, jak najprędzej, jeszcze prędzej!.. *Otóż masz przepis* na zrobienie sobie portretu Paryża, jakim

był dla mnie przed godziną. Prawda, że to tylko jeden punkcik i jedna chwilka: ależ cały i we wszystkim swoim ogromie Paryż, tak jest naraz niedostępny, niewidomy dla mnie, co tu mieszkam, jak dla ciebie, co siedzisz stąd, szczęśliwy człowieku! o mil trzysta.

Zaszalawszy się, zabawiwszy, narobiwszy co dzień do późna w nocy, zmęczony i znużony, spi on rano jak zabity. Przed godziną dziesiątą nikt tu nie zaczyna, przed ósmą nikt się nie budzi, chyba student ciągnący do szkoły, albo panna wracająca do domu, albo ksiądz idący do kościoła, albo szpieg niosący raport z ostatniej nocy. Ulice puste, martwe, jakby w mieście zapowietrzonem, pełne dymów, wyziewów, zaduchów. Publiczność wtenczas składa się głównie z błociarzy, zgarniających w ogromne kary ogromnemi łopatami, a pomimo tego, wszędzie za sobą zostawujących błoto, które tak się rodzi i bierze na bruku paryskim, jak na przykład trawa na polu, albo woda w stawie — i ze śmieciarzy, co snując się w koło i babrząc w śmieciach, uwijają się, aby im ich w kary nie zabierano, pakują w kosze i gdzieś do swoich magazynów zanoszą tysiączne resztki i ułamki strojów, obuwia, sukni, sprzętów, mebli i wszystkiego; kłócą się o nie z błociarzami pod bokiem spiącego miasta, jak na pobojowisku kłócą się kruki z wronami. Błociarze i śmieciarze są to ważni Paryża urzędnicy. Aby mu zrobić miejsce na życie dzisiejsze, sprzątają przed nim życie jego wczorajsze, i tak są tutaj potrzebni, tak konieczni, jak na przykład pompiarze na zepsutym i gnijącym statku, gdzie ciągle i wszędzie przybywa woda...

Kiedym już raz dla ciebie zaszedł na błoto — a nie znałby Paryża, ktoby chciał o niem przemilczeć — nie wyłaźmyż jeszcze z niego, żeby zrobić obraz zupełny. Rozumiesz może, że błoto w Paryżu, jest to to samo co błoto w Warszawie, Wilnie, Dreznie, Berlinie, i gdziekolwiek, nic więcej?.. Ani myśl tego: najsamprzód masz wiedzieć, iż chociaż za nic na tym ludzkim świecie założyć się nie można, bo cóż na nim niepodobnego!.. Wszelako to jedno jest zupełnie niepodobne, to jedno nigdy się nie zdarzyło i zdarzyć nie może, aby w Paryżu kiedykolwiek, nie tu, to tam, nie po tej stronie

Sekwany, to po drugiej, błota nie było. Zima czy lato, wiatr czy upał, mróz czy grzmoty, posusza czy ślizgawica: tłem, towarzyszem, zaprawą, wypadkiem, celem, początkiem i końcem tego wszystkiego jest tutaj błoto. Jak się to dzieje? Ja, który wiele innych rzeczy tłómaczyć nie umiem, nie wiem i tego; ale pójdź gdzie chcesz, zrób co chcesz, bądź gdzie chcesz: całe życie nie wyjdziesz z błota; umrzesz nareszcie, już wiozą cię na smętarz, wprzód jednak całun co trumnę okrywa, wszystek od dołu do góry musi być w błocie. Przechodzący i przejeżdżający, obryzgując go przez cały czas drogi, oddają ci przez to ostatnie paryskie honory, ostatnią paryską posługę, ostatnie paryskie namaszczenie! W błocie tedy wszystkie ściany, wszystkie drzwi, wszystkie okna, wszystkie sklepy, wszystkie ich wystawy; w błocie wywieszone mięso, z którego za parę godzin zrobią ci rosół i pieczyste; w błocie, ty sam, twoi znajomi i nieznajomi, twoi przyjaciele i nieprzyjaciele... Słowem, błoto w Paryżu, jest to generalny pierwiastek wszelkiej rzeczy, która jego jest: kto wie nawet, (ale to już jest tylko wątpliwość), czyby się go jakaś odrobina odkryć także nie dała, we wszystkich czystoparyskich systematach, pomysłach, wynalaskach, sztukach, filozofji?.. Błoto — gdyż jeszcześmy nie skończyli — tem jeszcze jest dla Paryża, czem na przykład dla starej jakiej babki faworyt kotek, albo faworyt kanarek: ciągle go zajmuje i zatrudnia. Z błota co ranek myją tu ściany, bramy, drzwi, okna; od błota na wszystkich rogach ulic stoją chłopcy ze szczotkami; błoto ustawicznie zdzierają po sklepach ze wszystkiego, co tylko na ulicę było wystawione; błoto było, więc dają ci sokki (kalosze); błoto będzie, więc dają ci parasol; wchodzisz gdziekolwiek, do kościoła, czy do muzeum, do jakiego warsztatu, czy zamku królewskiego, pierwsza rzecz co widzisz jest napis, proszę wytrzeć się z błota, (essuyez vos pieds, s'il vous plait), pierwsza rzecz co słyszysz, jest głos portiera o toż cię samo proszący: wycierasz się zatem jak możesz, wchodzisz... na nic ostrożność, już weszło z tobą błoto! Czy było wewnątrz twej nowej, białej rękawiczki, czy w łańcuszku od zegarka, czy w perfumach na fraku albo *szalu? dosyć, że* jest już i w tym błyszczącym salonie, i w tym

roskosznym buduarze!. To też po całem mieście ze wszystkich a wszystkich okien, zimą i latem, wytrzęsają, wytrzepują, wykruszają na głowy przechodzącym błoto z dywanów, dywaników, firanek, pokrowców, serwet. Wierzę i wiem, że świat ma zginąć przez ogień, ale myślę, że dla Paryża będzie wyjątek i że zginie przez błoto.

Jak przed dziesiątą nikt tu dnia nie zaczyna, tak przed północą nikt go nie kończy. O północy znajdziesz jeszcze otwarte niektóre sklepy i prawie wszystkie większe kawiarnie; nawet, właściwie mówiąc, prawdziwym dla Paryża dniem jest noc. Paryż i światło słoneczne? to są dwie rzeczy niebardzo z sobą do pary. Paryż i dwunasta godzina o północy? w tem nierównie więcej harmonji. O tej godzinie idą tu ministrowie do rady, dziennikarze do bióra, spiskowi do klubu, poeci do natchnienia, damy do walca, gracz bursy do liczenia biletów, nędzarz do Sekwany, policjanci na różne swoje czaty, inni paryżanie do innych znów zabaw, których wypadkiem będą nazajutrz, tu i ówdzie trupy, powyrywane okna, podkopywane ściany. Sławny arcy-paryżanin Taillerand, biskup, minister ambasador, książe tego świata, (który jednak przy śmierci nie dopisał Paryżowi i wyspowiadał się), nie siadł, słyszę, nigdy do obiadu przed godziną drugą po północy.

Ty, polski parafjanin, zechciałbyś może zacząć dzień boży od wysłuchania mszy?.. Nie czekajże, ostrzegam, na głos dzwonu. W Paryżu kościołów niezmiernie mało: a z tych niektóre całkiem zamknięte, inne z domu modlitwy, z domu czci Boskiej przemienione na coś potrzebniejszego; jeden naprzykład z najwspanialszych, kościół ś. Genowefy, obrócony na dom czci Woltera i jemu podobnych bożków. Został on wewnątrz, stosownie do nowego przeznaczenia, niedawno wymalowany przez sławnego paryskiego malarza, który ukończywszy robotę, obwiesił się, czy utopił. W tych kościołach co kościołami pozostały, na mszę wcale nie dzwonią, lubo przez zbytek dawnych zabobonów, słychać jeszcze przy ołtarzach w czasie mszy dzwonki małe, msze tedy i wszelkie nabożeństwa odprawują się, jakby cichaczem i ukradkiem. Nikogo też przez kilka lat widać w kościele nie było, oprócz

księży, sług kościelnych i trochy kobiet; w tych dopiero czasach pokazują się i męsczyzni, ale to są wszystko jezuici, ludzie dziwni, którzy przypuszczają, że człowiek ma duszę, że tu nie skończy, że po tem życiu krótkiem następuje drugie wieczne, że będzie sąd straszny, źli pójdą do piekieł, dobrzy do nieba przez zasługi Jezusa Chrystusa, i tym podobne dziwactwa, rzeczy stare jak świat! Zresztą, kiedyż tu i iść do kościoła?.. W dzień powszedni nie, bo oczywiście nie masz czasu; w święto nie, bo Paryż niedziele i wszystkie święta pokasował, nietylko przez zdrowe wyobrażenie filozofji, lecz także dla samej ekonomji politycznej: wiadomo, że praca jest to największy kapitał bogactwa narodowego. To też tutaj na Boże Narodzenie, na Wielkanoc, lub Boże Ciało, w najlepsze idą wszelkie fabryki, stawiają się budynki i rządowe i prywatne, wszystkie warsztaty w ruchu, bursa w pracy, sklepy otworem! Takie wszystkie rzeczy dziwiły by cię zapewne w kraju pobożnym, chrześcjańskim, katolickim. Słusznie! ale gdybyś się temu dziwił w Paryżu, byłbyś sam mój kochany, największym w świecie dziwakiem, kto wie nawet, czy troszeczkę nie jezuitą. Alboż nie słyszałeś, nie pamiętasz, jak przed kilku laty czyniono tu wyprawy na krzyże i wizerunki Chrystusa Pana, i że te w bardzo wielu miejscach, po całym kraju publicznie wywracano?.. Zobaczą, do czego ich to doprowadzi.

Ponieważ ci pozwoliłem zajść do kościoła, przejedź że się za mną po ulicy, naprzykład po którejkolwiek z największych, najświetniejszych. Widzisz zaraz na rogach, na prawo i na lewo, ogromnemi literami afisze? Czytaj: Guérison des maladies secrètes; Traitement breveté du Roi, i t. d. i różne o tem objaśnienia. Gdybyś nie przeczytał wchodząc na ulicę, przeczytasz niezawodnie o kilka lub kilkanaście kroków dalej, bo te napisy spotyka tu oko co moment, na papierze, na murze, na drzwiach, na oknach, na kominach nawet. Wymawiam też sobie z góry, żebyś się ani ważył rumienić, cokolwiek ci napiszę. Pamiętaj w jakiem mieście jesteśmy, i wszelki wstyd na bok! Paryż i wstyd, jest to jak noc i dzień, jak czarne i białe, żadnym sposobem tego nie pogodzisz. *Panienki* na pensji, wiesz co mają naprzeciw swoich

okien?.. Afisz literacki, o jakiem nowem dziele gorszącem, i afisz fabryczny o nowym wynalasku «Ceintures pour les femmes enceintes» z opisami rozmaitych szczegółów; na bulwarach, w stronach najświetniejszych i gdzie najwięcej przechodzi pięknej publiczności, inny podobny afisz wielkiemi litery; w ogrodzie Tuleryjskim, i właśnie w miejscu, gdzie zbiera się po dwa i trzy tysiące dam najpierwszych, najmodniejszych, masz posągi i figury tak kompletne i wyraźne, że zdaje się umyślnie robione do wykładania anatomji. Po wszystkich placach, ulicach, przejściach, poroskładane i porozwieszane tysiące najwszeteczniejszych rysunków, rycin, litografji, gdzie już nie na to patrzeć co odkryte, lecz co przecie tu i owdzie jeszcze jakkolwiek przesłonięte lub niedokończone, a jednak tamtędy przechodzą ojcowie z synami, i matki z córkami i pensje obojej młodzieży... Dla tego zaś tylko o tem wspominam, żeby cię raz na zawsze przejąć tą prawdą, że co gdzieindziej zowie się wstydem, tutaj należy do rzeczy bajecznych, nieistniejących, do urojeń pogardy godnych; przed czem gdzieindziej oczy i uszy zamykają, tutaj nie masz w tem nic a nic rażącego; co u was, parafjańskich ludzi, stróż, pastuch i pomywaczka nie śmieją wymówić, tutaj wszystkie dzieci, wszystkie panienki czytają na ulicach. Myśl sobie o tem, co ci się podoba, ja przynajmniej mam tyle cywilizacji, iż wiem, że Paryż jest siedliskiem dobrego, pięknego tonu, spytaj się kogokolwiek w Polsce. Choćbyś się wreszcie uniósł śmiesznem oburzeniem i krzyknął, że jest to żyć nie jak ludzie, lecz jak zwierzęta: cóż wielkiego! Paryżanie sami otwarcie przezywają się zwierzętami: elegantów i modnisiów swoich zowią lwami (des lions), tych przyjaciołki nazywają się lwice (des lionnes), innego rodzaju towarzyszki tygrysice (de tigresses), baletniczki zowią się szczury (des rats), bankierowie rysie (des loups-cerviers), i t. p... Cały Paryż te wyrazy rozumie, używa, pisze; niedawno naprzykład wyszedł romans pod tytułem: Le Lion Amoureux i każdy szanownego autora od razu pojmował. Nie przeczę, że to dobrowolne przyjmowanie imion bestjalskich dać może komu powód do głębokiego zamyślenia się;

kochani jednak Paryżanie i paryżanki, moi godni spółmieszkańcy, widzą w tem żart tylko dowcipny.

Ale nie zapominaj, żeśmy na ulicy. Widzisz jak ciągle, jedne po drugich i rzędem nieprzerwanym idą sklepy, strojne, wystawne, przepyszne! U niektórych całe ściany szklanne, u innych przynajmniej okna i drzwi szeroko towarami założone; tu sklep sukna, tu szkła, tu trzewików, tam jedwabi, tam zegarów, tam koszul, ówdzie fruktów, ówdzie pończoch, ówdzie drzew i węgli, dalej kwiatów, dalej kiełbas, dalej łańcuszków złotych; tam ksiąg szkolnych, tam gorsetów, tam starzyzny wszelkiej po rozmaitych nieboszczykach, tam sklep cacek, tam poduszek, czekulady, map, pistoletów, karykatur, peruk, obrazów świętych, konfitur..., a wszystkie rzędem mówię, nieprzerwanym, jedne przy drugich, jakby skład rzeczy jednego i tego samego gospodarza! Nic tak nie pokazuje ogromu paryskiej ludności, jak to niesłychane mnóstwo sklepów, któremi dół wszystkich domów, a często i pierwsze piętro zajęte. Prowadząc cię śród tego tłumu różnych a różnych magazynów, wystawiam już sobie jaką zrobisz minę, gdy naprzykład między sklepem lornetek a piór i wstążek, albo między składem perfum a malowideł postrzeżesz nagle sklep rzeźnika! przed którym tak ślicznie pozawieszane rozmaitych zwierząt nogi, głowy, wnętrzności, te całe brzuchy przez środek porosprówane, jak naprzykład o kilka zaraz kroków, przed innym sklepem, pieczątki, kólczyki, pierścionki, albo przed innym portrety i miniatury sławnych paryskich aktorów, poetów, ministrów, śpiewaków, deputowanych i tancerek. Przypominam sobie, jest już temu lat kilkanaście, kiedym się widział w Warszawie z naszym kochanym Brodzińskim, świeżo po jego powrocie z Paryża: między innemi rzeczami mówił i on mnie o tych rzeźnictwach, i z takiem oburzeniem, że twarz jego, zwykle, jak pamiętasz, blada, aż się rumieńcem na moment pokrywała. Biedny poeta prostaczek! Cóż mu to, proszę, szkodziło?.. Prawda, że i na mnie samym widok owych ślicznych sklepów długo w pierwszych czasach takiż prawie sprawiał skutek, jaki przychodzi po emetyku, ale dziś, za lepszem postąpieniem w cywilizacji, *poznaję, iż w tem* wywieszaniu skrwawionego mięsiwa i jelit

zwierzęcych, na które łakome padają muchy, i przed któremi nie mniej łakomie zatrzymują się psy, że mówię w tem niejako zaciąganiu całej publiczności do jatek, do szlachtuza, nie masz nic zgoła nienaturalnego. Można się spodziewać, iż czasem zaprowadzi się w Paryżu moda, że gospodarz, zaprosiwszy gości na obiad, każe im, nim usiędą do stołu, przynosić wprzód kury, kuropatwy i t. p., aby je samiż sobie na pieczyste zarzynali: (ma się rozumieć, będzie się to odbywało na półmiskach jak najpiękniejszych, malowanych w kwiaty, w pasterki, i nożami nie innemi, jak oprawionemi w złoto, platynę, drogie kamienie). Istotnie, byłoby to pod względem uczucia nowe tylko zwycięstwo cywilizacji nad dziecinnemi przyzwyczajeniami; pod względem zaś rozumowym byłoby, sam przyznaj, najgodniejsze pochwały, gdyż dawałoby każdemu przekonanie o najdoskonalszej mięsa świeżości. Jakoż, kiedym się dawniej pytał szanownych Paryżan, coby mógł być za powód przemieniania przez takie to sklepy ulic na jatki, odpowiedzieli, że ten, aby każdy widząc, jak mięso jest czerwone, tłuste i ładne, nabierał czemprędzej smaku i chętniej kupował. Powinienem wszakże dodać, że nigdy dotąd nie zdarzyło mi się widzieć, aby ktokolwiek do tych sklepów wszedłszy, z męsczyzn czy kobiet, jadł mięso zaraz na miejscu i surowe: pospolicie jest jeszcze zwyczaj, że kupiwszy, kładą je w kobiałkę i niosą wprzód do domu, do kuchni. — Ten com wspominał wyżej, o dziwnej mięszaninie sklepów z rozmaitemi rzeczami, nie jest żadnym żartem, tylko istotną prawdą: tak tu nie ma w tem najmniejszego względu na naturę towaru, że idąc koleją od cukierków do skór, od łóżek do strzelb, od futer do porcelany, i t. p., ledwoś pominął sklep białych rękawiczek, sklep lamp, zwierciadeł, szalów, kawiarnię... już zaraz, koło rogatki, ogromny napis, Depôt de Poudrette. Nie więcej też temu się dziwisz, jak naprzykład, gdyś obok sklepów ciastek, apteki, fortepianów, widział tuż sklep tabaki, dentysty, bielizny stołowej, Cabinet de lecture i Cabinet d'aisance. Cokolwiek tylko kto ma dla publiczności, mniejsza na jaki użytek, wystawia jak może najbardziej na widok, na ulicę, dobrze że na plecach, na czole sobie nie pisze; a każdy towar, byle się sprzedawał, każde zatrudnienie,

byle pieniądz przynosiło, są tutaj równie dobre, szlachetne, przyzwoite, czy to dla męszczyzn, czy kobiet.

Nie będę cię oprowadzał po całem mieście, kilka jednak miejsc ważniejszych muszę choć przelotem pokazać. Naprzykład ten plac! tak pełen ludzi i pojazdów i gwaru i ruchu i błota; w pośrodku wspaniały, obszerny gmach, otoczony kolumnami. Dość spojrzeć, aby od razu poznać, że to świątynia; przez chwilę zaś postawszy i widząc jakie tam mnóstwo ludu i z jak widocznem wzruszeniem to biegnie wewnątrz, to znów na wszystkie się strony miasta rozsypuje, zgadniesz, że bóstwo tej świątyni, jest to główne bóstwo Paryża... W rzeczy samej, mówię tu o Bursie.

Najciekawszem miejscem jest Palais Royal. Palais Royal, jest to w miniaturze cały Paryż. Osobliwie w wieczór, gdy w całym swoim ogromie, ze swojemi tysiącznemi sklepami, oknami, przejściami, teatrami, szklannemi dachami, zbytkami, strojami, przepychami, rospali się jaskrawem gazu światłem, i wszystkie swe blaski, połyski, świecidła, zmięszane, złączone, odbije razem już to na liściach drzew ogrodu, już to w fontannie wysoko pośród nich skaczącej; gdy się od końca do końca poruszy i zaszumi rojem swych ulubionych synów i córek; gdy, mówię, co tylko zbytek wynaleść, rospusta zapragnąć, sztuka i przemysł utworzyć zdoła, to wszystko tłocząc się tu naraz ku tobie, wszystkie twe zmysły porywa, miota, rosprzęga; i wszystkie wejścia i wyjścia pałacu, wszystkie jego ściany i okolice opaszą, jakby stada ptaków, młode i strojne... publicystki. O! wtenczas, jeżeliś młody a pierwszy raz w Paryżu, zda ci się, że żadna roskosz ziemi nie może stąd przed tobą wykraść się, że wszystkie dla ciebie zbiegły się z czterech końców świata, że Palais Royal, jest zaczarowanym wschodnich bajek pałacem, a ty jego królującym Sułtanem! Co tylko Paryżanin zechcieć, zamyśleć może, do czegokolwiek jest przyzwyczajony, wszystko ma pod tym jednym dachem: kawiarnie restauracje, ogród, dzienniki, łazienki, teatra, koncerta, bale, domy na zastawienie rzeczy, bibljoteki, poczty, szulernie, towarzystwa naukowe, polityczne, bióra policji, akademje, licytacje, wekslarzy, lekarzy, aptekarzy, *akuszerki*, wszelkie towary i wyroby świata, wszystkie

rzemiosła, słowem wszystko bez wyjątku! Bo tylko nie staje kościoła, bez którego doskonale umie się obchodzić, i smętarza, o którym myśleć nie widzi potrzeby. — Ktoby za jeden dzień chciał poznać Paryż, niech ten dzień spędzi w Palais Royal.

Od Palais Royal tak blisko do Sekwany, że warto się przejść trochę po nad brzegiem. Możem nawet zacząć od tego wielkiego placu. Patrz jak dziwny; pełno na nim wody, ognia, złota, (niedawno pełno i krwi! bo to był plac straszny rewolucji), chcę mówić ogromne fontanny, niesłychane mnóstwo latarni, a wszystko pozłocone, wyzłocone, ozłocone; pośrodku, stary jak świat, obelisk, pustelnik Egipski, gada coś do nowego Babilonu tajemniczą mową hieroglifów: nikt kazania dziada nie słucha, ubrali go w sztachetki, budki, schodki; rozmaite cacka i błyskotki, ledwo, że nie w białe rękawiczki i lornetkę. Jest to niezawodnie najpiękniejszy punkt w całem mieście: z jednej strony Tuilleries, ogród i pałac; z drugiej jak wystrzelił, wzdłuż Champs Elysées do Arc de Triomphe; stąd przez szeroką ulicę Królewską i między dwa, najsławniejsze podług mnie gmachy: Gardes meubles i Marynarki, masz przed sobą kościół ś. Magdaleny; na przeciw zaś, i tuż za mostem, Izba Deputowanych, co w Paryżu nie mniejszą rzecz znaczy i nie mniej uroczystą, jak naprzykład w Brodach albo Radziwiłłowie, Szkoła Żydowska! Ale mamy iść nad wodą. Jaki szereg pięknych mostów! Pont d' Austerlitz, Pont de la Concorde, Pont Royal, Pont du Carrousel, Pont des Arts, Pont Neuf, Pont St. Michel, i jeszcze i jeszcze! Jakie pałace i gmachy, tu Tuilleries, tam zaraz Louvre, naprzeciw Instytut, dalej Mennica, tuż posąg Henryka; jaki ruch, jaka wspaniałość, jakie życie! Dalej, dalej chodźmy: tyle przed nami ciekawości, piękności!... Zatrzymujesz się przy tym małym domku; dziwno ci, że tyle koło niego osób, i w takiem poruszeniu, w niespokojności... Kto w nim mieszka?.. Nie ma on stałych lokatorów, pustką jednak nigdy nie stoi: jest to magazyn świeżych paryskich trupów. (La Morgue). Nie rozumiesz? Muszę ci wytłómaczyć. Nie wszystkie zabójstwa, morderstwa i samobójstwa, odbywają się tu po domach, często znajdzie się jaki nieboszczyk

i w ogrodzie, i na bulwarze, i na moście, i pod mostem, cóż z nimi począć? Mógłby przechodzącym zawadzać: masz naprzykład pilny interes, biegniesz, a tu trup przed nogami, tu jeden, tu drugi, trotoary i tak są wąskie, oczywiście miałbyś przeszkodę, nieprzyjemność, mógłbyś się gdzie spóźnić: należało tedy raz na zawsze środek obmyślić: w kraju ucywilizowanym na wszystko musi być porządek, wystawiono ów domek, i tu co dzień wszystkich takich pobitych, poduszonych, potopionych, potrutych, pokrajanych, jak któremu wypadło, gdzie którego znajdą, ściągają na jedną kupę, do jednego salonu, i masz! Uważ tedy tylko i przyznaj co za wygoda. Pojechała, dajmy, twoja żona lub siostra gdzie na wieczór, syn lub brat wyszedł na teatr, czekasz późno w noc, przeszła wreszcie, już świta, już dzień, ich nie masz?. W innem mieście w głowę byś zaszedł, anibyś wiedział jak sobie poradzić, gdzie szukać, co robić; w Paryżu nic łatwiejszego, bierzesz kapelusz, rękawiczki, i idziesz prosto do Morgi, składasz tylko dowody kto jesteś, że masz istotnie prawo zabrać to, za czem przyszedłeś, i zaraz ci ciało żony lub syna, siostry, brata, lub kogośkolwiek zgubił, bez najmniejszej trudności wydają. Trafia się, że ten a ten nieboszczyk długo czasem w tym paryskim domku wala się, czekając aż się kto po niego zgłosi, żeby policja mogła się przynajmniej dowiedzieć kto on był, co nieraz do procesów i odkrycia złoczyńców bardzo bywa potrzebne; w takim razie taki a taki trup anonim, męszczyzna kobieta i dziecko, balsamuje się ślicznie, pięknie, i już może czekać Bóg wie póki, nikomu się nie przykrząc, a tymczasem proces się rospoczyna, wyszukują zabójców, przyprowadzają świadków, zbierają zeznania, malarze przychodzą malować, chirurgowie mierzyć głębokość i szerokość ran, romansiści opisywać. Publiczność schodzi się dzień w dzień oglądać, bawić! Zdarza się także, iż sprawą o zabójstwo przenosi się w ciągu swoim z jednego trybunału do drugiego, więc i ów nieboszczyk nabalsamowany, ów mieszkaniec Morgi, zmienia miejsce rezydencji; masz naprzykład jaki interes z Paryża pojechać do Orleanu, do Lyonu, do Bordeaux, gdziekolwiek: zapłaciłeś za miejsce, wsiadasz *w dyliżans; i po* dwóch, trzech dniach podróży, dopiero się

na miejscu dowiadujesz, że w tymże samym pojeździe była także para trupów, których dla śledztwa w sprawie sędziowie skądsić zażądali. La Morgue jest to dla Paryża tak coś koniecznego, że nawet w bliższych okolicach o kilka mil na około, są dla użytku jeżdżących tam Paryżanów i Paryżanek małe Morgi, ładne domeczki, umyślnie na skład znachodzonych ciał: masz bowiem wiedzieć, że szanowni Paryżanie wyjeżdżając tu i owdzie na spacer, na świeże powietrze, mają często zwyczaj tamże zaraz w łeb sobie palić, wieszać się, zarzynać, drugich mordować, topić, i t. p. Ze strony więc mieszkańców gmin przyległych, jest prawdziwie w tem stawianiu domków trupowych, uprzejma bardzo względem stolicy grzeczność.

Z odrazą to czytasz, oburzasz się, że ci o takich okropnościach i jeszcze takim szkaradnym, zimnym tonem piszę?.. Piszę takim, a nie innym tonem umyślnie, bo piszę z całą cywilizacją, z całą filozofją prawdziwego, doskonałego Paryżanina. Co zaś do okropności, (jeżeli tobie, parafjaninowi, ma się to wydać okropnością), wybacz, ale będzie tego więcej i ani myśleć i inaczej; możnażby bez tego Paryż opisywać?.. Kradzieże, gwałty, rozboje, mordy, trucia, duszenia, samobójstwa, najdziksze wszelkiego gatunku zbrodnie i jak najstraszniejszych szczegółów pełne, okropności przeciw wszelkiemu nawet prawdopodobieństwu, naprzykład gwałcenie, strach wymówić! dziatek pięcio i czteroletnich, morderstwa rodziców przez dzieci, albo dzieci przez rodziców, krajanie potem trupów w kawałki, słowem rzeczy wszelką wiarę przechodzące i któremiby wilki, hjeny i tygrysy straszyć można, dzieją się tu, odbywają, mieszkają na tym oto bruku, na tych samych eleganckich ulicach, w tychże pięknych piętrowych domach, pod twojem bokiem, okiem, ocierają się o suknię twoją, idą razem z tobą po trotoarze, jadą w fiakrze, w karecie, w omnibusie, masz je przy sobie na kawie, na teatrze, na wizycie! Gdziekolwiek się zwrócisz, gdzie przyjdziesz, wszędzie czytają, zaraz czytać będą, lub tylko co czytali dzienniki: Pan Francji i doróżkarz na placu stojący, generał, sędzia, ksiądz, student, doktor, metr muzyki, krawiec, architekta, kupczyk czy minister, starzec czy panienka, kto

żyw, czytać je musi; jak w innych czasach i miejscach nie było naprzykład ani jednego człowieka, żeby co dzień nie zmówił jednego przynajmniej Ojcze nasz i jedną Zdrowaś, tak w Paryżu nie znaleść ani jednej żywej duszy, coby dzień w dzień jednego przynajmniej dziennika nie przeczytała, nie posłyszała. — Cóż w tych dziennikach? Oto co jak co, a niezawodnie opis jakiejś zbrodni, kradzieży, gwałtu, zabójstwa, otrucia, cudzołostwa i t. p. Każdy z najprzedniejszych dzienników, żeby od razu co ciekawszego mógł zobaczyć, dzieli swoje numera na kilka głównych działów, z których ma jeden tytuł vols, assassinats, suicides, exécutions, etc. Są dzienniki całkowicie temu tylko poświęcone, i te właśnie najwięcej miewają czytelników i czytelniczek. Po warsztatach naprzykład, albo przy stołach modniarek, szwaczek, kilkadziesiąt robotników i robotnic pracuje, a tymczasem majster lub majstrowa, żeby im ochotniej szła robota, czyta na głos Gazette de Tribunaux: młoda i świeżo z prowincji przybyła dziewczyna, kończąc wcześnie balowy stroik, lub suknię ślubną, jeśli krzywo trochę ten kwiatek, tę wstążkę przyszyła, to dla tego, że właśnie w tej chwili na jakiś szczegół morderstwa drgnęła jej ręka, i po atłasie białym, który przed sobą trzyma, zdało jej się, że krew pociekła! Po czytaniu toczy się o tem samem rozmowa, przypominają sobie szczegóły, okoliczności, powtarzają słowa, potępiają, bronią, dziwią się, domyślają, zgadują, rozbierają... Zbrodnia tymczasem w ustach, w myśli, w pamięci, w sercu ciągle mieszka, przebywa, czerni się aż do jutra, a jutro przychodzi mowa w nowym numerze: znów ją czytają, słuchają, rospowiadają rostrząsają, potem znów inna, i tak dalej, i tak dzień za dniem, szkarada za szkaradą, jak woda w rzece, jak liście w lesie: za tydzień o tem samem będą czytali romans, za drugi tydzień z tego samego będą widzieli w pięciu aktach dramę. I toż samo w towarzystwie najniższem, i toż samo w towarzystwie najwyższem! Rzecz prawdziwie straszliwa! gdyby można znaleść jaką miarę i wagę na to, co się w duszy ludzkiej mieści, w każdym Paryżaninie i każdego czasu odkryłoby się tyle a tyle uncji rozboju, tyle łutów cudzołostwa, tyle gram samobójstwa, tyle funtów kłamstwa, tyle

innych cząstek zatrucia, kradzieży, wszeteczności, i t. d. Ta ustawiczna na umyśle całej ludzkości obecność zbrodni, ten, że tak powiem, wieczny zapach krwi świeżej, ciepłej, ta podła mowa zbójcy, złodzieja, fałszerza, truciznika, jaką ci każdy dzień do uszu przynosi, i należenie niejako do tego towarzystwa, i wchodzenie w jego najprzeraźliwsze tajemnice, najbezecniejsze sprosności, które przed sobą objawia, to wszystko! możeż to być bez znaczenia, bez wpływu, bez skutków?.. Więc naprzykład wierzym, że ciało wyziewów chorobnych, zepsutego oddechu, złego powietrza nie znosi beskarnie, a dusza, tysiąc razy z natury swojej czulsza, miałaby być obojętną, nie ponieść żadnej skazy, żadnego pokalania, żadnej straty, choć ją otoczymy powietrzem najobrzydliwszem, zepsucia, zgnilizny i śmierci pełnem?.. Na kwiat, na lada roślinę chuchaj jakim złym oddechem, pobladnie, przygaśnie, szpetnąć i ginąć zacznie; a serce ludzkie, a myśl, wystawione na ustawiczne dotknięcie tego, co tylko świat moralny ma najszkaradniejszego, możeż być, aby nie traciły nic czystości, świeżości, blasku, piękności?.. Wolność druku! zawołasz; ciesz że się nią, szanowny filozofie. Wiesz gdzie wolność druku, chcę mówić wolność słowa jest najzupełniejsza i nieograniczona? gdzie jest ideał tej przesławnej wolności!.. Oto w towarzystwie rozbójników, nierządnic publicznych i tym podobnych sprosników: tam dopiero wszystko wolno wymówić, ogłosić, tam dopiero wszelki brak wstydu i moralności wszelką cenzurę doskonale znosi i niepotrzebną czyni. Powiadają niektórzy, że i w innych krajach, gdyby tak wszystko ogłaszano, pokazałoby się, że nie mniej dzieje się zbrodni, niż teraz we Francji, i tem twierdzeniem zupełnie siebie uspokajają. — Fałsz jak największy!.. Pytam się wszystkich ludzi dobrej wiary i aby cokolwiek mających uwagi, czy jakikolwiek kraj na świecie, może w tem być do dzisiejszej Francji porównany? Nie ma, nie ma takiego na całej kuli ziemskiej!.. A to jest nie dla tego, iżby naród francuski miał być z natury gorszy od innych, bo owszem w gruncie charakteru jest to naród szlachetny, mężny, pobożny, zapału pełny, ale dla tego, że jednocześnie zeszła się w nim trójca straszliwa, rewolucja (a wiesz co przez to chcę, a czego nie

chcę powiedzieć), bezbożność, kupiectwo! Trzy rzeczy, z których każda sama jedna może, a nawet i musi, wszelką spółeczność ludzką, jeżeli nie całkiem rozwiązać, przynajmniej na czas jakiś skazić. Ci co utrzymują, że i gdzieindziej takiż, nie lepszy jest stan towarzyski, czyliż się zastanowili nad tą naprzykład okolicznością, że gdy wszędyindziej zbrodnia zwykle się rodzi w najniższych klasach, śród nędzników bez wychowania, bez stanu, bez stosunków spółecznych, bez żadnego nawet sposobu życia, i nosi na sobie najczęściej charakter prosto zwierzęcy — w kraju, którego głową jest Paryż, sięga dziś przeciwnie wszelkich klas i stanów bez wyjątku, w całej się tam wściekłości swojej objawia, pomimo rodu, oświaty, bogactwa, talentu, rangi i najpiękniejszych związków? (De la Roncière, Lacenaire, Peytel, Marie Laffarge, Eliçabid, Arnaud de Fabre, i t. p.) Uwierzysz że ty temu, że w tej tak pełnej cywilizacji, w tej tak litości godnej Francji teraźniejszej, Francji rewolucyjnej, sfilozofiałej i kupieckiej, wszedłszy do najświetniejszego zgromadzenia, w najpyszniejszym stolicy salonie, między najznakomitsze w narodzie osoby, bądź bawisz się na wieczorze, bądź do obiadu siadłeś, nie możesz być pewny, czy ten twój spółbiesiadnik i sąsiad przy stole, człowiek najpiękniejszego ułożenia, mający przyjaźń z najsławniejszymi mężami, który tak przyjemnie, tak uczenie o polityce, o naukach, o wszystkiem rozmawia, o którym mówią ci, że drukuje dzieła, zakłada dzienniki, ma publiczny urząd — nie jest po prostu rozbójnikiem, i za godzinę nie zarżnie własnego służącego, nie zastrzeli własnej żony. Nie możesz być, mówię pewny, czy ta młoda, zachwycająca piękność, wczorajsza dopiero mężatka, w której ruchach, cerze i głosie, jeszcze prawie widzisz niewinność wieku dziecinnego, ta prześliczna osoba najstaranniejszego wychowania, talentów i wdzięków pełna, córka znakomitego domu, przedmiot uwielbienia najpierwszej młodzieży — czy oto przetańcowawszy z tobą kadryla, i urokiem oczu i rozmowy swojej, spokojność ci duszy zakłóciwszy, nie ukradnie zaraz siostrze twojej, lub matce, przy której usiadła, kilku brylantów lub pereł, nie wyciągnie z czyjej kieszeni woreczka z pieniędzmi. Czy oto po skończonym balu, wskoczywszy

drobną nóżką w bogaty herbowy pojazd, nie poda przededniem jeszcze raz i drugi trucizny mężowi, nie kryje już pod tym bukietem, pod tą wstążką różową, pod tą śliczną piersią, jeszcze od ostatniego walca prędszym oddechem unoszoną, kilku, kilkunastu gram arszenniku!.. Co tu piszę, jest zawsze okropne, bardzo okropne, ależ przecie nie stwarzam, nie wymyślam, fakta proste cytuję. Życie paryskie nie daje nad tem się dosyć zastanawiać, nie ma w niem czasu takich rzeczy rozważać: ale ja, w tem zupełnem wszelkiego jarzma skruszeniu, w całkowitem wszelkiej społecznej hierarchji potarganiu, w szalonym filozofizmie rozum sobie za bóstwo stawiącym, w kupiectwie pieniądz tylko na świecie widzącem — gdy patrzę na takie tu zapomnienie religji, że nawet w najszanowniejszych familjach, kobietom ledwo uchodzi bywać w kościele, męczyzni zaś, ojcowie i mężowie, mieliby sobie za słabość i prawie hańbę tam się pokazać — gdy zważam to wszystko. Dziwię się prawdziwie, że jeszcze taki tylko jest stan rzeczy; dziwię się i mam w tem dowód, jak grunt charakteru francuskiego musiał być piękny: w innym narodzie, w takich samych okolicznościach, byłoby gorzej jeszcze i straszniej. Szczęście, po trzykroć szczęście! że dla tej Francji świtać już poczyna insze jutro, że w tymże samym Paryżu objawił się już, acz dopiero bardzo słaby, ruch umysłów ku prawdzie, nawrót dusz do Wiary świętej! Życzmyż wszyscy! — Francja bowiem, jest to Europa — życzmy, aby ten brzask daleki nie zgasnął, lecz się owszem co najprędzej i w jak najpełniejszy dzień rozlał!

Ale tymczasem postrzegam, żem niepotrzebnie zarwał na ton jakiś poważniejszy; wróćmy się więc do naszego opisu, i po tych wszystkich smutnych i czarnych rzeczach, starajmy się koniecznie znaleść jakąś rozrywkę: przecież jesteśmy w Paryżu!

Łazić po mieście, gawronić, chodzić byle czas przeszedł, byle czas zabić, włóczyć się bez celu, albo raczej z celem ukradnienia sobie jednej, dwóch, trzech i więcej godzin, faire le badaud, le flaneur, gdzież łatwiej, naturalniej, gdzież zabawniej jak tutaj?.. Bulwary, passaże, ogrody, Champs Elysées, są, jakby umyślnie na to jedno na świecie. Paryża-

ninowi przedewszystkiem trzeba koniecznie tłumu, trzeba zgiełku, trzeba ciżby; bez tłumu, bez zgiełku, bez ciżby, nie rozumie on życia, nie masz dla niego nic ciekawego, nic miłego; każdy z nich tam tylko chce być, tam jest, gdzie są wszyscy, i jeśli naprzykład samotności, cichości, żaden nie lubi, to, bądź pewny, najbardziej dla tego, że już tam nie ma ani tłumu, ani zgiełku, ani ciżby. Mówią tu o jednym gorliwym proboszczu, że Bóg wie co nie wymyśla, sprowadza muzykę, dobiera śpiewaków, stroi ołtarze, byle jakimkolwiek sposobem przynęcić ludzi na mszę; otóż ręczę, że gdyby aby raz tyle mógł sobie skąd dostać osób, żeby się kilku udusiło, to potem nie tylko na sam odgłos, że była taka ciżba, miewałby przez rok jaki pełniutki kościół na Sumie, na Kazaniu, na Nieszporach i mógłby tym sposobem łowić dusze. — Nic uciesznieiszego jak wyobrażenie, jakie Paryżanin robi sobie o ogrodzie. Ty, miły prostaczku, i tobie podobni, rozumiecie zapewne, że ogród jest to takie a takie miejsce, trawa, murawa, gazony, klomby, ścieżki, altanki, kwiatki, ptaszki, spokojność, czyste powietrze, słowem, że ogród jest to ogród. Jako żywo! ani podobieństwo! proszę tylko do Tuilleries. Trawy ani jednego listeczka, piasek i goła ziemia na okolusieńko; w kilku maleńkich miejscach pokazało się trochę zieloności, trochę kwiecia, więc te wszystkie miejsca opasane zaraz żelazną kratą, jakby na zachowanie dziwnego zjawiska! Altanki są prawda, ale wiesz co w nich?.. dzienniki! Przyszedłeś na spacer, chcesz użyć świeżego powietrza? Masz dziennik. Chcesz kwiatków, ptaszków, gazonu? Masz dziennik, dziennik jeszcze świeżutki, jeszcze wilgotny, płacisz tylko jednego solda od numeru i chodzisz z nim po całym ogrodzie póki zechcesz; to samo zrobił już twój przyjaciel, twoja żona, twoja siostra, to samo ten Pan którego nie znasz, to samo ta Pani którą pierwszy raz widzisz; jak okiem zajrzał po całem Tuilleries kręcą się, frukają, migają, Journal des Débats, le Siècle, le Temps, le Courrier, la Quotidienne, le Corsaire, le Presse, i t. d, i t. d. Mówię bo ci, że dla Paryżaka dziennik, gazeta, żurnal, to jest ptaszek, jest kwiatek, jest trawa, jest roskosz, jest sława, jest rozum, jest serce, jest wszystko! Może wyjdziem raz jeszcze na Quai?

Widzisz, jak wciąż po nad wodą nadbrzeżny przymurek okryty jest książkami; te biedaki, spojrzenia twego wypatrujący, czy na jaką księgę nie raczyłeś przypadkiem rzucić okiem, to są ich właściciele, ich strażnicy, ich sprzedawacze. Za dwa grosze da ci cztery oprawne książki i jeszcze pięć przyłoży w przyczynku, tylko mu zrób tę łaskę, a zabierz cokolwiek z tego towaru, z którym nie wie co począć, którego nie ma gdzie trzymać, nie miałby nawet ani na moment gdzie położyć, gdyby nie było ulicy publicznej, kamienia do niego nienależącego. Szczególniejszy to widok! i jest w nim coś arcy smutnego, obrzydliwego, mógłbym także dodać, uczącego. Najlichszy, najnędzniejszy towar, jaki, stare obuwie, podarte gałgany, pordzewiałe ćwieczki, połamane guziki, mają przecie na tym świecie miejsce dla siebie jakiekolwiek, jakiś kramik, jakieś nakrycie, schowanie — a te księgi, te dzieła, te tomy, te uczoności, rozmaitej formy i wielkości, tak pięknych edycji, z ładnemi rycinami, z portretami autorów, leżą oto po drodze na słońcu, na wietrze, gniją powalane nad rzeką, same jedne ze wszystkich rzeczy ludzkich, nie mogą nigdzie znaleść żadnego dachu, żadnego zamknięcia, nikt ich nie chce, ledwo że jest ktokolwiek, co raczy uznawać się za ich właściciela! A dla tego zdaje się wyłożył je tuż nad samą rzeką, tam dla nich, nie gdzieindziej miejsce bezpłatne obrał, że jutro, po jutrze, jak trochę więcej się jeszcze znudzi, jak trochę więcej mu jeszcze obmierzą, popchnie do licha nogą, zaklnie na czem świat stoi, aż usłyszawszy łoskot, że padły w wodę, odetchnie przecie, że wreszcie znalazł na nie kupca. I trzebaż jeszcze! aby to zbeszczeszczenie, to niejako wyrzucenie na drogę publiczną, na śmiecie, książek, mądrości ziemskiej, słowa ludzkiego, zaszło właśnie u narodu, co niedawno rozum swój za Pana Boga ogłaszał, i jest mówcą, profesorem całej Europy. Precz jak idą Quais, książki, książki, książki! Ani przypuszczaj, żeby to miały być same jakieś odwieczne szpargały, w dawnych, zapomnianych językach, o dawnych, zapomnianych rzeczach; przeciwnie i bardzo często, spotkasz dzieło, które tydzień jeszcze temu było pod prasą. Taniości ich ani sobie wystawić! Żebyś miał wyobrażenie, jak tu książka jest rzeczą całkiem bezcenną,

masz wiedzieć, że jakiś stolarz, (widać parafjan), narobiwszy szafek, sądził, że przysporzy sobie kupców, dodając w nie bezpłatnie książek: otóż podobno postrzegł się, że to zamiast przynęcać, odstręczało, i teraz lepiej wychodzi, sprzedając gołe szafki. — Może przejdziem się po Champs-Elysées, po bulwarach, albo po jakimkolwiek placu? Jest to zapewne mniej więcej to samo co w innych stolicach, ale bez porównania wszystko na większą skalę, bo jakież miasto ma miljon ludności? Londyn, powiesz; ależ to całkiem co innego, jak co innego Anglik, a co innego Francuz: ten, naje się surowego, zakrwawionego bifsztyku, rostbifu, i wnet ociężeje, sposępnieje, w sobie się zamknie i milczy; ten łyknąwszy winka, trzpiota się, lata, rosprawia, dowcipkuje, swywoli. Coby cię, jestem pewny, na tych przechadzkach uderzyło, to, gdybyś się przysłuchał ulicznym szarlatanom i odrwiszom, jakiemi to oni gadają frazesami, z jaką płynnością i wymową! Jeden naprzykład zajechał na plac pyszną parą anglezowców, w ładnym bardzo pojeździe, ma furmana, lokaja w liberji, podnosi się w koczu i zaczyna przemowę: wnet go opasała kupa ludzi, coś wyciąga, pokazuje na prawo i lewo, lokaj bębni, furman trąbi, kupa się zwiększyła, mówca coś rozdaje, odbiera pieniądze, gada ciągle, o sztuce lekarskiej, o karcie konstytucyjnej, o Sułtanie Indyjskim, którego był pierwszym ministrem, o elektryczności, o Zoilach, o generale Lafayette, o rewolucji lipcowej; co mu ślina do gęby przyniesie. Jest to, dajmy, kupiec szuwaksu, balsamu od bólu zębów, kropli od nagniotków, plastru od suchot, lub coś takiego. Drugi, skromniejszy nierównie, dopiero poczynający, czy nie tak w stanie swoim szczęśliwy, stanął oto pod filarem, dobywa naprzykład z jednej kieszeni żółwia, z drugiej sowę, stawia jedno przeciw drugiemu na bruku, zaczyna gagać naprzód imieniem sowy i o czem?.. Dajmy na to o wierności małżeńskiej, albo o stanie wojskowym, albo o Napoleonie, albo o wzięciu Konstantyny, potem odpowiada od żółwia, zbiera się w koło słuchaczy, gawronów; on dopiero nadstawia miseczkę po jałmużnę: bo gdyby bez niczego i po prostu prosił, poszedłby do kozy jako żebrak, a tak należy do artystów, do ludzi żyjących z swego talentu. Ale gdybyś

wiedział czego i ten, i ten, i wszyscy ilu ich spotkasz, a spotkasz mnóstwo, nie wygadują! Z jaką dziwną łatwością, z jaką wiadomością rozmaitych rzeczy i zdarzeń, z jakiem przytaczaniem miejsc i nazwisk, z jakim, ledwo nie powiem, talentem mocy, nauką profesora, zapałem kaznodziei! to nic podobnego. Kupiwszy kropli od nagniotków i usłyszawszy odpowiedź żółwia, pójdźże do Izby Deputowanych, do Sorbony, do Collège de France, jest to zupełnie prawie dalszy ciąg tych samych frazesów, równie gładkich, równie wymownych, częstokroć równie szczerych, już je wprzód czytałeś i w dziennikach, bardzo często te same koncepta, te same porównania, ten sam ruch krasomowski: słuchasz, otwierasz gębę, nie wiesz co o tem pomyśleć, nie wiesz kto tu się od kogo nauczył, kto kogo powtarza, straszysz się w duszy... a słowo stało się wiatrem!

W wieczór, jeśli wyjdziesz na ulicę, już zupełnie co innego! W wieczór, a wieczór naprzykład w zimie, zaczyna się zaraz prawie od godziny 4tej, cały Paryż, całe to kilkomilowe mieścisko, z wszystkiemi swemi placami, bulwarami, ulicami i zaułkami przemienia się w jeden wielki... jakby to się wysłowić... w jeden wielki dom, czy chlew publiczny, bo nie wiem jak nazwać, nierządu, rospusty, bestjalizmu! Żadna uczciwa niewiasta nie może się na krok od siebie wychylić inaczej jak pojazdem; jeśli zaś nie ma pojazdu, to albo wcale wyjść nie może, choćby ją gdzie najkonieczniejszy, najświętszy interes powoływał, albo przynajmniej, i to już nieodbicie, musi mieć z sobą męża, brata, kogokolwiek, coby ją za rękę prowadził i bronił, jak naprzykład broni się w lesie, albo śród dzikich ludzi. Inne wszystkie i co do jednej, a takie jest ich mnóstwo, że ulice niemi się roją, nie potrzebują już obrony, ale przeciwnie od nich obrony potrzeba, gdy napaści swoje odbywają nie tylko słowy, lecz nieraz prostą rąk siłą. Widzisz tedy, że ci, co naprzykład o kilkaset mil przysyłają tu synów na edukację, mogą być z góry pewni, że ich wyedukują ślicznie i prędko; prawda, że się nauczą po francusku, a Polakowi czegoż więcej potrzeba? Nie opisuję ci żadnych o tem szczegółów, nie wspominam scen jakie się dzieją, ale gdybyś przypadkiem wziął

w rękę książkę, którą niedawno tutaj ktoś wydał, gdzie, jużto drogą Policji, już inną, zebrał w tym względzie wszystkie wiadomości, włosyby ci na głowie powstały. Rzecz arcyciekawa! że pewne domy, a domyślasz się o czem mówię, noszą w Paryżu nazwisko domów Tolerancji (Maison de Tolèrance). Tak o nich naprzykład czytasz po dziennikach w opisach spraw sądowych, gdzie mieszkańcy owych domów często grywają rolę. Przyznaj, że niepodobna było tego sławnego i pysznego wyrazu jaśniej i praktyczniej wytłomaczyć, i że najzajadliwszy nawet i najdowcipniejszy satyryk, nicby takiego nie wymyślił, zwłaszcza, że ten przydomek Tolerancji przylepiono tu nie przez żadną satyrę, tylko że lepszego, właściwszego nie można było dobrać. Zobaczysz, ale o tem nie mów jeszcze nikomu, iż my się doczekamy, że też domy zaczną nazywać domami Filozofji (Maison de Philosophie).

— Przez karnawał wieczorna i nocna ludność Paryska przybiera się w wielkiej części w maski: spieszą w maskach na bal, lub z balu wracają, lub tylko tak spacerują. Wszystkie maski i kostiumy, a niezmiernie się tu w nich kochają, sprzedają się i najmują w sklepach pod szyldem djabła. Z rogami, z krzywym, zębatym pyskiem, na koźlich kopytach, z wywieszonym językiem, z czarnemi skrzydły, słowem rozmaitej postaci, widać go na prawo, na lewo, widać z daleka, to duży, to mały, woła Paryżanów i Paryżanki na uciechę, na zabawę, na bal, woła ich do siebie! Osobliwsza rzecz, jaka tu jest do Djabła sympatja i jak on tu do wszystkiego się miesza, do wszystkiego musi należeć! Wizerunek djabła, taki lub taki, ustawicznie daje się spostrzegać, już na szyldach, już na wszystkiem, na ulicy, i wszędzie! Widzisz go na lichtarzach, na tacach, nakryciach stołów, ekranach, daszkach lamp, obiciach ścian, sufitach, dywanach, okładkach książek, na kolczykach u panien, na pieczątkach u elegantów, wszędzie djabeł! Jakby to był Patron miasta, na którego obraz pobożna ludność napatrzyć się nie może; jakby to był Książe panujący kraju, ktorego portret wierni poddani radzi są wciąż mieć przed oczyma. Czemuż raczej nie jaki ze Świętych Pańskich, spytasz się, czemu naprzykład nie anioł?.. Czyż ta plugawa figura piekielnika piękniejsza jest dla oka, milsza

dla imaginacji? Idziesz na teatr, na operę? djabeł już cię uprzedził, chodzi po scenie, gada z aktorami, gra z nimi całą sztukę, śpiewa, kocha się, deklamuje wierszem i prozą. Pójdziesz do Louwru na wystawę sztuk pięknych? djabeł siedzi, leży, lub stoi w obrazach które oglądasz. Wszedłeś na koncert? sławny wirtuoz gra jakieś dziwne solo, ohcesz wiedzieć co to takiego? spojrzysz w program, la Cadence du Diable. Poszedłeś na bal? kadryl, któryś przetańczył, zowie się le Train du Diable. Najsławniejsze paryskie dzieło, jednego z najpierwszych paryskich autorów, dzieło kilkotomowe, kilkakroć już przedrukowane, są to Pamiętniki Djabła, (Mémoires du Diable). Mów sobie na to wszystko co chcesz, a ja powiadam, że w gruncie jest w tem brzydki jakiś i fatalny interes, i że bywają rzeczy widoczne jak wół, których jednak ludzie czasem nie widzą. — Gdzieżby to cię jeszcze wieczorem zaprowadzić?.. Na teatr?.. Już wiesz mniej więcej co się tam dzieje. W Paryżu tak teatr nie jest teatrem, jak szkoła nie jest szkołą, jak sąd nie jest sądem, jak nawet kościół nie jest czasem kościołem. W kościele, zamiast kazania usłyszysz artykuł Gazety, albo mowę Deputowanego z opozycji; w szkole zamiast lekcji, niewiedzieć co, bo też prawda, że zamiast uczniów schodzą się tam brukowcy, próżniaki, nie po naukę, lecz po zabawę i z prawem wyklaskania lub wyświstania profesora. W sądzie, wymierzają sprawiedliwość na mocy przysięgi, ale jakiej? na jaką świętość? na czyje imię? Nie wiem; na Marselliezę, na Reformę Elektoralną, na imię Imci Pana Diupena, Tiersa, czy Marszałka Sulta, boć przecie nie na Ewangelję, nie na Imię Tego, czyj krucyfiks ze wszystkich stołów sądowych został sprzątnięty. W takiej spółeczności, w takiej epoce, w takiej stolicy, czemże chcesz, aby był teatr?.. Stekiem fałszów, brudów, wszeteczeństw, wszelkiego rodzaju obrzydliwości. Pomijam już okropność, piekielność tych dram, gdzie na jedną kupę codzień ci przed oczy zwalają wszystkie zbrodnie i szkarady, jakie się kiedykolwiek zdarzyły, i jakich nigdy nie mogło być na ziemi, ale prócz tego, żadnej prawdy charakterów, żadnej prawdy sytuacji, żadnej prawdy djalogu, żadnej prawdy języka, najmniejszej w niczem szlachetności, prostoty,

a dobrego gustu ani cienia! Między teatrami paryskiemi jest jeden, mający na swoich afiszach takie godło: par les moeurs, le bon gout modestement il brille, et sans danger la mère y conduira sa fille. Jest to teatr dziecinny: aktorowie i aktorki są same dzieci, od lat pięciu, sześciu, do dziesięciu, dwunastu. Publiczność także składa się głównie z dzieci: ojcowie, matki, guwernerowie i niańki, są tam tylko dla kompanji. Poszedłem raz przez ciekawość. Oprócz, jak najlubieżniejszych tańców, wiesz co sama sztuka wystawiała?.. Oto dwóch przyjaciół, z których jeden żeni się, a drugi z jego żoną ma romans, męża oszukuje, i t. d. I powiadam ci, że i aktorowie dzieci i publiczność dzieci! Nieprawdaż, że trzeba widzieć taką rzecz, żeby można jej uwierzyć. Gdybym był Francuzem, zdaje mi się, że nie mógłbym spać spokojnie, pókibym tego teatru jakimbądź sposobem nie wywrócił, nie zniszczył, nie spalił, nie wiem co z nim nie zrobił. I myśleć sobie, że są rodzice, którzy tam co dzień po zabawę dziatki prowadzą! Co za prostytucja! co za paryżanizm! co za dzikość i nielitość! Czemuż, jeśli już im o to chodzi, żeby w żadnym wieku, nawet w najmłodszym, nie było zgoła niewinności, czystości, cnoty żadnej, czemuż nie dojdą w okrucieństwie do tej doskonałości, aby naprzykład zaraz niemowlętom zamiast ospy, zaszczepiać raczej jakąkolwiek z tych chorób, o których publikują po wszystkich rogach ulic owe afisze bezwstydne, Consultations gratuites, Guérison sans mercure, etc.? — Wolę zawieść cię na jaki koncert; naprzykład na mój faworytny Walentynego. Za franka możesz słyszeć co dzień, i bardzo wygodne mając miejsce, wyborną muzykę, symfonję Bethowena, uwerturę Mozarta, sekstuor Mejsedera, i t. p. Jest to niezawodnie jedna z najlepszych rzeczy jakie ma Paryż i na jakich najmniej się zna*). Koncerta Konserwatorjum, to rzadkie tylko święta, ale cóż! Paryż zawsze Paryżem, we wszystko musi wetknąć coś warjackiego, bezczelnego. Wystaw sobie naprzykład duecik na klarnet, czy oboj, czy trąbkę, i... zgadnij na jaki drugi instrument...

---

*) Koncerta te bardzo mało bywały uczęszczane i założyciele ich zbankrutowali. Przyp. Wyd.

na organy! tak jest, na organy! Publiczności strasznie się to podobało!... Nie wiem, czy nie słysząc, możesz sobie zrobić o tem dobre wyobrażenie: jest to tak, jak gdyby w ornat lub kapę ubierać się do tańca albo jazdy konnej, jak gdyby do wina szampańskiego sprawił ktoś sobie kielichy tej formy, co są kościelne. Rad jestem, że mi się ten duet teraz przypomniał, bo jest to z takich szczegółów co na pozór drobne, nieznaczące, w istocie wiele malują: gdyby mi kto kazał w kilku słowach Paryż opisać, powiedziałbym, jest to miasto, gdzie co dzień na publicznym koncercie można za franka usłyszeć, między kadrylem Miuzarda, a walcem Straussa, duet na kościelnych organach. Dla mnie przynajmniej jest w tem nie tylko obrzydliwa, niegodziwa szarlatanerja, ale coś razem dziwnie bezdusznego, jakiś znak zużytego, starego, strupiałego serca, które już zapomniało co święte, a co podłe, jakiś znak przewrotnej, wywróconej, na wszystkie strony sfałszowanej głowy, coś takiego co mogło być wymyślone i wykonane tylko w jednym Paryżu. Możesz też brać stąd ogólne wyobrażenie, jakie tu jest uczucie Sztuki. Paryż daje koncerta, skupuje Galerje obrazów, buduje gmachy, ale w tem wszystkiem nie jest to artysta, tylko bogacz, który ma na wszystko, więc nic sobie nie odmawia, który wydaje bez zapału, nabywa bez roskoszy, sprawia bez potrzeby, dla tego szczególniej, aby o nim po świecie gadano, i który w gruncie najwięcej z muzyki lubiłby kotły, dżele, lub drumle, z malarstwa kosztowne ramy, z architektury duże i gęste kolumny, przedewszystkiem to co nadzwyczajne, co pstre, co drogie.

Ten Paryż — jaśnie wielmożny, jaśnie oświecony i jaśnie najoświeceńszy Pan i potentat — wielki, sławny, dumny, królujący, o którym ja z takiem nieuszanowaniem pozwalam tu sobie przed tobą mówić — ani się domyśla, że może gdzie być jakiś taki człowieczek, jakiś cudzoziemiec, barbarzyniec, co mimo całej jego pompy i światłości, śmiał spojrzeć prosto w oczy, i pod majestatem, jaki go okrywa, dojrzał trąd, wrzody, zgniliznę! Być może, iż toby go zdziwiło, ale co jest w sobie bez porównania dziwniejsze, to, że on sam wszystko co może być najgorszego, najfatalniejszego, najstraszniejszego

zna do siebie doskonale, i pierwszy o tem na głos gada, ale zdaje się zarazem, iż nic go to w sercu nie obchodzi, iż wszystko mu to zupełnie jedno, albo iż nie widzi już żadnego na to lekarstwa! Ten taki osobliwy cynizm, czy ta doskonała rospacz, która ginącego do zupełnego na koniec przywodzi opuszczenia się, do zupełnej niejako obojętności, (jak naprzykład bywa na okręcie zapalonym, gdy już uzna niepodobieństwo ugaszenia pożaru i jest sam jeden na morzu): ma w sobie coś przerażającego! W Paryżu nic pospolitszego, jak słyszeć i czytać od rozmaitych Paryżaków (a mówię szczególnie o ludziach wyższego światła, głębszej uwagi), rozmaitej formy postrzeżenia i dowodzenia: że cała paryska Francja leci gdzieś w przepaść na złamanie karku, że widocznie znika w niej coraz wszelka piękność i życie, że wszystko cokolwiek stanowi moc i chwałę Państwa, już się w niej zepsuło i skruszyło, że się wytrawiła, niewiedzieć co ją czeka, i t. p. Masz o tem broszury, dzieła, mowy, gadania, jakieś nawet proroctwa.... Więc tedy, pomyślisz, ponieważ postrzegli się, na jakich są drogach, skoczą z nich co najprędzej, zejdą na insze?.. Bynajmniej; idą, brną dalej... Pan Bóg że z nimi! —

Co do mnie, nie lękam ja się dla Francji tak czarnej przyszłości, lubo być może, iż czeka ją chwilowa kara: bo pamiętam, że koniec końców Paryż nie jest Francja, bo pamiętam, jakie ta Francja miała dzieje, jakich miała ludzi, jakie dla Chrześcjaństwa i cywilizacji położyła zasługi.

Ale otóż znowu z tonu mojego wypadam!.. Strasznie, bo już długo piszę, nie sposób, żeby człowiek nie potknął; przeliczyłem ćwiartki, aż strach, co to się tego na jeden list zapisało! Kończmy, kończmy prędzej. Co mnie do tego! żem o tem, albo o tem, i jeszcze o tem ani wspomniał, żem wspomniał nie wiedzieć po jakiemu, żem to zrobił, tego nie zrobił, żem zrobił nie inaczej?.. Alboż to miał być opis porządny, dokładny, ścisły, pedancki, uczony, rozumny! Więc cóż to jest, spytasz się, jeśli nie jest portret wierny?.. Jestże to tylko szkic od ręki? czy karykatura? czy satyra?.. Za pozwoleniem, mój kochaneczku, najprzód, nie powiedziałem, aby to zgoła nie miał być portret, a powtóre, kiedy

chcesz wiedzieć, jest to coś jedno i drugie, i trzecie i czwarte, ale ręczę ci, że bardzo podobne. — Bądźże mi zdrów!

P. S. Spytasz może, czemu z tej strony a nie z innej Paryż opisałem? — miałem do tego moje pobudki; idzie tylko o to, aby opis był zgodny z prawdą. Wreszcie, inna strona Paryża często i szeroko, zwłaszcza u nas, bywa opisywana; ta, z której ja ci go przedstawiam, jakkolwiek ważna, mniej nierównie jest znajoma.

KONIEC.

GADU-GADU.

POWIEŚCI

Z PAPIERÓW POŚMIERTNYCH

AUTORA LISTÓW Z ZAGRANICY.

PRZEJEZDNY.

Warszawski dyliżans (było to w lecie 182.. r.) tylko co stanął szczęśliwie w Piotrkowie. Podróżni wysiadłszy, radzi byli z pięknej pogody. Puszczając ich spokojnie wszystkich, żeby się po hotelach, lub gdzie któren zechce, rozeszli, przypatrzmy się jednemu, bo wart jest szczególniejszej ciekawości. Właśnie stanął i zdjął kapelusz, obcierając twarz i włosy z kurzu.

Był to męsczyzna mogący mieć lat czterdzieści. Rysów niewydatnych lecz regularnych, oka błękitnego i pogodnego, ust słodkich. Na czoło spadały nie bardzo już obfite włosy koloru dość jasnego; z wzroku błyszczała żywość myśli; w całej jednak twarzy, której wyraz, a zwłaszcza od góry, był szlachetny i znaczący, więcej miał zadumania niż wesołości, więcej dobroci niż bystrości. Czoło jego była to szeroka i piękna tablica, gdzie życie i myślenie wiele już i różnego charakteru zapisały; w cerze ślad pracy, ba, nawet cierpień i zmęczenia. Zresztą, wzrostu był słusznego, w sobie szczupły, delikatny; ruchów ciała śmiałych i zręcznych: w nich coś krakowskiego przebijało.

Powierzywszy pierwszemu faktorowi co się nawinął, rzeczy swoje, byłby nawet nie wiedział w jakim je później szukać hotelu, gdyby mu sam faktor nie powiedział, widząc iż wprost idzie na miasto. Pójdźmy moment za nim.

Po kilkunastu krokach założył zaraz ze zwyczaju ręce na plecy; głowę schylił cokolwiek na bok, jak to często bywa nałogiem ludzi myślących i dumających; chód mu zaczął wolnieć, w oczach było cóś tęsknego, smutnego. Idąc i patrząc na prawo i lewo, potrząsał niekiedy głową, jakby ciężkie myśli jakieś dźwigał, albo tym sposobem takt znaczył

wewnętrznej muzyce ducha. Brał się od przypadku w tę lub ową ulicę; i jak gdyby wszędzie nie to widząc co pragnął, spuścił nakoniec całkiem oczy w ziemię.... Czy stamtąd występowały przed nim inne widoki? wychodziło inne miasto, inny Piotrków?..

Gdzież jest — mówił do siebie w duchu, całe już prawie miasto obszedłszy — gdzież jest ów mur gospodarnego Kazimierza, jakim grody przynajmniej nasze chciał zamknąć przed wrogiem!... Gdzie świetne i tłumne zjazdy, sėjmy pamiętne, któremi Polska rozbrzmiewała tu niegdyś swoje wielkie dzieje, sławne czyny, i królowanie w Słowiańszczyźnie!... Trybunały niesworne, hałaśliwe, jakżeście głęboko, jak przeraźliwie ucichły.... przegrała się wasza sprawa, skończyły sądy!... Mieszkanie tylu wielkich mężów, przemożnych Kościoła i nauk opiekunów, sławnych i ukochanych Królów!... Mój Boże! czemuż mnie tu raczej za twoich nie było czasów i pod twoją tarczą, Zygmuncie! przy twoim boku, Tomicki!... albo jeszcze za ciebie, miły mój Królu Chłopków! kiedyś tu pierwszy zamek królewski wznosił! Jabym tam do zamku twego nie pukał, ale cichy rolnik z pod Karpat, miałbym swego ojca i Króla.... to na inszą, piękniejszą nutę i piosnkę by się od serca, po krakowsku, zaśpiewało!... Wszystko, wszystko czas rozsypał!...

W tym momencie, smutne te o znikomości rzeczy ludzkich marzenia, przerwał sobie Podróżny widokiem toczących się w około jabłek. Właśnie o co oskarżał czas, iż wszystko rozsypuje, tego w tejże chwili sam się dopuścił, lubo prawda na skromniejszą daleko skalę i z mniejszą bez porównania szkodą; chcę mówić, że idąc w zamyśleniu, zaczepił nagle o stragan z jabłkami i wszystkie rozsypał na ulicę...

— A to ślicznie! A za cóż Pan będziesz szkodę robił? Na cóż mnie teraz te jabłka się zdały? Komu sprzedam z rynsztoku? Niechże Pan nam zapłaci — zaczął przekupskim lamentem i przekupskim stylem mały chłopczyna, zrywający się prędko od stragana i występujący z całą powagą poszukującego krzywdy swojej właściciela. — Proszę zapłacić — powtórzył zbliżając się śmiało.

— Bardzo słusznie — odpowie Podróżny, ucieszony wido-

kiem dwojga ładnych dzieci, z których starsze tak go żwawo opadło. — Ileż wam się należy?

Chłopak spojrzał na siostrę; razem obliczyli... — Dwadzieścia groszy przynajmniej. Widzi Pan że to już na nic.

— A ty, Pani kupcowa, jak myślisz? Czy należy się dwadzieścia groszy?

— Co ona wie? Ja tu jestem starszy, nie ona. Ona głupia, przed matką nie odpowie.

— O tak, zapewne! — przerwała obrażona dziewczynka.

— Za cóż ty ją głupią nazywasz, niegrzeczny chłopcze? Ona grzeczniejsza jest od ciebie, nie narobiła tak jak ty hałasu — rzekł Podróżny, biorąc wyraźnie upodobanie w tej niespodzianej rozmowie, i nie spiesząc się odchodzić.

— Mnie matka, a nie jej, stragan zdała, to ja muszę się upomnieć. Jejby potem nic nie było.

— Cóż z tego? Teraz za karę nie dostaniesz — mówił dobywszy pieniędzy — masz, kochanko, złoty cały. Dwadzieścia groszy oddasz matce za jabłka, a sobie na jabłka weźmiesz dziesięć. —

Dziewczynka, schowawszy prędko złoty, nie posiadała się ze szczęścia i patrzyła na brata z tryumfem. Ten, zmięszany i zawstydzony, chciał jednak nadrobić miną. — To wszystko jedno. Czy mnie dać, czy jej, to wszystko jedno... A! jakiego raka upiekła! — dodał prędko ze złośliwym śmiechem i chcąc się zaraz na siostrze szczęścia jej pomścić.

— O tak, zapewne! otóż nieprawda — odpowiedziała, bardziej się jeszcze czerwieniąc.

— Cóż ci złego zrobiła, niegodziwy chłopcze, żebyś się tak śmiał?... Nie ma nic złego, kochaneczko; masz oto jeszcze dziesięć groszy, niech on teraz raki piecze. Powiesz matce, że to ci dał jeden przejezdny Pan, za to żeś grzeczna. A ty, chłopcze, jeśli chcesz takie dziesięć groszy, ruszaj naprzód i prowadź mię do jakiej dobrej traktjerni: siostra tymczasem stragana popilnuje. Bywaj zdrowa, moja malutka. A jak się nazywasz?

— Kasia!

— Bywaj zdrowa, Kasiu... No, czy zgoda? — pytał, zwracając się do chłopca. Ten już o kilka kroków był na-

13*

przód, i zaręczał że wnet do najlepszej traktjerni zaprowadzi, rad niezmiernie z otrzymanej obietnicy.

— A ty jak się nazywasz? — zaczął zaraz Podróżny do swego przewodnika, żeby już skończyć z nim waśń i przejść w ton swobodnej, przyjacielskiej rozmowy.

— Karolek, się nazywam.

— Karolek? Za to że się Karolek nazywasz, dostaniesz drugie tyle com obiecał. Ja także mam Karolkę; ale moja Karolka zawsze grzeczna.

— Gdzież ona? Czy tutaj w Piotrkowie? — pytał się śmiało mały kupiec jabłek, uszczęśliwiony całkiem z tak dobrego Pana, i już go teraz, tak za to co siostrze darował, jak i co jemu przyrzekał, szczerze kochając.

— Nie; została się w Warszawie z matką — odpowiedział Podróżny, spierając rękę na głowie chłopaczka, który szedł bez czapki, i bawiąc się z jego długiemi włosy i pyzowatą twarzą. — Jak będziesz dziś mówił pacierz, Karolku, to się pomódl i za moją małą Karolkę. Dobrze?

— Dobrze Panie.

— Pacierz mówisz codzień?

— A jakże Pauie; matka zawsze każe.

— Bardzo dobrze, tak trzeba. A ojca macie?

— Ojciec umarł, tak, rok będzie w jesieni.

— A widzisz, powinieneś się modlić za duszę ojca, za zdrowie matki, za siostrę. A uczysz ty się czego? Umiesz czytać? Wiesz w jakiem mieście mieszkasz?

— W Piotrkowie.

— W Piotrkowie! Ale jakie to dawniej było miasto? Co dawniej w Piotrkowie się działo?

— Dawniej? nam przecie ojciec gadał. Ale to już dawno temu, kiedy się Panowie zjeżdżali, i Król, i sejmy co wszystko sądzili przy Królu. A byłeś Pan tu niedaleko w Bugaju — spytał się wzajemnie — gdzie Król Polski polował? Tam nasi takie wozy z pieniędzmi na Szwedach zabrali, Panie, że po dwanaście par wołów musieli zaprzęgać, takie ciężkie!

— Nie, jeszczem nie był. A dobrze wiesz... Czemże był wasz ojciec?

— Czem miał być! biednym był. Służył w lasach królewskich. —

Tak rozmawiając wyszli wkrótce na plac, i Karolek pokazał dom, gdzie była przybita tablica z napisem: traktjer. Szczęśliwy z łatwego kilkunastu groszy zarobku, pobiegł pochwalić się przed siostrą, przyrzekłszy wprzód Podróżnemu, że będzie dla niej grzeczny i będzie się dobrze uczył; Podróżny zaś poszedł na obiad.

Na pierwszem piętrze zastał już stół nakryty na kilkanaście osób, bardzo porządnie; ale prócz dwóch, czy trzech służących, kończących chodzić koło niego, nikogo nie było jeszcze w pokoju.

— Obiad prędko będzie? — spytał się, odsuwając jedno z krzeseł przy okragłym stole, i siadając.

Służący zmierzyli go okiem raz i drugi, spojrzeli po sobie.

— Będzie... niedługo — odpowiedział jeden, który porządna mina, a zwłaszcza porządne i warszawskie ubranie gościa, lepiej od drugich uważał.

Przybyły obiadu kandydat, wchodząc natychmiast w przyszłe swoje prawa, przełamał tymczasem bułkę co przed nim leżała, i wziąwszy jeden kawałek, posypał solą i jadł, podawszy wprzód słudze kapelusz, żeby go gdzie złożył. Ale w parę minut myślał już o czem innem, tak myśl jego nie zwykła była spoczywać, ani mogła w obiad się zamknąć, i tak mu było łatwo zamyśleć się całkiem o czem innem niż to co go otaczało. Jedną ręką podparty na stole, drugą stukał zlekka nożem po obrusie, oparty wygodnie o grzbiet krzesła i mając obie nogi pod stół wyciągnięte. Zapatrzył się w ruchy noża, lecz wcale go nie widział, tak był zadumany... Myślał najprzód o dzieciach z któremi przed chwilą rozmawiał. Ich minki, spojrzenia, słowa, ich spory i przycinki przebiegały przed nim i krążyły szybko, jasno i mile, jak świętojańskie robaczki: znać to po słodkim uśmiechu, po przyjemnem oka połysku.... Potem rozsunęło się raz i drugi przed myślą inne pole, w innej stronie ducha, inne na niem widoki. Przeleciał przez czoło smutek jakiś, i zawisł nad okiem w brwiach zmarszczonych; coraz się gęstsza chmura zaciąga... ciężka widać na myśli niepogoda! Przy majestacie

Królów i ojców narodu, powaga i przemoc pół-królów; tłumy wojska, lud cały braci-szlachty. Hałasy, zgiełki, swoboda dzieci możnych i szczęśliwych; i cały blask chwały, cały urok przeszłości... aż do wspaniałych gmachów, pełnych rynków, świetnych orszaków i tłumów Piotrkowa Piastów, Jagiełłów i Wazów, zsuwała się myśl Podróżnego. Czoło ponure i groźne, oko w jeden punkt utkwione i nieruchome, wargi ściśnione i mocniej wystające, ręka przestała nóż poruszać; w całej postawie głębokie, bolesne zamyślenie... Wstrząsnął głową, jakby je gwałtem wreszcie chciał przebić... W oczach, które miejsce zmieniły, jakieś pyłki światłe prędko przebłysły; myśl, co go uciskała, przerwana głośnem westchnieniem; coś tkliwszego, milszego w spojrzeniu... oblicze tęskne, rzewne, lecz już nie ponure, nie tak cierpiące; w usta złagodniałe wbiegło uśmiechu trochę: jakaś je luba, niewieścia serdeczność pokryła... myślał teraz może o tej Karolce, dla której niedawno modlitwę uprosił, o matce jej, o domu, pociechach...

To lub co innego działo się w myśli Podróżnego, to pewna że nie postrzegł jak się pokój napełnił, jak ciekawie na niego patrzono, pytano się służących, i coś do siebie szeptano.

— Pozwoli Pan Dobr. służyć sobie barszczem, póki gorący? czy może wprzód mały kieliszek wódki, po naszemu, po żołniersku? — usłyszał nakoniec zapytanie. Podniósłszy prędko głowę, rzucił okiem w koło. Okrągły stół obsiadły był oficerami; ten zaś co się go tak zapytał, starszy wiekiem i mający szlify Pułkownika, zaczynał właśnie rozdawanie zupy i chciał, widać, podać mu pierwszy talerz. Przypomniał tedy sobie że przyszedł do traktjerni na obiad, choć nie wiedział że będzie przy stole spólnym, i lekkiem schyleniem głowy witając nieznanych towarzyszy:

— Proszę o barszcz — odpowie — jeżeli Pan Pułkownik raczy i dla mnie być gospodarzem stołu. —

Zaczął się obiad.

Ale tu zaraz trzeba czytelnika do sekretu tej anekdoty przypuścić. Karolek rzeczywiście bardzo dobrze przyprowadził: była w tym domu traktjernia, ale była na dole. Nasz zaś zamyślający się Podróżny poszedł, nie wiem dla *czego,* na pierwsze piętro, i zamiast do traktjerni, zaszedł

do mieszkania Pułkownika, który tego dnia miał u siebie kilkunastu oficerów na obiedzie. Służący widząc gościa tak śmiało wchodzącego i siadającego, byli pewni że to jeden z zaproszonych, lubo zdziwiło ich, iż zamiast pojść na drugą stronę do Pułkownika, przyszedł prosto do stołu. Że zaś Pułkownik tak go uprzejmie teraz zupą częstował, to stąd iż jeden z oficerów poznał gościa. Pułkownik z radością się o jego imieniu dowiedział; wszyscy zgadli od razu omyłkę, zwłaszcza po tem co słudzy powtórzyli; a gospodarz postanowił z niej korzystać, i aż do końca obiadu nie dać się rzeczy wyjaśnić.

O tym na około siebie gościnnym spisku, tak zresztą dla naszych obyczajów naturalnym, o całej swojej grubej omyłce Podróżny tymczasem ani się domyślał, pewny że jest w traktjerni. Był też tak jak wolno jest przejezdnemu, kiedy się znajduje w publicznem jakiem miejscu. Do rozmowy się nie mięszał, ile że nikogo nie znał; a chociaż niedawno w towarzystwie Kasi i jej brata widzieliśmy go prawie gadułą, teraz jednak pokazało się, że lubi owszem milczeć i do robienia znajomości nie skory. Ponieważ sam Pułkownik i drudzy spytali go o coś parę razy, więc zbywszy krótką odpowiedzią i żeby tem łatwiej dali mu pokój, odwrócił się do lokaja i kazał podać sobie Dziennik.

— O jaki Dziennik proszę — powtórzył, widząc że się tamten nie rusza i patrzy z uśmiechem na siedzących. — Gazetę, albo Kurjerka. Musicie przecie coś mieć. Tej potrawy nie jem, tymczasem bym przeczytał.

— Przynieś że Panu Gazetę dzisiejszą, albo Kurjerka, kiedy ci każe — odezwał się także Pułkownik. — Ale ostrzegam iż nic dziś nie ma ciekawego — przydał do gościa, gdy młodzi oficerowie spojrzeli po sobie. — Kapitanie — rzekł jeszcze gospodarz do oficera, koło którego nasz Podróżny siedział — nalejże, proszę, sąsiadowi; kieliszek próżny. —

Podając kieliszek, podziękował uprzejmem skinieniem głowy, nic jednak nie powiedział, tylko przyniesioną w tym momencie Gazetę zaczął przeglądać.

Między spółtowarzyszami stołu toczyła się tymczasem rozmowa. Widząc oni iż szanownego, ale cokolwiek dzikiego

gościa nie mogą na słowo wyciągnąć, zaczęli mówić sami między sobą, dając mu wszelki czas do czytania Gazety, gdyż i następnej potrawy odmówił. Wojskowi, więc mówili zwyczajnie o rzeczach wojskowych. Zgadało się, o czem ludzie wojny nigdy się podobno nie nagadają, o różnicach i pierwszeństwie broni. Ten wynosił piechotę, że w niej cała siła wojska, że w każdej armji piechota jest gospodynią, na której wszystko stoi; ona przeciw każdej broni da sobie radę, a bez niej żadna się nie obejdzie, i nigdy nic wielkiego, nic stanowczego nie dokaże. Drugi przeciwnie, że do pamiętnych rzeczy, do najświetniejszych bitwy wypadków, do tego właśnie co stanowi ostatecznie zwycięstwo, nie masz jak kawalerja.

— Piechota — rzecze — jeszcze nie pomyśli, kiedy ja na koniu już to zrobię. Dalej dostanie lanca, niż bagnet. Gdzie ludzkie nogi już ustają, końskie z wiatrem jeszcze polecą. Piechocie zabraknie ładunków, i do niczego; koniowi kopyt nigdy nie zabraknie. Co to darmo gadać! daleko piechocie do konnicy.

— I jesteś tylko sługą konia i ledwo jego pomocnik. Pokaż mi aby jedną prawdziwą wygranę bez piechoty.

— On mój, a ja jego pomocnik. A bez konnicy największa wygrana na djabła! Nie masz i nie będzie jak kawalerja; w tem mię nikt nie przekona.

— Za pozwoleniem Panów — przemówił niespodzianie Podróżny, który widać nie tak pilnie czytał, żeby nie słyszeć co się koło niego mówiło, i w którym na odgłos tej szczerej żołnierskiej rozmowy dawna się żyłka odezwała — niech też i ja za swoją bronią słowo powiem. Nosiłem kiedyś mnndur artyleryjski, i widywałem że i piechota i jazda rade bywały naszym baterjom gdy im niosły pomoc; i że choć bez bagnetów i bez lanc, takżeśmy coś w bitwie znaczyli.

— Wierzę temu! — krzyknął Pułkownik, ucieszony że tak sam dobrowolnie przybył im do rozmowy — i nie mało znaczyli! Właśnie chciałem powiedzieć; gdybym obierał broń w starszym wieku, zawszebym obrał artylerję. To widzę mamy śród siebie jednego kolegę więcej! Mości Panowie! za honor artylerji i zdrowie obecnego kolegi artylerzysty, *wniesiem wszyscy* kielich... Przynieść szampana! —

Nalano i spełniono wesoło zdrowie.

Tą serdecznością braterską, przypominającą mu dawne i młode czasy, tą grzecznością nieznajomych sobie oficerów Podróżny nasz bardzo został ujęty. Chciał też natychmiast i tą samą monetą odpłacić. — Jeszcze parę butelek tego samego, tu przede mnie! — zawołał ochoczo na sługi, żeby się nie dać Pułkownikowi w grzeczności pokonać; nic nie wątpiąc że to częstowanie odbywa się w publicznej traktjerni, gdzie każdy za swój wydatek zapłaci.

Na znak gospodarza zręcznie dany, postawiono przed gościem żądane butelki. Wesołość na wszystkie twarze strzeliła. Młodzi oficerowie, i z kompletnej Podróżnego omyłki, i z przedziwnej chytrości Pułkownika, który rolę swoją odgrywał jak nie można lepiej, niesłychanie szczęśliwi, nie myśleli wcale odmówić. Podróżny zaś, nalawszy na końcu i sobie, i powstawszy:

— Za uczczenie broni mojej — rzecze — łatwiej mi jest podziękować, bo mówię o dobrej Panów znajomej, z którą nie raz mieliście do czynienia i wiecie czego warta. Pułkownik też na czele swoich szwadronów, nie jednej pewnie baterji, wprawdzie nieprzyjacielskiej, zrobił w życiu swojem przykrość, przymuszając naprzykład do milczenia wtenczas, gdy była w najlepszej ochocie gadania. —

Śmiech stołowników, którzy istotnie znali dobrze męstwo Pułkownika, słowa te potwierdził, a mówca tak prowadził dalej: — Słuszna przeto aby przy wydarzonej okazji grzeczność jaką armatom uczynił. Ale trudniej mi nierównie podziękować za uprzejmość ich dla mnie osobiście, w którym widzicie nieznajomego tylko Podróżnego. Nietylko więc z podziękowaniem, ale z wdzięcznością, wnoszę zdrowie twoje, szanowny Pułkowniku, i przytomnych tu Panów oficerów! —

Zmieniła się zupełnie scena. Najszczersza wesołość przy całym zakrólowała stole; wyborne wino z piwnicy Pułkownika nie dawało jej gasnąć. Ów niedawno niemy czytelnik Gazety, był teraz rzadkiej przyjemności biesiadnikiem, serdecznym kolegą. Pamiątki z życia wojennego, rozmaite z kampanji 1812 r. którą odbywał, anekdoty, nadały miłej twarzy jego

niezwykłą żywość. Na pełne dowcipu opowiadania, w których się to żołnierska swoboda, to znów serce artysty malowało, oficerowie nie posiadali się z radości, z wielką je chwytając ciekawością. Obiad najprzyjemniej upłynął. Podróżny ciagle przekonany iż zachował incognito, i przeto we wszystkiem tem swobodniejszy, dziwił się prawie że od nikogo jeszcze nie słyszy natrętnego z kimże mam honor, i bardzo tę delikatność oceniał.

Dano kawę przy tym samym stole. Pułkownik, niby naturalnie zmieniając przedmiot rozmowy: — Ale ciebie, Poruczniku — rzecze do jednego z przytomnych Podporuczników, dając mu przez grzeczność wyższy tytuł — który z wojną nie miałeś jeszcze czasu poznać się brat za brat, te nasze obozowe rzeczy nudzą może. Powiedzże nam co o swoim innym świecie, w którym tak lubisz przebywać. Wczoraj odebrałeś z Warszawy cós nowego... Bo nasz młody kolega — kończył, zwracając o nim mowę do gościa — jest między nami literat. Wszystek czas wolny od służby topi w książkach, co mu też nie raz Major wymawia i ma rację, ile razy w wiscie zrobi jakiego bąka. —

Major, który to wziął za zręczną dla siebie pochwałę, zakręcił wąsa i uśmiechnął się; Podróżny spojrzał na młodego literata z wyraźnem zainteresowaniem się; ten, na zaczepkę Pułkownika i myśl jego zgadując:

— Odebrałem — odpowie — istotnie parę rzeczy nowych, alem niebardzo kontent. Nie co dzień dobre książki wychodzą. U nas o pisarzy tem trudniej, że nie masz prawie czytelników. A złe książki czytać, to lepiej doprawdy grać w wista. —

Major, który to wziął za zręczną do siebie przymówkę, zakręcił wąsa i zrobił marsa.

— Bo ty, kochany Poruczniku, mówił Pułkownik — prawem swojego wieku jesteś zwyczajnie entuzjasta: zawsze chciałbyś poezji i samej tylko poezji. A ja myślę że poezja to tak jest jak kawalerja: przednia rzecz i świetna, nie ma co mówić, ale główna siła literatury będzie podobno w prozie, jak siła armji w piechocie. Historję i inne nauki przyrównałbym do artylerji, co i jednej i drugiej potrzebna. A już

to trochę poezji żywość i malarstwo stylu, wszędzie być powinno, choć przy najpoważniejszej rzeczy, jak szwadron asekuracji przy armatach, to inaczej nudy wpadną i wszystko do djabła zabierą. —

Podróżny rozśmiał się na tę ułańską estetykę; Pułkownik zaś pytał się młodego oficera, co to za wiersze deklamował rano z takim zapałem?

— A! to mego ulubionego Poety, kochanego naszego pisarza, Brodzińskiego. —

Podróżny schylił nagle głowę i napił się trochę kawy. — Czemże tak ten pisarz mógł się Panu podobać? — zapytał niby z obojętnością. — Spodziewam się, że to nie on może przeszkodzić grać w wista. —

Major, który nie był pewny jak tę nową o swojej ulubionej grze wzmiankę rozumieć, zakręcił wąsa i z lekka odchrząknął.

— Czem mógł się podobać! — odrzekł z zapałem młodzieniec — poeta tak serdeczny, tak wielki, tak religijny! Któż mający choć najmniej duszy, najmniej poetyckiego uczucia, mógłby bez wzruszenia czytać Brodzińskiego? Jaka prostota! jaka czułość! Każe on się tak kochać jak Karpiński, a może więcej od wszystkich dzisiejszych: chociaż Brodziński i jako pisarz i jako człowiek, bez porównania od Karpińskiego myśli głębszej, przestronniejszej, nie mówiąc już o samej nauce, czem także wyższy.

— Nadtoś na niego łaskaw, Panie Poruczniku i nadtoś w pochwałach szczodry — rzecze z uśmiechem Podróżny: — ja zwłaszcza wysoko Karpińskiego cenię. Pod pokrywką sielskiej i miłej prostoty, ma on często wielką głębokość nietylko uczucia lecz i myśli. Nawet niepotrzebnie to rozdzielam, gdyż jedno ciągnie za sobą drugie; i ściśle mówiąc, ten tylko głęboko myśli, kto czuje głęboko. W Brodzińskim, choć go tak Pan bierzesz w obronę, nie możesz nie przyznać iż jest wiele niepoprawności, pośpiechu, jednem słowem rzeczy niedobrych, mało wartych. Być może, że jeszcze napisze co lepszego, jeśli mu Bóg da życia, ale z dotychczasowych...

— Z dotychczasowych — przerwał oficer — co piękniej-

szego jak Wiesław! Jeden taki poemat, z tem wszystkiem co Pan tam nazwiesz niepoprawnością, więcej wart niż dziesięć tomów poprawnych, gdzieby napróżno szukać tego serca, tej prostoty, tej prawdy. —

Pułkownik i drudzy oficerowie ciekawie słuchali i tylko kiedy-niekiedy mówili do siebie spojrzeniem. Major zaczynał się cokolwiek nudzić i zakręcił wąsa bez uśmiechu, bez marsa, nawet bez odchrząknienia; Podporucznik, który widać niepospolitą w tej rozmowie znajdował przyjemność, dalej mówił:

— Wady pisarza, choćby największe, bynajmniej mu wartości, podług mnie, nie ujmują. W najpiękniejszy dzień mogą przyjść chmury i niebo zasłonić, jednak za temi chmurami jest słońce co już świeciło i jeszcze świecić będzie; a noc choćby nie miała żadnej chmury, zawsze nocą. —

Gość spojrzał żywiej i z większą uwagą na młodzieńca.

— Proszę mi w całym Karpińskim — mówił jeszcze — pokazać co takiego, jak naprzykład te kilkanaście Brodzińskiego wierszy, które zdaje mi się dość wiernie pamiętam.

... Kołysząca się w woni, gromadko, na łące!
Wy wiatry, rozognione, czoło mi chłodzące,
Ten głos i to westchnienie po świecie roznieście!
Wy miłość rozjawiacie w tym cichym szeleście.
I ja składam ogniwo, co spaja świat wszystek:
Ten od gwiazdy najwyższej po ten drżący listek.
Błogo mi, że to czuję! Płyńcie łzy na lutnię,
Łzy radości! spłaćcie te, którem przelał smutnie —
Niczem są troski świata, jak chwila w wieczności.
Śród tych światów bezmiernych, w czasów bezdenności,
My, dzieci, z matką krążym; ona, w pewnym kresie,
Przez świata zgorzeliska Ojcu nas doniesie.

Zadeklamował z czuciem, wyraźnie, właściwym tonem; wszyscy, nie wyjmując Podróżnego, słuchali z upodobaniem; wszyscy, oprócz Podróżnego, głośno pochwalili. Major chcąc także jaśniej zdanie swoje pokazać, zakręcił wąsa raz i drugi i dłużej trochę jak zwykle.

— Musisz się Pan poddać — odezwał się do gościa Pułkownik — ładne, wspaniałe, unoszące. Ja tam się na tem wprawdzie nie znam, i lepiej poznam czy dobrze usztyftowany *wany pułk,* jak poemat, ale takie wiersze to i mnie się podobają.

— Albo Wiesław, o którym wspomniałem.

Z żoną Stanisław wychodzi z komory,
Wnosi do izby dwa pieniężne wory;
Czterysta złotych wysypał na ławie,
I tak powiedział: Zgarnij to Wiesławie,
Idź do Krakowa....

Ja w całej poezji polskiej nie znam doskonalszego dzieła i kłaść je śmiało można obok Hermana i Doroty Getego... A tyleż innych piękności po rozmaitych jego wierszach!

Długo niemowlę ciąży z rąk matki ku ziemi,
Gardzi nią lekki młodzian skokami płochemi,
Mąż dumnie głowę wznosi, w celach się wysila,
Starzec znowu ku ziemi drżącą głowę schyla:
Próżno się laską drżące podpierają dłonie,
Co ku ziemi ciężyło, to ziemia pochłonie.
Lecz duch, ten zaród święty, co w tęsknych kolejach
Ziemię ogarniał w chęciach, a niebo w nadziejach,
Duch ten nie jest dla ziemi!....

Albo ten np. opis męszczyzny i niewiasty, z którego choć kawałek powtórzę, mówił dalej z coraz lepszą ochotą Porucznik.

— Prosimy, prosimy! — zawołało kilka głosów.

— Mnie się w nocy snują wojny,
Drży mi serce gdy je słyszę,
Dla ojczyzny młodzian zbrojny
Mieczem moją pamięć piszę.
Muszę wsławić plemię moje,
Wolę imię, niśli życie —
Pójdźcie wrogi stacząc boje,
Grób w mej ziemi wywalczycie.

SIOSTRA.

Matka i ojciec są starzy,
Tęskny im czas tego świata,
We dnie i w noc mi się marzy
Jakby im osładzać lata.
Cichym ja pracom i cnotom
Będę poświęcać się cała,
Szyła odzienie sierotom,
Chorych, ubogich wspierała....

Mógłbym tu przez dwie godzin tak gadać. A wszystko tem milsze że się w tem maluje zacna dusza samego Poety! do którego możnaby zastosować wierszyk jego do konika polnego:

Nie tobie śpiewaku polny,
Miejskie przystało schronienie....

— O! Panie — przerwał Podróżny wzruszonym wyraźnie głosem i z pełnym błysku wzrokiem — miał Pułkownik rację nazwać cię entuzjastą. Twoja to młoda i ognista dusza tak pełnem, tak pięknem spółczuciem Poecie odpowiada, że on ci się bogatszy i tkliwszy, niż jest w istocie, wydaje. Nie mam ja interesu bić na szczęśliwego Poetę, który w Panu znalazł tak łaskawego obrońcę; miło mi jest owszem żem to o nim usłyszał.... Pozwolą Panowie — dodał wstając i zaraz że wszystkich przez to do powstania poruszywszy — że im już podziękuję za przyjemnych parę godzin, za braterstwo dla dawnego artylerzysty, nawet Panu, Panie Poruczniku, za pochwały Pisarza, który mnie osobiście zbliska obchodzi... Muszę tylko jeszcze — kończył dobywszy woreczek i wysypując na rękę pieniądze — podziękować gospodarzowi, bo istotnie obiad i wino doskonałe, kawa jedna trochę, była zimna; nie spodziewałem się w Piotrkowie takiej uczty. — I odwrócił się do służących zapłacić co winien.

— Z gospodarzem — rzekł Pułkownik zbliżając się do swego gościa, w czasie gdy na twarzach wszystkich oficerów była podobna ciekawość i niecierpliwość, jak w Publiczności na parterze w samym momencie rozwiązania Sztuki — będziesz Pan miał trochę kłopotu, ale wszyscy których tu widzisz wstawiamy się za nim.

— Cóż to jest? Co on zrobił? — przemówił z niespokojnością Podróżny, który ani słów Pułkownika, ani miny jego towarzyszy nie mógł zrozumieć.

— Zdrajca jest. Z najszkaradniejszą chytrością z omyłki twojej korzystał, żeby cię u siebie zatrzymać i prosi teraz przebaczenia. Tym winowajcą, którego koleżeński obiadek raczyłeś Pan, pomimo woli i wiedzy, przytomnością swoją zaszczycić i który ci za to z duszy serca dziękuje, a za zimną kawę przeprasza, jestem ja sam. Traktjernia, do której zajść chciałeś, jest w tymże domu, na dole, a Pan w tym momencie jesteś w mieszkaniu mojem.

— Czy podobna! I nikt mię nie przestrzegł! Czy być *może!* — rzecze z wielkiem pomięszaniem Podróżny, nie-

pewny w pierwszej chwili czy roześmiać się, czy urazić — czy można mnie było w takiej omyłce zostawiać!

— Stało się! — odpowie Pułkownik — wreszcie oto jest pierwsza wszystkiego przyczyna — dodał przedstawiając Podporucznika. — Ten to kawaler Pana poznał, kiedyśmy cię tu zastali zamyślonego i od niego dowiedzieliśmy się kogo przypadek dawał nam za gościa.

— Jakto! i to jeszcze! Panowie wiedzieli kto jestem? — zawołał Brodziński. — Ależ to wino, które kazałem przynieść....

— Któreśmy wypili? Było oczywiście z mojej piwnicy. Sameś Pan znalazł że niezłe; więc się gniewać nie możesz; a żeśmy go po kieliszku więcej wypili, o to się także nie gniewamy ani ja, ani Major. —

Major, który to wziął za zręczną dla siebie pochwałę, zakręcił wąsa i uśmiechnął się. Widok uciesznej jego fizjonomji, którą Poeta nie raz już w ciągu obiadu uważał, do reszty go rozbroił. Gniewać się było niepodobieństwo; trzeba było owszem śmiać się, przepraszać, dziękować.

— Dawny żołnierz, przyjmuję — rzecze — od kolegów ten żart takiem sercem jakiem był uczyniony, ale na Pułkownika areszt kładę i trzeba mi na nim koniecznie zemsty. Proszę mi przyrzec, że za pierwszą w Warszawie bytnością raczysz zjeść obiad u mnie. Na ten dzień, który będzie dla mnie świąteczny, postaram się żeby i profesorskie wino nie było najgorsze.

— Zgoda! najchętniej! — krzyknął Pułkownik, ściskając wesoło rękę szanownego swego gościa.

Przeszli wszyscy do salonu. Tam Kazimierz Brodziński jeszcze trochę czasu zabawił, żartując z swojej szczególnej omyłki, śmiejąc się zwłaszcza z owej Gazety, którą tak bespiecznie kazał sobie do stołu przynieść. W końcu ponowił jeszcze podziękowanie i nim wyszedł, przypomniał Pułkownikowi obietnicę. Porucznika zaś, który się ofiarował odprowadzić go do hotelu, czule uścisnął.

Oficerowie nie mogli się miłego gościa odchwalić. Majora całkiem sobie podbił, już to przy stole jako znawca wina, już po obiedzie, powiedziawszy mu coś o wiscie. Żałowali bardzo

iż zaraz nazajutrz rano wyjechał, ale biedny Poeta korzystał z krótkich wakacji Profesora i Sekretarza Uniwersytetu*) i w małej objażdżce jaką dla zdrowia i razem zwiedzenia miejsc niektórych historycznych odbywał, nie miał czasu nigdzie się długo zatrzymać. Często go potem w załodze Piotrkowskiej i także przy straganie jabłek wspominano; a Major, ile razy się zgadało, także się zawsze do rozmowy przyłączał, to jest... zakręcał wąsa. Parę razy dodał nawet słowami: — Takich literatów, takich mosanie autorów to lubię! bo to mi człowiek i z pierza i z mięsa; gdyby jeszcze wąsów nie golił....

*) Wie pewnie czytelnik, że Brodziński był Professorem Lit. i Sekretarzem Król. Warszawskiego Uniwersytetu.

PODOBIEŃSTWO.

I.

— O! Henryku, mój ty najdroższy, jakże ja jestem szczęśliwa! co to za szczęście tak kochać, tak być kochaną! ja ci tego nie potrafię nigdy opisać. W każdym kroku, w każdem pomyśleniu, we wszystkiem co robię, to szczęście napełnia mię; niem oddycham, niem tylko żyję; czuję one, mam, używam ustawicznie, nie myśląc nawet o niem. O! to nad wszystkie, wszystkie słowa! to może grzech jest tak być szczęśliwą! — mówiła do swego męża ośmnastoletnia Julja, chodząc z nim, ręka w rękę, w piękny poranek Czerwcowy po alei ogrodu, we wsi dziedzicznej Zalinkach.

W około kwiaty, świeża zieloność i bzy rozwinięte; nad niemi pogodne niebo; w duszach ich miłość i roskosz. Od pół roku byli po ślubie; ale z sobą w samotnem pożyciu małżeńskiem żyli na wsi dopiero od kilkunastu niedziel: wprzódy bowiem czas ich przerywany był, to bytnością osób familji, to wizytami sąsiadów, jakie trzeba było oddawać i przyjmować tytułem nowożeńców i nowych gospodarzy. Nie żyli wprawdzie i teraz całkiem odludnie; odwiedzających uprzejmie przyjmowali, sami wszelako prawie nie wyjeżdżali. Mówiono o nich wszędzie w okolicy jak o najszczęśliwszej parze. I że się nie mylono, dowiodły już tego w części słowa Julji, któreśmy słyszeli, a jeszcze to lepiej potwierdzą następujące Henryka, w odpowiedzi na tamte:

— Kochanie moje! to szczęście jest twojem dziełem; jest to twoje stworzenie, twoja łaska, twój wynalazek, mój aniele! Używaj go, ciesz się niem, żyj niem, bo to twoja własność, bo ja sam jeden nie chcę być szczęśliwy, ale przez ciebie,

dla ciebie i z tobą.... Ty mi wszystko — mówił dalej — robisz piękniejszem, milszem; zdaje się, że mi jakiś nowy zmysł, nową władzę dałaś, żebym czuł, kosztował i posiadał szczęście jak nigdy pierwej. Ta sama wieś, ten ogród, ten oto ranek! Przecież co roku był Czerwiec i po tym samym ogrodzie chodziłem i widziałem tak słońce wschodzące ponad te akacje jak teraz... ten oto jego promień, to już mój znajomy, już nie pierwszy raz tak na czoło moje przybiegł, a nigdy, nigdy przedtem takiego ranku, takiej świeżości, takiej woni, takiej godziny, takiego dnia, jak z tobą, moja jutrzenko!

— O! jak ty to powiadasz! jak ty to doskonale powiadasz, jak gdybyś czytał mi w sercu, jak gdybyś słyszał co dusza moja do mnie mówi! To jest właśnie co ja czuję, co mam, co noszę w sobie: tylko ty to umiesz wydać, a ja nie umiem; ty masz słowa na moje czucia, ale te słowa to moje słowa, mój najdroższy, to ja powinnam była je powiedzieć; mój głos, moje słowa są w tobie, jak całe życie moje jest w tobie. O! muszę, muszę koniecznie zachować sobie jakąś tego ranku pamiątkę... mój Henryku, mój drogi, koniecznie jakąś pamiątkę!

— Dziecko jesteś — odrzekł z uśmiechem młody Henryk, patrząc w oczy żony, przez które łza jasna przebłysła — cóż ja ci dam.... chyba ten medalik — i zdjął z szyi ukrytą na czarnej wstążeczce blaszkę złotą z wizerunkiem Najświętszej Panny. — Ale, Juljo — dodał zaraz poważniejszym tonem — wiesz, to jest ostatnia matki mojej pamiątka; może nawet i tobie nie powinienbym dawać... chociaż właściwie nie jest to się z nią rozłączać: u mnie czy u ciebie, to wszystko jedno. —

Mimo tych słów ostatnich, trzymał jeszcze w ręku święty obrazek, wzrok w nim mając utopiony; lecz Julja uchwyciła już wstążeczkę, a zawiesiwszy sobie na szyi i całując medalik: — dobrze, dobrze! — mówiła. — Droga bardzo pamiątka, ale i rzecz którą ma przypominać także droga. Dziękuję ci, dziękuję; nie rozłączyłeś się z tem, tylko zamiast u siebie, masz teraz u mnie. Jak ja będę umierać, to znów ci oddam.... Nie marszcz się, mój Henryczku, ty musisz

mnie przeżyć, wam mężczyznom dał Pan Bóg więcej siły; a jak się będziesz miał z drugą żenić....

— Cóż znowu! — zawołał, wydarłszy prędko swą rękę, lubo właśnie teraz przyciskały się do niej usta żony: — ta wstążeczka już ci myśli i słowa swoim kolorem powlekła. Skądże o tem teraz!...

— Nie gniewaj się, nie gniewaj, mój aniele! prawda, niewiedzieć com powiedziała; przepraszam cię.... —

Kiedy niedługo potem wracali do pokojów, ręce ich znów były razem i serca zawsze razem: ale byli więcej milczący. Na czoło Henryka jakaś mgła padła; widać, że od żony, od szczęścia, myśl się jego w inszą jakąś, całkiem przeciwną stronę zwróciła. W progu Julja znowu rękę męża ucałowała; on przytulił ją silnie do serca, jak gdyby dając mu przez to lekarstwo, na wszystko co tam zleczenia potrzebowało... I byli tak przez chwilę w zupełnem milczeniu.

II.

Henryk nie miał już rodziców. Teść jego, członek Senatu i prócz tego dla urzędu, który w jednem z Ministerjów piastował, mieszkający ciągle w Warszawie, zaczął zaraz z początkiem jesieni wzywać młode stadło do miasta, już to z potrzeby serca, już dla widoków, jakie miał względem zięcia, którego chciał także w ślady swoje do służby publicznej wprowadzić. Trudno było bardzo naszej młodej i roskochanej parze opuścić Zalinki. W istocie, na cóż zmieniać miejsce, szukać tłumnych towarzystw miasta i tych wszystkich drobności z których się życie jego składa, kiedy przedmiot wszelkich starań i zachodów ziemskich, szczęście, jest przy nas i z nami? Szczęście ma owszem w sobie coś tajemniczego. Gdy jest rzeczywiste prawdą serca, nie zaś próżnością świata żyjące: radeby się nawet koniecznie ukrywać: nie wiem czy przez litość, żeby nie razić sobą tylu innych, co go napróżno z dnia na dzień, z roku na rok szukają; czy przez jakąś tylko wrodzoną bojaźń oczu ludzkich i jak gdyby czując do siebie że na tym, jak go dawno przezwali, płaczu padole,

nie ma prawa, nie wolno mu się znajdować, że raz odkryte nie może długo na nim gościć! Wyjazd ze wsi, gdzie przez kilka miesięcy, w najpełniejszem serca zaspokojeniu, mogli byli rzeczywiście zapomnieć, że jest jeszcze gdzieindziej po za niemi świat i życie; gdzie miłość młoda, wzajemna, całym ogniem serc namiętnych i po raz pierwszy kochających płomienna, w tysiączne, ustawiczne uroki i roskosze każdy im moment ubierała: był dla obojga, a zwłaszcza dla Julji nad wszystkie wyrazy bolesny. Odkładając już po razy kilka, gdy nareszcie bez oczywistej ojca obrazy niepodobna było dłużej odwlekać: w dzień odjazdu, tak gwałtowny i prawie aż dziwny uderzył w nią smutek, że sam Henryk tem się zniecierpliwił.

— Dla Boga! miejże nad sobą więcej mocy. Nie rozłączamy się, jedziemy razem, będę zawsze z tobą, przecież mnie i gdzieindziej potrafisz tak kochać jak tutaj....

— O! zawsze, wszędzie, przez wieki, Henryku i nic, tylko ciebie! — wołała, wieszając mu się na szyi. — Ale ty nie wiesz jaki tu ciężar, kamień... — i kładła rękę na sercu — jakby mi coś mówiło, że już się żegnam ze szczęściem, że to od niego stąd odjeżdżam! —

Służąca weszła z podróżnym kapeluszem, salopą i woreczkiem; Henryk wydał jeszcze ludziom niektóre polecenia, po raz ostatni przykazał Ekonomowi dobre się obchodzenie; w kilka minut potem biegł już pojazd po drodze warszawskiej. Płacz w nim ustał. Rozrywka podróży, rozmaitość zmieniających się widoków, sama rzeźwość pogodnego powietrza, prędko Julję ukoiły. Wstydziła aię prawie swoich tak wielkich dopiero żalów, ledwo, że z nich sama teraz żartować nie chciała, czując rękę swoją w ręku Henryka i pijąc łakomie miły wzrok jego, w oczy jej z roskoszą patrzący.

We dworze wszelako po ich odjeździe nie tak się prędko uczucie zmieniło. Od drzwi gankowych do bramy i śladem odbiegłego pojazdu, szło przez dziedziniec pięć czy sześć osób, z których dwie przodem, używając rangi swej przywileju. — Tak to, tak, Panie Rządco!... i co **Pan** na to *mówisz?* — zatrzymując się i wyciągnąwszy brudnym rze-

myczkiem zatyczkę od korowej tabakierki dla poczęstowania towarzysza, zapytał po chwili jeden.

— Ha! co mam mówić, mospanie?... a Pan Antoni, który już więcej ode mnie i płaczących i śmiejących się widział, co sam na to mówi?... Pani nam coś nadto płakała.

— Ja mówię, Panie Rządco... — tu kilka kroków znowu uszedłszy ze spuszczonym wzrokiem w kolej na piasku wyrytą, przydał z westchnieniem: — dajże Boże aby w tem przynajmniej nic złego nie było i aby zdrowo i szczęśliwie oboje do nas wrócili!

— Ej, wrócą; czemuby nie mieli wrócić! Dobre i szczodre Panisko, choć mi z tym swoim ogrodem ludzi odrywał: zawsze przesadzaj, wysadzaj.... A sama, to właśnie aniołek, takie to dobre....

— Daj Boże, Panie Rządco, daj Boże! —

Ale w tem po dwakroć wyrażonem życzeniu poczciwego kredencerza, który przez dobry ton starego dworskiego, nie nazywał Ekonoma inaczej tylko Panem Rządcą, przebiła się jakaś tajemna, instynktowa obawa. Od trzydziestu kilku lat służył w familji i Henryka, który się przy nim urodził, kochał jak własne dziecko.

III.

Niestety! to życzenie przywiązanego sługi nie zostało spełnione. Nie wiedział stary Antoni, że szczera jego miłość robiła go na moment prorokiem! Henryk, który już dawniej i zaraz w wieku młodzieńczym zapadał parę razy na piersi i nie nosił nigdy w oczach piętna długowieczności (mamy bowiem prawie wszyscy we wzroku różne tajemnicze znaki i charaktery, lubo tego nie wszyscy dojrzeć umieją); był jeszcze w tych latach, kiedy piersiowa choroba rozwija się i zabija w mgnieniu oka. Nie upłynęło kwartału pobytu państwa młodych w Warszawie, kiedy jednego ranku kościół Kapucynów był wybity kirem, Miodowa ulica zastawiona karetami, przy schodach kościoła stał czterokonny karawan. Kasztelan i żalem teścia i zawiedzioną ambicją z utraty

zięcia, na którego powodzenie w świecie tak wiele liczył, dwojako cierpiąc, chciał przynajmniej aby pogrzeb odbył się z wszelką pompą godności nieboszczyka i randze jego samego odpowiednią.

Biedna Julja, w przeciągu niespełna roku jednego przebyła dwie stanowcze próby ludzkiego życia: najwyższe szczęście i najwyższe nieszczęście!... Jedno i drugie czuła równie głęboko. Żal jej po stracie męża nie znał miary. Religja nawet, przyniosła jej wprawdzie znaczne uspokojenie, ale nie pociechę: modląc się i stan swój ofiarując Bogu, poddawała się woli Jego, lecz nie mniej boleśnie, cios który w nią ugodził, sieroctwo swoje straszne, czuła i pamiętała; jedna wszakże modlitwa i poddanie się Bogu obroniły ją od zupełnej rospaczy.

W pierwszym momencie chciała natychmiast wracać na wieś, jak gdyby myślała, że tam to szczęście które ją rzuciło, znowu znajdzie i ojciec z ciotką, co także w Warszawie mieszkała, musieli użyć całej swej powagi, nawet otwartego przymusu, aby ją przy sobie zatrzymać. Nie mogąc wyjechać, chciała przynajmniej w tym samym domu, w tym samym pokoju po całych dniach przebywać, gdzie Henryk skonał i ciało jego po śmierci było wystawione: ale i w tem doznała tegoż samego oporu i pomimo wszelkich przyrzekań że będzie się od smutku wstrzymywać i zapewniań, że to go wcale w niej podnosić nie może, przeprowadzili ją do ciotki. Ojca i kilku obecnych wtenczas w Warszawie osób familji, najczulsze starania, nie mogły w jej położeniu żadną prawie być ulgą; może nawet przydawały jej strapienia, gdy widziała drugich nieszczęściem swojem cierpiących.

Po dwóch miesiącach, lubo jeszcze w dzień nikogo nie widywała, wymógł ojciec, że w wieczór schodziła na godzinę do salonu, gdzie czasem jedną lub parę osób z bliższych domu przyjaciół zastawała. Pomimo, iż z natury miała serce kochające, dla uczuć społecznych i przyjaznych otwarte i humor nieźmiernie łatwy, teraz jednak widok ludzi był dla niej nieznośny: jak gdyby w nich mogła jakowąś przyczynę niedoli swojej upatrywać, ciągle jej to było i prawie mimowolnie na myśli, że z samotnym pobytem na wsi skończyło

się jej szczęście! i że jadąc do tych ludzi, co ją teraz cieszyć chcieli, w tem mieście tłumnem, głośnem, świetnem, gdzie oni wszyscy zabaw tylko i rozrywek szukają, ona miała znaleść grób Henryka!... Po całych dniach zamknięta przed światem i nigdzie, oprócz czasem w południe na krótki spacer, nie wyjeżdżając, wszystek czas swój spędzała, jeśli nie na modlitwie i dumaniu, którego przedmiot był zawsze jeden i koniec zawsze jeden, płacz — to wynajdując sobie jakiekolwiek zatrudnienie i zajęcie się coby jej osobę męża, słowa jego i czas z nim spędzony przypominały. Tak, dziwnym i niebespiecznym myśli natężeniem, skierowanem w jeden tylko punkt i tam ją zawsze utkwioną trzymając, potrafiła często przez całe godziny zupełnie teraźniejszość dla siebie utłumiać i z życia rzeczywistego wydzierać się, oddychając jedynie życiem sztucznem, życiem przeszłości.

Albo tedy po setny raz oglądała rzeczy i różne pamiątki Henryka, rozmaite od toalety i ze stołu jego graciki i raz je tym, raz innym porządkiem układała, przestawiała; albo w miniaturę jego, którą miała bardzo podobną, wpatrzona, póty z niej nie-raz oczu nie spuściła, tak się coraz mocniej, coraz głębiej i trwalej wpatrywała, aż rysy poczną się zaokrąglać, wyraźnieć, występować i w ciele żywem prawie przed okiem jej stawać... Wtedy, jak gdyby widziadłem przerażona, krzyk wydawszy, odrzucała się gwałtownym ruchem od najmilszego oblicza... stratę swoję okrutną niepowrotną, na nowo w całej srogości uczuwając!... Najczęściej zajęta była czytaniem listów zmarłego. Data ich i treść były rozmaite: jedne jeszcze przed ślubem, drugie znów na krótko przed ostatnią chorobą, kiedy ciotka była ją samą bez męża na tydzień do siebie zawiozła; ten jeszcze przed zaręczynami, przed oświadczeniem się i niby całkiem obojętny, na ręce ojca pisany z Wiednia, gdzie daje jej sprawę z jakiegoś komisu muzycznego. Ten już po otrzymanem słowie, ale jeszcze nieśmiały, hamujący się; ten jeden w trzecim już miesiącu pożycia, kiedy dla koniecznego interesu musiał na kilka dni odjechać. Ileż go razy nieszczęśliwa Julja czytała teraz, sercem i oczyma pożerała, choćby go już dawno z pamięci powtórzyć co do słowa

mogła! jakiż tu w każdem wyrażeniu, w każdem słowie wybucha z tych liter płomień, jakie wezbranie miłości, jaki gwałt serca, jaka niecierpliwość rozłączenia!... Były kilka razy narady w familji i z doktorem, czy tych listów nie odebrać; lecz osądzono, że tak daleko posunięta surowość jątrzyłaby tylko boleść, zamiast ją leczyć.

Codzień zrana odbywała się u Kapucynów msza za duszę Henryka, na którą wdowa jego regularnie jeździła. Była co do tego także z początku trudność, że może nadto rano, że mogłaby się przeziębić, i żeby przynajmniej w większe mrozy nie wyjeżdżała: ale i w tem prośbom i naleganiom Julji stać się musiało zadość. Ranną godzinę wybrała, mówiła, aby nie spotkać dużo ludzi, których oczy samym widokiem grubej żałoby na siebie ściągała; więc już jej nikt tego nie zabraniał, owszem, często zamiast panny służącej, jeździła z nią bądź ciotka, bądź ojciec, tuż obok mieszkający, a dla którego i rano wstać i Mszy ś. wysłuchać, nie było prócz tego osobliwością. Zima też tego roku była szczęściem bardzo łaskawa.

IV.

Jedna z takich żałobnych mszy, tylko co się była skończyła, ksiądz odszedł od ołtarza. Julja w serdecznem uczuciu i z utopionym wzrokiem w obraz Przenajświętszej Marji, na której miłosierne oblicze padał jeszcze blask świec niezgaszonych, kończyła modlitwę; całą mocy duszy rozrzewnionej dziękowała Bolesnej Matce za uspokojenie i pociechę, jaką dziś obficiej i pełniej, niż kiedykolwiek, w sobie uczuła: kiedy wreszcie zwracając się do wyjścia, nagle się z wielkiem pomięszaniem zatrzymała. Ojciec, bo on jej tego dnia towarzyszył, rzuciwszy okiem w stronę gdzie patrzyła, sam także nie mniej został uderzony. — Prawda, dziwna rzecz... — przemówił — osobliwsze podobieństwo! — i oddał drżącej ręce córki, która się go w tym momencie chwyciła, wzajemnie silne ściśnienie...

Osoba, na którą oboje tak uwagę zwrócili, był jakiś młodzieniec, którego twarz dziwnym sposobem przypominała Henryka, albo raczej była zupełnie jego twarzą, tak podobna! Stał pod filarem po drugiej stronie; był widać na tej samej mszy, i z wyrazem głębokiego nabożeństwa, nie oderwał jeszcze wzroku od ołtarza, gdzie się tylko co za duszę nieboszczyka, Boska Ofiara odprawiła. Po chwili, i nie dostrzegając wrażenia, jakie widok jego uczynił, wcale się bowiem na przytomnych nie patrzył, wolnym krokiem się ku drzwiom skierował. Julja upadła na kolana, i kryjąc w obu dłoniach twarz swoją, wybuchła płaczem. Kasztelan powiedziawszy coś służącemu, który zaraz wyszedł, czekał jej uspokojenia, sam jednakże widocznie wzruszony... Gdy wkrótce potem wychodzili, oko Julji patrzało jeszcze w miejsce, gdzie stał nieznajomy, choć już tam nikogo nie było. Drzwiczki karety otworzył stangret; kazano mu wracać, nie czekając lokaja.

— Czy widziałeś, papo! Kto to jest? kto to być może? czy widziałeś już go kiedykolwiek? — mówiła z rozognioną twarzą — ten sam chód, wzrost, ręka tak na piersi złożona, czoło zupełnie to samo, tylko włosy nosi inaczej... O! mój najdroższy Henryku; Boże, Boże! jakże mi się dziwnie, niepojęcie na sercu zrobiło... Żeby papa wiedział jak słodko! uczułam nawet, rzecz osobliwsza! wyraźnie zapach akacji uczułam, który on tak lubił... To szczególna! czy papa tego nie uważał?

— Co znowu! skądby znów akacja? urojenie! Uspokój się, moja kochaneczko; nie trzeba tak łatwo myśli puszczać. Prawda, podobieństwo wielkie, sam przyznaję. Wzrost zdaje mi się, nie zupełnie jego; nawet trochę będzie młodszy. Myślę, że to ktoś, co nie ciągle w Warszawie przebywa, bo i po ubraniu widać.

— Jak ja chciałabym wiedzieć przynajmniej, kto taki! Czy może być, żeby było takie podobieństwo! w pierwszym momencie, jakem zobaczyła, oddech mi się w piersiach zatrzymał.

— Zdarzają się czasem podobieństwa, zwłaszcza na pierwsze wejrzenie.

— Drogi Henryk!

— Na nic nam to niepotrzebne, ale kazałem pójść za nim Grzegorzowi i dowiedzieć się, jeśli można, kto taki.

— Ach dziękuję, mój papo, dziękuję! to dobrze!.. Ale to nie mój, nie nasz Henryk! — przydała tonem spokojniejszego smutku — jego tak nigdy nie spotkamy... On już w innym, w lepszym jest kraju: tam mu nic nie umrze, nie skończy się, nie ustanie, nie tak jak mnie tu na tej ziemi!.. Szczególniejsze uczucie! jak gdybym jego samego widziała, jak gdyby mi za modlitwę i miłość przyszedł podziękować... Ten mówię zapach...

— Proszęż cię — przerwał żywiej ojciec — nie latajże myślą nie wiedzieć gdzie, wiesz, że tego w tobie nie lubię... Być może, iż kto z jego familji.

— Przecieżbyśmy wiedzieli, przecież ja bym wiedziała. —

Pojazd tymczasem jechał. W domu się zaraz o Grzegorza spytała; jeszcze go nie było. Pytała się potem znów dwa razy czy nie wrócił, i kazała natychmiast, jak tylko będzie, aby przyszedł do pokoju. Przyniósł wreszcie wiadomość, że jest to pan przyjezdny, z Sandomierskiego, posesor z Gajowa, i stoi na Długiej ulicy w polskim hotelu.

— Jak się nazywa? — spytał się Kasztelan.

— Nie wiem Jaśnie Panie jak się nazywa, bo właśnie jakiem mówił z człowiekiem, sam wyszedł i nie mogłem się bardzo rospytać, tylko tyle, że z pod Sandomierza i że z Gajowa.

— Z Gajowa? — powtórzył do siebie Kasztelan, jakby chciał miejsce przypomnieć, gdyż Sandomierskie znał dobrze.

— Czy widziałeś jego samego z bliska? — przerwała Julja.

— Widziałem Jaśnie Pani; zaraz z kościoła za nim szedłem aż do hotelu; on poszedł na schody, ja na dolem zacząłem patrzeć, kogoby się spytać; trafiłem na jego człowieka, ale on zaraz znowu zeszedł. Nie mogłem się dobrze rospytać jak się nazywa, ale gdyby potrzeba, to można każdego czasu, kiedy wiadomo hotel.

— Nie potrzeba; jak cię poślą to pójdziesz — odrzekł Kasztelan, dając mu znak wyjścia.

— Ale czy nie widziałeś, że do kogo podobny? nie przypo-

mniał ci nikogo? widziałeś z bliska? — zapytała znowu niecierpliwie i ze wzruszeniem Julja.

— A widziałem, proszę Pani, z bliska bo przecie zaraz zeszedł i zaczął z człowiekiem gadać — odpowiedział Grzegorz, zatrzymując się w progu z pomięszaniem i nie pojmując dobrze o co chodzi. — Ja tego Pana nigdym nie widział, jakiś przyjezdny, ale nie wiem czy do kogo podobny, ja mu się nie przypatrywał, Jaśnie Pani, bo cóż miałem tam stać bez interesu?

— Dobrze, dobrze; idź sobie... Widzisz tedy — mówił dalej Kasztelan po wyjściu sługi — że to podobieństwo nie musi być tak bardzo wielkie.

— Nie pojmuję tego. Ograniczony to dosyć chłopiec, ale jednak ... chyba że umyślnie nie chce przedemną mówić.

— O! więcej przypuszczasz w nim delikatności, niśli pewno jej ma... Ale Pani coś dłużej była dziś niewidziana — — rzekł w tym momencie do swojej siostry, która właśnie wchodziła i rękę jej całując — witam i żegnam; mam dziś wcześnie sesję. Julja opowie ci tu nasze spotkanie. Tylko nie mówcie o tem przed Grzegorzem — dodał uśmiechając się — bo was weźmie za wizjonarki. Musiało się to nam wydać tylko, kochaneczko; bądź mi zdrowa i grzeczna — rzekł przechodząc koło córki i twarz jej z czułością pogłaskawszy.

— Cóż to jest? co to za spotkanie? mówcież mi asaństwo prędzej. Grzegorz? wizjonarki? powiedzże mi, moje życie kogo? gdzie, spotkaliście? słucham! — Zaczęła z niespospolitą ciekawością, ledwo usiadłszy, ciotka: wyborna osoba, wdowa sama od dwudziestu już przeszło lat, posiadaczka doskonałego zdrowia, i któraby rada była niezmiernie udzielić synowicy swego dobrego humoru, swej dobrej tuszy i swojej względem stanu wdowiego filozofji, lubo także męża szczerze niegdyś kochała. Będąc pewna, że w tem spotkaniu, o którem brat jej pół serjo, pół żartem napomknął, była, lub mogła być dla Julji rozrywka, tem się ją ochotniej i skwapliwiej pytała. Kilka słów Julji były dostateczne na wyprowadzenie jej z błędu. Dobra ciotka, w miarę jak ją słuchała zmieniła prędko wyraz szczerego swego spojrzenia: żywa cie-

kawość, jaką przed chwilą jaśniało, ustąpiła w niem teraz miejsca rzewnemu spółczuciu...

— Ja myślałam, że Bóg wie co: że coś wesołego, przyjemnego, coby moją duszkę trochę rozerwało, zabawiło. Cóż, choćby kto był i niewiedzieć jak podobny? bódajże was! zwiodłam się!

— Zabawiło, moja ciociu? Nic na świecie. A przyjemniejszego, milszego spotkania nie mogło być dla mnie. O! jakbym ja chciała posłyszeć jego, zobaczyć raz jeszcze, przypatrzyć się; bo to prawie nie sposób, żeby mógł być kto podobny... O nie, nie, nie! to mnie się tak musiało przywidzieć; ale jak myślę o tem, jak sobie przypominam, i to jakeś dziwne, dziwne uczucie! bo ciocia sobie nie może wystawić, nie wyobrazi, nigdyby nie uwierzyła, co to i do jakiego stopnia jest podobieństwo! Co jabym dała, żeby go ciocia mogła widzieć! ja ledwo że raz spojrzałam...

— Otóż właśnie dla tego. Rzuciłaś tylko okiem, Henryka miałaś na myśli, może trochę i doprawdy jest podobieństwo, resztę sobie — przydała z pieszczotą, odgarniając Julji włosy na czole, i starając się wzrok jej łzawy rozbudzić swoim, znów się już wyjaśniającym — resztę sobie mój aniołek uroił, dodał w myśli i teraz główkę sobie niepotrzebnie turbuje. Przecież Grzegoż dłużej go widział, szedł za nim, powiadasz, słyszał mówiącego, to gdyby było tak wielkie...

— Ja papie nic nie mówiłam, a papa, widziałam, aż wstrząsł się, tak był w pierwszym momencie uderzony. Nie wiem, jak ten Grzegorz mógł nie widzieć, pojąć nie mogę.

— No, no, dosyć tego; nie ma o czem gadać i głowę sobie nabijać. Dosyć masz smutku istotnego, żeby jeszcze wymyślać sobie sposoby umyślnego dręczenia się. Choćby i tak było, cóż z tego? wiesz dobrze, że to nie jest Henryk. Do jakiegoś Gajowa, czy jak się tam zowie, nie pojedziemy; a takie wszystkie żywienia w sobie jednego tylko uczucia, trzymania sobie na myśli zawsze jednej rzeczy, jednego obrazu, nie przyjmowanie żadnej rozrywki, żadnego rostargnienia, to, moja Julko, co nadto, to nadto. Żalu twojego nie ganię; straciłam także męża, to wiem co to jest; ale strata stratą, *płaczem jej* nie odpłaczemy, a życie jest życiem, kochaneczko.

Muszę gderać, bo ciebie kocham; powinnaś na ojca mieć uwagę i sama na siebie; w twoim wieku świat nie zawiązany; szkodzisz sobie na zdrowiu, mizerniejesz, nie przyjmujesz żadnej pociechy: do czegoż to prowadzi? —

Trwał jeszcze przez chwilę ten paroksyzm gderania, który kochaną ciotkę nie rzadko, a często zupełnie niespodziewanie napadał. Milczenie Julji kładło mu zwykle koniec.

Odszedłszy ona wkrótce po śniadaniu do siebie, siadła najprzód przed miniaturą Henryka, i pilniej niż kiedykolwiek, zaczęła się wpatrywać. Przypominając sobie rysy nieznajomego, jeszcze prawie bardziej niż w kościele, tem niesłychanem podobieństwem była zdziwiona... — Jeszcze ja — mówiła do siebie, przeszedłszy już kilka razy wzdłuż pokoju — co nigdy nie mogłam ani przypuścić, żeby ktokolwiek był do niego podobny. A potem to dziwne wrażenie; nieopisane, nieporównane z niczem, tak jakieś osobne, tak słodkie i nie z tego świata uczucie ... O! nie, nie, mój Boże! mój Henryku! to niepodobna! — i prędkim ruchem ręki podniósłszy z piersi medalik, pamiątkę innych czasów, podarek najszczęśliwszego poranku, gwałtownie go kilkakroć całowała... — Ten Grzegorz ... przecież nie mógł tak zapomnieć, nie poznać. —

Prędko dzwonek poruszyła.

— Czy nic ci Grzegorz nie mówił? — zapytała Panny służącej.

— O czem, Pani?

— Teraz jak wrócił; że widział kogo, czy nie mówił?

— Nie, Pani, nic mi nie mówił. Czy Pani co kazała?

— Zawołaj-no jego. —

Wszedł Grzegorz. Julja nie wiedzieć czemu, nie śmiała od razu się zapytać, jak gdyby się lękała sama przed sobą, być obwinioną o próżną ciekawość i żeby słowa jej nie były fałszywie zrozumiane.

— Grzegorzu ... popraw no, proszę, to biórko ... przysuń lepiej w tę stronę — rzekła po chwili półgłosem i nie odrazu. — Ale zarazże sama obrażona tem udawaniem, zapytała otwarcie i z właściwą sobie godnością: — Powiedz mi, mój kochany, szczerze, czy nie uważałeś, żeby ten Pan,

za którym cię mój ojciec posyłał, był do kogo, co znałeś, podobny? czy nie przypomniał ci kogo, powiedz.

— Jaśnie Pani mnie się pytała; ale proszę Pani do kogożby miał być podobny? Ja nie wiem, żeby do kogo był podobny. —

Julja spojrzała mu mocno w oczy, chcąc tam pomimo niego prawdę czytać ... nic w nich nie było, coby najmniejszą obudzać mogło wątpliwość. — A to, czy jest do kogo podobne? — przydała, wskazując na miniaturę, żeby się przekonać, o ile też poznawać umiał.

— O! proszę Jaśnie Jani, to co innego; któżby tego nie poznał? choćby nawet z drugiego pokoju, tobym zaraz poznał, że to nieboszczyk Pan.

— A to, kto?

— Jaśnie Pani pyta się jak małego dziecka — odpowiedział, odwracając się z uśmiechem, w którym się i trochę zmięszania i trochę urazy malowało — któżby takich rzeczy nie znał, proszę Pani, dziecko przecie nie jestem.

— Przepraszam cię, ale mam powód tak się pytać. Któż taki?

— A no, to przecież portret Pana Kasztelana, kiedy Jaśnie Pani już się pyta; od kiedy tu wisi i nie miałbym znać! Jeszcze jak Pan Brodowski Jaśnie Pana robił, to mnie się zaraz spytał, ja powiedziałem, że tutaj broda nie była dosyć okrągła, że u Jaśnie Pana jest inaczej: Pan Brodowski odszedł kilka kroków, popatrzał, zaśmiał się, i poprawił tak jak teraz, potem sam Jaśnie Panu powiedział, żartując. Nie miałbym znać! Pan Brodowski i teraz, przydał, odchodząc z jaśniejszą już twarzą ku drzwiom — jak mnie spotka, to zawsze się odkłoni.

— Tego dziś Pana widziałeś z bliska? dobrze? Poznałbyś go?

— Tego Pana co w Polskim hotelu?

— Tak jest.

— O! nie miałbym poznać! pewnie żebym poznał! po głosie bym nawet poznał; przecie stał przedemną tak, jak do Jaśnie Pani i bliżej nawet.

— I nie podobny do nikogo z tych, co kiedykolwiek znałeś? Pomyślno jeszcze.

— Do nikogo, Jaśnie Pani... Nie mogę ja sobie przypomnieć, żebym znał kogo takiego.

— No, to dziwna rzecz, bo mnie i memu ojcu zdało się inaczej. O to tylko miałam się zapytać. —

Grzegorz nim odszedł, potrzymał jeszcze moment podniesione do góry ramiona, popatrzył w podłogę, i powtórzył, jakby już tą razą sam tylko do siebie: — nie mogę tego widzieć, żeby ja znał kogo takiego. —

Za powrotem Kasztelana z miasta, zaczęła Julja znowu o tem samem, bo nie mogła się uspokoić; to nawet co mówił Grzegorz, przydawało owszem tej całej rzeczy nowej dziwności. Kasztelan był także nieznajomym młodzieńcem zajęty, więcej nawet, niż to po sobie pokazywał; ale zważając, że rozmowa o tem niepotrzebnie by tylko Julję drażniła, starał się zaraz tego samego dnia osłabić w niej, jeśli nie całkiem zatrzeć, pamięć tego zdarzenia: ile że mu w tej mierze przełożyła swoją uwagę i siostra, która o egzaminie, na jaki Grzegorz był przywoływany, także się była dowiedziała. Opierał się już głównie na świadectwie służącego, dodając, że nawet teraz, kiedy sobie przypomina, jest pewien ogromnej między dwoma twarzami różnicy, że zdarzają się bardzo często podobieństwa, co po lepszem wpatrzeniu się całkiem giną, że w kościele, w zimowe poranki, nigdy nie jest dosyć jasno, żeby dokładnie widzieć, i t. p. Ciocia wreszcie, jako gospodyni domu i najwyższa w nim władza, gdy Julja mimo tego wszystkiego, jeszcze nazajutrz i dni następnych częściej była zamyślona i nieraz o tem zaczynała, wyraźnie jej tego i mocno zabroniła.

— Trzeba — mówiła — kochaneczko, żebyś nam także trochę koło siebie pomogła. Co ci odradzamy, odmawiamy, odradzamy dla twego dobra. Staraj się sama czem można rozrywać, zabawić, mówiąc i myśląc lepiej o tem, coby ci owszem dawało ten smutek przytłumiać. Przez samą nawet prawdziwą miłość dla Henryka, powinnabyś tę boleść w sobie opanować, ażeby ci pamięć jego nie była tak ustawicznem źródłem zgryzoty tylko i zmartwienia...

Julja milcząc i tłumiąc westchnienie, gorzkim tylko półuśmiechem na tę filozofję przedziwnej ciotki odpowiedziała; ale już to z potrzeby, już przez wrodzoną dobroć posłusznego serca, wcale od tej pory o nieznajomym nie wspominała. To tylko pewna, że bywając jak przedtem na mszy żałobnej co rano, częściej niż przedtem wzrok się jej na stronę zwracał; i że, czego dawniej nigdy nie bywało, zamiast jechać jak wprzódy, na spacer ku Ursynowu, Wilanowu, lub Jerozolimską aleją, kazała już kilka razy wieźć się po mieście, biorąc się przez Miodową, Długą, Bielańską, i t. d. i mając szkła u karety spuszczone. Zgadywała bardzo dobrze ciotka, która z nią zwykle jeździła, jaki mógł być tych spacerów cel; wszelako przez rostropność, nie chcąc już o to wojny prowadzić, wolała udawać, że się nic nie domyśla, przestawszy tylko na tem, iż parę razy podniosła okna pojazdu, skarżąc się na zimno.

V.

W miesiąc może, po owem w kościele spotkaniu, jednego dnia, kiedy słońce pięknie świeciło, ulice były suche i zimno wcale nie wielkie, wniósł ojciec spacer na piechotę. Po chwili wahania się, zgodziła się Julja, i wyszli we dwoje, mając za sobą służącego, który na przypadek, niósł za Panią drugie futerko i parę cieplejszych chustek. Kochana ciotka, nie mogąc sama dla bólu głowy wyjść z domu, wyprawiła z tym pakunkiem Grzegorza, przykazawszy, aby podał rzeczy, nawet niewołany, gdyby się tylko większe cokolwiek zrobiło zimno.

— Gdzież chcesz? — zapytał, schodząc z ganku Kasztelan — mnie się zdaje najlepiej do Saskiego.

— O mój papo, tam zawsze tyle ludzi; już wolę do Krasińskich, kiedy papa chce.

— Tak daleko?... Jak ci się podoba; chodźmy i tam. —

Czytelnik, jeśli zwłaszcza jest trochę podejrzliwy, gotów może widzieć w tem jaki związek (przypuszcza się, że zna Warszawę) z owemi w stronach Polskiego hotelu spacerami w karecie; Kasztelan wszakże spodziewając się, że tak długa

przechadzka będzie owszem rozrywką, przystał chętnie na ogród Krasińskich.

W rzeczy samej, po drodze i w ogrodzie spotykali dosyć znajomych, piękna pogoda wiele osób z domu wyciągnęła. Wszyscy radzi byli niezmiernie widzieć Julję, ciągle od swego nieszczęścia ukrytą. Męczyzni znajdowali, że daleko jeszcze piękniejsza; kobiety, nie czyniąc tym pochwałom otwartej opozycji, robiły tylko ogólną uwagę, że młoda osoba w grubej żałobie, jest zawsze interesująca. Ten i ów przyłączał się i szedł jakiś czas razem. Julja mimowolnie musiała słuchać i sama nawet mówić o rzeczach, które z jej smutnem i żałobnem życiem, żadnego nie miały stosunku, owszem odnosiły się całkiem do świata, jego zdarzeń, zabaw, potrzeb i marności: słowem, ojciec był bardzo z tego spaceru kontent, mówił więcej niż zwykle, i wyciągał nieznacznie Julję na coraz nowe jakieś słowo, nowe nawet opowiadanie.

Pochodziwszy przeszło godzinę w ogrodzie, i coraz prawie w nowej kompanji ciągle przyłączających się osób, szli nazad ku domowi. Ledwo co schodzili z placu Krasińskich, i kiedy właśnie od kilku minut byli tylko sami i mówić przestali, na dwa lub trzy kroki przed Julją przechodzącą pod murem cukierni na rogu Miodowej i Długiej, wyszedł z cukierni jakiś średniego wieku, więcej za to niż średniej tuszy i wcale nie bladej cery jegomość. Stanąwszy tuż przed progiem, bez względu, że zamykał przez to drogę przechodzącym, zaczął sobie powoli na duże metalowe guzy, zapinać aż do góry żółtą bajową bekieszkę; a zwrócony we drzwi, których za sobą nie zamknął, splunął przed sobą obficie, i tak na głos do kogoś, co w izbie pozostał, rzecz swoją dalej prowadził: — No, wiesz co, Panie Ignacy, niech mię djabli porwą, jeśli mnie jeszcze choć na jeden kieliszek namówisz; pójdź lepiej na kiełbasę i wracajmy, bo już muszę zaprzęgać. —

Julja z ojcem tę potężną figurę, zakończoną u góry czarną z uszami barankową czapką, a silne stopy w szerokich kryjącą berlaczach, obeszli dalekiem kołem, dając oraz miejsce szanownemu Panu Ignacemu, co też na ulicy się już pokazywał, uległszy widać posta wieniu kolegi spieszenia na kieł-

basę. Kasztelan naumyślnie powoli się oddalał, chcąc się tą publiczną podróżnych przyjaciół rozmową zabawić, kiedy Grzegorz nagle podszedłszy i zdejmując prędko kapelusz: — proszę Jaśni Pani — z wyraźnem rzecze ukontentowaniem, lubo nieco cichszym głosem — to jest ten Pan, co się Jaśnie Pani pytała.

— Jaki Pan? — odezwali się razem, zatrzymując się Julja i jej ojciec.

— A ten Pan z Polskiego hotelu, co Jaśnie Pan posyłał z kościoła, żeby się dowiedzieć ... co to z pod Sandomierza ... och, czy Jaśnie Pan nie pamięta ... co Jaśnie Pani pytała się, czym widział z bliska... co mówiłem, że z Gajowa, że mi człowiek powiedział. —

Poczciwy Grzegorz miał czas, jak najdokładniej i szczegółowo wyłożyć i objaśnić co chciał powiedzieć; ale zdziwiony coraz bardziej sposobem, w jaki się to na niego, to na siebie patrzyli Państwo, którym on najciekawszą rzecz na świecie spodziewał się przez to mówić, całkiem się wreszcie zmięszał, zaczerwienił, i języka, jak to mówią, w gębie zapomniał. Rzucił tylko z ukosa ognistym wzrokiem ku żółtej bekieszy, którą miał za główną całego swego kłopotu, przyczynę, a która, w towarzystwie drugiej podobnej, tylko czarnego koloru, poczęła się teraz od drzwi cukierni w przeciwną stronę odsuwać.

— To powiadasz, że to za tym Panem z temi guzikami i z tą czapką uszatą szedłeś wtenczas z kościoła? że to on jest ten Pan z Polskiego hotelu, o którym nam wróciwszy mówiłeś?

— A! teraz wierzę bardzo — dodała Julja.

— Toż Jaśnie Panie, on i w kościele miał te same guziki; bez czapki był, bo zwyczajnie w kościele, ale ją miał pod pachą. Przecie Jaśnie Pan kazał iść, i ja wprost za nim poszedłem i dowiedziałem się, jak Jaśnie Pan kazał.

— Spisałeś się mój kochany. Nic więcej, tylko tamtego, za którym cię posłano, straciłeś z oczu, a poszedłeś za kim innym. — I odwróciwszy się Kasztelan, prowadził dalej córkę ku domowi spieszniej, bo już się spóźniać zaczynało.

Szli po skrzypiącym mrozie, wszyscy troje jednem, choć

nie w jeden sposób, zajęci. O czem na przedzie był djalog ojca z córką, o tem także z tyłu odbywał się monolog sługi, który też mimo danego sobie przykazu, tak się teraz przez zły humor zapomniał, iż choć mróz wyraźnie się wzmagał, ledwo dopiero pod samym domem przypomniał Pani, że niesie za sobą cieplejsze okrycie, jeśli potrzebuje. — Posyłają — mówił dalej do siebie — djabli znają za czem, nie powiedzą gdzie i jak, i potem patrzą się na człowieka, jak na pijanego, właśnie... Podobny! djabli wiedzą do kogo ... podobieństwa im zachciało się .... do człowieka podobny. Niby się to tak modlą w kościele, Boże odpuść! latał do hotelu, rospytywał się o co pilnego i spisał się! Pfu!

— Jużci on, prawdę rzekłszy — mówił z uśmiechem Kasztelan — nie bardzo i winien; wszyscy razem wychodzili, mógł się pomylić i wziąść jednego za drugiego. Ja nawet sobie teraz trochę przypominam, że mi się ten żółty surdut żółcił gdzieś wtenczas przed oczyma i był koło tego samego filaru... Pan posesor z Gajowa ani się domyśla, że młoda jedna osoba, tak się o nim przez parę dni rospytywała... Bo spodziewam się, że już o tem dawno nie myślisz więcej...

— Wcale nie o nim! Ja zawsze papie mówiłam, że to coś dla mnie niepojętego. Jak mogło być, żeby takiego podobieństwa nie dostrzegł? Nie umiem sobie tego wytłómaczyć, ale prawda, żem tej omyłki nie przypuszczała, nie przyszło mi to jakoś na myśl. Teraz to już dopiero i nadziei nie ma, aby się kiedykolwiek...

— Będziemy mogli — wszedłszy do pokoju, i zrzucając z siebie zimowy surdut, kończył wesołym tonem ojciec — rospowiedzieć już ciotce dokładnie o Panu z Gajowa. Przedni sobie szlachcic! i miał rację, że się nie dał Panu Ignacemu na ten kieliszek namówić, bo widno mu było z twarzy, że nie był to jakiś kieliszek jedynak, ale miał licznych poprzedników; wreszcie pilno mu było na kiełbasę. Trzeba było szczególniejszego przypadku, żeby nam tak sam wszedł w drogę i właśnie na wsiadaniu. —

Weszli do salonu, gdzie czekała na nich ciotka. W parę minut serdeczne i donośne śmianie się, jakie tej szanowne

Pani było zwyczajne, rozlegało się w pokojach, dając znać, że się już o żółtej bekieszy dowiedziała i że ból głowy znacznie musiał być mniejszy. Jeden tylko Grzegorz, który z jadalnej sali słyszał te śmiechy, nie pobudzał się niemi do wesołości, domyśliwszy się łatwo co je sprawiło; i dopiero podczas obiadu naprawił sobie humor, gdy ton, w jakim o tem przemówiło Państwo, przekonał go wyraźnie, iż mu przypadkowej omyłki za winę nie brano.

Kasztelan, a osobliwie jego siostra, często potem o tem zabawnem qui pro quo rospowiadali, już to jako istotnie rzecz śmieszną, już chcąc rzucić przez to komiczność na całe zdarzenie, i tym sposobem owemu w kościele spotkaniu, wszelką ważność Julji odebrać. Można było jednak uważać, iż nie zupełnie skutku dopięli, i że sama, odtąd jak ta historja śmiech obudzała, nie lubiła o niej słyszeć.

VI.

Spacer do Krasińskich ogrodu, któryśmy opisali, stał się w życiu naszej młodej żałobnicy małą niejako epoką. Kilka osób, z tych co ją wtenczas spotkali, ośmieliło się oddać wkrótce wizytę. Nieznacznie samotność domu zaczęła się przerywać. Zdarzało się, iż ktoś z lepszych znajomych przyszedł przypadkiem na obiad: lubo ten przypadek trafiał się zwykle w skutek umyślnych chociaż przed Julją ukrytych, zaprosin ojca albo ciotki. Trzeba było parę razy samej nawet z domu wyjechać. Nudna ciotka nie pozwoliła ani jednym tygodniem dłużej niż trzeba, nosić grubej żałoby. Zrzucając ją z sukien, tem się tylko Julja uspakajała, że jej będzie mogła niezrzucać nigdy z serca. I była w tem szczera. Ale była też młoda!.. Stała dopiero na samym brzegu życia, skąd całe pole jego pokazuje się jeszcze niewyraźnie, i zieleńsze, insze niż jest w istocie; skąd nawet w smutnej i mgłą powleczonej stronie swojej, wydaje się piękniejsze... znośniejsze! Myślała, że to co zacne, co szlachetne, przed czem dusza aż do głębi się otwarła, jest tem samem stałe, *trwające, i niczem* się od nas oderwać, niczem w nas zatrzeć

się nie da; wierzyła w niezmienność i moc swego uczucia, dla tego tylko, że było szczere; wierzyła sama w siebie... Biedna Julja! Na cóż byśmy jej teraz, kiedy jeszcze bynajmniej o sobie nie wątpi, mieli już dowodzić, że jeśli kochać może każde tkliwsze i młode — kochać stale, umie tylko wielkie serce.

Ale nie trzeba, żeby z tych słów źle się Czytelnik o pięknej wdowie Henryka uprzedzał: bo najprzód jest młoda, jest nieszczęśliwa, a więc godna owszem, aby każdy czynił się jej obrońcą: powtóre, nie wiemy jeszcze do końca historji jej życia. Ja to tylko i to jedynie chciałem powiedzieć, że po upłynieniu roku i sześciu niedziel, które ciotka dawno na kalendarzu była wyrachowała i naznaczyła, synowica, żeby się jej nie przeciwić, nie miała już w swojem ubraniu ani śladu żałoby.

Co ją najbardziej ze świata smutków, tęsknot i dumań do życia rzeczywistego i prawdziwego przywołało, to słabość ojca, w jaką właśnie w tych czasach był zapadł. Nic nas tak nie wyrywa z uczucia nieszczęścia, jak nowe nieszczęście; lekarstwo smutne, straszne, lecz skuteczne. Wyborna ciotka, ze wszystkiego umiejąca korzystać, była zdania, iż widok czarnej sukni mógł być choremu nieprzyjemny. Nastąpiła też podróż. Doktorowie wyprawili Kasztelana, lubo już znacznie się miał lepiej, do Ems, przepisując mu później w tamtych że stronach kurację winogronową, i radząc toż samo Julji, która ojcu towarzyszyła.

Listy, jakie z nad Renu ciotka w Warszawie odbierała, prędko ją zupełnie względem brata uspokoiły. Julji także bardzo kuracja posłużyła, chociaż najskuteczniejszem dla niej lekarstwem była zapewne młodość i czas. Znajdowało się tam wtenczas u Wód kilka polskich familji. Spólne rodaków pożycie, jakie zawsze za granicą tak łatwo się zawiązuje i tyle w sobie ma słodyczy; rozrywka przywiązana do podróży; sam widok nowych rzeczy, miejsc i położeń tak pięknych; nakoniec częste listy odbierane i pisywane do kraju, a przytem pociecha z ozdrowienia drogiego ojca: wszystko to Julję ożywiło, uspokoiło, umocniło. Jadąc z powrotem, zabawili jeszcze parę niedziel w dobrach ojcowskich, które miał pod

Krakowem. Na zimę uszczęśliwiona ciotka, powitała ich znowu w Warszawie. Ściskając brata z najserdeczniejszem uczuciem rodzinnem, jakie w niej było zawsze panujące, cieszyła się nietylko jego własnem zdrowiem, ale jeszcze dziękowała mu za Julję, na której świeżość, żywość, i piękność, nie mogła się napatrzeć.

Dom Kasztelana był teraz dla wszystkich otwarty. Śliczna jego, kwitnąca i pełna wdzięków, gospodyni, przywabiając liczniejsze niż kiedykolwiek towarzystwo: słodyczą, trafnością, dowcipem i gustem swoim przydawała mu codzień nowych ponęt i była jego duszą. Była to w gruncie zawsze ta sama dobra, kochana i pełna czucia młoda osoba; jednak już cokolwiek inaczej, pomimo nawet wiedzy własnej, na życie i na siebie patrząca. Pamięć Henryka nie gasła w niej, nie opuściła jej tkliwego serca, zawsze mu była droga; ale ta pamięć już się w niej dzisiaj odmiennej niż przedtem ze światem, jego stosunkami i wrażeniami łączyła. Krótkie jej z mężem pożycie, miłość jego, szczęście jakie z nim kosztowała, był to wprawdzie zawżdy przed jej myślą żywy i kochany obraz; wpatrzywszy się w niego, wszystkie jeszcze rysy, wszystkie jego punkta i kolory widziała, poznawała, lubiła: lecz na ten obraz, jasny, piękny jak słońce i ustawiczny, padły jakieś cienie, jak gdyby pokrył go jakiś obłok, jak gdyby farby na nim jakaś zawistna ręka starła zlekka, tu i ówdzie jedne z drugiemi zmięszała, i cały obraz znacznie dalej od oczu odstawiła. Na tle jego występował także przed Julją, kiedy niekiedy ów dziwny moment ujrzenia nieznajomego na mszy żałobnej; serce jej nie zwało go nigdy nieznajomym... Napróżno się jednak jątrzyło i umęczenie sobie zadawało, żeby to odgadnąć i zrozumieć.

Pomiędzy modną młodzieżą jaśniał tego roku w Warszawie Edward C**. Poznała go Julja najsamprzód za przyjazdem do Ems. Wracał właśnie z Paryża, po kilku latach podróży i był u Wód przejazdem tylko; tak mu jednak niespodzianie zaszły przeszkody, iż zatrzymał się przez cały czas bytności Kasztelana i stanowił tam codziennie jego towarzystwo. W kraju, i zaraz w Krakowskiem, znowu się znaleźli razem, gdzie mieszkała matka Edwarda. Że widok Julji

nie był dla tego polskiego paryżanina obojętny, nie trzeba było nawet wzroku ojca, żeby to dostrzedz; od razu też Kasztelan owe przeszkody, zatrzymujące w Ems, doskonale zrozumiał, i uważał tylko, jakiem go okiem widziała Juija. Pomimo najgorszego wychowania, jakie przez Francuzów niewiedzieć jakich i u Francuzów odebrał, a na które rodzice ogromnego kosztu nie żałowali, w rozumieniu, iż byle tylko wychować syna po cudzoziemsku, już go tem samem wychowają jak najlepiej: samym jednak przypadkiem, samą krwią, lub też, co będzie najwłaściwiej powiedzieć, samą łaską Opatrzności, ukształcił się na młodzieńca bardzo przyzwoitego i szanownego. Chociaż kraju i wszystkiego co krajowe nie znał prawie, miał wszakże szczerą ku temu wrodzoną miłość, czem też mocno sobie staropolskie Kasztelana serce ujmował. Był prócz tego przystojny, przyjemny, wesoły i miał piękny talent muzyki. A że przy tem wszystkiem był i Panem znacznego majątku i z pięknej familji, Kasztelan, jak to zwyczajnie ojciec o szczęściu dziecka myślący, dobrze go bardzo przyjmował: ile, że o jego dla Julji miłości i widokach małżeństwa nie mógł już teraz wątpić, i że ciotka, której się Edward ze wszystkiego, a między innemi, świeżo, z prześlicznego ekwipażu niepospolitym sposobem podobał, była także bardzo za nim.

A Julja? ... zapytacie... Delikatna materja. Julja lubiła muzykę; Julja wiedziała bardzo dobrze, chociaż nie od samego Edwarda, że miał zimę nie w Warszawie ale w Wiedniu przepędzić; może się nawet domyślała, bo i to być może, czemu teraz zmienił projekt i przeniósł Warszawę nad Wiedeń. Julja, mówię, nie mogła nawet tak być niesprawiedliwą, żeby nie przyznawać kochanej ciotce, że Edward miał istotnie szlachetne i piękne spojrzenie, słodycz w uśmiechu, tkliwość w głosie; w całym układzie przyjemność i wdzięk. Z mojej strony to tylko powinienem jak najmocniej zaręczyć, że jeżeli czemkolwiek zyskał sobie serce młodej wdowy, tedy najwięcej tem, że znał niegdyś i kochał Henryka, że lubił i umiał o nim mówić, miał nawet jeden od niego list najczulszą przyjaźnią nakreślony. Co jej szczególniej było w nim miłe, to, że dotychczas nigdy prawie, a przynajmniej nigdy

otwarcie, uczuć swych nie wynurzał, nigdy zwłaszcza żadnych sobie przekładań i uwag nie pozwalał, coby miał na celu osłabienie i zacieranie pamiątki Henryka. Biedna Julja nie postrzegła, iż zamiast o tem mówić, coby ją też na większej ostrożności trzymało, wolał raczej powoli i nieznacznie skutkiem to uiszczać. Wspomnieć jeszcze trzeba o tych ustawicznych pochwałach, z jakiemi inne kobiety, córki i matki, w obec Julji mawiały zwykle o Edwardzie, już to wynosząc jego powierzchowność, już umysłu i duszy przymioty. Kto zna kobiety, przyzna, iż nie był to szczegół małej wagi, i że owe pochwały ciągle, zewsząd, i nie przez jaką ułożoną intrygę, lecz w najszczerszy sposób szerzone, były jedną z najniebespieczniejszych broni, jakich w interesie Edwarda, na młodą i żywą Julję można było użyć.

W czasie, o którym teraz mamy mówić, roskochany Edward, ale ostrożny i na pozór zawsze jeszcze hamujący się, bywał już prawie co dzień w domu Kasztelana. Matka jego, która na prośbę swego jedynaka i już w widokach zamierzonego małżeństwa, przybyła do Warszawy, nie rzadkim także bywała tam gościem: ile, że najprzód, przyjechawszy niby za pewnym tylko interesem z Rządem i nie na długo, nie trzymała domu i stała ciągle w hotelu; powtóre, znała się była bardzo dobrze z matką Julji, długo z nią niegdyś do tych samych należąc towarzystw; Julję pamiętała jeszcze małą dziewczynką, i teraz ją sobie mocno upodobała; prócz tego z ciotką szczerze siebie nawzajem polubiły.

VII.

Nadchodził dla miasta, a zwłaszcza dla kobiet i młodzieży, walny dzień i jeden z najgłówniejszych w roku: Bielany!.. Nie wiem jak teraz, bo jużem dawno Warszawę pożegnał, a rzeczy się na tym niestałym świecie zmieniają; ale w owych czasach, będzie zaś temu kilkanaście lat z górą, bywała to istotnie niepospolita uroczystość. Nie mówiąc nic o stronie religijnej, która też od swojej przeciwnicy światowej całkiem już była zatartą, i tyle z niej tylko zostało, iż

za cel spaceru nie jakaś oberża, lub ogród publiczny, ale był las przy klasztorze biednych Kamedułów, w których cichą i zwyczajnie pustą krainę, wlewał się w ten dzień całą szerokością powietrza, jakby przy najściu nieprzyjaciół, huk, hałas, zgiełk, gwar i kurzawa zabawą tylko zajętego miasta. Jako obchód miejski, widok światowy, i spólna rozrywka kilkudziesiąt tysięcy ludzi, jedni się drugimi bawiących, była to prawdziwie rzecz ciekawa. Mało nawet jest miejsc w Europie, gdzieby coś podobnego widzieć można. Sławnego np. Long-Champs, Paryżanie nie mogą ani przyrównywać: nie ma ani tej wesołej, jasnej i miłej fizjonomji co Bielany, w czem sama już pora roku konieczną stanowi różnicę; ani bez porównania nie jest tak Świętem powszechnem, publicznem, jawnem i całą ludność zajmującem. Sama ogromność Paryża już tego nie dozwala: w nim przynajmniej cała jedna połowa mieszkańców nie wie nigdy, nie widzi, nie patrzy, nie słyszy, co robi przez ten czas druga; w Warszawie przeciwnie, młodzi i starzy, kobiety i męszczyzni, bogaci i ubodzy, lud i państwo, wszyscy i wszyscy razem o Bielanach wiedzą, pamiętają myślą i mówią. Prócz tego Polacy, z natury swojej weseli, zabaw miłośnicy, zgromadzać się lubiący i prawie dziecinni, czem bynajmniej nagany ich nie kreślę, więcej daleko w takich rzeczach mają szczerości, swobody, natury i serca. W Paryżu, i gdzieindziej, w takich miastach jak Paryż, i w takich krajach jak dziś Francja, niedługo ludzie zupełnie się bawić i cieszyć zapomną, nie potrafią: wesołość i uciecha tak tam tylko będzie w próżnej i nieżywej formie, jak już dziś po części są inne uczucia. Szczera bowiem wesołość, szczera uciecha, szczera zabawa, ani się na żelaznych drogach dogania, ani przy żadnej bursie akcji na siebie, choćby za najgrubszy kapitał, wziąść nie daje; ani wszystkiemi zbytkami, płodami i wymysłami kupczącego, filozofskiego i zepsutego świata, w żadnem się sercu nie przywoła i nie roskwitnie. Przytem jeszcze wszystkiem, uroda, wdzięki i piękność Polek, była to okrasa, światłość i uroda Bielan, o jakie trudno gdzieindziej.

W tłumie ówczesnych piękności niepospolitą rolę miała odegrać Julja. Gdyby też nawet sama to zapominała, o co

przecież niesłusznie byłoby ją oskarżać, dosyć było ciotki i jej koło niej starań i opieki, aby o tem pamiętała i już na kilka dni wcześnie myślała. Toaletę wygotowano przepyszną. Julja, między innemi przymioty, miała niepospolity przymiot gustu. Ułożono, aby jechać razem dwoma pojazdy: Kasztelana i drugim Edwarda, któren ciotka z kształtu i z wygody ciągle niezmiernie w łaskach miała. Lubo utrzymują Warszawianie, iż na Bielański spacer musi być koniecznie choć trochę deszczu: co też zdarzało mi się w podobnych razach słyszeć i gdzieindziej, a co pewnie należy tylko do tego rodzaju spostrzeżeń, jak jest np. to postrzeżenie u chorych, że w bolące miejsce częściej się człowiek uderzy; tego jednak roku najśliczniejsza pogoda służyła. My, dając zupełnie czas całej Warszawie stroić się, wybierać, przyrządzać, gotować i jechać jak tylko sobie kto zechce, z kim zechce, i kiedy zechce, landarą, karetą, koczem, bryczką, wóskiem, dróżką, konno, czy nawet piechoto, uważmy raczej, jak się zbierze obchodzące nas towarzystwo.

Główną w tym razie rządczynią była ciotka. Tak tedy ułożyła. W pojeździe Kasztelana: ona, Julja, na przodzie Edward, i jeden młodziutki kuzyn domu, chodzący do Lyceum, który jednak na ten dzień nie chciał żadnym sposobem w niebieskim z białemi tasiemkami pokazać się mundurze, ale nowiutki, czarny przywdział tużurek. (Ten kuzynek był tam od Julji dla tego tylko wezwany, żeby Edward nie był sam i mniej przez to na siebie zwracał oczów). — W zielonym koczu Edwarda: matka jego, Kasztelan, i jeden z najbliższych Kasztelana przyjaciół i kolega na urzędzie. Dyrektorka spaceru wolałaby nierównie być w faworytnym koczu, chociaż i pojazd brata był bardzo ładny: przyjęła w tem jednak jego uwagę i zrobiła jak było przyzwoiciej, nie chcąc się tylko z młodą parą rozdzielać, żeby jej zawsze być pod ręką, i już to zbytnią ostrożność Edwarda, już wstrzymałość Julji, zaraz na razie zręcznem jakiem słówkiem zastąpić.

Ledwo wyjechali na ulicę i weszły pojazdy w rzęd za innemi, Julja ściągała na siebie wszystkich oczy, nietylko z okien i balkonów, w dywany i różne opony przybranych i pełnych ludzi, ale także z samychże ulic, gdzie ciągiem mnóstwo

rozmaitych osób szło, albo raczej na miejscu się ruszało, taki był wszędzie ścisk, i pojazdy, noga tylko za nogą postępowały. Ciekawość, jaka się na Julję zwracała, a którą blask jej piękności żywszy dziś niż kiedykolwiek, może też tylko samą toalety świetnością podniesiony, aż nadto usprawiedliwiał, była podwyższaną tym jeszcze szczegółem, że znajoma już pogłoska o nowych ślubach jej z Edwardem, nabierała więcej teraz podobieństwa, gdy na tak publicznem pokazaniu się, oboje ich widziano w jednym pojeździe. Ciotka, której nigdy nie było dosyć, kiedy szło o tryumf ukochanej synowicy, patrząc na wszystkie strony i kręcąc się w pojeździe, wyszukiwała niecierpliwie spojrzeniem na prawo i lewo wzroku znajomych i mniej znajomych, wszystkim się z niepospolitem uszczęśliwieniem kłaniała, uśmiechała, przymilała, to głową, to wąchlarzem, to parasolką lub chustką znaki przyjaźni i radości wydając, żeby tylko jak najdłużej i najwięcej na sobie, a raczej na Julji i Edwardzie oczy ludzkie zatrzymać.

— Co to za Jejmość Dobrodziejka — odezwał się głos jeden z okna drugiego piętra, gdy właśnie wjeżdżali na ulicę Freta — tak się wierci na wszystkie strony jak na śrubach... Ta z dużemi piórami, w niebieskim kapeluszu, za tym zielonym koczem?

— Mniejsza o nią — odpowiedział mu drugi, z młodszych wychodzący piersi — ale jaką ma córkę, czy wnuczkę, obok siebie! czy widzisz tylko jaka piękna!..

— Ach! co to za śliczna; cóż to za bóstwo, doprawdy! — głos inny z naprzeciwka ulicy i o parę kroków dalej — ta co przy tej tłustej, kręcącej się? Powiedzcie mi na miłość Boską, kto to taki! Oto, panie, piękna, kiedy piękna!..

— A! widzicie państwo — mówiono z balkonu — piękna wdówka ze swoim Panem przyszłym!.. Hmm, już to musi być pewne, kiedy tak razem występuje, a tam znów ojciec z matką.

— Byłem pewny, że to tak się ta sławna wierność skończy; dziwię się tylko, że nie prędzej. Biedny Henryk! otóż to kochaj, żeń się, ubóstwiaj, całe życie swojej Pani po-

święć!.. O kobiety, kobiety! a sławili, chwalili ten przykład wierności i stałości... Ładna, nie ma co mówić.

— A wy, Panowie krytycy — odrzekł dźwięcznym głosem, zwracając ku Julji i Edwardowi lornetkę, jakiś członek płci, której tak przymawiano — wy cnoty i wierności chodzące! wy macie wielkie prawo skarżyć się... Ale istotnie pan narzeczony jest bardzo dobrze. Kiedyż wesele? —

Takie i podobne mowy przeprowadzały nasze damy ciągle. Za rogatką spotkało je kilku kawalerów konno, i aż do Bielan, z tej i z tej strony pojazdu przy nich jechało. Ciotka nie posiadała się z radości, tem bardziej, iż było to właśnie czoło warszawskich modnisiów; swoim dobrym, tryumfującym humorem, aż prawdziwie Julję męczyła.

— Na kogo to tak, Juleczko, patrzyli ci państwo, zatrzymawszy się — zapytała ją głośno, tonem niby przycinku dowcipnego, gdy minęli jedną liczną grupę — może Pan Edward wie na kogo?

— Moja ciociu — odbroniła się Julja, trochę cierpko i prawie znudzona — jużci patrzą na nas wszystkich, jak my na wszystkich; a jeżeli na kogo bardziej, to na tych panów — dodała wskazując przybocznych jeźdźców — bo pojazdami wszyscy jadą, a konno, a jeszcze na tak pięknych koniach, mało kto. —

Dojechali nakoniec do Bielan. Wysiadłszy trochę i pochodziwszy w ogromnym tłumie spacerujących, gdzie sposobem, jakim na Julję patrzano, przedziwny humor ciotki nie miał się wcale powodu zepsuć: że czas był bardzo miły, i żeby więcej użyć spaceru, a razem odetchnąć trochę ze zgiełku, kompanja nasza zamiast wracać wprost nazad, pojechała owszem dalej za Bielany. Do pojazdu, gdzie był Edward, przysiadł się teraz obok niego i na miejscu Licejczyka inny młodzian, Karol S**, wiejski Edwarda sąsiad, świeżo do stolicy przybyły. Spotkawszy się z sobą przed chwilą, zaczęli byli żywą rozmowę; ciotka, żeby im nie przerwać, i że także znała Karola, ofiarowała mu miejsce w pojeździe. Miała też w myśli przysłuchać się, co rospowiadał przyjacielowi o jego majątku, gospodarstwie, domu, ogrodzie i t. d. Samej nawet zręcznie o niektóre się szczegóły spytać: już bowiem wszyst-

kie te rzeczy nie były dla niej obojętne, i inaczej ją obchodziły, jak gdyby należały do kogo obcego i cudzego.

— Już to ogród — zrobiła chytrze uwagę, dla tego tylko, żeby się dowiedzieć — pod niebytność panów zwykle nasi ludzie zaniedbują ... tylko prawda, że Pan Edward, ledwie co wróciwszy z zagranicy, nie miał jeszcze pewnie czasu ogrodu u siebie urządzić.

— O! przepraszam Panię — odpowiedział prędko Karol — ogród Edwarda nie czekał powrotu jego z wojażu: urządzony jest od dawna doskonale, we wszystko wybornie opatrzony i ciągle jak najlepiej utrzymywany. Bo niech Panie nie rozumieją — dodał z szczerością wieśniaka, lubiącego oddawać ludziom sprawiedliwość — żeby mój sąsiad nie pamiętał za granicą o domu; przysłał owszem stamtąd kilka razy bardzo ładne rzeczy, między innemi także i szczepy do ogrodu. —

Ciotka spojrzała na Julję, a Karól mówił dalej, zwracając się do swego przyjaciela. — Ale, ale, mam też ci i smutną wiadomość; poczciwa Witkowska umarła biedaczka.

— Wiem, pisali mi o tem.

— Któż to jest, jeśli wolno wiedzieć? — zapytała ciotka.

— To była jedna z naszych biednych sąsiadek — odpowiedział Edward.

— To nie dość dokładna odpowiedź — poprawił Karol — była to podupadła i w wieku już szlachcianka, matka kilkorga dzieci, której Edward dawał od dawna pensję. Żebyś wiedział — obracając się znowu do Edwarda, który spłonął ładnym rumieńcem — jak ją to gryzło, że nie mogła ciebie widzieć! jak żałowała, że właśnie w czasie twego przyjazdu na wieś, była w Częstochowie! Ja widywałem ją, bo wiesz, że koło jej domku przejeżdżałem; zawsze mi się o ciebie tak czule wypytywała, a czy zdrów, a kiedy wróci... biedna babka. Odwiedziłem ją w chorobie. Czułem już, że nie wyjdzie, i z płaczem tobie błogosławiła, tem się niezmiernie turbując, że ci nawet nie mogła podziękować i wdzięczności swojej okazać... Kto jemu za mnie podziękuje!.. Wszystko powtarzała — kto jemu za mnie podziękuje!..

— Ja podziękuję i dziękuję bardzo! — wyciągając rękę

do Edwarda, rzekła z tkliwem spojrzeniem Julja, która w pierwszej chwili wzruszenia, nie zawsze umiała być zupełną swoją panią. Uszczęśliwiony nad wszelki wyraz kochanek, przykrył drogą i śliczną rękę gorącem pocałowaniem. Oczy ciotki błyszczały jak dwa djamenty. Czy w tem podaniu ręki i w tem wzruszeniu Julji, było tylko uczucie dobrego uczynku Edwarda, czy też się inne jakie, więcej osobiste łączyło, nie widzę potrzeby ciekawości w tem Czytelnika zaspakajać. Dość, że zmięszana natychmiast i stanem swojej duszy i przytomnością Karola, unikając też wzroku Edwarda, odwróciła się szybkim ruchem na bok ... i w tymże momencie wstrzęsła się, krzyknęła, zbladła jak ściana!

— Ach! przez miłość Boską, co takiego! co ci jest! — zawołała ciotka, w obie ją ręce porywając.

— Co to jest! — krzyknął z nią razem, przestraszony Edward. — Stój, wstrzymaj konie! —

Stanęli. Julji oczy przerażone patrzyły jeszcze między drzewa w to samo miejsce... Cieniem ich, który już coraz gęstniał, przeszedł ktoś i zaraz że pomiędzy gałęzie zniknął. Edward, potem i Karol, chcieli wysiąść, lecz sami nie wiedzieli co się stało, co zrobić, czy mieli iść prędko i dla czego za osobą, która się przesunęła, której zwłaszcza ani zobaczyli, ani widzieli kto taki.

— Ten sam, niezawodnie... Czy widziała ciocia? — przemówiła po chwili uciśnionym i drżącym głosem Julja, przeciągając sobie ręką po bladem czole i zamkniętych oczach i zaraz ją na lewym boku wspierając. — Nie widziała ciocia? — dodała otarłszy już oczy, i zatulając na sobie szal, jakby nagle zimno ją przejęło — ten sam, któregośmy z papą widzieli w kościele... ale teraz inaczej wyglądał... — kończyła tonem niby spokojnym, wyraźnie udawanym, jak gdyby nic nie zaszło, pokazując, że nie chce ani sama dłużej o tem mówić, ani żeby drudzy mówili. Kazała jechać, jeszcze tylko raz między owe drzewa spojrzawszy z widoczną trwogą.

— Jak się Pani teraz czuje? — spytał się cichszym i skłóconym głosem Edward.

— Dobrze; dziękuję bardzo... — słowa te przerwało *w pół* ucięte i ciężkie westchnienie.

— Ale jak się Pani przelękła! jak się była zmieniła! — przydał zaraz Karol.

— Dziecińｓtwo! Moja synowica jest czasem doprawdy jakby mała na pensji panienka — odezwała się nakoniec, także blada, lecz od gniewu, ciotka: strwożona bardzo, aby jedna chwila wszystkiego nie zniweczyła. — Ktośby myślał, że niewiedzieć co! Spotkała kiedyś z ojcem niewiadomo kogo, co miał być podobny do... do pewnej osoby z naszej familji... z naszej niegdyś familji, i to jest cała rzecz. Ale te nerwy, ta młodość, ta czułość dziecinna! jak gdyby coś dziwnego spotkać dziś kogokolwiek koło Bielan, kiedy cały świat tu przyjechał i przyszedł... bo ten Pan chodzi, widzę, piechotą po lesie, jakby nie na Bielany, nie bawić się, ale grzyby czy szyszki przyszedł zbierać! — mówiła ku przodowi kocza, wyraźnie rozzłoszczona i chcąc jak najprędzej całe zdarzenie wytłómaczyć.

Tego tłómaczenia ci, dla których czynione było, nie w jednakowy sposób słuchali. Karol słuchał wprawdzie ciekawie, lecz nie wiele się z niego dowiedział; Edward zaś, który wiedział dawno od samej Julji o owem niegdyś spotkaniu nieznajomego, szedł raczej za biegiem własnej myśli, śledząc tylko niespokojnym wzrokiem bladą jeszcze twarz Julji.

— Ale prawda, że jakiś straszny samotnik — mówił Karol, widząc wszystkich przy sobie pomięszanych i probując skłonić rozmowę w lżejszy jaki ton. — Tak daleko od ludzi, sam jeden i w lesie... ha! kto wie czy też czasem nie czeka na kogo co ma samotność mu przerwać i tę puszczę przed nim ożywić?

— Gdzie tam! to jakiś niedźwiedź — odbiła ciotka, rada iż na kogokolwiek i jakkolwiek mogła swój zły humor wylać — tam wszyscy się bawią, cieszą, on woli po ciemku między drzewa się włóczyć i przejezdnych straszyć... Chyba jak powiadam, że go kto wysłał za grzybami... cha, cha, cha! — udawszy, że ją ten powtórzony i niewyśmienity koncept szczerze zabawił. — Nie prawdaż Juljo? Czy prawda?

— Prawda, ciociu....

— Czy Pani słyszała o co się zapytali? — przemówił z przymuszonym uśmiechem Edward.

— Słyszałam — dała prędzej odpowiedź Julja, nagle się czerwieniąc i poprawiając w pojeździe. Słowa Edwarda przebudziły ją z ciężkiego zamyślenia. — Gdzież my jesteśmy?... Ach jak on powoli jedzie! dodała patrząc po drodze jedną i drugą stroną — czy nie zimno cioci?

— Mnie!. a to jakim sposobem? tak ciepło!.. Ja, Bogu dzięki, mam nerwy zdrowe, ze zbytnich nowomodnych czułości śmieję się, a przywidzeń żadnych nie przypuszczam; spaceru też nikomu nie psuję, nikogo nie straszę... Nieprawdaż, Panowie, że ja sobie taka jestem kobieta? — chcąc już sama to swoje dąsanie się choć trochę w kolor żartu przybrać i uczynić je znośniejszem.

Nie długo byli z powrotem w domu. Zatrzymanie się pojazdu o którem wspomnieliśmy, było tak krótkie, że z pierwszego kocza ani go postrzeżono. Owszem, kiedy przy Julji towarzystwo nagle się zasępiło, zmilkło, lub w najgorszy przeszło humor: w zielonym koczu przeciwnie, miła, szczera i w najsłodszy sposób toczyła się rozmowa. Przyjaciel Kasztelana, był to przyjaciel prawdziwy: mówili tedy wszyscy troje otwarcie, o Edwardzie, o Julji, o przyszłym ich związku, o przyszłych obu rodzin nadziejach i pociechach.

— Jest to może trochę zabawnie, że my tak o losie Julji mówimy bez wiedzy Julji, która jednak jest wdowa i Pani swojej woli, dodał Kasztelan, gdy już napowrót w miasto wjeżdżali. — My to tak z siostrą uradziliśmy, aby ją jak najdłużej na stanowcze słowo nie wyciągać, zostawując rzecz czasowi, żeby to samo przez się przyszło: ile że zaraz od początku można było widzieć, iż syn Pani umiał się postawić koło młodego serca w bardzo dobrej pozycji... Bo to z młodemi kobietami trzeba czasem jak z dziećmi, dla których i za które wszystko należy robić. Wczoraj mówiliśmy z nią dosyć długo, i rozumiem, że z zupełną pewnością możemy na nią rachować.

— Jak też to uszczęśliwi mego Edwarda! Ja zaraz od razu niezmierniem sobie tego życzyła i możem mówić już szczerze, że może to był główny interes i jedyny przyjazdu mojego powód. Poznawszy z bliska Julję i widując ją często, *zaczęłam* mu jeszcze bardziej i goręcej tego życzyć... Jak

też on, biedny chłopiec, roskochany! Ja prawdziwie boję się, żeby już matki nie przestał kochać, tak jest jednem tylko zajęty. —

Łagodny pokój jaki się na jej twarzy malował, dowodził jednak, że tej mniemanej bojaźni nie przypuszczało jej serce. Przy wysiadaniu rodzice postrzegli zaraz na twarzach dzieci, zwłaszcza na twarzy ciotki, która też podobno była największem i najszczerszem dzieckiem, nie taki humor jakiego po wesołym, miłym i spólnym spacerze można się było spodziewać. Edward na ganku zaraz spytał się matki czy nie chce wprost odjechać do siebie, żeby odpocząć i że ją odwiezie... Przyjęła wniosek, widząc wyraźnie, że coś zaszło i że miał z nią pilnie mówić, niecierpliwa dowiedzieć się i poznać co było. Dopiero po ich odjeździe (Karol zaś w mieście jeszcze był wysiadł), wybuchła ciotka, rospłakała się Julja, strwożył się Kasztelan i dowiedział się o wszystkiem.

— No i cóż z tego, moja kochana? Jest bardzo podobny, widziałaś go drugi raz, możesz widzieć trzeci, czwarty, dziesiąty, cóż z tego? Czy rzucisz się na szyję pierwszemu nieznajomemu dla tego, że do twego męża podobny...

— Ach, papo!..

— Ale bo prawda. Co chcesz? jaki masz projekt? co chcesz z tem robić? niech wiem, trzeba przecie wiedzieć czego się trzymać. Czyż chcesz własne szczęście, jako i szczęście moje, szczęście nas wszystkich podeptać, własną nawet sławę? Tylko co mówiliśmy z matką, cały czas o tem była mowa. Jego od roku przyjmujesz, kochasz nawet, bo to po wszystkiem widać. Człowiek słuszny, do rzeczy, przyjemny, szanowany, partja pod każdym względem jak najlepsza... Czyż dla tego żeś mu otwarcie, jawnie i przy świadkach nic nie powiedziała, możesz że teraz zerwać, odrzucić, wszystko stargać, jak gdyby tylko słowami można czyjąś miłość ośmielić? I teraz, kiedy wszyscy o tym związku wiedzą, mówią, kiedyś sama wczoraj jeszcze zezwalała i pewno w sercu pragnęła...

— O! mój Boże, mój Boże! — odpowiedziała z płaczem Julja — ja tylko wiem, że jestem nieszczęśliwa! To się wszystko bez mojej woli, bez mojej prawie wiedzy zrobiło.

nie wiem jak się to stało, jak do tego przyszło, jak się tak dałam w to wciągnąć...

— Kto cię wciągał?.. Czy jesteś dziecko?.. Chcesz że nam robić wyrzuty? Mów, w czemeśmy względem ciebie winni?

— Ja doprawdy i słuchać nie chcę i widzieć nie chcę i być tu nie chcę! niech sobie robi co się jej podoba. Przywidzenia jak u siedmioletniej dziewczynki!.. Taki majątek, imię, ułożenie, przywiązanie, delikatność... nie jedna, nie dziesięć zazdrości, które są także i ładne i młode, młodsze nawet, moja duszo.... Jak sobie zechcesz! nie ty sama na świecie... ale ostrzegam, że będziesz kiedyś, kochanko, gorzko i bardziej niź teraz płakała, nie na mnie, ani na ojca, ale na siebie samą po niewczasie! — Powstawszy zaperzona, i wszystko to z mocnemi giestami wygadawszy, ciotka, pierwsza całej tej sceny autorka, wyszła z pokoju i drzwiami za sobą stuknęła...

— Ja na własne nieszczęście skarżę się... mnie własne nieszczęście w to wciągnęło... — mówiła Julja, gdy zostali sami z ojcem, w żywszy jeszcze płacz uderzając. — Ja wiem, że ciocia i papa chcą mego dobra i kochają mnie więcej niżem warta... ale żeby papa wiedział, żeby ktokolwiek wiedział jakiego ja wrażenia pierwszą razą, a osobliwie dzisiaj, doznałam... ile wtenczas dziwnej słodyczy, ile teraz dziwniejszej jeszcze trwogi... Ja nie wiem, papo, co to jest; nie wiem co robić, co myśleć, co wierzyć... to coś dziwnego, dziwnego! —

Ojciec zrobiwszy kilka kroków w milczeniu, przez całą bowiem rozmowę chodził prędko po pokoju: za odpowiedź i na zakończenie sceny, o której uczuł teraz, że ją trochę porywczo poprowadził, zbliżył się do córki i serdecznie ją uściskał. Ta tkliwa dobroć kochanego ojca, wstrząsnęła serce Julji aż do dna... łzy jej pociekły po piersi ojca strumieniem...

Uspokój się, Juleczko... dziecię moje!.. proszę cię... no, widzisz... napij się trochę wody... nie ma nic bardzo złego. Edward wie, że pamięć Henryka i to, co jego przy*pominać może*, nie jest dla ciebie obojętne; jutro będziemy

go widzieli: nic tak bardzo ważnego nie zaszło, jak się ciotce wydaje. Teraz się uspokój; może się na moment położysz, do herbaty. Chcesz, to ci kogo zawołam... Ja sam mam list jeden napisać. —

Zadzwonił na służącą. Nim wyszedł, nalał drugi raz wody i postawił przed córką. We drzwiach jeszcze się odwrócił i przez chwilę patrzał... już miał odejść, lecz Julja się rzuciła i kilkakroć wprzód rękę ojcowską ucałowała.

Wiecież teraz na kogo się ta cała burza obaliła? Na tego jak często bywa, co ją sam wywołał.

— Zawsze mię asani musisz poduszczeć, popchnąć — zaczął zaraz ode drzwi Kasztelan, który przed napisaniem listu wstąpił naprzód do siostry — że potem żałuję i sam na siebie się gniewam!.. Teraz jeszcze gotowa się rozchorować; nie mogłem utulić, wciąż tam biedaczka płacze. Wiesz dobrze, że nie mam tylko jedno dziecko; wyłajaliśmy ją, wykrzyczeli jak głupią jaką dziewczynę... Jeśli ze mną mieszka i życie moje uprzyjemnia, to jej dobra wola, jest Panią swoją, jest wdowa jak asani, mogłaby trzymać dom własny i pewnieby pustkami nie stał, bez nas by się obeszła. Narobiłaś krzyku, nagroziła, nagadała... biedna biedaczka! — I dopiero teraz usiadł przed stolikiem naprzeciw siostry, podparłszy się prędko pod brodę, noga na nogę założywszy, nie widząc też, bo się patrzył na pokój nie na stolik, że rzucił kapelusz na karty co były rozłożone do kabały i znacznie szyki ich pomięszał.

— Jest!.. Byłam pewna, że tak będzie — zawołała nasza ciotka, kładąc przed sobą talję, odsuwając się od stołu i zdejmując okulary, co w samotnych godzinach, a zwłaszcza wieczorami, zwykle się już z futerału na nos jej przenosiły, niegdyś bardzo regularny i który przed kilku jeszcze laty nigdyby jarzma tego nie scierpiał. — Byłam pewna!... to znów co nowego... —

— Właśnie, że nic nowego, bo już to nie pierwszy raz. Cóż tak strasznego zrobiła?.. Owszem, gdyby już o Henryku zapomniała, byłoby to dziwniejsze i gorsze. Edward, jeśli ma serce, wcale się tem obrazić nie może; to się każdemu i jemu samemu zdarzyć mogło. Zły jestem na siebie nie-

zmiernie: powstałem tak na biedną, jak gdyby Bóg wie co przewiniła, a wszystko z twojej łaski.

— A! moje państwo, dajcież mi święty pokój, róbcie sobie co chcecie! zrywajcie, kłóćcie się, psujcie wszystko, co dziś zrobicie, jutro odrabiajcie, żeńcie się czy nie żeńcie: mnie to mojej kabały nie przeszkodzi... tylko mi asan kapeluszem kart nie mięszaj. Byłam pewna, że tak mi podziękują!.. Ja tam waszych tych nowych światów — dodała śmielszym tonem, widząc że brat umilka, że zdjął posłusznie kapelusz i nie czując się aby w czem bardzo przekroczyła — nie rozumiem i nie chcę rozumieć. Co robię, robię z przywiązania; a nie podoba się? to i owszem, nie będę się mięszała, róbcie sami i układajcie, zobaczymy. —

Kasztelan się istotnie uciszył. Zrobił sobie, choć późno, uwagę, że jak wprzód na córkę, tak teraz na siostrę nie zupełnie w porę wybrał się z wyrzutami. Uczuł, że sam w tem wszystkiem był za prędki i radby teraz żeby już to jak skończyć. — Wstąpię jutro rano do matki, cóż przecie! to się to wytłómaczy, nie ma czem się bardzo troszczeć. Nieprawdaż?.. Jak myślisz?

— Mnie się nie pytaj; wiesz, że jak ja myślę to pewno źle; że ja nic dobrego nie pomyślę i nie powiem.

— Tego wcale nie wiem; przeciwnie — przemówił łagodnym i zgody szukającym głosem.

— Wstępuj sobie asan, układajcie się, zrywajcie się, róbcie z siebie widowisko... Mnie się zdaje żem ja nic złego nie zrobiła i że nie miałeś po co przychodzić jeśli tylko z wyrzutami. —

Kasztelan przekonywając się, iż na razie nie potrafi Pani siostry udobruchać, która teraz włożywszy znów okulary i zbliżywszy się do kart napowrót, ze wszystkiem znalazła pomięszane. Unikając też jej złego humoru, co zaczynał nietylko odpornie ale już zaczepnie ostremi miotać słówkami, osądził, że będzie najstosowniej życzyć dobranoc; jakoż niebawem się oddalił. Wprzódy jednak usłyszał jeszcze parę przycinków coraz mocniejszym tonem: (ciotka bowiem, jak *się to* zwykle na wojnach, większych i mniejszych, dzieje, *postrzegłszy* napastnika cofającego się, tem dzielniejszem na-

tarciem chciała sobie pierwszy moment trwogi i zmięszania się nagrodzić). Wprzódy mówię, usłyszał, że najgorzej jest kiedy męsczyzna, nie zastanowiwszy się dobrze nad tem co ma mówić i czynić, unosi się gniewem i wybucha jak gdyby nerwowa i chora kobieta; że Julji możnaby darować, ale w jego wieku i przy jego rozumie możnaby więcej trochę sobą rządzić... i t. d. — Tak tedy wszystkim, i jednemu przez drugiego, tego zaraz że wieczora sprawiedliwość się wymierzyła.

VIII.

Całe to zdarzenie nie miało w rzeczy samej ani dla Kasztelana i ciotki, ani dla Edwarda i jego matki żadnego ważnego następstwa. Edward pojmował łatwo, że widok osoby tak bardzo, jak powiadali, do Henryka podobnej, ile że zupełnie niespodziewany, musiał Julję mocno uderzyć; z drugiej strony to, co mu matka ze słów Kasztelana powtórzyła, było dla niego wielką osłodą i najlepszem uspokojeniem. Ciotka zaraz nazajutrz nie miała już najmniejszego do nikogo żalu, tylko do policji, że pozwalała tułać się po lesie włóczęgom co ludzi straszyli; i utrzymywała, że całe to podobieństwo było urojeniem, gdyż Julja nie mogła nawet owego człowieka dobrze zobaczyć. Podwojona grzeczność i uprzejmość Kasztelana zatarły wnet w umyśle matki Edwarda chwilową małą nieprzyjemność, do której też ani na moment wagi nie przywiązywała. Jedna tylko Julja nie mogła trwogi w sobie ukoić. Coś dziwnego, coś niepojętego czuła; przestrach i boleść razem w nią uderzyły. Zamykając swe uczucia w samej sobie, to ich odwagi nie miała badać, to sama zrozumieć i zdać z nich sprawy przed sobą nie umiała. Tłómaczenie, przy którem ciotka ciągle i jak najmocniej obstawała, mogło najprędzej jej niespokojność uśmierzyć, chwyciła się go też wszelkiemi siłami i sama siebie przeświadczyć się starała, że istotnie nie mogła w wieczór i w gęstym cieniu drzew dobrze rysów rospoznać, a przynajmniej, że imaginacja wielką tu także rolę grać musiała.

— Wreszcie — myślała sobie — nie zaprzeczam, że jest ktoś bardzo i niezmiernie podobny... w czemże to los mój i położenie moje i stosunki moje z Edwardem zmienić może? Przeszłości mi, tego co minęło, żaden już człowiek na świecie, żadne podobieństwo nie wróci; sama siebie dobrowolnie dręczę, sama przed sobą jakieś widziadła, strachy i dziwy niepojęte stawiam, bez względu na ojca, na Edwarda...

Widzi tedy Czytelnik, że piękna wdowa znaczne już w filozofji postępy czyniła i gruntownością rozsądku mogła teraz czasem zastąpić przy sobie ciotkę. Jednego nawet dnia, zdjąwszy z szyi medalik na czarnej wstążeczce, któren od męża miała, i przez chwilę w niego się wpatrując... Ale nie; jestem prawie pewny, iż to było jedynie przez rostargnienie, że go w jednej z podręcznych szufladek zostawiła: gdyby bowiem istotnie zupełne miała postanowienie więcej nie nosić, cóżby ją przymusiło wziąść go na siebie, jak wzięła, zaraz nazajutrz napowrót?... Nieszczęściem i ta filozofja, i ta cała gruntowność rozsądku, bardzo często były tylko na ustach, lecz nie dochodziły do serca. Stało tam coś na straży, co tych biegłych lekarzów nie dopuszczało; i kiedy nie raz chodząc sama po swoim pokoju, wymawiała o tem słowa równie rozumne jak mogące, ba nawet powinne uspakajać ją i pocieszać: w tymże momencie czuła coś wewnątrz, co tym słowom fałsz zadawało, czuła coś nawet, co było podobne do boleśnego i głębokiego wyrzutu sumienia! i zamiast pokój i wesele sobie przywołać, widziała przed zwierciadłem, iż nagle bladła, lub też od płaczu ciężkiego wstrzymać się nie mogła.

Bywały chwile, iż brała postanowienie zerwać wszystko z Edwardem, przestać widywać ciotkę, wynieść się od ojca, wyjechać zupełnie z Warszawy, osiąść w Zalinkach... i zawsze potem przychodziła chwila inna, zwyczajniejsza, z innemi myślami, z innym sposobem patrzenia na rzeczy, dowodząca że był to tylko przelotny jakiś i dziecinny kaprys, którego niczem, tak przynajmniej sobie powtarzała, nie podobna było usprawiedliwić. Wreszcie rzeczy tak były posunięte, oczy świata tak zwrócone, chodziło już prawie nietylko o własne dobre imię, lecz także o honor ojca i całego domu, o spokojność i szczęście dwóch rodzin. Edward też

tak był kochający, przyjemny, delikatny i codzień milszy: że niezadługo na nic by się Julji najszczersza nawet wola wycofania się z tego nie przydała... I była prawie w położeniu kogoś, co raz usunąwszy się po nagłej pochyłości, darmo się potem chce zatrzymać i aż na sam dół zbiegnąć już mimowolnie musi. Co ją może najnieznośniej za serce ściskało, było to postrzeżenie, jakie od pewnego czasu zrobiła, że ile razy puszczała przed sobą myśl w przyszłość, po szczęście, po radość, po miłość, jak to u młodych tak naturalne, tyle razy ta myśl, niesworna i dręcząca, cisnęła się przeciwnie sama przez się i niewiedzieć jakim sposobem w jakieś czarne, niewyraźne, okropne widziadło!.. Że nieraz aż z miejsca się zerwać i prędko kilka kroków postąpić musiała, żeby chmurę co ją ogarniała, przebić jak i odepchnąć od siebie.

Tymczasem Edward ciągle bywał, Kasztelan szczerze się do niego przywiązał i już go właśnie jak syna traktował, układając dla niego jak przedtem dla Henryka, widoki i projekta służby publicznej: gdyż była to w nim słabość człowieka, niepojmującego iżby bez tytułu i stopnia można było znaczyć coś na świecie. Połączenie dwóch rodzin było dziś dla wszystkich taką pewnością, że nawet poniekąd, jako o rzeczy jawnej i już zrobionej, mówić o tem przestano.

Od Bielańskiego spaceru minęło trzy miesiące. Matka Edwarda była od kilku niedziel z powrotem u siebie na wsi i gotowała się do wesela, na które obie familje wkrótce się zjechać miały. O milę od niej mieli mieszkać Państwo Młodzi w głównym majątku, skąd sama dopiero się po śmierci męża wyprowadziła: wolała bowiem raczej w daleko szczuplejszym domu w folwarku przyległym, wdowieństwo swoje przepędzać, któren nieboszczyk na rok przed śmiercią ukończył, nie przewidując, że drzwi do niego miał śmiercią swoją otworzyć. Dwór, gdzie dziś syna i przyszłą synowę umieścić miała, był wprawdzie bardzo wygodny i w jak najlepszym stanie; że jednak od ośmiu lat niezamieszkany, znalazło się czem tu i owdzie zająć, coś odświeżyć, przemienić, przenieść, do mody zastosować: ile że życzeniem matki było, od razu kochaną Julję do takiego domu wprowadzić, gdzieby, jak mówią i ptasiego mleka nie brakło.

Z drugiej strony, niecierpliwa szczęścia synowicy, a jedyna do weselnych obmyślań, zachodów i kręceń się, przedziwna ciotka, przyśpieszała całą siłą rzeczy w Warszawie. Nie chcąc, jak powiadała, przerywać Julji szczęśliwych myśli, albo też rozmowy i towarzystwa z Edwardem, wszelkie sprawunki, kupna, roskazy, troski i pamięć wszystkiego co w takich razach potrzebne, wzięła na siebie, bratu się nawet do niczego zgoła mięszać nie dozwalając. Nie na rękę jej było, że pierwsza, a bardzo suta Julji wyprawa zostawała dotąd w znacznej części nietkniętą prawie: umiała to wszakże sobie nagrodzić przy rozmaitych mniejszych szczegółach i w tem wszystkiem gdzie tylko jakąkolwiek, potrzebną czy nie, dawało się odnowę, przemianę i robotę wprowadzić. W zapale wszystkich wyręczania i żeby oprócz niej jednej nikt więcej myśleć o niczem nie miał, ledwo prawie, iż nie chciała zastąpić Edwarda w poleceniach jakie miał dawać swemu krawcowi; kupiła mu raz, nieproszona i całkiem niepotrzebnie, materję na kamizelkę; kilka także razy zręcznie napomknąwszy, że się zna, jak nikt, na bieliznie nietylko żeńskiej ale męskiej, ostrzegła, iż męszczyźni zazwyczaj sami tego rodzaju sprawunki najgorzej robią. — Już asaństwo tylko mi wszystko zostawcie — mówiła — spuśćcie się na mnie, zobaczycie czy czego zapomnę, bo najgorzej kiedy się kilka osób razem do jednego mięsza. — Nikt jej też nie myślał przeszkadzać, wszyscy owszem byli wdzięczni: na zawołanie swoje miewała także faworytny kocz zielony. Kasztelan utrzymywał parę razy, iż można było za jednym wyjazdem objechać miejsca, gdzie trzy lub cztery razy jeździła, ale go tem szczególniej zbijała, iż w życiu swojem więcej od niego ludzi żeniła i małżeństw urządzała i że tedy lepiej się na takich rzeczach znać musi. Słowem, wszystko się przygotowało, zrobiło, ukończyło; listy ze wsi także już zupełną gotowość donosiły: suknie Julji, czepki, kapelusze, i wszelkie ważniejsze szczegóły ubrania składała, zawijała, pakowała własną ręką niespracowana ciotka, utrzymując, z niemałą wprawdzie Panny służącej obrazą, iż na nikogo w tem spuszczać się nie chce, nie raz już świadkiem bywszy jak najpiękniejsze rzeczy złem

upakowaniem przez drogę niszczono. Koniec końców i nareszcie: pożegnano Warszawę.

Ciotka z Julją jechały prosto do Krakowa, gdzie się miał ślub odbyć i gdzie mieszkała sędziwa Starościna**, krewna Kasztelana, wielce w całej familji osoba poważana. Edward zaś z przyszłym swym teściem, wstąpili jeszcze na parę dni do matki, skąd w Krakowie w kilkanaście się godzin stawało. Państwo Młodzi, a szczególnie sama Julja, woleliby aby się obrzęd odbył raczej na wsi: przez wzgląd jednak na Starościnę, która już nigdzie z miasta dla wieku swego nie wyjeżdżała i na jej prośbę, przeniesiono do Krakowa.

Nadszedł naznaczony dzień. Było to Ś. Rozalji, Patronki matki Edwarda.

Czas od kilku dni był ponury i całkiem jesienny; a że prócz tego godzina, jaką obrano, była dość późna, w kościele nie dużo już widać było dziennego światła. Przy ołtarzu, pięknie ustrojonym, zapalono świece; ksiądz w zakrystji zaraz miał być gotów; kościelne chłopczyki, w białych komżach przebiegały tędy i owędy, lub koło ołtarza się kręciły, zawsze mając między sobą o czemś do szeptania i jeden po drugim, to lub to, potrzebnie czy nie, poprawiając; na chórze odezwały się kroki i ruchy przyrządzającego się organisty; kilkanaście osób z miasta, mimo że się to robiło dość tajemnie, czekało już także ceremonji, trzymając się po bokach kościoła.

Zajechały pojazdy; kapłan z zakrystji wyszedł. Julję prowadził szanowny Generał K*, siostrzan Starościny: utkwiły w nią oczy wszystkich. Męczyźni patrzyli na twarz, kobiety na ubiór.... Piękna, może nawet tak jak nigdy interesująca, miała wszakże coś we wzroku i cerze, gdyby tylko zbliska się przypatrzeć, co nie było wcale weselne ani szczęśliwe! Milczenie w kościele przerywały tylko szepty miejskich gości, robiących do siebie na prędce rozmaite postrzeżenia i uwagi, szelest sukien dam będących w orszaku, i stąpanie towarzyszących im mężczyzn. Ciotka nawet od kilku już minut była cicho, przejęta uroczystością do której się zbliżali; wchodząc do kościoła przestała tylko na niemem, choć prawda niepotrzebnem, poprawieniu kwiatu na głowie Julji.

Generał wiodąc ku ołtarzowi swoją damę, uczuł iż ręka jej więcej coraz przybierała wagi, krok nieco tępiał i zmieniał się, jak gdyby się chciała zatrzymać. Dochodzili ostatniego filaru; światła od ołtarza dostawały już słabym odblaskiem na blade oblicze Julji i zamigotały żarzystą iskrą w ognistych kamieniach, bogato skronie jej wieńczących... gdy nagle wszystkiemi członki od stóp do głowy zadrżała, wstrzęsła się, krzyk straszny wydając, który całą piersią rzucony odbił się przeciągle po głuchych przed chwilą i ciemnych ścianach świątyni! — Henryku!... to on! — zawołała; i wyrwawszy się gwałtownie, postąpiła prędko parę kroków w stronę filaru, drżąca, usta otwarte, oczy osłupione, ręce obie na przód wyciągnięte, jakby kogo chwycić miały... We wstrząśnieniu konwulsyjnem jakie ją przebiegło, upadł jej z szyi w tymże momencie, dziwnym jakimś sposobem, mędalik i zadzwonił o marmur posadzki... Edward, ojciec, ciotka, przyjaciele, ledwo mieli czas rzucić się ku niej... chwila! już słów ich nie słyszała... zimna jak kamień, na którym teraz była rościągnięta!... Czoło pyszne i piękne, całym dopiero blaskiem stroju, wszystkiemi uroki młodości i życia kwitnące, na ziemi się walało; pierś uścisków miłości czekająca, roskoszy dopiero ognisko, stygła, w prochu na ścianie kamiennej, do której ją śmierć przytulała; ręka dopadając podłogi, chwyciła jeszcze czarną wstążeczkę medalika i skrzepłemi teraz palcy trzymała ją razem z kwiatem weselnym, którego nie miała czasu upuścić!..

IV.

Otoż dwa tygodnie potem, to jest w dzień Ś. Tomasza, a więc 16. Września, roku zaś 18.. i około osmej godziny zrana, na tym samym dziedzińcu w Zalinkach, jeśli tylko sobie Czytelnik przypomina, gdzie słyszeliśmy przez moment rozmowę po wyjeździe niegdyś Henryka z żoną do stolicy: stało trzech ludzi. Jeden, w nankinowych szarawarach, szpencerze sukiennym, a kaszkiecie futrzanym, jak gdyby do wszystkich pór roku chciał się razem zastosować i żadnej nie ubliżyć,

podpasany był prócz tego czerwonym pasem wełnianym i trzymał w ręku drzewce nahajki, co mu się wlekła z tyłu jak żmija, ślad kręty po wilgotnym piasku rysując. Drugi, miał na sobie seledynowy surdut; ten, lubo zapięty, tak się jednak składał i zwisiał po bokach, iżby jeszcze jedna osoba mogła wyśmienicie w obwód się jego zmieścić; starożytnością zaś swoją i stanem w jakim się znajdował, był w doskonałej harmonji z kapeluszem, z którym szedł zdawało się na wyścigi kto więcej kurzu, plam i wszelkiego rodzaju prochów w siebie nabierze. Biedny Antoni, od czasu, jak nikt z państwa we dworze nie mieszkał, mniej niż kiedykolwiek dbał, co na siebie włoży; ledwo też parę razy na tydzień do kredensu zazierał, bardziej z nałogu i tęsknoty, niż z potrzeby: zresztą nie wychodząc prawie ze swego dworku, który dożywociem dla siebie i żony miał jeszcze od ojca Henryka, wraz z ogrodem wypuszczony. Trzeci, którego ubiór trzymał środek między włościańskim a dworskim, duży męszczyzna, twarzy poważnej i rozgarnionej, był to jeden z Zalinkowskich gospodarzy, pełniący od lat kilkunastu urząd Karbowego, lub jak inaczej zowią Gumiennego. Zmieniło się już przy nim kilku Ekonomów; i lubo niższego od nich w hierarchji gospodarskiej stopnia, nie mniej wszelako niż każdy z nich, używał względów pańskich, we dworze i w całej wiosce powagi. Z nim właśnie mówił teraz Ekonom, Pan Rządca, poprawiając na sobie częstym giestem raz czerwony pas, drugi raz czarny barankowy kaszkiet: kiedy stary i smutny Antoni, dobywszy zwolna domowej roboty proszku ze znajomej nam korowej puszki, i znowu ją szczelnie zamknąwszy, lewą ręką wpuszczał tabakierkę do kieszeni, w prawej zaś, w tymże czasie podnosił zwykłą sobie porcję... Lecz zamyślony, nie spieszył się jej przyjąć.

— Baj, baja! gadaj bracie zdrów! górzyste pierwej się sieje, a nizina później... To tak jak ta stara Kołdaczewska! jakże, mospanie, kapłona ukarmi, żeby tam nie wiem czem tuczyć, kiedy nigdzie nie zamknie? Kapłon im ciaśniej siedzi, tym rychlej tyje, drudzy sadzają nawet w garniec, i tylko dnem wybitem głowę mu wytknąwszy, tak jeść dają ... to ale! Ale przekonajże babę! plunąłem. Klekcze mi głowę

o glinę do pieców; niby i ja sam nie wiem, że w tym miesiącu ukopana, najlepsza, bo się w takiej, mospanie, i świerszczyska nie zalęgną: ale kimże ukopiesz? na co pilniejszego rąk trzeba, a nie ma...

— Piec i kapłony, to tam babska rzecz — odrzekł spokojnie Karbowy — o nizinach to prawda, ale z przeproszeniem Pana Rządcy, na jełowatem i gdzie piasku dużo, to taki nasamprzód się zasiewa; a jeszcze pszenicę, żeby się zielsko nie rzucało, to najlepiej trzy dni przed nowym miesiącem...

— Ot, Panie Antoni — przerwał Ekonom, widząc, że swego rolnego kolegi nie przekona i obracając się do kredencerza — wysyłam dziś chłopców zbierać liście dla owiec: jeśli wam Wojtuś nie pilno w domu potrzebny... Słuchajcież, Panie Antoni! do was się przecie gada; dość już tego dumania i wzdychania ... mospanie, co się stało, już tego nikomu nie oddumać, a i my tu nie wieczni...

— Oj prawda, że nie oddumać! Ale jest o czem na długo dumać ... taj jest o czem — dodał, i znowu westchnął stary sługa. — Pamięta Pan Rządca, jakieśmy to na tem samem miejscu mówili o tym jej wielkim płaczu wtenczas, kiedy jeszcze oboje zdrowi stąd wyjeżdżali? Byłoć im czego płakać, niebożętom!.. Jakby wiedziała co ich czeka. Młode, dobre, szczęśliwe, tylko by wiekować na świecie ... poszło pod ziemię!.. Jedno w Warszawie, drugie w Krakowie ... jeszcze tak dziwnie strasznie! Ja, od kiedym się dowiedział, oka na żart zmrużyć nie mogę.

— Że dziwnie, to dziwnie! — poparł Ekonom, przestając na chwilę o gospodarstwie. — Co mnie najbardziej w mózgownicy pomieścić się nie może, jużci do miljon licha! niech co chcą powiedzą, musiała, mospanie, coś, kogoś, zobaczyć, warjatką nie była... Gdzież się podziało i co to było, kiedy za filarem siedziała tylko babka głucha, mospanie, co przyszła za jałmużną, i ani zrozumieć mogła o co się jej pytali?

— Wszystko to, Panie dobrodzieju, zabobony, przesądy i gadać nie warto! — odezwał się nowy głos czwartej osoby, co się świeżo do nich przyłączyła: był to wnuk Antoniego, jego kosztem do szkół Radomskich oddawany, gdzie już piątą

klasę ukończył, a bawił teraz u dziadka na wakacjach — kobieta zwyczajnie słabszej organizacji. Nieboszczka — mówił dalej — była wciąż skłonna do przywidzeń, do egzaltacji; rozogniona wyobraźnia, system nerwowy rosprzęgła, więc idealność wzięła za realność; wreszcie przestrach, łatwowierność, mistyczne uniesienie, fikcja ... i cała rzecz! Nic to innego być nie może.

— O, mądrzyście! — ofuknął Antoni studenta, bez względu, iż ten za rok miał się już zacząć uczyć na doktora — mądrzyście bardzo! A Pan Kasztelan czy kobieta? Pan Kasztelan czy spał, czy zmysłów także nie miał, jak wysyłał Grześka z kościoła, żeby za nim poszedł?.. Czy i jemu i każdemu się przywidziało — tylko się Waćpaństwu, co w Radomiu do szkół chodzicie i niebieskie fraczki z białemi tasiemkami nosicie*), nie przywidziało?

— Ja nie powiadam, żeby go pierwszą razą nie było. Był ktoś podobny i bardzo podobny, jak się zdarza... Ale drugim i trzecim razem, to już prócz niej samej nikt tego nie widział, i to było urojenie. —

Antoni, patrząc w ziemię, machnął mocno ręką, kiwnął mocno głową, i odszedł do kredensu, ani słowa już nie powiedziawszy. Ekonom, postrzegłszy we drzwiach oficyny Kołdaczewską, i pamiętny, że w miesiącu Wrześniu do gospodarskich robót, należy tuczenie drobiu, pospieszył jeszcze jej raz przełożyć swój kurnikowy aforyzm, że kapłon im ciaśniej siedzi, tym rychlej tyje. Lecz mu się nie lepiej i tą razą powiodło; owszem stara i opryskliwa klucznica, tak mu tam przy dziewkach folwarcznych, złośliwym jakimś żartem przycięła, że aż raka upiekł, mówiąc tylko do siebie: — mospanie, niech jej nie znam, szturmak baba!

— Bo widzicie Kordyszu, (było to nazwisko Karbowego) — kończył przez ten czas piątoklasista do ostatniego słuchacza, któren mu na miejscu pozostawał — dziadek mój, zwyczajnie bez edukacji, to wszystkiemu zaraz by wierzył: przypuszcza do głowy jakieś widma, strachy, dziwne rzeczy!

---

*) Szkolny mundur w ówczesnem Król. Polskiem.

Na świecie nic nie ma dziwnego, wszystko ma swoje pewne fizyczne prawa, z których ani na jotę wystąpić nie może. —

Poważny Kordysz chciał coś młodzikowi odpowiedzieć, ale właśnie wracając z oficyny zawołał teraz na niego Ekonom, i posłał go poszukać Wojtusia.

DODATEK

DO POWYŻSZEJ POWIEŚCI.

W kilka dni, jak ta Powieść była napisana, jeden z przyjaciół Autora, poniósł ją przeczytać w pewnem znajomem sobie i poufałem towarzystwie, gdzie czasem wieczorami bawiono się czytaniem, bądź jakiej nowej książki, bądź nawet jeśli się trafił, rękopisu. Czytania te nie przeszkadzały damom odbywać przez ten czas rozmaitych swoich robót, robotek, czasem także do siebie przemówić; temu lub owemu, w wygodniejszym siedzącym kątku, wolno nawet było zadrzemać, i nikogo to nie obrażało ani gorszyło, nie było w tem bowiem żadnych pretensji, szukano tylko miłego kilku chwil przepędzenia, co tem łatwiej przychodziło, że liczba osób była nie wielka, i wszyscy bardzo dobrze między sobą się znali.

— Przynoszę dziś Państwu nowy jeden, świeży i prosto z warsztatu towar: Powieść, tylko co napisana, może jeszcze nie wszędzie zasechł atrament. Wyrwałem ją z pod ręki Autora, i obiecałem mu powiedzieć, jak się nam podoba.

— A! bardzo dobrze. Tylko szkoda — zrobił ktoś zaraz słuszną uwagę — że nie każdy towar im świeższy tym lepszy; i że właśnie piśmiennym towarom, ponieważ tego wyrazu użyłeś, trochę czasu, trochę nawet starości, nic nie ujmuje. Aleśmy ciekawi.

Lektor, bez dalszych wstępów, dobył rękopism. Damy skrzywiły się trochę na jego objętość był bowiem obszernie pisany. Postawiono na stoliku wodę i cukier; wszyscy posiadali; zaczęło się czytanie.

Pismo, jak to zwykle na bruljonie, było niewyraźne i trudne; oczy lektora nie najlepsze; pierwsza jednak rozmowa Julji z Henrykiem dosyć się podobała. Generał *, i Radca *, przysiedli się bliżej; jedna i druga ze słuchaczek, wstrzymawszy na chwilę pracowitą rękę, z roboty przeniosła spojrzenie na lektora i moment na niego patrzyła, ile, że niektórzy nie byli pewni, czy to nie on sam napisał, a z wieku i ułożenia, nie był do takich czułości podobny. Ale właśnie w tejże chwili jedno słowo przekręcił, drugiego zgoła nie mógł wyczytać, zaczął się jąkać, robić brwiami i nosem grymasy, papier do światła podnosić... Wymęczył nareszcie frazes: czoła pracownic znów były nad robotą poschylane... Po opisie miłości, na wiadomość śmierci Henryka, parę głosów odezwało się, że szkoda! parę nawet młodszych twarzy szczerze na razie zesmutniało... Ale zaraz ze spotkania w kościele pokazało się, że historja nieskończona; a cała przygoda Grzegorza, szczerze Generała rozśmierzyła... W tem miejscu, to jest po powrocie Julji z Krasińskich ogrodu, twarze słuchaczy wcale nie były znudzone, nikt bowiem jeszcze nie przewidywał jak się skończy, jaki nawet będzie dalszy ciąg, kto jest ten młodzieniec nieznajomy, jak znowu na scenę wystąpi i co się wtenczas stanie z medalikiem. Dalej, samo nawet zdarzenie na Bielanach, jeszcze nic właściwie nie odkrywało. Poswarek domowy między ojcem, córką i ciotką, oderwał znów uwagę od głównej myśli powieści... Dopiero końcowy obraz stanu Julji, uczuć jej trwożnych i dziwnych, poddał bliżej myśli każdego rozwiązanie niezwykłe i nadprzyrodzone. Że zaś nie małżeństwem, ale śmiercią się rozstrzygnie, o tem Radca, który najbliżej czytającego siedział i może najwięcej uważał, nie pierwej kompanję uprzedził, aż przy opisie ponurego dnia Wrześniowego i ciemnych ścian kościoła...

Po skończeniu, kiedy lektor, piątą czy szóstą już szklankę *mocno* zacukrzonej wody wypiwszy, zaczął arkusze rękopis-

mu zbierać napowrót i składać: każdy z miejsca powstał, poruszyć się i nagrodzić sobie kilkokwadransową cierpliwość; Panna Józefa wyszła zadysponować herbatę, którą zwykle w drugim pokoju przyrządzała; nic już rozmowie nie przeszkadzało... Nie szła jednak! a przynajmniej nie z taką swobodą i naturalnością jak zawsze... Cała rzecz, ponieważ lektor nie chciał imienia Autora powiedzieć, i oświadczył, że powiedzieć nie może... A wiedziano, że niekiedy także się piórem zabawia: było więc ciągle jakieś podejrzenie, i z obawy zasmucenia Autora, nikt szczerze zdania swojego nie mówił, ogólnie tylko pochwalili, że ładne jest, że bardzo piękne, i wszyscy mu powinszowali.

— Ależ najlepiej Państwa przekonam, pokazując; znacie przecie moje pismo, proszęż patrzeć czy moje. —

Istotnie, zupełnie inna była ręka; nie sposób było zaprzeczyć.

Jedna wreszcie z Pań, pamiętna na sam początek Powieści, i spojrzawszy na nowo na twarz lektora, pierwsza odrzuciła wszelką wątpliwość i zaczęła mówić śmiało, jako o rzeczy nieprzytomnego i nawet nieznajomego Pisarza. Za jednym przykładem poszli inni. Nie upłynęło kilku chwil, aż owe ogólne pochwały i winszowania, przyjęły teraz w szczegółach inne cokolwiek znaczenie.

— Mnie się koniec — odezwie się Poseł * — całkiem nie podoba. Powinien był na śmierci Julji przestać, ani słowa już nie dodając. Do czego ta ostatnia na wsi rozmowa!

— A raczej gawęda, dość sobie nawet gminna — przyciął Kapitan *.

— Mnie, kiedy mam prawdę powiedzieć, to miejsce raziło — przyłączając się do krytyków, rzekła Pani K * — gdzie Julja na opowiadanie o tej jakiejś ubogiej kobiecie...

— Witkowskiej — pomogła Panna Paulina, której pamięć wszystko od razu zatrzymywała.

— Witkowskiej — kończyła Pani K* — podaje nagle Edwardowi rękę, jeszcze przy Karolu. To za nadto i nawet fałszywie: Julja nigdyby tego nie zrobiła.

— O! darujesz mi, droga Pani, ja tego nie jestem zdania — przerwała gospodyni domu, Starościna M*, odejmując

rękę od haftu, co przez cały ją wieczór zatrudniał, i powstając, żeby z całą kompanją przejść do drugiego pokoju na herbatę — ani za nadto, ani fałszywie. Na miejscu Julji to sama bym zrobiła i bronię w tem autora jak najmocniej. —

Radca uczynił zarzut, że cały charakter Julji, nie jest wyraźnie skreślony; ktoś, że ciotka niepotrzebnie tak śmieszna i miejscami przesadzona; inny, że z ojcem i Edwardem nie wiadomo co się stało, i cała kończąca katastrofa odbyła się, jakby gdzieś za zasłoną; kto inny, że więcej niż potrzeba osób wprowadzono, bo naprzykład bez Karola, nawet bez matki Edwarda, obeszłoby się wybornie; kto inny znowu, że wtenczas kiedy pojazdy jadą powoli na Bielany i słychać z okien rozmowy, to co tam mówi jakaś Pani, jest nienaturalne i za deklamatorskie; że wszystkie charaktery jednakowo dobre, łagodne, prostoduszne, a więc podobne do siebie i jednostajne; że w samym stylu tu i owdzie usterki, i t. d., i t. d...

Gdy w taki i podobny sposób wyłożyły się owe ładne i bardzo piękne zdania, jakie się na początku słyszeć dały, i gdy lektor, co wszystko to ciekawie słuchał i w pamięci sobie notował, ciesząc się, że będzie mógł oddać autorowi nie tylko rękopism, ale także pakuneczek takiej i owakiej krytyki, miał już razem z Generałem wychodzić, Pan W* zaczął całkiem, jak to mówią, z innej beczki.

— Nie mówicie państwo o tem co najważniejsze, o głównej rzeczy. Ja jestem zdania studenta: pierwszym razem widziała kogoś podobnego; drugim a zwłaszcza trzecim, to już oczywiste przywidzenie. — I zwrócił się do lektora, jak gdyby w duchu miał jednak jakąś wątpliwość i spodziewał się od niego jej rozwiązania.

— Co do tego — uprzedził lektora Radca — to już zostawia się tłómaczeniu każdego i sposobowi myślenia, jaki kto ma. Ja naprzykład wcale tak nie myślę. Zależy to od tego, co kto w życiu swojem doznał, czuł, wierzył i dowiedział się; jestem tylko pewny, bo to po wszystkiemu widać, że autor nie wystawił tego jako urojenie. —

Gdy lektor oświadczył, iż nic z autorem w tej mierze nie *mówił*, i biorąc powieść, nie wiedział nawet jaka jej treść...

— Pierwszy raz pokazał się jej — mówił dalej Radca — na pociechę i umocnienie; drugi raz na przestrogę; trzeci...

— Trzeci?.. No, na cóż trzeci? — podchwycił z sardonicznym uśmiechem Pan W*, gdy Radca nieco się zatrzymał.

— Nie wiem... na ukaranie... na ostateczną przeszkodę... czy tylko na spełnienie tego, co miało być spełnione... Dość, że słodyczy w pierwszym razie tak Julji było niepodobna wydać słowami, jak trwogi i przestrachu w drugim — przy trzecim zaś już mowa była jej niepotrzebna.

— Mistycyzm!.. A ja wcale nie przypuszczam, żeby taka miała być myśl autora, ktokolwiek on jest; gdyby tu był z nami, sam by to państwu powiedział.

— Nie ma potrzeby powiadać — rzecze Poseł — bo podług mnie bardzo jasno wszystko opisał. Wolno nam wierzyć, albo nie wierzyć.

— Bardzo jasno, nie bardzo... — odezwał się Kapitan, stawiąc na stole tylko co skończoną filiżankę. — A Pan Generał Dobr. co o tem myśli? — spytał się pół niby żartem, pół zaś przez istotną ciekawość co powie Generał, mąż sędziwego wieku, wielkiego w życiu doświadczenia, i którego opowiadania były zawsze od wszystkich tam przytomnych z upodobaniem słuchane.

— Starego się asaństwo nie pytajcie, bo starzy zawżdy mają coś powiedzieć i długo rospowiadają, a już nie rano — odpowiedział szanowny weteran i szukał kapelusza, nie mając intencji mięszania się do tej rozmowy.

— O! i owszem, i owszem, bardzo Generała prosimy! jeszcze nie jest tak późno...

— Ja co powiem, nim Pan Generał znajdzie kapelusz — prowadził tymczasem Radca — jest bardzo krótkie i także bardzo prawdziwe. Byłem jeszcze młodym chłopcem, ale już wcale nie dziecko i doskonale pamiętam jakby wczoraj, bo i sama rzecz mogła się wbić w pamięć; nie taka sama historja jak tej Julji i Henryka, ale także proszę to wytłómaczyć. W Litwie, w domu moich rodziców, była zabawa; byliśmy wszyscy domowi, rodzeństwo moje liczne; wiele osób

z sąsiedztwa; bawiono się wesoło, jak najprzyjemniej... Razu jednego matka moja, będąc cały dzień jak najlepszego humoru, jak najlepszej myśli, właśnie w tej chwili była w tańcu, kiedy raptem, bez żadnego widomego powodu, bez najmniejszej zewnętrznej przyczyny jakaś myśl, przeczucie, nie wiem co i jakim sposobem uderza w nią w oczach naszych, w oczach nas wszystkich: zmięszana, przestraszona, wybiega do drugiego pokoju i zaczyna jak najstraszniej płakać!.. Mój ojciec, my wszyscy, przerażeni, nie wiedząc co jest, pojąć nie mogąc, pytamy się, błagamy, żeby nam powiedziała, żeby przemówiła... Wiecież co powiedziała?.. Oto, że wie z pewnością, że ma w duszy jak najpewniejszą wiadomość, iż w tej chwili umarł jej ojciec!.. Nikt z nas tego oczywiście nie chciał, nie mógł nawet nikomu z obcych powtórzyć, bo skądże ta wiadomość? jak ją mogła odebrać? ojciec w Warszawie, my tu wszyscy w głębokiej Litwie, ona dopiero w tańcu... Do gości już nie wróciła; przybiegł zaraz doktor, który był w domu: dosyć, że w kilka dni wpada z Warszawy sztafeta, że tego samego dnia, tego wieczoru, tej godziny, Dziad mój, a ojciec mojej matki, umarł!... To jak najdokładniej pamiętam, każdy z moich braci zaświadczyć może, i w familji naszej wszyscy o tem słyszeli i wiedzą.

— Jeśli już chcecie ciekawych historji — przemówił, zbliżając się do stołu Generał, którego parę osób pilnowało, aby nie wyszedł bez powiedzenia czego — ja asańswu powiem, co rospowiadał jeszcze mój ojciec, człowiek tak prawdomówny, tak doskonały i prawy, że na każde jego słowo przysiągłbym zawsze. —

Słuchacze wiedzieli, jak głęboką cześć szanowny Generał pamięci ojca swego chował, i po tym wstępie z większą się jeszcze ciekawością ku niemu zwrócili... Na okołu stołu ożywiły się twarze, wzrok dam mocniej zajaśniał, oczy wszystkich w opowiadacza utkwione; podali mu krzesło, ale wolał mówić stojący, chcąc zaraz i wychodzić: — Historja nic a nic nie straszna, więc niech się Panna Józefa nie tuli tak do swojej sąsiadki. Było to w Kurlandji, w wiosce moich rodziców A*, o pięć mil od Lipawy. Byłem wtenczas małą *dzieciną; lat* nie liczę, bo to się na nic nie zdało, ale jak

widzicie, więcej temu niż dziesięć, niż dwadzieścia, może nawet niż siedmdziesiąt, mniejsza o to! Wieczorem, ojciec mój z matką byli raz sami tylko w pokoju, robiło się już ciemno, przestali jakoś na chwilę rozmowy ... słyszą ... jakiś dźwięk, jakiś odgłos muzyki! Przysłuchują się lepiej: odgłos słychać wyraźniej, wyraźnie jakaś muzyka, jakieś granie, ale ciche, dziwne, nie wiedzieć skąd... coraz się przybliża i lepiej słychać, nareszcie już w tym samym pokoju!.. Patrzą się po sobie... nie śpią, oczy mają otwarte, widzą doskonale: pod ścianą od drugiego pokoju idą jakieś figurki, malutkie, drobniutkie, bardzo śliczne, porządnie, nie wiem już jak ubrane, między niemi muzyka, orkiestra na różne instrumenta: grają zgodnie, równo, każdy ton słychać, i naprzeciw rodziców, precz po pod ścianą przechodzą! Słyszeli jak się orkiestra zbliżała, najgłośniej kiedy była tuż koło nich, potem znowu jak się stopniami coraz oddalała... Patrzyli oboje nic nie mówiąc, nie ruszając się... Aż znowu cały ten świat, cała malutka ludność, z całym swoim orszakiem, z muzykantami i ze wszystkiem, doszedłszy do drugiego końca pokoju, znowu pod ścianą i w oczach że ich poznikali!... Widzicie państwo, iż byli to goście nie straszni. Jednak czy ojciec mój i matka tak ich spokojnie widzieli, jak ja to opowiadam, nie ręczę; wiem tylko, że to z samychże ust ojca słowo do słowa nie raz słyszałem. On to dłużej i lepiej rospowiadał, bo się nie spieszył wychodzić, a mnie już czas życzyć asańnstwu dobranoc. Panna Paulina wolałaby zapewne, żeby się tu inna orkiestra odezwała. A dobrzeby! żeby tak z nienacka wystąpiła gotowa już kompanja, dobra muzyka, tylko większego wzrostu tancerze i stanęli do walca albo mazura; nieprawdaż?.. Tymczasem ... dobrej nocy! —

Wyszedł Generał: kompanja się jednak jeszcze nie rozchodziła. Panny, żartując, patrzyły po kątach, czy nie pokażą się jacy goście; Kapitan zapewniał, że słyszy już muzykę, tylko z bardzo daleka i zapraszał wcześnie sąsiadkę swoją do kotyljona: nie wszystko jednak w żart się zupełnie obróciło, zwłaszcza, iż każdy był przekonany, że Generał nigdy nic fałszywego, choćby w najmniejszej rzeczy, nie powie,

i że o nic go mniej jak o łatwowierność nie można było posądzać.

— No co! jeśli mamy o takich rzeczach mówić — rzekł Pan N* — pewno państwo wiecie co o sławnym Czackim powiadają?

— A tak, kilka o nim takich rzeczy słyszałem — poparł lektor, niegdyś uczeń Krzemieniecki — kiedym jeszcze do jego szkół chodził; co tem dziwniejsza, że taki dystrakt jak Czacki, i taki żywy, który pięciu minut na miejscu nie mógł usiedzieć, nie był wcale podobny do takich przywidzeń, ułudzeń, czy jak nazwać, które łatwiejby jeszcze pojąć w charakterach powolnych, spokojnych i do dumania skłonnych.

— Cóż takiego? myśmy nie słyszeli; proszęż i nam powiedzieć, jeśli co ładnego — zawołało kilka głosów kobiecych.

— Ja dobrze nie pamiętam — mówił Ex-Krzemieńczanin — ale wiem, żem słyszał o jakimś długu ojcowskim, o którym się dziwnym sposobem dowiedział. Że jakoby raz, kiedy leżał nad swojemi księgami, bo możeście państwo słyszeli, że znajdując, iż stoły były mu niedogodne i za małe, rozkładał, bywało, rozmaite volumina na podłodze i taczał się koło nich od jednego do drugiego, jak mu którego było potrzeba... Otóż, że raz śród takich poszukiwań i szperań historycznych, usłyszał nagle, czy zobaczył, bo nie wiem już jakim się sposobem dowiedział, że ojciec jego był kiedyś winien jednemu z mieszczan Poryckich*) sześć set czy ośm set złotych, że dług ten dotychczas nie wypłacony i sukcesorowie nic nawet o nim nie wiedzieli. Kazał zaraz w miejscowych papierach jak najściślej przepatrzyć: przerzucano całe może archiwum... Dosyć, że pokazało się, iż rzeczywiście tak było i że o tym długu nikt pierwej nie wiedział.

— Ja co innego słyszałem — odrzekł z swojej strony Pan N* — o Mniszchu, że mu się pogrzeb jego pokazał... Tylko, że to straszna historja, nie chcę szczegółowo rospowiadać, żeby którą z naszych Pań złego snu nie nabawić. Że jak w historji tych malutkich ludzi i orkiestry Generała, usłyszał raz Czacki, także nagle i niespodzianie, jakiś odgłos...

*) Poryck, majątek Czackich.

Słucha: śpiewy kościelne, jak po umarłym... Najprzód z daleka, potem coraz się zbliżają, głośniejsze, słychać odgłos, jakby od mnóstwa osób, wreszcie słowa psalmów, dalej zapach kadzielnic, gromnic, w końcu cały szelest ciżby idącej, śpiewającej i modlącej się. Słyszy dalej: otwierają się drzwi, jedne, drugie, wszystko się w tę stronę zbliża, już są w poprzednim pokoju... Drzwi się na oścież odmykają! dech w nim się zabił, stanął jak wryty, patrzy: pogrzeb jakiś ogromny! Weszli, idą, przez pokój koło niego, doszli do drugich drzwi, co wiodły do następnych pokoi, te także się otworzyły, i cały tłum przechodził, zwolna, noga za nogą; księża śpiewali, były zakony, ścisk ludu, mnóstwo świateł... Niosą wreszcie mary, na nich wspaniała trumna, widzi napis, czyta: Mniszech... nie pamiętam jak miał na imię, umarł tego i tego dnia i roku... i wszystko znów przeszło, odeszło, ucichło... Dopiero Czacki odetchnął, ogląda się... sam jeden w pokoju, tylko przy nim książka, którą czytał, w całym domu cichość zupełna. Napis trumny pamiętał, wiadomo, jaką do wszystkich dat miał pamięć, i zaraz zanotował. O Mniszchu dziedzicu Wiszniowca, z którym był w przyjaźni, nie słyszał nawet, żeby zachorował i wcale go przed chwilą nie miał na myśli. Cóż państwo powiecie?.. Sprawdziła się data: właśnie niezadługo, jak przyszedł ten dzień, Marszałek Mniszech umarł...

— No i cóż stąd wnieść? pytam się państwa — przerwał wszystkich milczenie, już od kilku sekund trwające, Pan W*.

— Cóż to dowodzi? jak spytał się jakiś matematyk, wychodząc z Tragedji Szekspira — powtórzył za nim, ale innym tonem, Radca.

— Dowodzi, podług mnie — rzekł Kapitan, spojrzawszy na godzinę — że wszystkie takie historje mają najsamprzód wadę przeciągania wieczoru. Dla nas wprawdzie, w takiem towarzystwie, to bardzo przyjemnie, ale kto wie, czy Panie nie będą miały jutro żalu do nieboszczyka Mniszcha, gdy się z jego przyczyny uczują niewyspane.

— Ja gdybym był Cenzorem — mówił dalej i żywiej Pan W*, bo ostatnie Radcy słówko trochę go ukłuło — takich

banialuk, jak dzisiejsza państwa Powieść, nigdybym drukować nie pozwalał. To najmniejsza o co je Kapitan obwinia, że przedłużają wieczory; nie wszystkim nawet, mnie pierwszego wcale nie bawią, i jeślim się zatrzymał, to nie dla bajek, tylko dla towarzystwa tych, co je opowiadali i słuchali; ale jest większy zarzut: bałamucą myśl, okładają ją fałszem i niewiedzieć jaką cudownością; zawstydzają rozum, wymuszając na nim niepotrzebnie i niesprawiedliwie wyznanie ograniczenia i niemocy; otwierają wreszcie w słabszych głowach szeroką drogę przesądu i ciemnoty...

— Poważne oskarżenie! — odbił z lekkim uśmiechem Radca. — Czy tylko nie będzie w tem trochę dowodu, że ten śmiały wszystkiego sędzia, ten surowy i dumny rozum, łatwiej się nieco obraża, niż na mędrca i pretendata przystoi? Prawda, i sam przyznaję, iż życie byłoby rzeczą nierównie łatwiejszą, gdyby w niem wszystko, tak jak tu na stole pod tą lampą, było pod jasnością tego rozumu widne, wyraźne i czytelne... Chociaż i to także pewna, że najpewniejszy sposób rospędzenia przed sobą wszelkich wątpliwości, jest to sobie raz na zawsze z góry powiedzieć, że te wątpliwości to tylko złudzenie, przywidzenie, urojenie, i t. d...

— Więć Pan taką rzeczą wierzysz w maleńkich ludzi Generała, prowadzących z sobą pod ścianą orkiestrę, w pogrzeb Mniszcha, i w pokazanie się Henryka ... — przerwał Pan W*, i spojrzał w około stołu wzrokiem wygranej.

— Wierzę może w więcej rzeczy od Pana — odpowie poważnym i nieco wzruszonym głosem, Radca — bo też dłużej od niego żyję; wierzę, iż dobrze jest nie całkiem rozumowi wierzyć, a to nawet przez znanie i uszanowanie tego samego rozumu; wierzę także, iż dopuszczenie myśli do strony tajemniczej i nadprzyrodzonej, w czem się to na faktach i świadectwie wiarogodnych osób wspiera, a nauce kościoła przeciwne nie jest, może być owszem o tyle dobre, o ile nas z błota życia tego materjalnego wyrywa i ku innym sferom podnosi.

— Tylkoż Religji przynajmniej do tego nie mięszać. Gdzież ona uczy wierzyć w strachy i mary? to chyba nianiek religja; *nasza* przeciwnie wyraźnie zakazuje.

— Zakazuje zabobonów, gusłów i przesądów, bo jest religją światła i prawdy; ale właśnie dla tego samego nie zakazuje, nie zbija bynajmniej rzeczy nadprzyrodzonych, gdyżby sama siebie zakazywała i zabijała...

— No, my z Kapitanem — wtrącił na zakończenie Poseł, i wstając z półuśmiechem głośno się z krzesłem odsunął, jakby dla dania już wszystkim hasła do jeneralnego z miejsc swoich powstania — jutro szanownym panom zdanie nasze w tej mierze powimy, bo dzisiaj doprawdy, że już późno: a obydwa w jedną stronę idziemy. —

Roboty dam były poskładane; oczy, które dopiero co i przez cały wieczór nad niemi czuwały, także się już często sklejały. Radca z Panem W* podaniem sobie wzajemnie ręki, spór swój przecięli, a może tylko zawiesili: zakończył się wieczór.

Nazajutrz lektor, przyszedłszy, jak był obiecał do Autora na kawę, oddał rękopism i odegrał rolę plotki, wszystko mu, co o Powieści, albo z jej okazji powiedziano, powtarzając... Później mówili o czem innem.

Po kawie i cygarze lektor (ponieważ jużeśmy go raz tak nazwali) przy wychodnem chciał jeszcze parę zwykłych i nic nieznaczących grzeczności powiedzieć:

— Dziękuję ci bardzo, bardzo; wszystkim nam sprawiłeś przyjemny wieczór, a mnie, powierzając rękopism, szczególnieś zobowiązał.

— Ja to owszem — żegnając swego dobrego znajomego, odpowiedział Autor — mam ci za co podziękować. Spiszę zaraz wszystko, bo mam właśnie wolną małą chwilę, coś mi dopiero powiedział: i z twojej łaski zrobi mi się dodatek do Powieści, albo raczej druga jakaś Powiastka, którą także kto zechce przeczytać.

BRYGADJER KIEJŻDA.

ROZDZIAŁ I.

Metamorfoza. Opis człowieka. Nawiasem wzmianka o szanownej Chorążynie. Zręczna pewnego stanu pochwała; wprzód jedna rada bardzo dobra.

Nic w świecie nie mogło być nudniejszego, jak życie Brygadjera Kiejżdy. Tak się nazywał i taki nosił tytuł dziwak jeden stary, któregom widywał niegdyś w jednem z naszych miast wojewódzkich.

Za młodych lat i dosyć długo służył wojskowo: w dowód czego miał tytuł Brygadjera, w rękach i nogach rumatyzmy; przy granatowym surducie dwa koniuszki wstążek niebieskiej i czerwonej, a przez wargi i brodę głęboką szramę. Był kiedyś, powiadali, hulaka, przystojny, zabawny, i sławny kobiet bałamut: w dowód znów czego prędzej o jaki dziesiątek lat wyłysiał, roskaszlał się, stetryczał, miał w szkatułce duży pakiet włosów, listów, pierścionków, pierścioneczków, i tym podobnych kosztowności, i został... starym kawalerem. Jak bowiem między staremi pannami — gdyż mimo wielkiej grzeczności i delikatności trudno nie przyznać, iż bywają czasem nienajmłodsze już panienki — jak mówię, między pewną klasą płci pięknej, żeby cierpkiego wyrażenia nie powtarzać,

najwięcej może bywa takich, co były i ładne i przyjemne i dziesięć razy mogły wybornie pójść za mąż! gdyby nie to, nie owo, lub nie co innego, jednem słowem, gdyby nie takie przeznaczenie i nie to może właśnie, że ładne i przyjemne: tak podobnego coś zdarza się niekiedy i u męczyzn. O czem wspomniawszy nawiasem na pociechę jednych i drugich, do kogo to się ściągać może, powiedzmy w dalszym opisie smutnej metamorfozy Brygadjera, iż dawniej był bogaty, teraz zaś ledwo mógł się bez cudzej łaski obejść: chociaż prawdę mówiąc, było to właśnie z łaski i jeszcze zupełnie niespodziewanej, mówię zapisu, pewnej dalekiej ciotki, wujenki, czy siostrzenicy, sam bowiem z pewnością nie wiedział, czem ta szanowna nieboszczka właściwie dla niego była. Reszta co kiedykolwiek posiadał, a po rodzicach miał był dość znaczną puściznę — obróciła się już od dawna we wspomnienie tylko filozoficzne, dowodząc znikomości rzeczy ludzkich, dzięki hulackiemu życiu, kartom i innym rzeczom, koniom i innym stworzeniom, słowem, potrzebom i rozrywkom wojskowym i kawalerskim, i także po części dobremu, polskiemu sercu. Trzeba bowiem co prawda przydać, że Wincenty Kiejdża, (nie powiedziałem podobno wyżej, iż miał na imię Wincenty), dawał kiedyś na prawo i na lewo; przyjaciela i nawet nieprzyjaciela nigdy w potrzebie nie opuścił. Prawda, że w tej hurtowej i żołnierskiej dobroczynności, często gęsto nie bywało najmniejszego ładu; że czasami aby Piotrowi dogodzić, od Pawła zarwał niewiedzieć po jakiemu, na termin nie oddał, o przykrość i szkodę przyprawił, jeszcze się w końcu pokłócił lub wyzwał: głowy to jednak nie serca była wina.

Jakże myślisz, szanowny Czytelniku — bo trzeba, żebyś mi czasem pozwolił po drodze parę słów do siebie zagadać — ze wszystkich tych wydatków o jakich wspomniałem, ze wszystkich sposobów, któremi caluteńki strwonił majątek, któregoż według ciebie żałował teraz stary Brygadjer najwięcej? Jabym rozumiał, że naprzykład kart, (tem bardziej, że jej nie bardzo lubię i w żadną grę nie mogłem się nigdy porządnie nauczyć); ty może powiesz, że koni, kto inny, że podróży, kto inny znów co innego... Oto żaden z nas nie

zgadł; Kiejździe najgorszy żal było tego, co stracił na przyjaciół, w usłudze bądź tych co sami o pomoc prosili, bądź którym nawet on się pierwszy z ofiarą narzucał. Gdybym przynajmniej, do kroć set sto tysięcy! — mówił czasem do siebie, nogą silnie tupnąwszy, kiedy mu się trafiało zwracać myśl w lata przeszłe i dumać o tem co było — puścił to wszystko na psy, na konie, na karty, na wino, na cokolwiek bądź, ale na nich! na ludzi! Pfu! wartbym nawet z torbą pójść i żebrać u tych samych, co u mnie bezczelnie żebrali.. Gdybyż to otwarcie, gdyby rękę po prostu wyciągnęli! ale oni fałszem, przyjaźnią zmyśloną... Okupiłem drogo doświadczenie, alem się przynajmniej dowiedział: wiem co są ludzie. —

Po przytoczeniu kawałka tego monologu, nie potrzebuję mówić, że biedne Brygadjerzysko całkiem było ze światem na bakier. Jakie właściwie miał powody nienawiści ludzi, nie mogłem się z pewnością dowiedzieć. Jedni powiadali, że istotnie doznał bolesnych zawodów i to od najbliższych sobie osób; drudzy utrzymywali, że koniec końców, nic w tych zawodach osobliwszego nie było, chyba dowód, że Kiejżda wcale pierwej ludzi nie znał, że wymagał i spodziewał się po nich więcej, jak ich biedna natura pozwalała, zapominając, iż sam także do tego samego, co oni wszyscy rodzaju, słabych i ułomnych stworzeń należał i był podobnież złego i dobrego pomięszaniem. Zapewniano mię nawet, iż największą jego do świata urazę, trzeba było raczej na karb politycznych wypadków położyć, że jego mizantropja datowała szczególniej od nieszczęść kraju, i była w nim bardziej nieporozumieniem się z sobą samym i z tem co go otaczało, i bardziej jeszcze złym humorem, niżeli prawdziwą mizantropją. Bądź co bądź, kiedym ja go widział, był to odludek, dziwak i tetryk, jakiemu rzadko by znaleść równego! Dość jest opisać jeden jego dzień jakikolwiek.

Przed kilku jeszcze laty, miał w mieście jedną znajomość: Chorążynę W*, wdowę po zacnym człowieku, osobę równie z charakteru jak z lat samych poważną. Nie często wprawdzie, bywał tam jednak; a chociaż obierał takie godziny, kiedy się nie spodziewał nikogo, lub mało kogo zastać, zawsze wszelako była to jakaś styczność z ludźmi, ile że Chorążyna

znając go od dawna i szczerze skądinąd szanując, otwarcie na wszystko co w sobie miał dziwacznego, biła, chciała z tego uleczyć, i nieraz go umyślnie towarzystwem kilku przyjemnych osób otaczała. Gniewał się, odludek, czasem się przez kilkanaście dni nie pokazał, aż potem albo zachorował (często bowiem zapadał, i Pani W* przyszle coś, czego mu potrzeba) albo zjawił się inny do zgody powód: dość, że znów przyjaciołkę odwiedzić musiał. Ale śmierć jej, ostatni jego ze światem węzeł, jakikolwiek on był, przecięła. Odtąd u nikogo a nikogo nie bywał. Do wszystkich poprzednich skarg na ludzi, przybyły mu nowe na lekarzy; im bowiem mianowicie, choć nie wiedzieć dla czego, zgon Chorążyny przypisywał. Z wiekiem też, coraz częstsze cierpienia ciała, czyniąc go mniej do wszelkich zabaw sposobnym, tem naturalniej robiły samotnikiem. Pamięć na dawne doskonałe zdrowie, które mu długo służyło, gniewem go ku dzisiejszym słabościom poruszała.

Odpadał tedy nieszczęśliwy Kiejżda z każdym dniem bardziej od ludzi; tem nieszczęśliwy, iż tracąc ziemię, nie szukał nieba! Że nie był dobrym chrześcjaninem, to już najlepszy dowód, ponieważ niczem nie chciał ludziom służyć. Miał prawda jakąś swoją religję, wierzył w Bóstwo, ale jak je sobie wystawiał i stosunków, jakie z niem utrzymywał, sam by przed sobą opisać nie potrafił. Zepsuty od młodości złemi przykłady, i cały wiek w fatalnej dla religji i obyczajów epoce przeżywszy, do kościoła nie chodził, wszystkich jakkolwiek pobożnych mając za hipokrytów, bigotów, obłudników, jeśli nie za ostatnich głupców. Zupełną wszakże bezbożnością nikt mu się również nie mógł podobać; od jawnego ze świętych rzeczy naśmiewcy dalejby jeszcze odskoczył, jak od prawowiernego katolika. Kobiet nie lubił, że niestałe i płoche: w czem przekonanie swoje opierał na rzeczywistem uczuciu, widocznej ich względem siebie zmiany, tyle się tylko myląc, iż tej zmiany źródło widział w nich, nie w sobie. Męszczyzn tem bardziej cierpieć nie mógł; starych dla samolubstwa, skąpstwa, nieczułości, wreszcie samychże chorób i cierpień wieku; młodych dla łatwowierności, dla zapału, niestatku i nieoglądania się na jutro. Słowem, nie było ro-

dzaju ludzi, któryby znosił, sam utrzymując się w jakimś dziwnym środku, w jakiejś czczości żadną stroną niczego nie dotykającej, między złem i dobrem, między tem czegoby chciał, a tem czegoby nie chciał, nigdzie nie utwierdzony, nie zaspokojony, nie pocieszony! Cokolwiek z natury miał dobrego, jakiekolwiek piękne, szlachetne uczucia nie były sercu jego obce, wszystko to tem swojem dziwactwem, tem wyłamaniem się z praw społecznych, które są nietylko ludzkie lecz i Boskie, znarowił w sobie, zagłuszył, ledwo że nie całkiem wyplenił. Nikim się nie trudniąc, o nikogo nie dbając, nikomu nie będąc pociechą ani pomocą, zamknął przed sobą życie we wszystkiem, w czem się jego słodycz i zacność mieści.

Taką to dziwną, dziką, niewiedzieć jaką i litości godną istotą był łysy Ex-brygadjer! Żeń się tedy, póki czas, radzę ci szczerze, abyś także kiedy na podobną biedę nie ... wyłysiał: kto bowiem zaręczy, że to w nim wszystko nie stąd tylko poszło, iż został bezżennikiem?

Otóż nie można było naturalniejszym, zręczniejszym i mniej może spodziewanym sposobem stanu małżeńskiego pochwalić!.. Ale nie o tem mowa; miałem bowiem opisać, jak Brygadjer dzień swój przepędzał.

ROZDZIAŁ II.

Szczególnie i długo o Brygadjerze; ogólnie i krótko o wróblach. Znów kawałeczek monologu. Postrzeżenie się Autora.

Opis możnaby zawrzeć w dwóch słowach: był sam.

Choroba tetryctwa, hipokondrji, czy jak ją nazwać — bo jednak lepiej się zastanowiwszy, nie mogę Brygadjera zupełnym mianować mizantropem — jak wszelkie inne choroby, gdy będzie zapuszczona i zaniedbana, nie stoi na punkcie, ale coraz się wzmaga. Po tej poważnej, pedanckiej, a między *nami mówiąc*, nienajprawdziwszej jednak maksymie, myślisz

może Czytelniku, iż zacznę ci jaki traktat lekarski? Uchowaj Boże! Do tego tylko mówię, że Brygadjer od dwóch lat nie miał przy sobie sługi, chociażby miał czem opłacić i skąpcem nigdy nie był, a sługa owszem im dalej, tym więcej była mu potrzebna; ale żeby nie mieć na oczach ludzkiej twarzy i nie słyszeć ludzkiego głosu. Lubo poczciwy Wawrzyniec, tak się ostatni jego lokaj nazywał, nigdy mu się bez interesu w pokoju nie pokazał; żeby, mówię, nikt mu drzwi nie otworzył, wtenczas gdy się tego nie spodziewał, odprawił Wawrzyńca i teraz przestawał tylko na tem, że mu przychodnia służąca co ranek pokoje sprzątała. Była to jedna figura, którą Brygadjer co dzień musiał jakkolwiek widzieć; powiadam jakkolwiek, gdyż ile możności unikał, aby się oczy ich nie spotkały i czasem po całych miesiącach słowa do niej nie przemówił.

Jak zwykle u bezbożników i samotników, którzy od nikogo i od niczego nie zależą, życie jego było regularne jak zegarek. W braku wszelkiej innej uciechy, ta wielka regularność sprawiała mu wszelką rozrywkę i przyjemność; uważał ją w sobie za jakiś szanowny przedmiot, za jakąś prawie ciągłą cnotę. Główna przeto wiadomość, jakiej od świata i rodzaju ludzkiego potrzebował, było dowiedzieć się która jest godzina, i czyli indeks fary utrzymywał się w zgodzie z zegarkiem jego Bregetowskim. Zawsze o tej samej godzinie wychodził, o tej samej godzinie powracał, o tej samej co co do minuty pił kawę, o tej samej co do minuty jadł obiad, o tej kładł się, o tej wstawał, i ledwo, że nie co dzień o jednej i tej samej minucie i sekundzie kichnął, podrapał się, przeszedł przez pokój, lub ziewnął.

Z ostatniem uderzeniem dziewiątej szedł do jednej kawiarni na śniadanie; tam na osobnym stoliku wypiwszy swoją filiżankę, przeczytawszy swoją gazetę, i zapłaciwszy co się należało, słowa nie mówiąc, o pięć minut przed jedenastą odmykał już u siebie drzwi, wyjął klucz i zaraz się ze środka zamknął. Punkt o jedenastej zdejmował granatowy surdut, który kładł na krześle przy komodzie po lewej stronie; brał na siebie szlafrok, leżący zawsze przy tejże komodzie i na takiemże krześle, tylko po stronie prawej; szedł do drugiego

pokoju, nakładał fajkę, zapalał, wracał na powrót do pokoju, gdzie stała komoda, brał w rękę chustkę, i siadł przy oknie ... palił, siedział i patrzył.

Więc tedy, powiesz, szukał przecie rozrywki wzrokiem!.. Tak jest; tę rozrywkę (było to na dole domu), dostarczał mu goły mur kamienicy przyległej, co na trzy lub cztery łokcie od okna wszystko przed nim i jego przed wszystkiem zasłaniał. Miał wprawdzie jeden najlepszy pokój od ulicy, lecz ten obrócił częścią na skład rzeczy, częścią zaś na bibljotekę.

Wysoko po nad murem wspomnionym, widać było okno ostatniego piętra w sąsiedzkim domu. Kiejżda postrzegał tam czasem jaką głowę ludzką, znosił to wszakże cierpliwie dla odległości i wysokości, nie domyślając się, iż właśnie z owego okna godziła w niego zdrada, a przynajmniej ciekawość: stamtąd w istocie można było widzieć, iż jak usiadł zaraz po jedenastej, tak siedział ciągiem aż do godziny trzeciej!

To ciche i osobliwsze martwych kamieni z ledwo że nie również martwym odludkiem towarzystwo, przerywane czasami było przybyciem ... wróbli: które albo na murze, albo nawet tuż przy oknie Brygadjera usiadały, wcale się nieruchomej jego postaci nie obawiając. Zapatrzony w tych powietrznych i skaczących gości, i wesołego świrku ich słuchając, zapomniał czasem pociągnąć dymu, choć trzymał w ustach cybuch; twarz mu się nawet wyraźnie ożywiała i szczera uciecha na niej się kreśliła, gdy głodni goście łakomie chwytali okruszyny chleba, które im naprzód był posypał.

O samej trzeciej znowu szlafrok ustępował miejsca granatowej sukni, cybuch zaś lasce, lub parasolowi. Do czwartej chodził po ogrodzie publicznym. Potem obiad w restauracji, znowu przy osobnym stoliku; potem szedł zwolna do kawiarni, nie do tej co rano, ale drugiej przy bramie miasta: tam po czarnej kawie z arakiem, przeglądał innego politycznego koloru gazetę, cieszył się i szydził w duchu z głupstwa i jak mu się zdawało podłości ludzkiej, że o czem rano czytał, że białe, to drugi tego samego dnia dowodzi, że czarne; potem przez kwadrans na miejscu siedział, wodząc oczami po przy-

bywających tamże lub wychodzących osobach, i rozmaite o nich, a zawsze pełne podejrzliwości i goryczy czyniąc sobie uwagi; wreszcie o siódmej, znów słowa do nikogo nie przemówiwszy, kierował się ku domowi, i o ósmej był już z powrotem, na nowo aż do jutra zamknięty.

Szedł prawda czasem na teatr, ale tylko na komedję, zwłaszcza o której wiedział, iż ten lub ów narów w ludziach, tę lub ową śmieszność i ułomność chłostała ostrą satyrą; z takiego zatem widowiska nie wesołość i zabawę, ale tylko nowe rozdrażnienie, nową pogardę ludzi wynosił. Kiedy zaś prosto z kawy wracał do siebie, miał dwa sposoby przepędzenia wieczoru: albo brał jaką książkę, rzadko jednak poetów, tych w ogólności nie lubił; albo kartkę jaką z La Rochefoucault, lub Bruyera, dwóch swoich faworytów, przetłómaczał i zaraz je spalił; albo też chodząc wzdłuż i wszerz po jednym i drugim pokoju, puszczał myśl w przeszłość, jak więźnia na wolność, to i owo sobie przypominał, gadał sam do siebie, wzdychał, czasem i oczy musiał obetrzeć, w tych bowiem momentach budziło się w nim nie raz serce, i czuł inaczej, czuł jak dawniej.

Ile razy jednakże podchwycił w sobie na gorącym uczynku takowe rostkliwienie, karcił się surowo, jakby po dopuszczeniu się niegodnej słabości. — Płacz, głupcze — ofuknął się naprzykład, ze zwykłym sobie gestem, tupnieniem nogi — rosczulaj się jak baba, albo student, masz czego, masz do wspomnienia pełno tkliwych, miłych, prześlicznych rzeczy!.. W tak długiej i rozmaitej służbie życia, ledwo upatrzeć, ledwo przypomnieć kogo, któremubyś i dziś jeszcze, gdyby tu stanął, mógł śmiało i z godnością rękę podać, a i to może dla tego, że śmierć lub oddalenie pierwej cię od niego oderwały, niżeś go miał czas całkiem i jakim był w istocie poznać... Tkliwe serce! starcze słaby! dziecię nędzne, latami i bolami pobite! O tak, masz czego się rosczulać! Przerzucaj myślą lata swoje, jak karty romansu słodziutkiego! romansu, od którego czytania, gdyby go tylko dobrze opisać, wzdrygnąłby się uczciwy czytelnik, jak od procesu szkaradnego... A zawsze te niepotrzebne wspomnienia, dumania o tem co Bóg wie kiedy było — dodawał po chwili, gdy się

zaczynał uspakajać — raczej cieszyć się, że oto dzień jeden przeszedł, że przecież choć dniem bliżej do tego, kiedy już wreszcie żaden obudzić nie przyjdzie. — Dobył zegarek, spojrzał: — jedenasta godzina! twoja pora Bregecie, trzeba cię nakręcić... Kiedyż ta jakaś ręka niewidoma, co i mnie tak jakimś tam sposobem do ruchu pobudza, jak ja ten zegarek... zapomni przecie stare klepadło nakręcić i da mi nakoniec pokój! —

I nieraz takim lub podobnym monologiem dzień Boży zamykał, na to, aby jutro znowu takiż sam i w te same podziały czasu i miejsca ujęty, przebył, przetęsknił, przemarnował!.. Nie miałżem racji zaraz na początku powiedzieć, iż nic w świecie nie mogło być nudniejszego, jak życie Brygadjera Kiejżdy? Ale ponieważ już to powiedziałem na początku, więc trzeba teraz powiedzieć co innego, żeby przypadkiem nie zrobił kto o mojem pisaniu tej samej uwagi, co ja o życiu Brygadjera. Mówmy tedy co innego.

ROZDZIAŁ III.

Jak jedna przyjaciołka autora miała talent zgadywania szarad i jaka jest natura serca ludzkiego. Nowy tej powieści aktor i o tem już aż do końca rozdziału, z przydatkiem uwag autora i słów samego Brygadjera.

Na pierwszy moment wyda się to dziwne, ba nawet do prawdy niepodobne, a wszelako jest to istotna prawda. Rano naprzykład pokoje już sprzątnięte i służąca odeszła, bije raz, dwa, i t. d., bije dziesięć, Kiejżda wstaje, wychodzi, zamyka, wiadomo że na kawę, bardzo dobrze. Wypił, czyta gazetę i to wiadomo. Bije jedenasta, Kiejżda już zamknięty u siebie, granatowy surdut na krześle po lewej stronie komody: to wszystko wiadomo i bardzo dobrze. Ale jakimże sposobem i jak to kto wytłómaczy, póki mu nie powiem, że choć wyszedł sam jeden i wrócił sam jeden i natychmiast się zamknął, *nie jest jed*nak w pokoju sam jeden?.. Znałem jedną wesołą

i przyjemną staruszkę, która lubiła bawić się w szarady, a nie miała najmniejszego daru zgadywania. Raz jej naprzykład zadano: pierwsze ka, drugie wa, a wszystko czarne... Wrona! zawołała. Ta droga moja przyjaciołka, zgadując teraz z właściwym sobie talentem, krzyknęłaby zapewne, iż wychodząc kogoś zamknął, więc wróciwszy zastał go znowu. Jakimże sposobem! odpowiedziałbym, kiedyż przecie służąca sprzątała pilnie wszystkie pokoje, i nikogo a nikogo prócz samego Brygadjera nie widziała? potem już drzwi się nawet nie otworzyły, tylko raz jak wychodził i znowu w pięć minut przed jedenastą, kiedy wrócił... Więc oknem! Okno było ciągle zamknięte. Więc coś nadprzyrodzonego, nadziemskiego!.. Przeciwnie, bardzo owszem ziemskiego i poziomego. Tak to czasem najłatwiejsza rzecz nie przyjdzie na myśl, i człowiek nie wie o czem mowa. Mnie nic łatwiejszego jak powiedzieć, gdyż wiem; i powiem zaraz, tylko by mi żal, gdyby się kto z biednego samotnika rozśmiał na razie jak z dziecka, rozśmiał z nieczułością, z szyderstwem: więc zrobię pierwej ogólną o sercu ludzkiem uwagę.

Darmo jest targać kontrakt, jakim każdego z nas związuje względem innych ludzi Stwórca; darmo się przeciw natury prawom buntować: zuchwalstwem takiem może się wprawdzie człowiek uczynić nieszczęśliwym i zostać dziwakiem, ale wybić się z owych praw i wyjść z koniecznych warunków życia nie potrafi. Serce musi kochać: i ile kocha, tyle je tylko w sobie mamy, i tyle tylko żyjemy. Uważał już Czytelnik, w jakich nasz smutny dziwak był stosunkach z ptastwem, co pod okno jego przylatywało: nietylko że lubił na nie patrzeć i z widoku jego szukał zabawy, ale umyślnie dawał mu jadło, karmił je, ciesząc się, iż dar jego zostawał przyjęty. Otóż miał jeszcze drugą podobną, nierównie nawet bliższą znajomość.

Patrzmy.

Usiadł na swojem zwykłem miejscu. W ustach cybuch, w ręku chustka; czegoż mu jeszcze potrzeba, że tak patrzy i wyraźnie oczekuje, zwrócony jest nie do okna, lecz owszem na pokój?.. Skruszył w palcach kawałek cukru, posypał na podłogę, patrzy ... mija kilka minut, trochę niespokojności

już ma w oku ... przydał więcej cukru, nie rusza się z krzesła, czeka jeszcze ... przebiegło coś pod ścianą! Na twarzy starca błysnął uśmiech ... przy cukrze siedział już gość drobniutki, chrupał i zmiatał białe okruszyny. To mignął naprzód za jedną co dalej odskoczyła, to wracał na pierwsze miejsce gdzie ich więcej, to jakby ucztą i szczęściem zmęczony, spoczął chwilkę, czy przez rozumną ostrożność chciał stanowisko obejrzeć ... i nikogo prócz swego dobroczyńcy i żywiciela nie widząc, bespiecznie słodki swój obiad dalej pożywał. Oczy odludka ani na moment się nie odwracały; przez cały czas wizyty świeciła w nich wyraźna radość i pewne rozrzewnienie, pewne nawet uszczęśliwienie. Twarz jego zwykle surowa i ponura, teraz owszem łagodna, dobra, przyjemna. Malutki stołownik raz i drugi po pokoju przebiegł, i znowu powraca, doskonale widać oswojony i łaskawy; poruszeń, nawet głosu szafarza swego nie lęka się; kręci się przy nim, uwija, swywoli... Nabawili się oboje; gość wreszcie zniknął pod ziemię.

Będziesz kto miał teraz okrucieństwo, kiedy już ten serdeczny biednego samotnika sekret zdradziłem, śmiać się z niego i szydzić?.. Szydzić! broń Boże; w żadnym razie. Śmiać się? możnaby w rzeczy samej, gdyby to nie było więcej jeszcze smutne niż śmieszne. Któż bowiem z dobrem i litosnem sercem mógłby widzieć obojętnie starca, dla którego w całym tym świecie wielkim i ludnym, mniejsza czy skutkiem nieszczęść, czy choroby i winy własnej, takie tylko było towarzystwo, takie tylko pociechy życia, tacy tylko jego spólnicy i świadkowie! To pewna! iż służącego dla tego między innemi powody odprawił, żeby był tem bespieczniejszy o swego kryjomego domownika, i tem wolniej mógł z nim przestawać. Tak go też do siebie nareszcie ośmielił, przyswoił, przynęcił, iż byli z sobą w najściślejszej przyjaźni. Nieraz po całych godzinach, choć nawet cukrzana uczta była już skończona, mały łakomiec nie wracał do swego ciemnego domku, ale zostawał na pokoju, do nogi się tulił, dzieląc jak mógł towarzystwo swego przyjaciela i spółmieszkańca...

— Wyraźnie chce mnie bawić — mówił wtedy czasem patrząc ku niemu Brygadjer — chce mi się odpłacać, pocz-

ciwe stworzenie! I za cóż, za cóż, ta cała wdzięczność i przyjaźń twoja? Za parę okruszyn cukru lichych! Człowiek, ten król, ten mędrzec stworzenia, wszystko w około siebie z pogardą i okrucieństwem depczący, ma ciebie za podłe, bezrozumne zwierzątko; podłe bezrozumne, bo ręki, która cię żywi, nie kąsasz i o cnotach nie gadasz; podłe i bezrozumne, bo zdrady pod jego nogami, jak on pod twojemi, nie stawisz, zguby jego nie pragniesz, i gdzie własną złością nie zdołasz, innych złośliwych stworzeń, innych zbójców na niego nie puszczasz!... Dzięki ci, o! dzięki, za tę chwilę pociechy i towarzystwa. Ty się smutkiem moim nie brzydzisz, bo też nie ty jesteś jego sprawcą. Aby cię zabawić, ucieszyć, i samemu z tobą się rozerwać, nie trzeba mi szkodzić nikomu, nie trzeba mi na to obmowy, fałszu, chytrości, podstępu, żadnej podłości, żadnej złośliwości, nie trzeba mi słów moich ani wzroku brać jak kupiec pod miarę i wagę... Dzięki ci jeszcze raz niech będą! —

Takie i tym podobne wyrazy zwracał ponury odludek do swego podziemnego stołownika. Gdy spotkał na ulicy jaką twarz przykrzejszą, albo w gazetach opis jakiej nowej zbrodni wyczytał, albo jakąkolwiek inną przyczyną bardziej się na rodzaj ludzki rozjątrzał: tem prędzej wtenczas do domu i przyjaciela, jak nazywał, spieszył powracać.

Ale że też ja mam śmiałość, dobry mój Czytelniku, o takich ci dziecińswach prawić!... Zobaczysz dalej.

ROZDZIAŁ IV.

Drugi nowy tejże Powieści aktor. Brygadjer nie płaci za kawę. Dwóch nie-dziwaków gorszy się z dziwaka. Do jutra!

Pewnego dnia Brygadjer, podczas gdy zwyczajny swój spacer w ogrodzie odbywał, przechodząc samotną i ciemną aleją, gdzie najczęściej nikogo nie bywało, ujrzał siedzącego na ławce młodego chłopca, zatopionego w głębokim smutku.

Nie dałby pewnie na niego żadnej uwagi, gdyby nie to, że młody żałobnik, był bowiem ubrany w grubą żałobę, nagle się od niego odwrócił, spuszczając głowę ku ziemi, i strzegąc się, iżby twarzy swej nie pokazać. W tym prędkim ruchu głowy spadło mu parę łez na piasek; zakrył ich ślad natychmiast nogą, ale Brygadjer to postrzegł.

— Hmm! wcześnie młodzik zaczyna prawdziwy smak życia kosztować — rzekł do siebie dziwak, odszedłszy cokolwiek: nie było bowiem u niego osobliwością z samym sobą głośno rozmawiać — ukąsił jabłko zaraz od zgniłego końca; tem lepiej: nie dziwi się potem, gdy w środku znajdzie robactwo i próchno. — Obejrzał się ku ławce raz i drugi... Wreszcie gniewem się obruszył, uczuwszy, że go znienacka ściskała za serce litość. — Niech płacze, niech na głos szlocha, jeśli myśli, że przez to kogo do usługi sobie przywoła... Świeży rekrut, jeszcze mu karabin i tornister za ciężkie; przyzwyczaisz się mój chłopcze, i pójdziesz z niemi, jak drudzy przed tobą i za tobą... Ręczę, że go ktoś oszukał, ukrzywdził, serce przeszył i do tej żałoby zdrada się przyłączyła... Śmiało, chłopcze, śmiało! — przydał, patrząc znów i już z daleka w miejsce, gdzie tamten siedział — zazdroszczę ci, żeś prędzej niż ja prawdę poznał; szanuję cię, żeś się ode mnie odwrócił. —

Czwarta dochodziła; Brygadjer poszedł na obiad.

Na obiedzie nie miał coś wiele apetytu. Poszedłszy na czarną kawę, znalazł ją gorszą niż zwykle: dorzucił cukru i nie dopił, bo była nadto znów słodka. Wypił pół kieliszka araku więcej niż codzień, zaraz sam się na siebie gniewając, że tak ze zwyczajnego trybu wychodzi. Wstał prędzej jak innych dni, w gorszym humorze, i mocno stolik przed sobą trąciwszy, poszedł, nie kładąc nawet na tacy, jak miał zawsze zwyczaj, pieniędzy. — Warjat jestem, pfu! — mówił zaraz na ulicy, tupnąwszy nogą — jak mi już wlizie co w głowę!.. Czy to jeden na świecie płacze? Czy taka osobliwość, że kto płacze? Może jeszcze sam winien... Choćbym się był spytał, czy mu czem pomódz nie mogę... Ale co tam do kroćset sto tysięcy! co mnie się do niego mięszać! —

W tem poruszeniu i śród tego monologu przerywanego, spotkało go parę osób co go znały.

— Jakże się stary rosparskał i głośno coś pod nosem mruczy! — rzekła z nich jedna — cóż mu się takiego stało?

— Co mu się tam stać miało — odpowie z pogardą drugi — zwyczajnie głupiec, mizantrop. Może kto nosa głośno przy nim utarł, to będzie za to cały rodzaj ludzki przeklinał. Cierpieć takich dziwaków, takich samolubów nie mogę. — I oba przeszli dalej swoją drogą, tuż obok nędznego żebraka, co leżąc pod murem na próżno rękę ku nim wyciągał.

Kiejżda tymczasem wróciwszy do siebie zmęczony, szedł bowiem prędzej jak zwykle: przez dalszą dnia tego nieregularność, posypał zaraz na podłodze cukier, chcąc się swoim małym domownikiem trochę rozerwać; ale tamten regularniejszy, ponieważ to nie była nigdy jego godzina, wcale się nie pokazywał i próżno starzec patrzał pod ścianę. Żałował, że nie poszedł na teatr; teraz już było późno; trzeba więc było przepędzić wieczór z fajką tylko i książką. Czem się jednak sam przed sobą z takiego zainteresowania się nieznajomym młodzieńcem tłómaczył, to tem, iż tamten litości jego nie szukał, owszem spojrzeć nawet na niego nie chciał. — Gdyby nie ta uczciwa duma ... — rzekł, gdy już jedenasta miała uderzyć — ale co tam! Do jutra zapomnę. Niechaj się młodzik wypłacze.

ROZDZIAŁ V.

Świętoszek. Miniatura. Sierota. Brygadjer spóźnił się o całych cztery minut.

Nazajutrz, kiedy wracając ze śniadania i mijając kościół, stanął Brygadjer zobaczyć, czy zawsze się przykładna zgoda między Bregietem a zegarem fary utrzymuje, postrzegł, iż ten sam w żałobie chłopiec, wyszedł z kościoła, chowając do kieszeni książkę. — Świętoszek! — przebąknął, powiódłszy

za odchodzącym oczami — szkoda; jakaś uczciwa mina... Widać przejezdny i za interesami — pomyślał, gdy tamten się kierował do domu Rządowego, co na tymże samym stał placu — życzę szczęścia, Panie młody. — I odszedł w swoją stronę.

Naturalna rzecz, że między trzecią a czwartą Wincenty Kiejżda przechadzał się znów po ogrodzie. Ale co nie jest tak naturalne, tak konieczne, w owej odludnej alei i na tej samej co pierwej ławce, dumał znów młody nieznajomy, czyli jak go teraz Kiejżda nazywał, Świętoszek i znów był w równie głębokim smutku. Za zbliżeniem się Brygadjera powstał prędko, zebrał z ławki jakieś papiery, schował, i odszedł naprzód, biorąc się zaraz w pierwszą ulicę na bok. Nie było to ku stronie, którędy się z ogrodu wychodziło; wyraźnie więc unikał tylko spotkania. Szczegół ten ujął znów naszego dziwaka mocno za serce. Doszedł tymczasem do ławki, rzucił okiem ... zapomniana czy upuszczona miniatura! — A! romanse! Pewno jakaś Jejmość Panna Dulcynella — rzekł z przekąsem — ale co za rostrzepaniec, poleciał zostawiwszy! — Schylił się Brygadjer ... oficerski mundur; co większa! mundur jego niegdyś pułku. Przypatruje się lepiej ... poznaje jednego z dawnych swoich kolegów: kapitana Zacharę! Właściciel tymczasem miniatury, opatrzywszy się, iż ją zostawił, wracał pospiesznie. Miniaturę trzymał w ręku Brygadjer, i mocno w nią wpatrzony, nie spieszył się z oddaniem, lubo młodzian stał już koło niego i rękę po własność swoją wyciągał.

— Może Pan Dobr. przypadkiem znał mego ojca, że tak się przypatruje — przemówił, strojąc się w nagły rumieniec, i utkwiwszy w twarz Brygadjera zwieszone oczy, z całą ufnością ośmnastoletniego chłopca, tem bardziej, iż u sukni jego tę samą spostrzegł ozdobę, którą na piersiach ojca widywał.

— Nie przypadkiem, ale z koleżeństwa znałem bardzo dobrze. Bardzo podobny. — Odpowiedział Brygadjer, czy przez zapomnienie się w pierwszym momencie, czy ujęty miłem obliczem młodego Zachary, ku któremu skądinąd, jak wiemy, czuł już pociąg. — Służyliśmy z sobą razem i nie

przez jeden dzień — mówił, patrząc na rysy i mundur dawnego towarzysza broni — kiedym ja wziął tę szramę, którą widzisz, on w rękę dostał kulą; razem w lazarecie leżeliśmy... Poczciwy Teodor!..

— A tak! Teodor miał mój ojciec. To i moje imię...

— Dawne czasy, dawne rzeczy! — nie postrzegłszy nawet, że mu przerwano, prowadził Kiejżda, oddając nareszcie miniaturę — nie wróci się, mój Panie! A żeby mi teraz kto powiedział, za co to wszystko i na co było, te nasze trudy, znoje, rany! Przeszło jak sen... Ale kapitan — przydał — umarł już dawno, wiem; musiałeś jeszcze być bardzo mały.

— Sześć lat miałem.

— Taki świat, Panie młody, i takie na nim życie!.. Rozgadałem się!.. Po kimże ta nowa piękna sukienka?

— Po matce.

— Już i po matce? Najlepiej!.. Jestem Brygadjer Kiejżda. stary, do niczego, jak widzisz i jak ci wszyscy powiedzą. Jesteś dumny, to dobrze, chwalę to w synu mego kolegi, tylko nie bądź świętoszkiem, twój ojciec nie był; a jeśli w czem mogę, w czem wola, to bez ceregielów, otwarcie, do krocset ... byliśmy z tego samego pułku; tylko prędko i zwięźle... Patrzysz się, Panie młody, że paplam, mielę językiem jak baba krupna? to widzisz, mój zwyczaj wiele gadać. No, mości Zacharo, czekam, a nie dziw się tak. Niech wiem i basta.

— Cóż takiego? — zapytał pomięszany młodzieniec, nie wiedząc, jak tę dziwną mowę rozumieć i czy nawet mówił z człowiekiem pełnych zmysłów.

— Jakto co takiego? Ja to się pytam co takiego? Duchem Świętym nie zgadnę. Czegoż chcesz? jakiej po mnie chcesz usługi? Godzinę tak stać nie będę.

— Ja Pana nie zatrzymuję; niczego od niego nie chcę, kiedyś był łaskaw oddać mi już com tutaj zapomniał... — I powtórnie młody Zachara zapłonął, lecz od innego, niż pierwej uczucia. Nie odchodził jednak, rozumiejąc, że mu ktoś umyślnie chciał ubliżyć; i z widoczną urazą nieznoszącego obelgi serca, utkwił dwoje roziskrzonych i pięknych

oczu w śniadą twarz Kiejżdy, jak gdyby dopominał się natychmiast objaśnienia słów wyrzeczonych.

— Dobrze, bardzo dobrze! — rzekł wzruszonym nieco głosem Brygadjer, chwytając go mocno i ściskając za rękę, jakby mu za łaskę jaką dziękował. — Widzisz, ja już dawno do ludzi nie gadałem; i takiej twarzy, takiego czystego spojrzenia dawnom już nie widział ... dawno, gdyż dzisiaj i w zwierciadło patrząc, nie widzę ich. Jestem zły, nieludzki; jestem stary i sam na świecie, chociaż nie w żałobę ubrany. Widziałem, żeś szedł do tutejszych panów Rządowych z papierami, pewno z interesem; widziałem, żeś niewesoły; znam ludzi i wiem, że ci nie pomogą: więc gdyby w czem można, mam prawo, jako kolega ojca, ofiarować synowi usługę. Otóż co chciałem powiedzieć i spytać, jeśli masz wolę wynurzyć się, za czem tu jesteś i w czem mógłbym ci być użyteczny? —

Nie skończył jeszcze tych słów, kiedy młody Teodor był już zupełnie pewny, że mówił z prawdziwym przyjacielem, z zacnym człowiekiem, i już go w duszy kochał z całą łatwością i szczerością lat młodocianych. Natychmiast mu się też ze wszystkiem otworzył, tem bardziej, że wyraz smutku i cierpienia na twarzy starca wyryty, tem pewniejsze spółczucie zaręczał. Sekretów nie było żadnych; interes bardzo prosty. Po śmierci matki, która miała w temże województwie mały kawałek ziemi, Teodor najstarszy z rodzeństwa, zostawując brata i siostrę na opiece wujostwa, przyjechał upomnieć się u Rządu o zaległą jedną należytość, niewielką, ale na którą w ubogim domu bardzo liczono i oraz prosić dla siebie o miejsce w szkole katedów. Pierwsze odmówiono mu zupełnie, pomimo całkiem innej ostatniej w tymże interesie odpowiedzi, jaką jeszcze matka była odebrała; co do drugiego zaś, kazano się zgłosić za rok, gdyż teraz wszystkie miejsca były już obsadzone; co także równało się zupełnemu prawie odmówieniu, czekać bowiem cały rok, zostając tymczasem ciężarem wujostwu, było prawie niepodobieństwem i trzeba by chyba całkiem co innego dla siebie obmyślać. Zgłaszał się do komisji powtórnie, lecz odprawiono go z tem samem i już tą razą ustnie tylko. Był już przeto na wyjezdnem: tylko od dwóch dni odwlekał, nie śmiejąc z tak szczę-

śliwym skutkiem w domu się pokazać i nie wiedząc też co począć.

— Oczywista rzecz! — wysłuchawszy i tupnąwszy po swojemu nogą, zaczął Brygadjer — tylko niech zobaczą, że czego potrzebujesz, że nie dawać, ale brać przychodzisz! Widzieli dziecko samo, nie ma komu chodzić... I kto to był taki mądry, że cię nie do Warszawy, ale tutaj wysłał?.. Czy z samym Prezesem widziałeś się? Czy mówił sam z tobą?

— Nie. Prezesa widziałem, ale nic ze mną nie mówił.

— Otóż właśnie! A najlepiej ani do Prezesa, ani do nikogo, tylko wprost pisać do Ministra. Synowi wysłużonego oficera, żeby nie otworzono drzwi szkoły, gdzie nie innej prosi łaski, tylko aby się nauczył służyć krajowi i za niego jak ojciec, mógł życie ponieść? Do króćset sto tysięcy! Należność także, widzę z papierów, jak najregularniejsza i święcie się należy. Tu piszą sami, że przyznają, że tylko czekają końca likwidacji z drugiemi, a teraz?.. Cóż to, czy przez grzeczność tak pisali? może, aby biednej wdowy nie zmartwić? Czułe serca! Nie ma co myślić, ani rąk opuszczać, tylko napisać do Ministra. A napisać jasno, porządnie, niedługo; to się zrobi. Do siebie nie proszę, bo nikogo nie przyjmuję; ale jutro o tejże porze, gdyż ja dość jestem regularny, znajdziesz mię na tem samem miejscu, to zobaczymy co napiszesz. Teraz czwarta dochodzi: do widzenia. Wprzódy jednak ... tylko do króćset sto! tak to przyjm jak powiem ... ja taki sam mundur nosiłem, jak tam masz odmalowany ... pytam się, czy nie potrzebujesz pieniędzy?

— Nie; dziękuję bardzo — odpowiedział z miłym uśmiechem młody Teodor, mam o czem wrócić.

— Wierzę. Więc do jutra. — I na tem rozmowę uciąwszy, odszedł, wcale nawet Zachary nie żegnając.

— Dziwny jakiś człowiek! — pomyślał młodzieniec, patrząc za odchodzącym — ale nic się już go nie boję, a kocham. Kolega mego drogiego ojca; razem służyli, razem żyli. O! jutro jeszcze go za to serdecznie pocałuję... — I wracał zasiąść czem prędzej do pisania prośby, pełen znowu najlepszej otuchy.

— Otom się rozgadał! jak młyn wietrzny, do króćset sto

tysięcy! — mówił ze swej strony Kiejżda, puszczając się w zwyczajne monologowanie, gdyż ledwo był o kilkanaście kroków stamtąd. — Kto jeszcze wie, jak tego mogę żałować... Podobał mi się chłopak ... żołnierska krew... Tylko jak będzie to starsze, a wlizie między ludzi... No, proszę! — kończył, spojrzawszy na zegarek — już się z jego łaski spóźniłem. —

Istotnie było cztery minut po czwartej.

ROZDZIAŁ VI.

Zdanie krytyka o szkole i profesorce. Wielki kłopot, wielka determinacja, wielki wstyd Brygadjera. Suplikant się odwdzięcza. Ciekawość Czytelnika nie zaspokojona i dla czego?

Obadwa stawili się jak najakuratniej na miejsce i godzinę umówioną. Brygadjer nawet, wchodząc w aleję, zastał już Zacharę. Dobył prędko Bregieta, czy przypadkiem się nie spóźnił; a zaspokojony o własną regularność, tylko bowiem co trzecia minęła — dobrze, Panie młody, żeś słowny i pilnujesz godziny. Prośba jest? Uda się?

— Jest. Zdaje mi się że dobra.

— Zobaczymy. —

Usiedli na ławce. Teodor dobył prośbę i dawał ją, lecz Kiejżda kazał mu głośno przeczytać. Uwaga i spokojność słuchacza, miłe były bardzo autorowi: zacząwszy też dość cichym i właściwym miejscu, gdzie byli, głosem, stopniami go podnosił, natężał, skończył wreszcie tonem zupełnie deklamatorskim.

— Nic nie warto — rzekł, ciągle równie spokojny Brygadjer. — Na szkolne zadanie, na list do krewnego, do przyjaciela, nie złe, może nawet bardzo dobre; na prośbę do Ministra, na pismo urzędowe, nic do rzeczy. Cóż, myślisz, Rządowi do tego, co się w domu wujostwa twego dzieje? Że wujenka musi jechać do wód, że wujowi owczarnia zgorzała,

co to wszystko Ministra i Rząd Królestwa ma obchodzić? Tu nie na żadnych czułościach i romansach — prowadził surowy krytyk dalej, gdy zmięszany i zawiedziony autor najzupełniejsze chował milczenie — ale się trzeba oprzeć na prawie i także na poprzedniem wyraźnem Rządu zobowiązaniu się: a wysłowić się bez deklamacji, jasno, i jeśli można w kilku wierszach... Czy masz tu w mieście kogo znajomego, coby za ciebie mógł to zrobić?.. Bo widzisz, interesa potrzebują starszych lat, doświadczenia, i są osobną nauką. Szkołą do niej jest świat, a profesorem życie... I szkoła i profesor djabła warte! Znasz kogo?

— Nie; ja tu nikogo nie znam.

— To źle... Wuj także pewno z Ministrami nie koresponduje... A gdzie stanąłeś? Czy blisko gdzie stąd?

— O! owszem aż koło rogatki. Ja szukałem tanio.

— Więc chyba... Jeszcze wprawdzie blisko godzina czasu... Tylko że... Jak to zrobić... U mnie nikt nie bywa... A kiedy wyjedziesz? — spytał się nakoniec, mocno zakłopotany Brygadjer, i przywiązując widać do tej wiadomości nie małą wagę.

— Ja już lada dzień muszę; jutro, pojutrze; chyba że Pan Brygadjer osądzi, żeby zostać dłużej...

— Nie, nie, i owszem, zatrzymywać nie chcę. Ha! to sprobuję może... — Powstał; znów przerwał, spojrzał mocno na Zacharę; chciał i wahał się coś wielkiego wymówić, coś wielkiego wymówić, coś stanowczego zrobić ... — Ha! to chyba podyktuję ci u siebie... Chodźmy! —

Co za wydarzenie!

Brygadjer, jakby po dopuszczeniu się jakiejś względem siebie samego zdrady, jakiegoś przeniewierzenia się, uczuł coś natychmiast, nakształ wyrzutów prawie sumienia. Szedł przez miasto jak winowajca, nie chcąc na nikogo spojrzeć, więcej jeszcze ta razą przez wstyd, niż przez co innego. Na jedno i drugie jakieś słowo Zachary, nie dał odpowiedzi i bardziej owszem się zmarszczył; czego jednak tamten nie uważał, zajęty własnem nieprzyjemnem uczuciem, że mu się napisanie prośby tak fatalnie nie powiodło. Brygadjer idąc spiesznym krokiem, żeby prędzej ludziom z swoim przypad-

kowym towarzyszem zejść z oczów: przeciw wyrzutom niestałości i nieuwagi, jakie sobie czynił, ciągle się jak tarczą, tą myślą zasłaniał, że to tylko na raz jeden, na jedną chwilę, i że gościa, który mu się tak niespodzianym sposobem dostawał, jutro zaraz już nawet w mieście nie będzie. W rzeczy samej, na widok Brygadjera Kiejżdy, idącego przez ulicę wtenczas, kiedy całe miasto byłoby się zakładało, że chodzi po ogrodzie, a co większa, idącego wyraźnie w towarzystwie drugiego człowieka! wszyscy się oglądali, dziwili, oczom własnym wierzyć nie chcieli. Czuł doskonale stary samotnik wielkie to, które go otaczało podziwienie. Żeby był tego nie zrobił co zrobił, żeby zdaleka od tych wszystkich ciekawców i sam, sam jak zawżdy, przechadzał się po ogrodzie, czekając tam aż czwarta wybije: żeby, mówię, mógł to sprawić i pozbyć się natychmiast natręta, którego jednakże niepodobna mu było obwiniać, o! dałby za to teraz nie wiem co, dałby z siebie surdut, dałby swój Bregietowski zegarek, dałby swoje wszystkie wróble, dałby swoją... Nie! tego tylko jednego za nic!..

— Ha! Pisz prędko, bo zaraz muszę wychodzić — rzekł skoro weszli do pokoju, z ciężkiem westchnieniem człowieka zmęczonego i spieszącego się, wskazując Zacharze miejsce przed stolikiem, gdzie było wszystko co do pisania potrzeba
— Jaśnie Wielmożny Ministrze! Niżej podpisany, syn kapitana...

— Zaraz, Panie Dobrodzieju, zaraz! nie sposób tak prędko... —

Stojąc tuż przy krześle i wsparty ręką o stolik, podyktował Brygadjer prośbę, spojrzał potem, czy bez myłki napisana. — Dobrze; podpisz się, i datę... Tak; złóż i oto masz kopertę... Ale, ot nie wiem ich tam teraźniejszych tytułów, jak zapisać na kopercie... A! mam prawda gdzieś Kalendarzyk; poczekaj. —

Poszedł do pokoju, gdzie stały szafy z książkami, lecz nie mógł zaraz wyszukać. Kilka minut upłynęło; już, nie znalazłszy, miał nazad wracać do Zachary, który przez ten czas czekał go na miejscu, gdzie pisał... Gdy razem i książkę zobaczył i usłyszał stuknienie. — Zaraz, zaraz! wołał

przeze drzwi, wziąwszy to za znak przywołujący — już mam... A co za gorączka! — przydał do siebie — także mu widać stąd pilno... Masz tutaj wszystkie tytuły Ministra, tylko przepisać — rzekł wchodząc z powrotem i podając Zacharze otwarty kalendarzyk — spodziewam się, że będziesz miał odpowiedź prędką i pomyślną...

— Dzięki łasce Pana Brygadjera... Ja tu także oddałem mu tymczasem małą usługę i zaraz się trochę odwdzięczyłem — przerwał suplikant wesoło: — proszę patrzeć! zabiłem mysz... Sam się nie spodziewałem trafić, trzymałem laskę w ręku i chciałem tylko nastraszyć: taka głupia, nie uciekła... Co to jest Panu Brygadjerowi! — krzyknął, teraz mu dopiero w twarz spojrzawszy i prędko się ku niemu zrywając — czy słaby, że tak pobladł? tam może okno otwarte?.. Co Panu jest! Czy Pan się boi myszy? Już przecie nieżywa — —

Brygadjer wsparty o komodę, słowa nie przemówił, oczu od ziemi nie podnosząc .. W parę dopiero minut, wskazał drżącym palcem na kartę, książki i na kopertę, która miała być zapisana. Zachara, przejęty nagle jakimś prawie strachem, nie mogąc swego dziwnego przyjaciela nic rozumieć, a dzikim wyrazem twarzy jego, mocniej niż kiedykolwiek uderzony, nie wiedząc wreszcie z pewnością u kogo się znajdował: niemem posłuszeństwem na to wskazanie odpowiedział. Gdy napisał, jak było potrzeba, i chowając list do pularesu, dziękował za oddaną sobie przysługę. — Może Pan Brygadjer — mówił — co roskaże? może co przynieść, jeżeli się czuje słaby? Czy nie mogę mu jak służyć? —

Ten, na całą odpowiedź, pokazał mocnym giestem we drzwi.

Ledwo Zachara miał czas wyjść do sieni i ścisnąć plecami na tak osobliwszy sposób przyjmowania i żegnania gości, gdy usłyszał spuszczający się z wewnątrz na dwa spusty zamek i klucz zaraz wyjęty. W pierwszej chwili i nie zastanowiwszy się nad tem co robi, wrócił do drzwi, i nie tak przez ciekawość, jak raczej przez przychylną troskliwość. zajrzał, co się w pokoju dzieje.. Właśnie naprzeciwko

drzwi upadł starzec w krzesło, w obie dłonie twarz swoją kryjąc...

Czyżby z temi zmarszczkami na czole, i z tym białym włosem, wojak stary, mógł być takiem dzieckiem, aby myszy jednej płakać?.. Odpowiedzi na to zapytanie, choćbyś je chciał uczynić, miły Czytelniku, nie masz się prawa domagać: na tem bowiem powieść się kończy.

ŚLUB PRZYJAŹNI.

I.

Słońce tylko co wschodziło. Gęste jego i poziomo lecące promienie myły się w przejrzystej rosie po obszernych łanach, po zielonej łące; dalej, szeroką i spokojną szybę stawu różowały, w kraśne się ogniki na niej prześcigając; aż po drugiej stronie, ukosem dostrzelały po rozrzuconych nad wodą chatach wioski. Głosy pogodnego dnia wypełniały powietrze. Gwar ptasząt, ryk bydła, śpiew robotników i robotnic w polu, szelest rannego powiewu po liściach drzew, po gibkich i kiciastych stawu oczeretach, łączyły się w jedną uroczą pieść, uszom szczęśliwych wieśniaków pospolitą, w jeden przestronny, powszechny odgłos życia i wesela!..

Ale ten cały, jasny i błogi obraz kończył się nagle ścianami białego dworu, co niedaleko za wodą stał na wzgórku, naprzeciw wąskiej, wierzbami sadzonej grobli. U jednego okna, właśnie od strony grobli, niespokojna ręka raz po raz zieloną firankę odsuwała. Jasne włosy błysnęły na moment od słońca, które teraz w czyste szyby padało; pięknych lecz trwożnych dwoje oczu, biegło co prędzej wzdłuż grobli: i jak gdyby widok pięknego bydła, co wolno chodziło na paszę, rześkie przesuwanie się roboczych ludzi, i cały w koło ruch zaczętego dnia wiejskiego, był im nieprzyjemny, znów się czemprędzej chowały.

Wbiegł wreszcie na groblę lekki wózek. Otworzyło się okno: stała w niem młoda niewiasta, widna teraz, i dawała znak witania i przyspieszania. Smutek i niespokojność, które widać od jakiegoś już czasu te piękne niebieskie oczy zaćmiły, uciekły, oby na zawsze! przed miłym, lubym uśmiechem. Na wósku, prócz furmana, siedział jeden tylko jakiś męsczyzna. Zobaczył znaki z okna i przynaglił jazdę.

Kto był, ciężko by na pierwsze wejrzenie poznać. Czy dla rannych chłodów, czy tylko dla ochrony ubioru od świeżości rosy, obwinięty był szerokim letnim płaszczem; twarz zakrywały dość znaczne skrzydła kapelusza. Nie jeden z czytelników, zgadywać prędko lubiących, zgadł już zapewne młody wiek przybywającego gościa i czekał tylko spotkania się kochanków. Moment cierpliwości!.. Tymczasem dając czas podróżnemu dojechać, zwłaszcza iż mimo najlepszej chęci, krąglaki, jakiemi grobla była wymoszczona, gęsto tu i ówdzie sterczące, przytem sam wzgórek, co się ku dworowi znacznie podnosił, jazdę utrudniały: uprzedźmy go na moment, i zajrzyjmy do pokoju, o którym wiemy dopiero, że ma w sobie jedną czy więcej zielonych firanek i parę niebieskich oczu. Dobra się zdarza sposobność; właśnie idzie tam z kawiarni główna sługa domu i prawa ręka Państwa do wszystkiego: klucznica, kawiarka, rządczyni, piastunka — co zechcesz!

Pozasłaniane szyby nie dopuszczały nic z blasku słońca. Pod jedną ze ścian, na łóżku w półframugę wsuniętem, spoczywał starzec. Oddech jego ciężki i mocny, z ust na pół otwartych i nie z jednostajną przerwą wydawany, nie oznajmił snu spokojnego i zwykłego. Jakoż, blade i zapadłe lica śpiącego; przy łóżku na jednym i drugim stoliku flaszki, kubki, słoiki, i wszystek zwyczajny kredens apteczny; zapach pomięszany rozmaitych lekarstw, nieład w pokoju, gdzie jedne rzeczy świeżo widać poruszone i przestawione, drugie skądinąd wniesione; w pośrodku, naprzeciw okien rospięty parawan, robiący przed łóżkiem, jak gdyby w pokoju nowy osobny pokój, a zwłaszcza postawa i sam wzrok młodej strażniczki: wszystko zgoła pokazuje na pierwszy zaraz rzut oka, żeśmy weszli do pokoju chorego. Od okna zbliżała się *ona cicho* do łóżka; oczy utopiła w twarzy starca, niespo-

kojna, czy czego nowego nie postrzeże i pilnem uchem oddech jego mierzyła. Dwie te tak różne, i na dwóch przeciwnych kończynach bytu ziemskiego, istoty: bezwładny, gasnący starzec, i ta jego opiekunka, wiosną życia dopiero rozkwitła, ścisły widać krwi i uczucia węzeł jednoczy. Poprawiła delikatnie kołdrę na nogach. Wzięła ze stolika zieloną gałąskę, przewiała nią zwolna raz i drugi po nad głowami; potem, znów przez moment zatrzymawszy nieruchomie gałąź u góry, w drogie oblicze wpatrzona i westchnienie w sobie tamując, stała nad łóżkiem, jakby widomy Anioł-Stróż z palmą, cicha, lotna, piękna i miłości pełna... Spuściła wreszcie rękę; ściśnieniem zmrużonych powiek wygnała z oka łzę tułaczkę, która jej patrzeć przeszkadzała; odłożyła powoli bogaty pukiel włosów, co jej od czoła wzdłuż twarzy był upadł... I zlekka ukląkłszy, ostrożnie na ręku śpiącego złożyła córki pocałunek. Na tę miłość, na tę cześć dziecka, nie dała ręka starca żadnej odpowiedzi, nie przerwała więc bynajmniej jego snu: i tej też czułości pobożnej nikt w tej chwili nie czuł, nie widział, nie odpłacił ... na ziemi. Właśnie bowiem teraz dopiero pokazała się sługa, o której wyżej była wzmianka, a którą nie wiem czemu, nie nazwaliśmy zaraz od razu jej imieniem Barbary, znajomem nietylko w białym dworze, ale na kilka mil w okolicy. Piękna Anna — bo przy jednej okazji i to drugie imię powiedzmy, podnosząc się prędko, dała znak, żeby nie szła dalej i sama ku drzwiom na palcach postąpiła.

— Jedzie — szepnęła Barbara, zatrzymując się w progu i trzymając za sobą drzwi niezamknięte.

— Widziałam — odpowiedziała równie krótko i jeszcze ciszej Anna.

Na tem, według wszelkiego podobieństwa, byłby tej rozmowy koniec, gdy jedna to tylko chciała donieść co druga już i bez niej wiedziała, gdyby Barbara nie postrzegła u Pani swojej świeżego śladu łez i mocnego we wszystkich rysach twarzy poruszenia.

— O! ślicznie Panna wyglądasz, nie ma co mówić, jak z krzyża zdjęta, Boże odpuść, już prawda! — i wznosząc silnie oba ramiona, mówiła z rosnącem nieukontetowaniem

i nawet znacznie mocniejszym tonem: — o! to Panna bardzo przez to Jegomości pomoże, jak sama się roschorujesz, to trzeba będzie dwoje pilnować. Pan Dorf przestraszy się jak zobaczy...

— Dobrze, dobrze, nie bój się, nie roschoruję się — przerwała niecierpliwie Anna, i spięła się na palcach w stronę łóżka, patrząc, czy tym szelestem chory się nie budzi.

— Ale do czego i na co potrzeba, kiedy od drugiej godziny można się było położyć, nie tak trzecią już noc na nogach. Jegomość jak zobaczy, jak Panna wygląda, to lepiej jeszcze zachoruje, już prawda! —

Cofnęła się w najgorszym humorze Barbara; ale nie dała jej Anna drzwi za sobą zamknąć, wychodząc także do pierwszego pokoju, usłyszała bowiem, że wózek właśnie już przed ganek zajechał.

II.

Młoda nasza gospodyni, wdzięczna za tak ranną wizytę, pobiegła aż do sieni przyjąć gościa, który też ujrzawszy ją, prędzej jeszcze wysiadł.

— Już widzę stąd po tych oczkach, że noc byla dobra — przemówił żywo doktor, zdejmując z siebie płaszcz i na wósku go porządnie składając. Był to bowiem nie kto inny, tylko szanowny Konsyljasz Dorf; rodem Niemiec, lecz od dawna w Polsce; z Polką żonaty, i całkiem spolszczony, czyli jak mawiał o sobie żartem, z niemieckiego na polskie przetłomaczony; od kilkunastu lat w pobliskiem miasteczku zamieszkały, w całej okolicy lubiony, wszystko co polskie kochał szczerze, prócz jednej tylko litery *ł*, której nigdy nie mógł wymówić. — Więc byly poty? nieprawdaż? — spytał się zaraz na ganku i rękę pięknej gospodyni ucałował.

— Były, Bogu dzięki, zaraz z wieczora; teraz śpi wybornie — odpowiedziała Anna, wprowadzając. — Jaki też Pan Dorf dobry, dobry! nie wiem jak dziękować, że zaraz tak rano, jak obiecał, przyjeżdża. Proszęż usiąść; kawa czeka gotowa.

— Co to dobry, dobry! każdy raniej jeszcze przyjedzie, żeby pocalować rączkę takiej pięknej panienki i takiej dobrej córki — i drugi raz rękę ucałował. — A czemu to Panna Anna sama tak rano wstala? jest w oczkach fatyga, niewyspanie. To byly poty mocne? Dlugo się pocil?

— O! prawie całą noc.

— To wyśmienicie, bardzo dobrze! natura się salwowala, i co teraz, to możem już być najspokojniejsi... No, czegoż znów ten placz?.. Taka sluszna Panna, kto widzial! O, proszę mi być grzeczną, bo ja sobie stary Dorf będę zaraz fort pojechać — przydał żywszym głosem poczciwy lekarz, który w chwilach uczucia i poruszenia zawsze się w polszczyznie swojej bałamucił i zarywał z niemiecka.

Anna prędko łzy otarła i z uśmiechem ścisnęła rękę Dorfa. Jużby się inaczej rozmowa obróciła, ale Barbara, wchodząca w tej chwili z kawą, usłyszawszy strofowanie Konsyljarza i pełna jeszcze żalu do Anny, postanowiła z okazji korzystać i oddać jej za swoje.

— O! to, to! przecie, że Pan Konsyljarz tak łaskaw i jest komu choć słowo powiedzieć, bo ja co gadam, to jak do ściany — zaczęła śmiało, wprzód nawet nim doniosła przed gościem tacę. — Żeby Pan Konsyljarz Dobrodziej wiedział, to caluteńką noc oka nie zmrużyła, kiedy bez żadnej potrzeby, bo od drugiej godziny można się było położyć. A przecie nie jest sama w domu, żeby nie mógł kto inny posiedzieć: jestem ja, jest Pan Nichalewski; ale słowa od nikogo nie przyjmie, żadnej perswazji. I żeby to pierwsza noc, ale już trzy noce tak, co się ani położy, zawsze na nogach tylko, jakby myślała, że z żelaza ją Pan Bóg zrobił...

— A to piękne ja rzeczy slyszę! — wpatrując się w twarz Anny i przybierając ton ojcowski, przemówił Dorf.

— Przeszkadzasz Panu Dorfowi, a tymczasem kawa ostygnie! Jaka nudna Barbara! — zręcznie słowa jej wstrzymując, odbiła prędko oskarżona i podciągnęła pod rękę gościa filiżankę.

— Nie ostygnie — odparł zawzięty instygator — a jak ostygnie, to znów przygrzeję, Pan Konsyljarz poczeka, a muszę wygadać. Bo proszę Pana, czy to dobrze, czy to Pan

pochwali, czy Jegomości tem pomoże i miło jemu będzie, żeby się tak szarzeć i zdrowie tracić, nie dać sobie wygody żadnej? Wczoraj przez cały dzień cóżeś Panna w usta wzięła? Czy tych parę łyżek rosołu biednego i kawałątko chleba, co dziecku więcej dają...

— Panno Anno! panno Anno! — chciał przerwać sędzia; ale Barbara dalej prowadziła, zachęcona takim skargi obrotem.

— Gdyby potrzeba, to nie mówię, ale przecie wiem także co przy chorym robić. Proszę: połóż się Panna, prześpij z godzinkę, a nie, to zjeść co, posilić się, napić się ciepłego, nie tak po całych dniach i nocach jak więzień o głodzie. Przecie wychowałam, proszę Pana, wynosiłam, to musi mi serce boleć, nie żadne podłe dziecko... —

Głos poczciwej sługi zaczynał wyraźnie topnieć i już, już w płacz przechodził. Anna, żeby przeszkodzić i oraz za tak niezmyślone przywiązanie podziękować — dobrze, dobrze gderaczko, już się poprawię — zawołała, rzuciwszy się ku niej i mocno ją całując. — Pójdź lepiej zobacz co się dzieje ... albo nie, pójdę sama... Panie Dorf! ostygnie ze wszystkiem. —

Pomyliła się w użyciu środka. Barbara pocałowaniem swej drogiej wychowanki nietylko że się nie ukoiła, lecz owszem do reszty moc nad sobą tracąc, i jakby dla tem lepszego wzruszenia słuchacza, którego z lekarza myśliła nieżartem zamienić w sędziego i jakiegoś urzędnika domu, rosplakała się na dobre. — Otóż to zawsze tak — powtarzała, gdy już Anna poszła do ojca — zawsze sama, wszystko sama. Dziewczyna jak Anioł, do rany przyłożyć, i nigdy najmniejszej złości w tem nie było, ale teraz mówić, prosić, uciekła, nie chce ani słuchać...

— Fe, fe, Barbara! — przeciął jej razem słowa i płacz zakłopotany Konsyljarz — nie musi plakać, glupia rzecz, stary Dorf nie będzie tego lubić; ja recept pisać, nie sluchać babskiego płaczów...

— Bo ja słyszałam, że Pan Konsyljarz Pannę strofował, tom myślała, żeby jej po ojcowsku przełożył i perswazję dał...

— No, no, ja będę perswazję dać, aber Barbara nie plakać, *jest* żadne male dziecko. —

Ledwo Dorf skończywszy filiżankę, odetchnął sobie, poprawił się lepiej na kanapie i zażył parę razy tabaki: kiedy Anna nazad się w progu i z rozjaśnioną twarzą pokazała, zapraszając do chorego, który się właśnie obudził.

My tam teraz, szanowny Czytelniku, nie pójdziemy, zostawując sam na sam doktora z pacjentem; zwłaszcza, że i piękna Anna, wprowadziwszy tylko Pana Dorfa, sama znów wybiegła pogodzić się ostatecznie z Barbarą i w jejże oczach trochę się buljonu napić.

III.

Gdy tak są wszyscy w domu czemś zajęci, bo nawet i Pan Nichalewski po drugiej stronie, chociaż się późno położył, ranne pacieże teraz już kończył: dowiedzmy się przez ten czas lepiej cokolwiek u kogo i śród jakich się osób znajdujemy.

Najprzód ze wszystkiego się pokazuje, że nie jest to mieszkanie żadnego bogacza. Istotnie, Andrzej Wojnicz, z tytułu Cześnik, któregośmy chorobą i snem złożonego widzieli, nie był nawet dziedzicem tej wioski, tylko ją trzymał zastawą. Był to wdowiec po dwóch żonach. Z kilkorga dzieci z pierwszej, został mu się przy życiu syn, który teraz sam już żonaty i ojciec familji, mieszkał o kilkadziesiąt mil od ojca w majątku żony; z drugiej w dość póżnym wieku miał tylko jedynaczkę, wielką dziś starości swojej pociechę, którą już przy nimże poznaliśmy.

Zacny Cześnik dosyć samotne pędził życie. Szczere mając upodobanie w gospodarstwie; w ciągłych około niego obmyślaniach i staraniach, w pilnem rozmaitych prac jego i robót dozorze, tudzież w opiece włościan, dla których prawdziwym był ojcem, znajdował ustawiczne sposoby czynnego i użytecznego życia. Od śmierci zwłaszcza drugiej żony, skołatany prócz tego nietylko osobistemi ale i publicznemi straty i smutki, odwykał znacznie od ludzi, nowych znajomości nie szukał; w Bogu, jako gorliwy i ścisły katolik, skarbiąc sobie wieczne pociechy, doczesne czerpał mianowicie w miłości

i usługach ukochanej Anny. Dla niej samej, dla postanowienia jej losu, byłby zapewne więcej teraz ze światem przestawał, ale miał względem tego dawny zamysł, na którego spełnienie rachował.

Śród licznych znajomych, z jakiemi przez długie życie bywał połączony, miał być szczególniej jednego i od serca przyjaciela, z którym, począwszy zaraz od młodości, kilkadziesiąt lat wieku w najściślejszych i najczulszych przeżył stosunkach. Drogi ten towarzysz i mocnik całej drogi ziemskiej, także go już odumarł: ale zostawał po nim syn, w którym też Cześnik dawno zięcia sobie upatrzył. Ten wszakże spodziewany zięć daleko był teraz od swojej narzeczonej, i rok już blisko, jak napróżno listu od niego czekano.

Było to w r., 1801, właśnie kiedy świeżo uformowana polska legja nadreńska, wcieliła się do armji francuskiej, i tak stanowczo pomogła jej tryumfu pod Hohenlindem. Między młodymi oficerami liczył się tam Józef Gozwiecki, który służył pierwej już we Włoszech. Powiedzieć, że Anna pałała ku niemu miłością, byłoby rzeczy przesadzać; sam też nasz wojak, o dziesięć lub dwanaście lat starszy, gdy odjeżdżał zostawił ją bardziej jeszcze dzieckiem niż panną: wielka jednak przyjaźń rodziców przelała się, prawie mimo ich wiedzy i na dzieci. Związek, który już je połączał, i dziś, choć w takiem miejsc oddalemiu, serca ich jednoczył, jeśli nie była to jeszcze miłość kochanków, było to zawsze szczere i tkliwe uczucie dwojga żywo czujących istot, miłością drugich i samychże losem sobie przeznaczonych.

Łączyła ich prócz tego spólność wszystkich pamiątek. Stary Gozwiecki był niegdyś sąsiadem Cześnika; wszystkie najpierwsze wspomnienia u Anny i Józefa zbiegały się na te same przedmioty, te same osoby, te same miejsca. To też on teraz tak daleko od kraju, od wszystkich swoich, od całego życia przeszłego, ile tylko od razu myślał o domu, o rodzinie, o kraju, tyle razy, mimowolnie nawet, musiał mieć na oczach i sercu obraz Anny. Przypominając sobie swoją młodość, swoich rodziców, swój dom, wszystko co najdroższego miał w życiu — ów obraz pięknego dziecka, *jasno*włosej dziewczynki, mięszał mu się z tem wszystkiem,

do wszystkiego należał. Listy Cześnika, który był Józefa opiekunem, donosiły mu naturalnie zawsze wiele o Annie; wiedział tedy, że jest już słuszna, że ładna, że dobra; odebrał raz jej własnoręcznej roboty śliczną sakiewkę; co większa, póki jeszcze był żołnierzem i nosił lancę, chorągiewka przy niej była także uszyta ręką Anny. Nieraz gdy w szybszym biegu konia wiatr nią mocniej zaszeleścił, zdawało mu się, iż słyszy nad sobą daleki głos z kraju!.. U Anny podobnież pamiątka towarzysza lat dziecinnych bynajmniej nie gasła. Owszem, kiedy doszedłszy starszego wieku, mogła już szlachetne tułacza poświęcenie się oceniać, do tkliwej dla niego przyjaźni, łączyła teraz głęboki szacunek. Zamysły ojca nie były dla niej tajemnicą; sam Cześnik lubił często o tem mówić. A ta znów niejako pewność, iż nie kto inny ma być jej dozgonnym przyjacielem, prowadziła ją do ustawicznej o młodym rycerzu myśli, nieznacznie coraz więcej do niego przywiązywała, na grzeczności innej młodzieży, jaką czasem widywała, obojętną ją czyniąc.

Otóż rozgadałem się! zapomniawszy, że Konsyljarz Dorf nie ma czasu, bo tegoż ranku musi jeszcze do innych jechać chorych. Odprowadzim go zaraz na powrót do wóska, który niewyprzężony czeka przed gankiem, chociaż i furman i koń, równie jak pan ich, także w białym dworze śniadali: jeszcze tylko słówko o Panu Nichalewskim. Pan Nichalewski był to jeden krewny matki Anny. Od lat kilkunastu w domu Cześnika zamieszkały, i nie mając żadnych własnych interesów, po doznanych bowiem różnych zawodach był dzisiaj zupełnie bez fortuny, pomagał w gospodarstwie Cześnikowi i był mu nie małem wyręczeniem, ile że znacznie młodszy, a o dobro i korzyści domu niemniej pewnie od samego gospodarstwa gorliwy. W tej chwili ukończywszy porządnie pacierze, które, żeby kiedykolwiek przerwał, trzeba by, aby kto umierał, albo dom się palił, szedł przyjąć Konsyljarza, wytłomaczyć mu się z swego spóźnienia i zobaczyć co się dzieje. Szczęściem, doktor nietylko przed Anną, lecz i jemu samemu na stronie jak najmocniejsze powtórzył zaręczenie, że chory, na swój stan, miał się rzeczywiście bardzo dobrze. Dorf zapisawszy nowe lekarstwo, zostawił na wszystko szczegółowe rosporzą-

dzenie, uprzedził, aby go nietylko dzisiaj, ale nawet przez cały dzień jutro nie czekali, gdyż nic już pilnego nie widzi; i znowu w płaszcz swój zawinięty i szerokim kapeluszem przykryty, przez groblę odjechał. Wprzód tylko jeszcze raz polecił Annie spokojność i żeby własne zdrowie szanowała: względem czego zagroził, jak powróci, sam się Barbary rospytać.

IV.

Teraz ten sam pokój, który niedawno widzieliśmy ciemmnym, ponurym, i gdzie milczenie przerywał oddech chorego i chód zegarka, był już jasny, wesoły, i miłą brzmiący rozmową. Starzec, ocucony z długiej bezwładności i gorączki, orzeźwiony kilkogodzinnym spokojnym snem, czuł teraz wszystkiemi siłami ciała i duszy błogi stan przychodzącego ozdrowienia; czuł go tem żywiej i milej, że radość jakiej stąd doznawał, widział oraz na otaczających twarzach odbitą.

— Otwóżcież mi, proszę was, okno — przemówił dość rzeźwym głosem — niech też i do mnie ten jasny dzień, to wesołe słoneczko wejdzie trochę... A! witam cię, jasny gościu! — dodał, gdy przez otworzone okno strzeliło wzdłuż pokoju słońce — dawno już ty dla mnie świecisz! Niech będzie Stwórca nasz pochwalony, iż znowu jesteśmy z sobą! — A że nietylko za blask słońca był Niebu wdzięczen, dowiodło czułe pogłaskanie, jakie właśnie, gdy to wymawiał, dawał córce z jednej i drugiej strony twarzy, mocno w nią oczy wbijając.

— Jakże się kochany ojciec czuje? — spytała się Anna, przerywając ojcowskiego wzroku badanie, schyleniem głowy na stolik, niby dla zobaczenia zegarka.

— Patrzno mi się w oczy.

— Zaraz, tylko zobaczę godzinę.

— Już to ja widzę, co to jest. — Barbara — zwracając się do sługi — czy długo ona dziś spała?

— Co tam się ojciec będzie rospytywał! — przerwała *wesoło* — proszę nie gadać wiele, Pan Dorf zakazał. Spałam

tyle ile było potrzeba; nie ja jestem chora ale ojciec. Chodźno Barbara, mamy coś robić. — I chciała prędko nie tylko sama zejść z oczu, ale także dla bespieczeństwa wziąść z sobą Barbarę, lubo już ją przed chwilą uprosiła, aby broń Boże nie oskarżała, jak przed doktorem. Barbara, istotnie zbywając zapytanie milczeniem, szła już we drzwi za panią, zostawiwszy przy łóżku Pana Nichalewskiego. —

— Wróć się natychmiast! Hanko! chodź tu zaraz. —

Musiała wrócić. Ale wprzód nieznacznie pociągnęła sobie mocno dłonią po twarzy, dla spędzenia z niej na moment bladości. Cześnik już się jej tą razą nie przypatrywał; owszem gdy stanęła w głowach, miał oczy przed sobą w górę utkwione, podniósł tylko rękę nad czoło córki i zrobił znak Krzyża. Anna ucałowała ją kilkakrotnie z serdecznym przyciskiem, i także nic nie powiedziawszy, wybiegła z pokoju.

Chory czuł się ciągle bardzo dobrze. Okno choć zamknęli, nie pozwolił się jednak parawanem zastawiać; nie miał nic prawie gorączki. Wzrok miał dobry, mówił z przytomnością, zrobił nawet Nichalewskiemu kilka zapytań o gospodarstwie. Wkrótce przywiezione z apteki nowe proszki zażył z ochotą, obiecując, że pojutrze na wotywę pojedzie.

— Dziwny też miałem sen o naszym chłopcu — mówił do córki, gdy byli sami — o naszym wojaku — dodał, lubo Anna zrozumiała odrazu o kim zaczął. — Jak to we śnie wszystko łatwe i podobne! Że jakoby przyszedł tu do łóżka i stanął, nic się z nami nie witając. Ja poznałem choć zmizerniał, bo bardziej jeszcze do ojca był podobny... i tak podobny, że patrzę, patrzę, aż to ojciec, on sam mój ukochany, mój stary i jedyny Tomasz! Gadałem z nim, jak z żywym, gadaliśmy o was... aż potem donosi mi, że umarł, i dziękuję, że Mikołaj — (był to syn Cześnika, o którym wzmianka, Anny brat przyrodni) — dotrzymał ojcowskiego słowa i oczy jemu zamknął... Cóż powiesz! przypomniałem sobie teraz, już się obudziwszy, co mi Bóg wie od ilu lat całkiem wyszło z pamięci; jak też to człowiek wszystko sobie, najdawniejsze rzeczy, może w czasie przypomnieć!.. Gdyby się to miało spełnić i na mnie, to widzę, że jeszcze mój koniec nie przyszedł...

— Cóż znów ojciec mówi! — przerwała Anna. — Cóż to takiego sobie przypomniał? tylko proszę, żeby nic smutnego, bo nie chcę słuchać.

— Niezupełnie wesołe.

— To nie chcę, nie chcę! aż ojciec będziesz zdrów całkiem.

— Że też to trzeba było snu jakiegoś dziwnego ... ile to, ile to już lat! a wielka prawda, tak było, pamiętam teraz jakby przed godziną... Jeszcześmy — mówił starzec dalej, podniosłszy się nieco na łokciu — byli obydwa młodzi chłopcy, gdzie to! jeszcze ani myślał się żaden żenić, kiedy raz gadając z sobą serdecznie o naszej spólnej przyjaźni, która już była wielka, przysięgliśmy sobie dozgonną wierność i zrobili niby ślub... Dzieciństwo, romanse, jak to zwykle w młodych głowach, ślub, żeby po najdłuższem życiu umierać nie inaczej, tylko każdy na ręku syna przyjaciela: a żaden jeszcze nie znał swojej przyszłej żony. Dzieciństwo, nic więcej! bo jak to można takie rzeczy przyrzekać, jakby to od nas zależało, gdzie, kiedy i przy kim umrzeć?.. Potem, ze wszystkiem się to oczywiście zapomniało, nigdy o tem więcej ani mowy, każdy myślał jak żyć, jak sobie los na świecie robić, ale nie jak miał umierać; przyjaźń się dla tego jednak zachowywała, i takich przyjaciół jak ja miałem w nim, a on we mnie, dwóch w życiu mieć nie można. Cóż powiesz? trzeba, żeby mi to dziś we śnie przypomniał! Prawda, tak się zdarzyło, że skonał na ręku Mikołaja...

— Co tam o takich rzeczach myśleć! We śnie zwyczajnie przychodzi na myśl Bóg wie nie co. Ojciec i tak myśli i mówi o nieboszczyku często, to mu się przyśnił jak już nieraz.

— Nie, tak nigdy. Powiadam ci, że od owego jeszcze czasu, od naszej młodości, nigdyśmy już o tem nie mówili, ani myśleli. Ale choćby tak być miało, widzisz, że nic mi nie grozi — dodał z udanem bespieczeństwem — Józefek poczciwy gdzieś daleko, ani się nawet domyśla, żem ja tu zapadł; a potem, alboż nie lepiej na przyjacielskiem, kochanem ręku...

— Proszęż ojca, czemu o czem innem nie gadać! Niech

ojciec patrzy, tak śliczny dzień, śliczna pogoda; da Bóg, za kilka dni będzie mógł ojciec trochę się przejechać; pojedziemy do pasieki, koło stawu, zobaczy ojciec jak to będzie dobrze!.. Każem tam sobie utrząść gruszek, które już są doskonałe, Barbarze koszyk już przynieśli; ja będę jadła, a ojciec się będzie patrzał, bo mu jeszcze tak prędko nie pozwolę. Albo pojedziem na ryby, Pan Nichalewski narządzi dobrze wędki, ojciec to lubi, to go zabawi, rozerwie; nałowimy ryb mnóstwo...

— Dobrze, dobrze, moja ty śliczniuchna rybko, już ty jedna za wszystkie mi staniesz. Ale czemu to nie chcesz pozwolić, żebym o twoim przyszłym mówił? Żeby on tylko sam biedaczek zdrów się chował! Daleki to świat, gdzie on się teraz obraca, i im tam wszystkim nie gruszki trząść, moja Panno, nie ryby łapać; cięższa im się dostała robota. Ale młody, w jego wieku, przy jego siłach, to też wiele człowiek wytrzymać może. Da Pan Bóg, że wróci się nam cały i zdrowy; a choćby i słaby trochę, to go przecież będzie komu koło niego chodzić, nieprawdaż? O! bo o to więcej mi daleko idzie, niż o tamten ślub śmiertelny. Jak umrzeć, to umrzeć, to zawsze nie długo; ale żyć, to nie tak krótka sprawa; i poczciwy, kochany w życiu towarzysz i opiekun, to więcej niż majątek, czasem nawet więcej niż zdrowie. Ale prawda, im lepiej myślę, przypominam sobie doskonale, żeśmy to sobie o synach swoich ślubowali...

— Czy znów to samo! Głowę sobie jakiemiś snami nabijać...

— Dla czegoż? Cóż to złego?

— Czy nie ma o czem innem, o czem weselszem, przyjemniejszem? Pan Bóg dał pociechę, zdrowie ... coby używać tego i cieszyć się... A potem Pan Dorf zakazał wiele mówić... Widzi ojciec, już się zmęczył i ciężej oddychasz. Poprawię poduszkę ... tak! i zobaczę czy ziółka gotowe. Pójdę sobie — przydała, mile się uśmiechnąwszy i jakby tonem matki do dziecka — kiedy ojciec niegrzeczny. —

Wybiegła niby wesoło, ale w duszy zaczynała być niespokojniejsza niż przed chwilą; uważała bowiem, iż chory znów miał trochę gorączki, oczy częściej trzymał zamknięte,

a kiedy je gwałtem, broniąc się od snu, odmykał i na pokój zwracał, wzrok miał zmięszany, rospalony i ciągle innego przedmiotu szukający. Ten sen o umarłym przyjacielu, o jego niegdyś śmierci, i to przypomnienie jakiegoś ślubu śmiertelnego, głęboko go widać poruszało. Prócz tego biedna Anna nie zapominała, że ojciec jej był już w takim wieku, kiedy każda choroba stać się może niebespieczna. Napisała więc niebawem dwa listy, jeden do brata swego, Mikołaja, donosząc mu, że chory miał się lepiej, ale zawsze jednak wzywając, aby przyjeżdżał, stosownie do poprzedniego listu; drugi zaś w kilku wierszach do Dorfa, żeby był łaskaw, nie dał długo na siebie czekać.

Przy Cześniku siedział tymczasem Nichalewski. Ten niepotrzebnie się z jedną rzeczą wygadał. Chory sam wprawdzie chciał wiedzieć i pytał się, czy nie ma co nowego; ale wiadomość, iż posesor z Mielaw, któren już nie w jednym razie obszedł się z nim wcale nie po sąsiedzku, zajął w szkodzie kilka koni dworskich i nie każe wypuszczać, tak go mocno rozgniewała, że Nichalewski nigdy tego nie mógł przewidzieć.

— Dajcie mi zaraz buty i suknie! — krzyknął, siadając na łóżku — ja sam do niego pojadę, ja mu pokażę, ja mu zapłacę za szkodę, za tę i za wszystkie inne com mu winien... Pieniacz, zdzierca, niegodziwy!

— Ale niech się Pan brat uspokoi ... to się załatwi ... czyż to warto!

— Co Ren, to nie Bug, rozumiesz! — wołał, wyraźnie już w gorączce — ja nad Bugiem mieszkam, powiedz mu to. Niech mi natychmiast każe puścić!

— Ale każe, pewno...

— Natychmiast, tej minuty!

— Niech się Pan brat położy, nakryje.

— Nie umarłem; nie ma tego, co oczy mi ma zamknąć. Zaraz do Mielaw, zaraz! — I rzucił się mocno na poduszkę.

Nichalewski i Barbara, która także przybiegła, Anna bowiem byłu właśnie pisaniem zajęta, widzieli od razu, iż biedny starzec był sobie nieprzytomny, i starali się go czemprędzej, nim by wróciła córka, uspokoić. Przestał się w isto-

cie miotać, umilkł, jeszcze coś kilka razy o młodym Gozwieckim powiedziawszy, lubo ci, co byli przy nim, nie zrozumieli, bo go wyraźnie nie nazwał.

Wróciła Anna. Nichalewski ani Barbara nic jej o tem co zaszło nie wspomnieli; ta także, żeby ich nie martwić, starała się trwogę swoją przed nimi ukrywać; wszyscy byli zmięszani, zastraszeni.

Po godzinie może dość spokojnego drzemania, chory obudził się strochę lepiej, lubo z bólem głowy; był jednak smutny, nie chciał gadać, oczy najczęściej miał zamknięte. Przytomność odzyskał; o zajęciu koni wspomniał bez gniewu, pytając się dość obojętnie czy wypuszczone. Od czasu do czasu kazał sobie czytać jaką modlitwę, i niekiedy to lub owo słowo z niej powtórzył, z westchnieniem serdecznej skruchy.

— Czemuż ty tak płaczesz, moja kochana, jak nad umierającym? — rzekł do córki, gdy właśnie tylko mu co przeczytała Litanję do Matki Boskiej — oczy cię będą boleć, a mnie głowa więcej jeszcze. Przecież robię wszystko co chcesz, choć niewiedzieć czemu nie pozwoliłaś mi o tem mówić. Czy myślisz, że ja takie dziecko, aby mię sen miał zastraszyć? A potem, toż go tu przecie nie ma i być nie może, więc owszem możesz stąd być spokojniejsza. Dostań-no z biórka i przeczytaj mi ostatni jego list. Dawnej daty, aleśmy też dawno go nie czytali. —

Gdy Anna, tuląc w sobie płacz i zwyciężając się jak mogła, odczytała list Józefa: — Biedny chłopiec! — mówił znów Cześnik — ani słowa o powrocie. Nie łatwo to z tak daleka. Kto wie nawet, czy się te pogłoski nie sprawdzą, co nie dawno biegały, iż cała legja dalej gdzieś wysłana. Szczęściem, możesz jeszcze być cierpliwa; da Pan Bóg, starą panną dla niego nie zostaniesz, a lepiej trochę później a dobrze i szczęśliwie i za zacnego człowieka. Drogi mój Józefek! — przydał po chwili — jużci on tam i o nas myśli pewnie, choć mu się napowrót nie zanosi. Jak tylko wstanę, muszę zaraz napisać. O tak, tak moje dziecko! dalekie to światy, dalekie kraje, gdzie on się teraz obraca. —

Myśl Cześnika ustawicznie się na ten przedmiot zwracała.

Kilka razy, choć mówiono o czem inszem, powtórzył sam do siebie: dalekie, dalekie to kraje! lub inne jakie podobne słowo, którem oddalenie młodego Gozwieckiego i niepodobieństwo rychłego jego oglądania wyrażał. Widać było oczywiście, że prócz naturalnej czułości przyjaciela, łączyło się do tego inne jeszcze jakieś uczucie, i że tajemnie dusza starca czemś dziwnem była targana.

V.

Odległość w rzeczy samej była wielka; lecz i z najdalszych miejsc można przecie powrócić. O zawarciu pokoju Lunewilskiego wszyscy już wiedzieli; mało jednak kto w kraju słyszał jeszcze, iż dowódzca legji nadreńskiej, waleczny generał Kniaziewicz, nie chciał Francji dłużej służyć, i mimo wszelkich korzyści osobistych, jakie mu Moreau i sam Bonaparte obiecywał, podał się do dymisji. Za przykładem wodza, poszła dość znaczna liczba oficerów, i wraz z nim do kraju powracała, w czasie, gdy drudzy ich koledzy, dłużej jeszcze Francji ufając, nadal w służbie się jej zostali. Między wracającymi był i Gozwiecki.

Dwa ostatnie jego do Cześnika listy, jeden jeszcze z Francji, drugi już z drogi, nie doszły; i kiedy rozumiał, iż codzień był wyglądany, stało się, że przybył owszem zupełnie niespodziewanie. Traf szczególny tak chciał, żeby to było w ten sam dzień, który tu opisujem, i kiedy Cześnik był pewny, a przynajmniej drugich chciał przekonać, iż ani podobna było o jego powrocie myśleć.

Ku wieczorowi chory przestał się skarżyć na ból głowy i znów trochę usnął; Anna zaczynała mieć także myśl pogodniejszą, tem szczególnie od Barbary pocieszona, iż chociaż to na wieczór, gorączka się jednak nie powiększała... kiedy znowu przez znajomą nam groblę zbliżała się do dworu jakaś bryka. Zaraz ją z okien kilka osób spostrzegło; nikomu wszelako ani przez myśl nie przeszło, aby to przybywał tak wielki gość, z tak dalekich stron, przez długich kilka lat *kraju nie* widzący, nadreński wojak! Kiedy ze dworu cieka-

wem wprawdzie, ale obojętnem okiem na coraz już bliższą brykę patrzano; kiedy nawet obawiano się niewczesnej jakiej wizyty: młody Gozwiecki radby był ptakiem i jednejże chwili przed ganek zalecieć. Lubo w tych stronach miał kilka osób z familji (rodziców bowiem obojga już nie miał), gdzie także mógł jak do domu zajechać, jechał jednak najsamprzód tutaj, do swego kochanego opiekuna, do najlepszego ojcowskiego przyjaciela, do ojca wreszcie Anny; ze wszystkich drogich sobie osób, jego pierwszego pragnął zobaczyć, uściskać, odzyskać ... jego i Annę! To też mu się zdawało, że dopiero teraz, dopiero w ten moment, kiedy już dom biały na wzgórku widział, wracał do kraju, do swoich, do ojczyzny, i kończył prawdziwie całą swoją długą tułaczkę! Już dojeżdżając dawał znaki do okien, lecz go jeszcze nikt w domu nie poznawał! Nichalewski, który zastępując gospodarza, wyszedł naprzeciw, dopiero go po głosie przypomniał, nadto z serdeczności uściśnienia całkiem poznał.

— Ach, mój ty Boże! — wołał — czy my się mogli tego spodziewać... Anusiu! Anusiu, chodź tu prędko, ktoś przyjechał! Czy oczy mnie własne nie zwodzą... Wzrok, usta te same, ten sam, on doprawdy, a wąsy jakie straszne! — I znowu, i znowu go ściskał i witał, chociaż gość rad się już był wydrzeć i szukał okiem kogo innego.

— Pan Cześnik? Panna Anna? — spytał się niecierpliwie, dobywając się nakoniec z uścisku uszczęśliwionego przyjaciela.

Ledwo Nichalewski zdążył odpowiedzieć w kilku prędkich słowach, zapewniając, iż Cześnik ma się już znacznie lepiej, a przybyciem takiego gościa, całkiem się uleczy: kiedy Anna dowiedziawszy się, kto to przyjechał, wybiegła także, nie mając nawet czasu pomyśleć i nie wiedząc co robi. Już pełen szczęścia młodzian, po raz drugi i trzeci rękę jej do ust przyciskał, w tak słusznej i pięknej sobie zaledwie poznając znajomą sobie niegdyś dziewczynkę, i oczu od niej oderwać nie mogąc; gdy ona teraz dopiero lepiej do siebie z pierwszego wzruszenia przychodziła, cała jednak zmięszana i strwożona. Widziała przed sobą towarzysza i spólnika lat swych najpierwszych, osobę, która nawet nieprzytomna, była zawsze

u wszystkich w domu na myśli i ustach; widziała młodzieńca twarzy ożywionej i pełnej wyrazu, układu miłego i szlachetnego, którego wzrok jasny i szczęśliwy zdawał się nikogo oprócz niej nie chcieć widzieć; widziała żołnierza mężnego, który się poświęcając za kraj, miał udział w tych sławnych bojach i wypadkach; stała nakoniec przy boku człowieka, z którego obrazem tak ściśle dla niej i tak ciągle łączyło się oraz wyobrażenie szczęścia, miłości, związku dozgonnego: któżby się pomięszaniu, trwodze, temu całemu wzruszeniu Anny mógł dziwić, zwłaszcza, że to przybycie tak było niespodziane, tak zgoła nieprzewidziane?..

Ale uderza w nią nagle myśl, jedno uczucie, jedno straszne wspomnienie! i ledwo weszli do pokoju Nichalewskiego, gdzie także Barbara i drudzy ze sług przybiegli miłego gościa oglądać, Anna poczyna jak najmocniej płakać! Nie było to rozrzewnienie radości, ale płacz i jęk strasznej boleści. Sen ojca stanął przed nią jak widmo okropne. Z przestrachu i przerażenia oddech się jej tamował; nie wiedziała co mówić, co robić; nic już przed sobą nie widziała tylko ojca, ojca drogiego i umierającego; wszystkie uczucia jakie ją dopiero poruszały, zlały się teraz w boleść niezmierną!..

— Ach! na coś Pan przyjechał, na co dzisiaj, na co teraz właśnie! O mój Boże! niech nic jemu nie mówią, broń Boże, aby się dowiedział... Ach! co za nieszczęście, co za nieszczęście!.. On Pana tak kocha! jak syna własnego kochał zawsze; ale żebyś Pan Józef wiedział, bo Nichalewski nie słyszał, nie był przy tem ... dziś właśnie, i trzeba, żeby dziś właśnie... O mój ty Boże wielki, czyż to być może, czy to być może, czy można takie śluby robić, ja rozum stracę!! — mówiła prędko, niewyraźnie, słowa gwałtownym płaczem ucinając. Upadła w krzesło, i kładąc głowę na ręku, na cały głos w jękach płakała. Nichalewski i Barbara, byli równie prawie jak Józef przerażeni, przelękli, podobnież nic, co się stało, nie pojmując; żadne z nich bowiem nie było w pokoju, gdy Cześnik sen swój opowiadał, a ze słów Anny nie można się było rzeczy dowiedzieć. —

Tym czasem po drugiej stronie domu w coraz większej *gorączce chory*, gdyż ta od czasu jak zasnął, znowu się wzmo-

gła: słyszał, iż coś nadzwyczajnego zaszło. Częste kroki wielu osób, głośne i gwałtowne gadanie, w całym domu poruszenie, płacz wreszcie córki, dochodziły do jego ucha. Wiedział, że ktoś przyjechał, gdy bowiem patrzano przez okna na zbliżający się powóz i o nim mówiono, nie spał już, lubo oczy miał zamknięte. Teraz wszyscy przybyłym gościem zajęci, odeszli w pierwszym momencie od łóżka, i została tylko mała dziewczynka z kawiarni, którą się zwykle Barbara posługiwała.

— Co to jest, kto przyjechał, czego ona tak płacze, co jej zrobili, kto to śmiał w moim domu? — wołał gwałtownie, usiłując podnieść się z łóżka. — Biegaj mi natychmiast, wołaj ich, tutaj do mnie wszystkich!.. Hanko! Haneczko! dziecię moje, chodź sierotko moja!.. Kto przyjechał? Słyszysz ty! —

Przelęknione dziecko nie wiedziało co odpowiedzieć, gdyż właśnie w całym domu była to jedna istota, która odpowiedzieć na to pytanie nie mogła, sama bowiem o niczem co się stało, ani kto to przybył, nie wiedziała. Chciała wybiedz z pokoju, sam także przestrach do tego ją skłaniał, ale się więcej jeszcze bała złamać roskaz Barbary, która odchodząc przykazała, aby się na krok od łóżka nie ruszyła.

Cześnik coraz mocniej ucha natężając, słyszał jak najwyraźniej wielkie płakanie Anny, i śród znajomych kilku głosów, głos jakiś nowy, obcy, tak mu się przynajmniej zdało, że obcy. Otóż nagle nowa go napada myśl, przywidzenie! Gorączka, rozdrażniona gwałtownem poruszeniem, biła mocno wszystkiemi pulsami, nienaturalną wszystkim członkom siłę dodając: zdało mu się, że ten głos nowy poznaje teraz, i że jest to głos nieprzyjaciela jego z Mielaw! Wiadomość o zajętych koniach znów mu się przypomina, jest pewny, iż go zwiedli mówiąc, że wypuszczone; gniew dziki, zupełnie z charakterem jego niezgodny, na nowo go porywa, wzmagany owszem nieustającym płaczem Anny.

— Jeszcze mi dom najeżdża!.. Dziecko własne — mówił prędko, przerywanie i nieprzytomny sobie — suknie! szabla!.. Nichalewski! wołać Mikołaja, syna mego Mikołaja!.. Córko, dziecię moje, nie bój się o mnie, on daleko. — Te

i drugie tym podobne wyrazy coraz niezrozumialej wymawiając, a uchem ciągle chwytając odgłos tego, co się działo naprzeciwko, nie patrzał, nie widział prawie co robi, wstał odział się na prędce, i z rospiętą szyją, z rostarganym włosem, obie ręce z wielkiej niecierpliwości przed siebie wyciągnąwszy, wyszedł z pokoju. W drugim także nie było nikogo. Sień była otwarta. Schwycony przewiewem wiatru, słabnąć zaczął... lecz wsparłszy się moment o ścianę jedną ręką, drugą obtarł zimny pot z czoła, i znowu, chociaż już tępszym krokiem postępując, trafił właśnie, kiedy upadłą w krześle Annę wszyscy w pokoju obstąpili.

— A! myślałeś, grabieżco, żem już na smętarzu, pod ziemią? — krzyknął zaraz od progu — coś to jej zrobił? jakiem prawem? — I chwytając Józefa za suknię — to moja krew, czy wiesz o tem? to moje dziecko, moja córka... — a utopiwszy w nim oczy i bielejąc nagle jak ściana, dodał innym, jakby nie z tej samej piersi wychodzącym, głosem: — twoja żona Józefie!.. To ty jesteś? Ty tutaj? dzisiaj! ty! — Puścił go, chciał się cofnąć, lecz zwiodła siła i upadł Gozwieckiemu na szyję.

Trzeba było wszystkich sił młodości, całej dzielności żołnierza, aby nie tak już nagle padającem i bezwładnem ciałem starca, jak raczej pod ciosem boleści, która w serce Józefa ugodziła i aż do głębi je przebijała, nie upaść i nie stracić także przytomności. Nichalewski i jeden ze sług skoczyli na pomoc, zostawując Barbarę przy Annie, która nie mniej niż ojciec, ratunku potrzebowała. Nie było czasu nieść Cześnika na drugą stronę napowrót; złożyli go na łóżku Nichalewskiego; i on i Anna byli oboje w omdleniu.

Cześnik raz tylko podniósł oczy, ujął rękę Gozwieckiego, którego doskonale poznawał, nie miał wprawdzie mocą ścisnąć jej, ale już nie puszczał. Zaczął mocno robić piersiami; to znowu na chwilę całkiem się oddychanie przerywało; ręce i nogi miał wyprężone, nieruchome; na twarzy większa jeszcze i straszniejsza wystąpiła bladość. Posłano czem prędzej za doktorem i księdzem. Anna była już wniesiona do swojego pokoju, gdzie ratunek i starania piastunki, wkrótce *ją zaczęły* ocucać i przywołały do życia.

Ze wszystkich osób tej przerażającej sceny, może najboleśniejsze położenie było Gozwieckiego. Tu żal z tak nieszczęśliwego i wyraźnie już ostatecznego stanu Cześnika, którego jak ojca kochał i czcił; tam przestrach o Annę i bojaźń, czy nie jest także w niebespieczeństwie! Ta jej tak nagła, tak wielka, a dla niego tak niepojęta rospacz, skądże mogła powstać, z jakiej przyczyny? Nie z powodu choroby ojca, w pierwszej bowiem chwili powitania była spokojniejsza i całkiem inna, na moment przebiegła nawet widocznie radość po jej twarzy: dopiero później i kiedy miała już czas lepiej wrażenie swoje zrozumieć i zdać sobie ze stanu swojego sprawę... Mogłożby to być, czynił sobie w duszy zapytanie, aby sam jego powrót, sama jego przytomność, były dla niej nieszczęściem! Czyliż kto inny stał się dla tego młodego serca potrzebą i Panem?..

Tych jednak i podobnych myśli i podejrzeń nie było czasu rostrząsać, Cześnik albowiem widocznie co chwila obumierał. Mimo całej pilności i gotowości, jaką się znajomy nasz Konsyljarz Dorf zawsze odznaczał, niepodobna było tak się go prędko spodziewać; wszystka też jego umiejętność, musiałaby w tym razie być daremną. Ksiądz czytał akty nad chorym, który z najlepszą skruchą przyjął także Ostatnie Namaszczenie.

Gdy płacz zebranych domowników coraz się stawał głośniejszy, starzec zrobił jeszcze znak, aby Gozwiecki nad nim się schylił. Ochłodniałemi już usty, dał mu ostatnie opiekuna i ojca pocałowanie. — Nie sam ty z siebie dzisiaj tu przybyłeś — mówił mu raczej szeptaniem niż głosem, i nie jednym ciągiem słowa z ciężkością wydając — czas mi było pracę ziemską skończyć... Dotrzymaliśmy sobie z twoim ojcem słowa ... da Bóg miłosierny, na wieki się teraz złączymy ... Ty bądź jej tu ojcem. —

Na piersi starca spływały łzy Józefa. Nie podnosił jeszcze głowy, słuchając co mu więcej powie ... ale napróżno czekał. Usta konającego poruszyły się parę razy, lecz żadne więcej słowo przez nie się nie przebiło: śmierć kładła już na nich swoją straszną, niezłomną pieczęć ... i wkrótce położyła!

Martwe oczy Andrzeja Wojnicza, zamknął z synowską czcią i z synowskim żalem, Józef Gozwiecki.

Spełnił się ślub przyjaźni!...

Spełniło się także z czasem ostatnie życzenie umierającego. Ale przy pogrzebie nie pora mówić, ani myśleć o małżeństwie, choćby najbardziej oddalonem; na tem też powiastkę naszą, a raczej opis prawdziwej dwóch przyjaciół historji skończymy.

OBIÓR STANU.

Powiem ci teraz, kochany Czytelniku, króciutką jedną historyjkę o trojgu dzieci, ale nie całkiem dziecinną ... jeżeliś tylko, przepraszam za wyrażenie, sam nie dziecko. Jak bowiem ten, co przez zielone albo żółte patrzy okulary, będzie wszystko dla tego właśnie widział zielono, albo żółto, tak i w świecie moralnym nie jedną rzecz wyda się nam płytka lub głęboka, błaha lub ważna, nic nieznacząca lub bardzo wiele, dla tego tylko, iż zwróciliśmy na nią myśl taką czy taką, tego czy tego koloru, płytką czy głęboką, dziecinną czy mądrą...

Rzecz jest taka.

W jednem niemieckiem miasteczku, gdzie są pewne Wody mineralne, żyło pracowite i bogobojne małżeństwo. Mąż był piekarzem, i pracował od świtu do nocy; żona była rarem panią, czeladnikiem i sługą, tem bardziej więc, co to próżnowanie nie znała.

Żywili miasteczko, żeby jakkolwiek wyżywić siebie i troje, które im Pan Bóg dał dziatek, trzech synków.

Odbyt był ciągły; stateczność w pracy męża i żony przykładna; w domu zgoda, miłość i modlitwa... A więc po latach kilku, kiedy oboje, trzymając się pod rękę, szli wcześnie w Niedzielę na Summę, każde miało na sobie ubranie nowe i porządne, i niosło jakiś datek do karbony, dla bie-

dniejszych od siebie a nie mogących tak jak oni pracować: datek, który dziś mogli już czynić bez odmawiania sobie żadnej potrzeby w życiu, a z ich stanem zgadzającej się wygody i przyjemności.

Po przywitaniach jakie po drodze, od sąsiadów i drugich spółmieszczan, odbierali, po uprzejmości, z jaką ten i ów z niemi się łączył, żeby iść razem, wreszcie po pośpiechu, z jakim posuwano sią dla nich w ławce kościelnej, poznałby każdy, iż była to para poważana i kochana w całem miasteczku. Za powrotem, jeśli czas pogodny, usiadali zwykle na zielonej ławeczce, stojącej od ulicy pod oknami domu, przed którą zostawiali zawsze świeżo wysypany i zgracowany piasek: służąca bowiem (gdyż mieli już i służącę), wiedziała, że jej państwo nie tylko sami spocząć tu lubią, ale także przechodzących przyjaciół chętnie na to siedzenie i poufałą pogadankę zapraszają.

Zdarzyło się jednej niedzieli, kiedy tak według zwyczaju piekarz z małżonką zasiedli na owej ławeczce i prowadzili rozmowę, już to sami między sobą, już z sąsiady co także z Summy powracali, zdarzyło się, mówię, że chociaż wszyscy znajomi już przeszli i czas było wreszcie wejść do izby, żadne jednak nie wstawało... Nie było to z powodu pogody, gdyż niebo było owszem dość pogodne; ani z zajęcia się żywszą rozmową, bo już kilka a może i więcej minut mijało, jak na zielonej ławeczce zupełne panowało milczenie

— Ja uważam, moja kochana — zaczął mąż — że jesteś czegoś zamyślona, nie swoja, jak gdybyś miała smutek czy niespokojność jaką. Że ten Kapitan nie zapłacił, choć brali chleb i bułki przez sześć przeszło tygodni, cóż robić! trudnoż na tamten świat pozew mu posłać, albo zabrać pościel i resztę trochy tych gratów wdowie i dwojgu sierotom. Biedak! spodziewał się, że się tu uleczy, i że z czasem będzie mógł oddać... Bogu chwała, że duszę przynajmniej uleczył i spowiadał się przed śmiercią.

— Niech mnie Pan Bóg i Matka Najświętsza broni — odpowie z ciężkiem westchnieniem poczciwa kobieta — żebyś ty się miał pastwić nad kim, nad jaką biedną wdową i sieroctwem! Nie, mój dobry mężu, mnie już to wcale nie

na myśli; to Pan Bóg od nas pożyczył, a On zawsze ma z czego oddać i pewno odda. Mnie w głowie własne nasze dzieci. Żeby Bóg miłosierny pozwolił, żeby jak są zdrowi, tak byli dobrzy, pobożni i szczęśliwi na świecie! Wyrastają, jużby czas stan każdemu obrać, i Proboszcz mówił o to kilka razy.

— Jeszcze im czas, moja kochana — przerwał piekarz spokojniejszym tonem, rad, że owo zamyślenie, w jakiem swą miłą towarzyszkę przed chwilą widział, nie pochodziło z żadnego istotnego zmartwienia — jeszcze czas! Proboszcz dobrze radzi i dobrze mówi, ja nie chcę także, aby rośli jak chwast dziki; uczą się co można, przywykają do pracy; niech pracują jak ojciec, a Bóg da, że im także dobrze będzie na świecie. Stan dla każdego już mam, jak ci nieraz mówię, i nie wiem, co ty możesz mieć przeciw temu. Żaden, jeśli mnie będzie słuchał, a słuchać musi, nie umrze z głodu, możesz być spokojna. Jasia, jak powiadam — mówił dalej — że trochę delikatny, zrobię muzykantem; może z czasem zostać kapelmajstrem, zebrać orkiestrę... stan łatwy i w każdym kraju da sposób do życia. Henryczek niech idzie do wojska; może wyjść na oficera, być Kapitanem, Majorem, dostać krzyż, w końcu pensję odstawną... widzisz Pana Porucznika (był to zamieszkały w miasteczku stary inwalid), jak go wszyscy szanują, poważają, a także ubogich rodziców: służył, dosłużył się, jest pewny swego do śmierci ... nogę stracił! no, prawda, ale przecie mógł nie stracić, i nie każden ją traci. Antosia oddamy do jakiegokolwiek handlu; niech się dorabia jak tylu innych.

— To mogę mieć i to mam przeciw temu — odpowie, przysiadłszy bliżej, troskliwa matka — co ci także nieraz mówię, że w obieraniu tych wszystkich stanów nie poradziłeś się nikogo, nie zważałeś, który do czego ma jakie usposobienie i ochotę, i wymyśliłeś to sobie nie wiedzieć jak i dla czego. Otóż właśnie wszystko od tego zależy; stąd cała moja niespokojność. Ale jeśli zechcesz, mój dobry mężu, ta niespokojność dziś zaraz, wprzód nawet nim na Nieszpor zadzwonią, zniknie może.

— Jeśli zechcę? Jakim sposobem?

— Jeśli zechcesz pójść za mojem zdaniem.

— Jakiem zdaniem?

— Wiesz — mówiła nieco ciszej i wsparłszy wprzód rękę na rękę męża — że byłam dzisiaj u Spowiedzi i Kommunji Świętej. Po Kommunji modliłam się, jak mam zwyczaj, do Matki Boskiej, jak mogłam najlepiej... dziękując za wszystkie nad nami dobrodziejstwa, prosiłam za tobą, za dziećmi, i żebyśmy mogli być oświeceni, jaki już stan, jaki los dać każdemu... Otóż w tej modlitwie tak mi się jakoś nagle zdało, żeby dziś zaraz, i nie dłużej tylko nim na Nieszpór zadzwonią, uważać dobrze na dzieci, a każden sam sobie stan, jaki mu Pan Bóg... —

Jeszcze te słowa kończyła, kiedy rosnący hałas w izbie i głośne dzieci na całe gardło chichotania, mięszające się zarazem z jakiemś ponurem śpiewaniem, przerwały rodziców rozmowę. Powstali i weszli do domu.

— Co wy dokazujecie? Czemu te krzyki, te śmiechy takie?

— My się tak z Henryczka śmiejemy — odpowiedzieli razem Jaś i Antoś — taki zabawny, patrz mamo, nie wiedzieć po jakiemu śpiewa i udaje Biskupa! —

Brat ich nie zmięszany bynajmniej tą satyrą, ani przyjściem rodziców, prowadził swoją zabawę dalej. Jak najpoważniejszym krokiem chodził z kąta w kąt, śpiewając niby po łacinie, z książki, która wcale nie była mszałem ani brewiarzem, gdyż był to rejestr, gdzie ojciec zapisywał, co mu kto w mieście za chleb i bułki był winien. Ubiór zrobił sobie z serwety; związawszy ją na szyi, rospuścił ją przez plecy, aż do kostek: laska ojca z kościanną gałką, służyła za pastorał. Trwało jeszcze to urojone biskupstwo z parę minut, wreszcie sześcioletni infułat, zmęczony pasterską pracą, rozebrał się i poważnie usiadł. Ojciec ani matka nic nie przeszkadzali; przyjąwszy owszem rolę prostych widzów, zostawili dzieciom zupełną wolność bawienia się, jak sami zechcą; żeby nawet bardziej je ośmielić, zaczęli między sobą z cicha coś mówić. Na ich twarzy, osobliwie na twarzy matki, widoczne malowało się wzruszenie.

Tymczasem Antoś, zbliżywszy się do brata, który tylko

co usiadł. — Cóż to — rzecze — ksiądz Biskup zmęczył się? Czy piersi ze śpiewania nie zabolały? Trzeba panu zapisać receptę, proszę pokazać puls. — Brał go za rękę i udawał doktora; przepisywał kąpiel, djetę, ziółka. Zabawa szła w najlepsze; byli pewni, że na nich nikt nie patrzy.

Jeszcze doktor opatrywał Biskupa i różne dawał mu rady, kiedy trzeci aktor, Jaś, pobiegłszy na moment do drugiej izby, wynosi na tacy kilka kawałków chleba i zaczyna Biskupa i doktora częstować, nisko się przed nim kłaniając. — Może panowie będą łaskawi kupić u mnie tę bułeczki i ciastka? bardzo dobre i tanie, proszę skosztować. Jestem tutejszy piekarz; u mnie zawsze wszystko świeże, dziś z pieca. — Więc traktował obydwóch swojemi ciastkami; a Biskup i doktor byliby je dłużej chwalili... ale w tym momencie odezwał się kościelny dzwonek...

— Na Nieszpór! — krzyknęła matka, jakby ze snu dziwnego zbudzona — a nie mówiłam? Czy nie także? — Wzrok jej wyrażał osobliwszą radość i razem jakiś przestrach; zaczęła całować dzieci, kazała im prędko klęknąć; zrobiła nad ich głową znak Krzyża Ś., ale od płaczu i wielkiego wzruszenia mówić nie mogła... stała moment w milczeniu i prawie sobie nieprzytomna... W tem dał się słyszeć duży dzwon: chwyciła książkę do nabożeństwa, przycisnęła ją gwałtownie do ust, i nim wybiegła, zawołała jeszcze raz ze drzwi do męża: — czy nie mówiłam, wprzód nim na Nieszpór?..

— Dzieciństwo! — odezwał się do siebie po chwili piekarz, kiedy już sam tylko był z dziećmi... Wyszedł przed dom, lecz zaraz znów wrócił — dzieciństwo! śmieszna kobieta! — powtórzył, patrząc na dzieci, które nie wiedziały, co to się znaczy i czy co złego zrobiły. Ale był zamyślony, pomięszany. Wyszedł jeszcze raz na próg domu, patrzał chwilę na kościół, potem na niebo — chciał siąść na ławeczce... i zaraz wszedł na powrót, powtarzając tą razą — dziwne rzeczy!.. bywają dziwne rzeczy!

Upłynęła godzina, powróciła matka z Nieszporów; upłynęło ich więcej, daleko więcej... upłynęło lat wiele... Aż w tem samem miasteczku było trzech rodzonych braci.

Wszyscy trzej w niem się urodzili. Jeden teraz był piekarzem, objął dom i handel po ojcu, który na starość przestawszy już pracować, mieszkał przy nim na łaskawym chlebie; drugi był Proboszczem, i wielkiego w duchowieństwie i u Rządu używał poważania; trzeci doktorem. Żyli z sobą w jak najlepszej zgodzie, w braterskiej miłości. Ojciec, patrząc jak są szczęśliwi, jak szanowani i kochani od ludzi, a dla niego we wszystkiem uszanowania i powinnej czci pełni, wdzięczen Opatrzności, że mu tak miłą i błogosławioną dawała starość, jeden tylko miał smutek, jeden żal, że tego, co on szczęścia, nie dożyła jedo dobra żona. Ale ten żal koił modlitwą i poddaniem się woli Boskiej; ten smutek leczył widokiem powodzenia synów. Doktor zwłaszcza był jego największą pychą. Młody jeszcze, był już w całym kraju, a nawet za krajem sławny; był doktorem panującego Księcia, ozdobiony krajowemi i zagranicznemi ordery, przy tem kochany niezmiernie od biednych, dla których nietylko niosł bezpłatnie rady, ale też własnym kosztem utrzymywał w szpitalu ciągle po kilka łóżek.

Wystawcie sobie naprzykład tego poczciwego starca, kiedy wyszedłszy z domu jednego syna, gdzie praca, rządność, zdrowie, i chociaż skromny, ale na wszystkie istotne życia potrzeby wystarczający życia dostatek, i gdzie w obrazie najprzykładniejszej familji, widział przed sobą syna, synowę i wnuki; kiedy, mówię, wyszedłszy z tego domu, idzie dawnym swoim zwyczajem, dawną ścieszką do kościoła na Summę Ś., i widzi ją celebrowaną przez drugiego syna, a potem po nabożeństwie przechadza się, w towarzystwie przyjaciół, po ulicach i placach swojego miasteczka, i wzajemnie sobie opowiadają, albo o rzeczach i ludziach teraźniejszych, co się nowego, ciekawego, dziś, wczoraj, zdarzyło, albo chętniej i częściej o rzeczach i ludziach przeszłych, o tem co i jak dawniej bywało... Każdy plac, każda ulica, każdy prawie dom, koło którego przechodzą, poddaje mi inną jakąś powieść, inne jakieś przypomnienie... w tem nadjeżdża pojazd wspaniały, odzywają się bębny po odwachach. Publiczność na około odkrywa głowy i chyli je na *znak* uszanowania, przejechał W. Ks. Panujący, a przy jego

boku poznał starzec trzeciego swego syna, Pana Konsyljarza Nadwornego! on, prosty niegdyś i tak ubogi robotnik; on, biedny piekarz, i który wszystko winien jedynie swojej i kochanej żonie, swojej pracy, wytrwałości i modlitwie!

Niechże teraz kto powie, że nie masz na tym świecie szczęścia!.. Jest; sam je w tem miasteczku widziałem, bom niedawno kilka tam tygodni przepędził.

KONIEC.

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.

3211 . 28

DM 45 — aut.

